

II . 610 146

2000.

EMILKA
DOJRZEWA

Tytuł oryginału:
„E m i l y C l i m b s”

Przekład autoryzowany
Marji Rafałowicz-Radwanowej



Printed in Poland

II 610146

Drukarnia B-ci Wójcikiewicz, Warszawa.

very anal 2
L. M. MONTGOMERY

EMILKA
DOJRZEWA

KSIĘGARNIA POPULARNA
WARSZAWA

Copyright by:
Księgarnia Popularna
Warsaw
1936

I.

EMILKA PISZE.

Emilja Byrd Starr siedziała sama w swym pokoju w Srebrnym Nowiu, w Czarnowodzie. Był to ponury wieczór lutowy, za oknami szalała zadymka. Emilka była szczęśliwa, tak szczęśliwa, jak tylko człowiek szczęśliwym być może. Ciotka Elżbieta pozwoliła jej, ze względu na silny mróz, rozniecić ogień na kominku w jej pokoju — wyjątkowa łaska! Teraz palił się wesoło, migocąc czerwono-złotawymi płomieniami w niewielkim, schludnym pokoiku o staromodnych meblach i wielkich oknach; w zamarznęte zsiniałe szyby uderzały rytmicznie białe płatki śniegu, pędzone przez wicher. Płomienie nadawały zwierciadłu, wiszącemu na przeciwległej ścianie wygląd tajemniczy, pogłębiały perspektywę, odbijającą się w niem wraz z Emilką, siedzącą przed kominkiem na otomanie, przy dwóch dużych, białych świecach, jedynem oświetleniu, mającym prawo obywatelstwa w Srebrnym Nowiu. Emilka pisała. Na kolanach trzymała nowiutką księgę oprawną w skórę, jedną z tak zwanych „ksiąg Jimmy’ego”, którą kuzyn Jimmy подарował jej tegoż dnia. Emilka bardzo się ucieszyła z tego prezentu, bo już zapisała wszystkie kartki księgi, którą jej ofiarował kuzyn Jimmy ubiegłej jesieni. Od tygodnia cierpiała istną mękę głodu, gdyż była

pozbawiona papieru i nie mogła pisać nadal swego „pamiętnika”.

Pamiętnik ten stał się głównym motywem jej młodego, bujnego życia. Zastąpił owe „listy”, które pisywała, dzieckiem będąc, do swego zmarłego ojca, listy, będące wyrazem potrzeby „wypisania się”, powierzenia komuś swych trosk i utrapień, gdyż nawet w owym czarownym wieku lat niespełna czternaście, człowiek ma swe troski i utrapienia, zwłaszcza, gdy ów „człowiek” żyje pod surową, niezmiernie życzliwą, lecz niezawsze czułą, opieką ciotki Elżbiety Murray. Czasami czuła Emilka, że ów pamiętnik ratuje ją przed spalaniem się we własnym ogniu. Gruba księga Jimmy’ego wydawała jej się przyjacielem osobistym, najpewniejszym powiernikiem pewnych rzeczy, które domagały się koniecznie uzewnętrznienia, a zbyt były drażliwe, aby je powierzać uszom jakiegokolwiek istoty żyjącej. Ale niezapisane księgi lub choćby stronicie nie były częstym zjawiskiem w Srebrnym Nowiu i gdyby nie kuzyn Jimmy, nie byłaby Emilka nigdy doszła do posiadania tych nieodzownych, kochanych białych kartek. Ciotka Elżbieta z pewnością nie dałaby jej księgi pamiętnikowej. Ciotka Elżbieta była zdania, że Emilka za dużo traci czasu na te „niedorzeczne bazgroty”, a ciotka Laura nie byłaby się ośmieliła postąpić wbrew woli siostry, tem bardziej, że i ona sądziła, iż Emilka mogłaby spędzać czas pożyteczniej, a nawet przyjemniej. Ciotka Laura była najzacniejszą kobietą pod słońcem, ale pewnych rzeczy nie mogła pojąć.

Kuzyn Jimmy zaś nie bał się bynajmniej ciotki Elżbiety, a kiedy mu się zdawało według jego obliczeń,

że Emilce jest już potrzebna nowa księga, kupował ją i ofiarowywał siostrzenicze, nie zważając na gniewne spojrzenia ciotki Elżbiety. Tego dnia właśnie pojechał do Shrewsbury w tę zawieję śnieżną li-tylko po ten sprawunek, bez żadnego innego powodu. Tak więc Emilka była uszczęśliwiona, pisząc przy świetle świec i tego subtelnego, przyjaznego, odbłasku ognia, gdy jednocześnie za oknami wiatr wył i gwizdał, wyginając gałęzie starych drzew, śląc płatki śniegu do słynnego ogródka Jimmy'ego i pastwiąc się nad Trzema Księżniczkami, jak stale nazywała Emilka trzy wysokie drzewa w kącie ogrodu.

„Lubię taką zadymkę wieczorną, gdy nie jestem zmuszona wyjść z domu”, pisała Emilka. „Kuzyn Jimmy i ja układaliśmy plany na następny sezon letni, a mianowicie, co zasadzimy w ogródku. Oglądaliśmy ceny w katalogu; sprowadzimy nasiona astrów czerwonych, ale będziemy pielęgnować nadal te złote astry, które teraz drzemią pod śnieżną kołderką. Lubię układać plany na lato, gdy za oknami szaleje taka oto zadyмка. Doznaję wtedy wrażenia, jakgdybym odnosiła zwycięstwo nad czemś znacznie mocniejszym i potężniejszym ode mnie, a to dlatego tylko, że ja mam mózg, a zawieja jest ślepą siłą, straszną, lecz ślepą. Tego samego doznaję wrażenia, gdy tam, za oknem szaleją żywioły, a ja tutaj siedzę, bezpieczna w moim kąciku, przy moim kochanym kominku i śmieję się z nich. A to dzięki temu, że przed stu laty z górą pra-pra-pradziadek Murray zbudował ten dom i dobrze go zbudował. Zastanawiam się, czy za sto lat ktokolwiek odniesie zwycięstwo nad czemkolwiek, dlatego, że ja żyłam kiedyś na świecie, albo dlatego,

że ja umarłam. Ta myśl jest mi *bodźcem i natchnieniem*.

Napisałam te wyrazy kursywą, zanim się opamiętałam. Pan Carpenter mówi, że nadużywam kursywy. Powiada, że jest to manja wczesnej epoki wiktoriańskiej i że muszę koniecznie odzwyczaić się od tego. Doszłam do wniosku, że istotnie muszę się odzwyczaić od tej manji, bo zajrzawszy do słownika widzę, że być manjakiem nie jest wskazane, jakkolwiek nie jest to jeszcze tak źle, jak być *opętanym*. Znowu podkreślam! Ale zdaje mi się, że tym razem kursywa ma zastosowanie.

Czytuję teraz słownik codziennie po godzinie, aż ciotka Elżbieta przyjrzała mi się podejrzliwie i oświadczyła, że lepiejbym cerowała pończochy. Nie wie ona, dlaczego to jest niedobrze szperać godzinami w słowniku, ale zdaje jej się, że to musi być źle, bo ona sama nigdy nie odczuwa tej potrzeby. Ja tak *lubie* czytać słownik! (Tak, ta kursywa jest niezbędna, panie Carpenter. Zwykle „lubie” nie oddałoby moich uczuć!). Słowa są czemś tak *fascynującym*. (Teraz przyłapałam się w porę na podkreślanie, przy pierwszej sylabie!) Sam dźwięk niektórych wyrazów (na przykład: „*nawiedzany*”, „*mistyczny*”) już budzi we mnie „*promyk*”. (O, Boże! Ależ ja muszę podkreślić „*promyk*”. To nie jest zwykły promyk, to jest najbardziej niezwykła i cudowna rzecz w całym moim życiu. Kiedy to się budzi we mnie, mam wrażenie, że nagle ściana rozstępuje się przede mną i przez te nowe, skądinąd niewidzialne drzwi, zaglądam do samego *nieba*). *Znowu kursywa!* Och, widzę, że pan Carpenter ma

słuszność, gdy mnie łaje! Muszę sama dbać o wyrugowanie tego nawyknięcia.

Długie wyrazy nigdy nie są ładne: „rewindykować”, „awanturniczy”, „międzynarodowy”, „konstytucyjny”. Przypominają te ogromne chryzantemy, które mi pokazał kuzyn Jimmy w Charlottetown na wystawie kwiatów. Myśmy nie mogli dopatrzeć się w nich żadnej piękności, chociaż niektóre osoby uważały je za wyjątkowo piękne. Kuzyn Jimmy ma w ogródku kwiaty normalnej wielkości, oraz drobne, niepozorne kwiatki, które są sto razy piękniejsze. Ale odstępuję od tematu, co również jest moim niedobrym zwyczajem, jak słusznie mówi pan Carpenter. On mówi, że *muszę* (ta kursywa jest jego własna!) nauczyć się skupiać. Skupiać się, czyli koncentrować uwagę; koncentrować jest też dużym, długim i bardzo brzydkim wyrazem.

Spędzam mile czas nad słownikiem, znacznie lepiej, niż nad cerowaniem pończoch. Chciałabym mieć jedną parę, nie więcej jak jedną parę, jedwabnych pończoch. Ilza ma trzy pary! Jej ojciec podarował jej te pończochy, bo daje jej wszystko od czasu, gdy ją pokochał. Ale ciotka Elżbieta mówi, że jedwabne pończochy są *niemoralne*. Zastanawiam się, dlaczego; dlaczego pończocha może być niemoralna, a suknia z tegoż materiału — nie!?

Skoro już mowa o jedwabnych sukniach: ciotka Janey Millburn z Gęsiego Stawu (to nie jest nasza krewna, ale wszyscy ją tak nazywają) ślubowała, że nigdy nie będzie nosić jedwabnych sukien, dopóki cały świat pogański nie nawróci się na religję chrześcijańską. To mi się ogromnie podoba. Jabym chciała

być tak dobrą, jak ona, ale nie zdobędę się na to, za- nadto lubię jedwab. To takie *bogate* i błyszczące. Chciałabym zawsze mieć jedwab na sobie, a gdybym mogła sama sobie kupować suknie i miała dostateczne środki, zawsze ubierałabym się w jedwabie, chociaż przypuszczam, że ilekroć pomyślałabym o kochanej ciotce Janey i o nienawróconych poganach, doznawa- łabym strasznych wyrzutów sumienia. Ale dużo lat jeszcze upłynie, zanim będzie mnie stać na *jedną* suk- nię jedwabną, a tymczasem oddaję co miesiąc część moich pieniędzy z jajek na misje. (Mam teraz pięć kur, wszystkie pochodzą od szarej kwoczkii, którą po- darował mi Perry na urodziny, kiedy skończyłam lat dwanaście). Jeżeli będę mogła kupić sobie kiedykol- wiek w życiu suknię jedwabną, wiem, jak ona będzie wyglądać. Nie będzie czarna, ani bronzowa, ani nie- bieska, nie będzie koloru rozsądnego, praktycznego, takiego, jakie zawsze noszą Murrayówny ze Srebrne- go Nowiu, o nie! Będzie to suknia z mieniającego się jedwabiu, niebieska przy pewnem oświetleniu, srebr- na przy innem, taka, jak niebo o zmierzchu, oglądane przez szyby pokryte szronem. Tu i owdzie zdobna bę- dzie w kawałki koronki, przypominające te drobne piórka śnieżne, uderzające w moje okno. Tadzio mó- wi, że namaluje mnie w tej sukni i nazwie ten port- ret: „Lodowata Dziewczyna”. Ciotka Laura uśmiecha się i mówi słodko, łaskawie, w pewien sobie właściwy sposób, którego bardzo nie lubię, nawet u kochanej ciotki Laury:

— Cóż ci przyjdzie z takiej sukni, Emilko?

Tu nie o pożytek chodzi, ale czułabym się w niej tak, jakgdybym była tylko częścią samej siebie, tą naj-

lepszą częstką bez przymieszki codzienności i szarzyzny. Muszę mieć jedną chociaż taką suknię w życiu! I do tego jedwabną halkę i jedwabne pończochy!

Ilza ma teraz jedwabną sukienkę, jasno czerwoną. Ciotka Elżbieta mówi, że dr. Burnley ubiera Ilzę za staro i za bogato, jak na dziecko. Ale on chce jej wynagrodzić ten długi okres czasu, kiedy wcale jej nie ubierał. (Nie mam na myśli, że Ilza chodziła nago, ale byłaby mogła i tak chodzić, gdyby to było zależało wyłącznie od jej ojca). Teraz on robi wszystko, czego ona zapagnie i ustępuje jej na każdym kroku. Ciotka Elżbieta powiada, że to bardzo źle dla niej, ale bywa, że zazdroścę Ilzie troszeczkę. Wiem, że to nieładnie, ale nie mogę nic na to poradzić.

Dr. Burnley pośle Ilzę niebawem do Wyższej Szkoły w Shrewsbury, ale potem dopiero pojedzie ona na poważne studia do Montrealu. Dlatego głównie jej zazdroścę, nie z powodu sukni jedwabnej. Chciałabym, żeby ciotka Elżbieta i mnie pozwoliła pojechać do Shrewsbury, ale obawiam się, że ona nigdy się na to nie zgodzi. Ona uważa, że nie może mnie puścić na krok od siebie, ponieważ moja matka uciekła. Ale nie powinna się bać o mnie: ja nigdy nie ucieknę. Postanowiłam, że zamaż nie wyjdę. *Ja poślubię sztukę.*

Tadzio chciałby pojechać do szkoły do Shrewsbury, ale matka mu nie pozwala. Nie dlatego, iżby się bała, że on ucieknie, ale dlatego, że kocha go za nadto, aby się z nim rozstać. Tadzio chce zostać artystą, a pan Carpenter mówi, iż on jest genjuszem i powinien spróbować szczęścia. Ale każdy boi się mówić z panią Kent. Ona jest drobną kobietą, nie wyższą ode mnie, doprawdy, a jednak wszyscy się jej bo-

ją, mnie nie wyłączając... strasznie się jej boję. Wiedziałam zawsze, że ona mnie nie lubi, już wtedy to wiedziałam, kiedy Ilza i ja zaczęłyśmy chodzić do nich i bawić się z chorym Tadzkiem. Ale teraz ona mnie nienawidzi, jestem tego pewna, a to dlatego właśnie, że Tadzio mnie lubi. Ona nie znosi jego uczuć dla kogokolwiekbądź prócz niej samej. Nawet o marlarstwo jest zazdrosna. Tak, że niema nadziei na jego wyjazd do Shrewsbury. Perry wyjeżdża. Nie ma grosza przy duszy, ale będzie pracował i przebrnie. Dlatego woli pojechać do Shrewsbury, bo sądzi, że tu w sąsiedztwie łatwiej mu przyjdzie znaleźć pracę, a przytem życie będzie tańsze, niż gdzie indziej.

— Ta stara bestja, ciotka Tomaszowa, mało ma pieniędzy — mówi Perry — ale mnie nie da ani grosza, o ile... o ile...

Popatrzał na mnie znacząco.

Zarumieniłam się, bo nie mogłam nad tem zapamiętać, a potem byłam wściekła na siebie samą za ten rumieniec i na Perry'ego, bo przypomniał mi coś, o czem nie chciałam myśleć, ani słuchać... Było to już dawno, gdy jego ciotka Tomaszowa spotkała mnie na ścieżce w gaju Wysokiego Jana i przeraziła mnie śmiertelnie pytaniem, czy zgadzam się zostać żoną Perry'ego, skoro tylko dorosnę. Zażądała ode mnie przyrzeczenia, że za niego wyjdę, a w takim razie ona każe go kształcić. Nikomu o tem nie powiedziałam, bo się wstydziłam. Wyjątek zrobiłam dla Ilzy, która rzekła:

— Pomysły ma stara ciotka Tomaszowa! Zażyciewa jej się Murrayówny dla Perry'ego!

Ale też Ilza bardzo jest twarda dla Perry'ego i

kłóci się z nim zawzięcie o byle co, o takie rzeczy, które u mnie tylko wywołują uśmiech. Perry nie lubi być prześcigniętym przez kogoś w czemkolwiekbażdź. W zeszłym tygodniu byliśmy wszyscy na podwieczorku u Anny Morre, jej wuj opowiedział nam historję o dziwnem cielećciu, które miało trzy nogi od urodzenia. Perry odezwał się:

— To jeszcze nic w porównaniu z kaczką, którą ja widziałem w Norwegji.

(Perry istotnie był w Norwegji. Gdy był mały, ojciec jego zabierał go wszędzie z sobą. Ale nie wierzę w jego opowieść o kacze. *Kłamał*, albo przynajmniej *haftował*. Drogi panie Carpenter, nie mogę się obejść bez kursywy!).

Kaczka Perry'ego miała cztery nogi, według jego opowiadania, dwie właściwe nóżki, które każda kaczka mieć powinna, a dwie, wyrastające z pleców. Otóż, gdy była zmęczona przechadzką na zwykłej parze nóg kładła się nawznak i chodziła na drugiej parze!

Perry opowiedział tę bajkę z wielką powagą. Wszyscy się śmieli, a wuj Amy rzekł: „Pomysłowy jesteś, Perry”. Ale Ilza była rozwścieczona i nie chciała z nim rozmawiać na powrotnej drodze. Mówiła, że on robi z siebie błażna, że „paraduje” swemi głupiem i historjami, że „dżentelmen” nie uczyniłby tego nigdy, przenigdy!

Perry rzekł: — Ja nie jestem dżentelmenem, jestem tylko najemnikiem, ale czasem, panno Ilzo, będę wykwintniejszym dżentelmenem, niż wszyscy ci, których znasz.

— Dżentelmenem — odrzekła Ilza, nadaśana — trzeba się urodzić. Nie można się nim stać, wiedz o tem!



Ilza prawie zupełnie przestała teraz wymyślać i używać przezwisk, jak to czyniła dawniej, kłócąc się ze mną lub z Perrym, teraz mówi spokojniej, ale nieraz powie nam coś okrutnego, strasznie ciętego. To bardziej boli, niż owe przezwiska, ale ja nie zważam na to prawie wcale, a w żadnym razie niedługo, bo wiem, że Ilza mnie kocha niemniej, niż ja ją. Perry zaś mówi, że takie wyrazy są żądłem, które tkwi długo w ranie. Nie rozmawiali już ze sobą aż do samego domu, ale nazajutrz znów zaczęła mu Ilza dokuczać, zarzucając mu niegramatyczny sposób mówienia, oraz niewstawanie z miejsca, kiedy dama wchodzi do pokoju.

— Oczywiście nie można oczekiwać po tobie takiej znajomości manier — rzekła swym najostrożniejszym głosem. — Ale pewna jestem, że pan Carpenter zadał sobie dużo trudu, aby cię nauczyć gramatyki.

Perry nic jej nie odpowiedział, tylko zwrócił się do mnie.

— Czy zechcesz mi wytykać moje błędy? — spytał. — Od ciebie przyjmę uwagi, przecież ty będziesz miała ze mną do czynienia, gdy dorośniemy, nie Ilza.

Powiedział to rozmyślnie, aby podrażnić Ilzę, ale rozgniewał raczej mnie, bo było to aluzją do zakazanego tematu. Przestałyśmy więc obie rozmawiać z nim na przeciąg dwu dni.

Perry nie jest jedyną osobą w Srebrnym Nowiu, która doznaje czyjejs niełaski. Ja też powiedziałam wczoraj wieczorem coś głupiego. Rumienię się na samo wspomnienie... Ciotka Elżbieta zaprosiła parę osób na kolację. Ilza i ja czekałyśmy, aż starsi zjedzą, gdyż nie mogłyśmy się pomieścić jednocześnie przy

stole. Z początku bawiłam się dobrze, przysłuchując się rozmowie, ale kiedy już wszyscy zaczęli jeść, zaczęło milczenie i zrobiło się nudno. Stałam zatem przy oknie i układałam w myśli poemat, patrząc na ogród. Byłam tak pogrążona w myślach i w pracy, że zapomniałam o gościach, aż nagle usłyszałam głos ciotki Elżbiety, bardzo ostry: „Emilko!” Spojrzała przytem znacząco na pana Johnsona, nowego pastora tutejszego. Byłam zmieszana, chwyciłam co rychlej imbryczek z herbatą i zawołałam:

— Panie Filiżanko, czy mam napełnić pańskiego Johnsona?

Rozległ się szmer, ciotka Elżbieta miała wyraz bolesnego niesmaku, ciotka Laura—zawstydzienia, ja zaś pragnęłam, aby się ziemia rozstała pode mną. Nie spałam pół nocy, wciąż rozmyślałam nad tem. Co najdziwniejsze, to mój ogromny wstyd z tego powodu, większy, niż gdybym naprawdę popełniła coś złego. To jest z pewnością owa „duma Murrayowska” i zdaje mi się, że to jest bardzo nieładne uczucie. Czasami wydaje mi się, że ciotka Ruth Dutton ma słuszość, sądząc mnie tak surowo.

Nie, ona nie ma słuszości!

Ale tradycją Srebrnego Nowiu jest, że tutejsze kobiety winny być na wysokości każdej sytuacji, zawsze uprzejme i pełne godności. No, a zadać takie pytanie nowemu pastorowi nie było czynem uprzejmym, ani godnym. Pewna jestem, że on nie będzie mógł spojrzeć na mnie, żeby sobie nie przypomnieć tego niemiłego zdarzenia, a ja zawsze będę się wic i kurczyć pod jego wzrokiem.

Ale teraz, kiedy to opisałam w moim dzienniczku,

czuję się już troszkę lepiej. Nic się nie wydaje takie okropne, ani takie przytłaczające — ani takie piękne i takie wielkie też nie, niestety! — kiedy jest już opisane, wypowiedziane słowami. Wszelka rzecz jest potężna i ogromna, dopóki się ją tylko odczuwa, albo o niej myśli. Kiedy ją ujmujemy w słowa, *maleje odrazu*. I ten wiersz, który właśnie ułożyłam w chwili zadawania równocześnie owego niedorzecznego pytania, nie jest ani w połowie tak subtelny, jak mniemałam, tworząc go tam, przy oknie:

„Gdzie aksamitna stopa mroku sunie cicho”.

To już nie to. Stracił na świeżości. A kiedy tak stałam, patrząc w ciemną dal, zdawało mi się, że widzę mrok, sunący przez ogród, wspinający się na wzgórze, jak piękna kobieta w ciemnej szacie, wędrująca w śnieżną noc zimową. Oczami jej były gwiazdy i one to natchnęły mnie, zbudziły we mnie „promyk” i zapomniałam o wszystkim, co nie było tem pięknem, które należało koniecznie wyrazić słowami. Kiedy ten wiersz przyszedł mi na myśl, doznałam wrażenia, że to nie ja go tworzę, że to ktoś inny usiłuje przemówić do mnie w ten sposób, że to ktoś inny podsunął mi go i uczynił te wyrazy tak cudownymi... A teraz wydają mi się one takie płaskie, głupie, a obraz, który chciałam odmalować, nie jest bynajmniej tak plastyczny, jak sądziłam.

Och, gdybym ja mogła wyrażać rzeczy i zjawiska tak, jak je *widzę!* Pan Carpenter mówi: „Pracuj... pracuj... staraj się... słowa są twojem medjum, uczyń z nich twoich niewolników, aż będą same wyrażać za ciebie, to co chcesz, aby wyrażały”. To prawda; będę usiłowała dojść do tego, ale mnie się wydaje, że jest

jeszcze coś *poza*, czy też *ponad* słowami, wszelkimi słowami, wszystkimi słowami... coś, co stale się wymyka, gdy już, już, mamy na tem rękę położyć: a przecież pozostaje nam w rękę okruch, któregośmy nie mieli, gdybyśmy wogóle nie byli sięgnęli po owo „coś”.

Pamiętam, jak razu pewnego poszliśmy, Dean i ja, w roku zeszyłym na Czarowną Górę, na jej stoki leśniste. Rosną tam prawie same świerki, ale jest też kącik wspaniałych starych sosen. Usiedliśmy w cieniu i Dean czytał mi poezje Scotta, poczem spojrział dokoła i rzekł:

— Bogowie szepczą wśród sosen, bogowie starej krainy północnej, bogowie sagi wikingów. Gwiazdeczko, czy znasz wiersze Emersona?

I nie czekając na odpowiedź, przytoczył mi te wiersze, które zapamiętałam i pokochałam od tej pory. W tych wierszach było owo „coś”, które mnie stale się wymyka. Wciąż nadstawiam ucha, żeby je pochwycić, ale wiem, że to daremnie, że nie mam łość ostrego słuchu... Lecz pewna jestem, że czasami słyszę leciuchne, słabe, dalekie echo owego „czegoś” i odczuwam wtedy taką rozkosz, jaka jest niemal bólem i rozpaczą, gdyż nie będę zdolna przetłumaczyć piękna wszechświata na ludzką mowę, wiem o tem.

Ale szkoda, że byłam taką gęsią bezpośrednio po tem cudownem przeżyciu.

Gdybym umiała uwijać się z gracją dokoła osoby pastora i nalać mu herbaty ze srebrnego imbryczka, własności pra-prababki Murrayowej, tak jak moja Królowa Mroków wlewa ciemności w białą filiżankę dolinki Czarnowodzkiej, ciotka Elżbieta byłaby znacznie bardziej zadowolona ze mnie, niż gdybym zdołała napisać najcudowniejszy poemat na świecie.

Kuzyn Jimmy taki jest inny! Zadeklamowałam mu mój poemat owego wieczora, kiedyśmy skończyli przeglądanie katalogu. On uważa, że to są piękne wiersze. (On nie wie, nie może wiedzieć, jak dalece to nie odpowiada treści, jaką miałam w duszy, układając ten poemacik). Kuzyn Jimmy sam pisze poezję. Jest on bardzo mądry miejscami. A w innych miejscach, tych mianowicie, w których jego mózg ucierpiał, bo ciotka Elżbieta pchnęła go i wpadł do studni w Srebrnym Nowiu, w tych nie jest ani mądry, ani wogóle *żaden*. Tam jest próżnia. To też ludzie nazywają go głupim, a ciotka Ruth śmie powiedzieć, że on nie odróżnia kota od śmietanki! A jednak, jeżeli złożyć i dodać wszystkie jego klepki mądrości, to niema w Czarnowodzie nikogo, ktoby mu dorównywał rozumem. Nikt! Nawet pan Carpenter! W tem rzecz tylko, że nie można złożyć jego klepek mądrości razem, zawsze jest próżnia pomiędzy niemi. Ale ja kocham kuzyna Jimmy i nigdy go się nie boję, gdy przychodzą na niego takie dziwne chwile... Poza tem wszyscy go się boją w takich momentach, nawet ciotka Elżbieta, a może to jest wyrzut sumienia u niej, a nie strach. Perry zawsze mówi, że się nie boi nikogo i niczego, że nie wie, co to jest strach. To jest doprawdy cudowne, być tak odważnym! Pragnęłabym być równie nieustraszoną. Pan Carpenter mówi, że strach jest rzeczą brzydką, że jest to początek wszystkich niemal rzeczy niedobrych i nieładnych, jakie się zdarzają na świecie.

— Wyrzuć strach z serca — mówi. — Strach jest wyznaniem słabości. To, czego się boisz, jest mocniejsze, niż ty, w przeciwnym razie nie obawiałabyś

się tego. Pamiętaj radę Emersona: czyn zawsze to, czego się boisz.

Ale to jest wskazówka doskonałości, jak mówi Dean, a ja nie sądzę, abym była zdolna osiągnąć doskonałość. Jeżeli mam być szczerą, boję się całego szeregu rzeczy, ale osób tylko dwóch na całym świecie: jedną z nich jest pani Kent, a drugą Szalony pan Morrison. Strasznie się go boję i zdaje mi się, że każdy jest przerażony jego widokiem. Mieszka on w Gęsim Stawie, ale prawie nigdy go tam niema, błąka się po okolicy, szukając swej żony. Był on żonaty parę tygodni zaledwie, gdy żona jego umarła i od tej pory nie odzyskał on nigdy równowagi umysłowej. Twierdzi uparcie, że tylko zaginęła bez wieści i że on ją wkońcu odnajdzie. Jest stary, zgarbiony, wciąż jej wypatruje, ale dla niego ona jest wciąż młodą i piękną, on nie rozumie, że i onaby się zestarzała, gdyby żyła.

W zeszłym roku w lecie był tutaj, ale nie chciał wejść do domu, stał na progu kuchni i spytał: — Czy Aneczka jest tutaj? — Bardzo był łagodny tego dnia, ale bywa gwałtowny i dziki. Twierdzi, że wciąż słyszy głos Aneczki, wołającej go, że głos ten go prowadzi, jako bezustanny daleki zew. Twarz ma pomarszczoną, wygląda jak bardzo sędziwa małpa. Ale czego najbardziej w nim nienawidzę, to jego prawej ręki, całej pokrytej czerwonymi krostami. Za nic na świecie nie doknęłabym tej ręki. Czasami on się śmieje tak okropnie, że dreszcz mnie przeszywa. Jedyną istotą, na której mu zależy i o którą dba, jest czarny pies, który zawsze jest przy jego boku. Powiadają, że on nigdy nikogo nie poprosi o kęs chleba dla siebie. O ile mu nic

nie dadzą, będzie chodził po świecie głodny i wycieńczony, ale potrafi żebrać dla swego psa.

Och, strasznie się go boję i owego dnia, kiedy tu przybył, cieszyłam się, że nie wszedł do mieszkania. Ciotka Elżbieta popatrzyła zanim, gdy odchodził.

— Fairfax Morrison był niegdyś mądrym, przystojnym młodym człowiekiem, rokującym najpiękniejsze nadzieje — rzekła. — Niezbadane są wyroki Boże.

— Dlatego właśnie są takie interesujące — rzekłam.

Ciotka Elżbieta ściągnęła brwi i rzekła, abym nie była bezbożna. To się powtarza, ilekroć powiem słówko o Panu Bogu. Nie wiem dlaczego. Nie pozwala Perry'emu i mnie mówić o Nim, chociaż Perry bardzo się Nim interesuje i stara się dowiedzieć o Nim jak najwięcej. Ciotka Elżbieta usłyszała razu pewnego, w niedzielę, gdy tłumaczyłam Perry'emu, jak sobie wyobrażam Boga; oświadczyła, że to istny skandal.

Nieprawda! Cała rzecz w tem, że ciotka Elżbieta i ja mamy różnych bogów, ot i wszystko! Każdy ma innego Boga, zdaje mi się. Naprzykład ciotka Ruth ma Boga, który tylko wymierza kary jej nieprzyjaciołom, wciąż jest zajęty wydawaniem wyroków. Zdaje się, że On nie ma innego zastosowania dla ciotki Ruth. Jim Cosgrain używa swego Boga do zaklinania się Jego Imieniem. A ciotka Janey Milburn chodzi skąpana w blasku niebiańskim i promieniuje nim, — dzięki swemu Bogu.

Wypisałam się dostatecznie na dzisiejszy wieczór i teraz idę spać. Wiem, że „dużo słów roztrwoniałam”

w tym dzienniku jest to jedna z wad mego stylu, według pana Carpentera.

— Trwonisz słowa, dziecko, szafujesz niemi zbyt szczerze. Musisz się nauczyć oszczędności i zwięzłości, koniecznie!

On ma słuszność, naturalnie, to też staram się stosować jego nauki w moich rozprawach i powiastkach. Ale w moim dzienniku, którego nikt nie czyta prócz mnie, którego nikt nie ujrzy, dopóki nie umrę, chcę być sobą i pozwałam sobie na to.”

Emilka spojrzała na świecę: dogasała. Wiedziała, że drugiej nie dostanie na dzisiejszy wieczór. Ciotka Elżbieta miała zasady Medów i Persów. Emilka odłożyła dziennik, nakryła wygasający ogień w kominku, rozebrała się i położyła do łóżka. Zgasila świecę. Pokój napełniał się stopniowo upiornym, białym odbłaskiem śniegu, właściwym nocom, w ciągu których księżyc ukryty jest za chmurami. W chwili, kiedy Emilka już, już, miała usnąć, przysła jej cudowna myśl do głowy: pomyśl bajecznej noweli. Wysunęła się z pod kołdry. Zadrżała: w pokoju było bardzo zimno. Ale nie można się wyrzec takiego pomysłu. Emilka wsunęła rękę między puchowy piernat a materac i wydobyla stamtąd na pół spaloną świeczkę, ukrytą tam na taką ewentualność właśnie.

Rzecz jasna, że nie było to uczciwe. Tak nie postępują grzeczne dzieci. Ale nigdy nie twierdziłam, że Emilka jest grzeczkiem dzieckiem. Nie pisze się książek o grzecznych dzieciach. Byłyby one tak nudne, że niktby ich nie czytał.

Zapaliła świecę, włożyła pończochy i ciężkie

okrycie, wyjęła z szafy inną oprawną księgę o białych kartach i zaczęła pisać przy tej świeczce, stanowiącej maleńką oazę świetlną na tle ciemnego pokoju. Emilka pisała, pisała, z czarną główką pochyloną nad księgą, godziny upływały, inni mieszkańcy Srebrnego Nowiu spali snem głębokim. Emilka kurczyła się z zimna, była przemęczona; ale nie zdawała sobie z tego sprawy. Oczy ją paliły, policzki miała zarumienione, spieczone, słowa cisnęły się pod jej pióro, jak oswojona stadnina. Gdy nareszcie świeczka zgasła, Emilka, przywołana do rzeczywistości, westchnęła i wzdrygnęła się. Było jej okrutnie zimno. Zegar wskazywał drugą godzinę, to też czuła wielkie zmęczenie, ale skończyła swą nowelę, a była to najlepsza, jaką kiedykolwiek napisała. Wsunęła się do swego zimnego łóżka z uczuciem zadowolenia: usnęła momentalnie przy odgłosach szalejącej burzy śnieżnej.

2.

RÓŻNORODNE WRAŻENIA.

Książka niniejsza nie będzie się składać z fragmentów dziennika Emilki, bynajmniej. Ale musimy dać jeszcze kilka wyjątków z jej autobiografii, ażeby zaznajomić czytelnika ze szczegółami zbyt mało ważnymi, aby stanowiły oddzielny rozdział, a przecież koniecznymi dla zobrazowania życia i indywidualności naszej małej bohaterki. Zresztą dlaczego nie skorzystać z materiału, który mamy pod ręką? Dziennik Emilki ze swoją wieczną kursywą, młodzieńczą

bezwzględnością i ciągłą analizą własnej duszy, cenniejszym będzie niejednokrotnie przyczynkiem do poznania dziewczynki ze Srebrnego Nowiu, niż najsympatyczniejsze opisy obcego biografy. A zatem zajrzyjmy ponownie do pożółkłych kartek starej „księgi Jimmy'ego”, zapisanych ongi w pokoiku poddasza w Srebrnym Nowiu.

.
15 lutego 19 . . .

„Postanowiłam, że będę notować codziennie w tym dzienniku wszystkie moje dobre i wszystkie złe uczynki. Wyczytałam ten pomysł w jakiejś książce i podobał mi się. Mam zamiar być najuczciwszą. Notować dobre uczynki będzie rzeczą łatwą, rozumie się, ale złe... nie! to będzie bardzo przykre.

Dzisiaj zrobiłam tylko jedną rzecz, która nie była dobra, a raczej taką, której ja nie uważam za dobrą. Byłam niegrzeczna dla ciotki Elżbiety. Ona była zdania, że ja za długo zmywam talerze i półmiski. Ja zaś nie sądziłam, że mam się śpieszyć, nie widziałam powodu do pośpiechu, więc układałam w duchu opowieść pod tytułem „Tajemnica Młyna”. Ciotka Elżbieta przyjrzała mi się, poczem spojrzała na zegar i rzekła bardzo nieprzyjemnym tonem:

— Czy ślimak jest twoim bratem, Emilko?

— Nie, — odrzekłam wyniośle — ślimaki nie są moimi krewnymi.

Treść tego zdania nie była niegrzeczna, tylko sposób, w jaki odpowiedziałam ciotce Elżbiecie. I chciałam być niegrzeczna. Byłam bardzo zła, bo

zawsze gniewają mnie zwroty sarkastyczne. Potem żałowałam, że dałam się unieść złości, ale żałowałam nie dlatego, że to było złe, lecz dlatego, że to było głupie i niegodne. Zdaje mi się, że to nie jest prawdziwa skrucha.

Co do moich dobrych uczynków, to dzisiaj spełniłam ich dwa. Ocaliłam dwa istnienia. Nieznośnik porwał ptaszka, a ja mu go odebrałam. Pofrunął natychmiast i widziałam, że jest szczęśliwy. Po południu poszłam na strych i zastałam tam mysz w pułapce. Właściwie nie cała myszka wpadła do pułapki, tylko nóżkę jej przytrzymała sprężynka. Biedactwo leżało, bezsilne, wyczerpane daremną walką. Tak żałośnie patrzyła swemi czarnemi oczkami! Nie mogłam znieść tego widoku i uwolniłam ją, a ona bardzo chyżo uciekła, chociaż miała zranioną nóżkę. Nie jestem zupełnie pewna, czy to był dobry uczynek. Wiem, że był dobry z punktu widzenia myszy, ale coby powiedziała ciotka Elżbieta?

Dzisiaj wieczorem ciotka Laura i ciotka Elżbieta czytały i paliły stare listy. Czytały je głośno i komentowały je, a ja siedziałam w kąci i cerowałam pończochy. Listy były bardzo zajmujące, dowiedziałam się mnóstwa rzeczy o Murrayach. Czuję, że jest to wielkie szczęście należeć do takiej rodziny. Nic dziwnego, że mieszkańcy Czarnowody nazywają nas „ludem wybranym”, chociaż oni mówią to w sensie niepoehlebnym. Zdaję sobie sprawę, że powinnam stać na wysokości tradycyj rodzinnych.

Dzisiaj otrzymałam długi list od Deana Priesta. Spędza zimę w Algierze. Pisze, że wraca w kwietniu i zamieszka ze swą siostrą, panią Alfredową Evans

Z nią spędzi tu całe lato. Tak się cieszę! To będzie cudne mieć go przy sobie w Czarnowodzie. Nikt nie mówi do mnie tak, jak Dean. On jest najbardziej interesującą i najmilszą starszą osobą, jaką znam. Ciotka Elżbieta mówi, że on jest egoistą, że wszyscy Priestowie są egoistami. Ale ona jest uprzedzona do Priestów. I zawsze nazywa go Garbusem, co mnie wyprowadza z równowagi. Jedna łopatka Deana jest troszeczkę wyższa, niż druga, ale to nie jego wina. Prosiłam już ciotkę Elżbietę, aby go tak nie nazywała, ale ona odrzekła:

— Nie ja go tak przezwałam, Emilko. Jego własna rodzina tak nazywa twego przyjaciela. Priestowie nie słyną z delikatności uczuć.

Tadzio również otrzymał list od Deana i książkę: „Żywoty Wielkich Artystów: Michała Anioła, Rafaela, Velasqueza, Rembrandta, Tycjana”. Tadzio mówi, że nie śmie pokazać matce tej książki, bo gdy zobaczy, że on ją czyta z zajęciem, spali ją. Pewna jestem, że Tadzio zostałby również wielkim artystą, jak ci wymienieni, byle tylko miał sposobność się kształcić i wypróbować swój talent.

.
18 lutego 19

Spędziłam cudnie czas dzisiaj, wyszedłszy ze szkoły. Poszłam na przechadzkę do gajku Wysokiego Jana. Słońce było już nisko, a śnieg był tak biały, tak biały, jak nigdy! A cienie drzew na nim wydawały się błękitne. A kiedy weszłam do ogrodu, mój własny cień wyglądał tak zabawnie... taki był długi, że niemal

sięgał drugiego krańca ogródka naszego. Niezwłocznie ułożyłam na ten temat poemacik, którego dwa wiersze brzmią, jak następuje:

*„Gdybyśmy byli wzrostu naszych cieniów,
Jakże te cienie byłyby wielkie!”*

Zdaje mi się, że w tem powiedzeniu jest niemało filozofji.

Dzisiaj napisałam nowelę. Ciotka Elżbieta wiedziała, co piszę i bardzo była niezadowolona. Złajała mnie, że tracę czas. Ale to nie był stracony czas. Dojrzywałam, pisząc ten utwór, czuję to z całą pewnością. A przytem lubię niektóre zdania tej noweli. „Biała i wyniosła, szła przez ciemny las, jak lunatyczka”. To jest chyba ładne. A pan Carpenter mówi, że gdy mi się jakieś zdanie szczególnie podoba, to powinnam to właśnie wykreślić. Ale tego nie mogę wykreślić, och nie! Za nic na świecie! Dziwne jest tylko to jedno, że ilekroć pan Carpenter radzi mi coś wykreślić, ja się sprzeciwiam jego woli, a po trzech miesiącach dochodzę do wniosku, że on miał słuszość i wstydę się własnego pomysłu. Pan Carpenter obszedł się niemiłosiernie z mojem dzisiejszem ćwiczeniem. Nic mu się w niem nie podobało.

— Trzy „niestety” w jednym zdaniu, Emilko. Jedno byłoby zbyt wiele w tym roku łaski! „Bardziej nieprzeparty”... Emilko, na miłość Boską, pisz po ludzku! To jest karygodne.

Istotnie. Sama to uznaję i czułam, że wstyd mnie przenika, całą od stóp do wierzchołka głowy. Właściwie podkreślił pan Carpenter niebieskim ołówkiem każdą prawie sentencję, wykreślił wszystkie moje

najładniejsze zdania i znalazł błędy składniowe w najkunsztowniejszych powiedzeniach. Powiedział mi, że mam manję mędrkowania we wszystkim co piszę, rzucił mi mój zeszyt od ćwiczeń, wziął się oburącz za głowę i rzekł:

— Ależ piszesz! Dziecko, weź lepiej do ręki łyżkę drewnianą i naucz się gotować.

Odszedł, klnąc niezbyt głośno, ale niemniej gorliwie. Podniosłam z podłogi moje biedne ćwiczenie i nie czułam się wcale bardzo zasmucona. Gotować umiem, a pana Carpentera już poznałam pod pewnymi względami. Gniewa się i złości o najlepsze moje ćwiczenia. Im lepsze, tem on więcej łaje. Obecne ćwiczenie jest widocznie bardzo dobre. Ale jego gniewa, że ja mogłabym napisać jeszcze lepiej, a nie uczyniłam tego przez niedbalstwo lub lenistwo, lub obojętność — tak się jemu przynajmniej zdaje. A on nie uznaje, żeby móc zrobić lepiej i nie uczynić tego.

Ciotka Elżbieta nie zgadza się z panem Johnsonem. Mówi, że jego teologja nie jest zgodna z duchem naszej religji. Powiedział w swoim kazaniu ubiegłej niedzieli, że jest wiele dobrego w buddyzmie.

— Niebawem powie, że jest wiele dobrego w prawosławiu — rzekła ciotka Elżbieta z oburzeniem podczas obiadu.

Możliwe, że jest coś dobrego w buddyzmie. Muszę to zapytać Deana, gdy przyjedzie.

2 marca 19...

Byliśmy dzisiaj wszyscy na pogrzebie — starej pani Sary Paul. Zawsze chętnie chodzę na pogrzeby. Kiedy to powiedziałam, ciotka Elżbieta popatrzyła ze zgorszeniem na ciotkę Laureę, a ciotka Laura rzekła:

— Och, droga Emilko!

Ja dość lubię gorszyć ciotkę Elżbietę, ale zawsze mi przykro, ilekroć zasępię ciotkę Laureę, ona jest taką kochaną, słodką istotą. Więc jej próbowałem wytłumaczyć moje pobudki. Ale czasami bardzo jest trudno coś wytłumaczyć, zwłaszcza ciotce Elżbiecie.

— Pogrzeby są zajmujące — rzekłam — i zabawne także.

Najwidoczniej pogorszyłam tylko sytuację tem powiedzeniem. Chociaż ciotka Elżbieta wie doskonale, że zabawne jest oglądać krewnych pani Paul na jej pogrzebie, tych krewnych, którzy od szeregu lat jej nienawidzili (coprawda nie dawała się lubić, trzeba to stwierdzić, chociaż umarła!), a teraz siedzą z chusteczkami przy oczach i udają, że płaczą. Wiedziałam dobrze, co każdy po szczególe i wszyscy razem myślą w duchu. Jakób Paul rozmyślał, czy „stare utrapienie” zapisało mu coś w swej ostatniej woli, a Alicja Paul, która wiedziała, że nic nie dostanie, miała nadzieję, że Jakób również został pominięty. Topy jej ulgę było sprawiło. A pani Karolowa Paul zastanawiała się, w jakim przeciągu czasu będzie można urządzić dom inaczej, według swych upodobań, całkiem różnych od gustu nieboszczki. A ciotka Michalina troszczyła się, że za mało kazała upiec mięsiwa dla tej ilości kuzynów i kuzynek, bo nigdy się nie spodziewała takiego

zjazdu. A Lizeta Paul liczyła obecnych i czuła się upokorzona, bo mniej było osób, niż na pogrzebie pani Henrykowej Lister w zeszłym tygodniu. Gdy powiedziałam o tem ciotce Laurze, rzekła poważnie:

— Może to wszystko i prawda, Emilko, (ona wie, że to prawda), ale jednak nie powinna taka młodziutka dziewczynka być zdolną do takiego biegu myśli.

Cóż ja temu winna, że widzę te rzeczy! Ukochana ciotka Laura tak zawsze współczuje ludziom, że nie dostrzega ich stron śmiesznych. Ale ja inne rzeczy także widzę. Widziałam, że mały Kubuś Fritz, którego pani Paul adoptowała i bardzo pieściła, był wręcz niepokieszony, widziałam, że Marta Paul była zmartwiona i zawstydzona, myśląc o swej dawnej kłótni z panią Paul — i widziałam, że twarz pani Paul, która za życia wyglądała tak swarliwie i gorzko, była teraz pełna błogości i majestatu, nieomal piękna... jakgdyby śmierć dała jej nareszcie zadowolenie.

Tak, pogrzeby są interesujące.

.

5 marca 19..

Pada śnieg dzisiaj. Lubie, patrzeć, jak śnieg osiada na drzewach powoli, bez szmeru niemal.

Zdaje mi się, że dzisiaj spełniłam dobry uczynek. Jazon Merrowby przyszedł i pomagał kuzynowi Jimmy w rąbaniu drzewa. *Zobaczyłam, jak wszedł do chlewu i pił wódkę z butelki, którą wyjął z kieszeni.* Ale nikomu nie powiedziałam o tem ani słowa i to jest mój dobry uczynek.

Gdybym była to powiedziała ciotce Elżbiecie, tak jak właściwie powinnam, nie wynajęłaby go już nigdy do roboty, a on musi pracować na swą biedną żonę i swoje biedne dzieci. Dochodzę do wniosku, że nie jest łatwą sprawą rozróżnić, które nasze uczynki są dobre, a które złe.

.....

20 marca 19...

Wczoraj gniewała się bardzo ciotka Elżbieta, ponieważ nie zgodziłam się napisać „pośmiertnego wspomnienia wierszem” na cześć starego Piotra DeGeer, który zmarł w zeszłym tygodniu. Pani DeGeer przyszła i poprosiła mnie o to. Ja nie chciałam, byłam bardzo oburzona tą prośbą. Uważałam, że byłaby to *profanacja mojej sztuki*, chociaż, rzecz prosta, nie powiedziałam tego pani DeGeer. Po pierwsze byłoby ją to uraziło, a powtóre, nie byłaby miała najłżejszego pojęcia, o co mi chodzi. Nawet ciotka Elżbieta nie mogła zrozumieć, kiedy po odejściu pani De Geer tłumaczyłam jej mój punkt widzenia.

— Piszesz wiecznie stopy głupstw, które nikomu na nic się nie przydadzą — rzekła. — Mogłabyś też napisać coś, co znajdzie zastosowanie. Toby było zrobić przyjemność biednej pani DeGeer. „Profanacja twej sztuki”! Doprawdy! Skoro już musisz mówić, Emilko, dlaczego nie mówić rozsądnie?

Spróbowałam mówić rozsądnie:

— Ciotko Elżbieto — rzekłam poważnie — jakżebym mogła napisać dla niej taki wiersz? Nie mogę przecież pisać nieszczercze, aby zrobić komuś przyjem-

ność. A przecież sama wiesz, że nie można powiedzieć nic dobrego i prawdziwego zarazem o biednym starym Piotrze DeGeer!

Ciotka Elżbieta nie wiedziała o tem przynajmniej tak twierdziła, ale to ją usposobiło tem gorzej względem mnie. Tak mnie zgniewała, że wkońcu poszłam do mego pokoju i napisałam wiersz - nekrolog o Piotrze, dla własnej satysfakcji. Jest to niezawodnie bardzo zabawne pisać „prawdomówny” nekrolog o kimś, kogo się nie lubi. To nie znaczy, że ja czułam niechęć do Piotra DeGeer: poprostu gardziłam nim, podobnie jak wszyscy. Ale ciotka Elżbieta zgniewała mnie, a kiedy się rozgniewam, staję się sarkastyczna. I znów czułam, że „coś” pisze moją ręką, ale inne „coś”, niż zazwyczaj, złośliwe, szydercze Coś, co cieszy się z przedrwiwania biednego, leniwego niedołęznego kłamcy, głupca, hipokryty, starego Piotra DeGeera. Myśli, słowa, rymy, zdawały się wyrastać na zawołanie, a to Coś chichotało.

Ten utwór wydawał mi się tak mądry, że nie oparłam się pokusie pokazania go panu Carpenterowi. Sądziłam, że się ucieszy, i istotnie widziałam, że mu się podobały moje wiersze, ale przeczytawszy całość, odłożył zeszyt i popatrzał na mnie poważnie.

— Pojmuję, że jest pewna przyjemność w takim ośmieszeniu błędów i ułomności ludzkich — rzekł. — Biedny stary Piotr był człowiekiem zmarnowanym... umarł... jego Stwórca będzie miłosierny nieszczęsnemu grzesznikowi, ale ludzie, jego bliźni, istoty jemu podobne, nie znają miłosierdzia. Kiedy ja umrę, Emilko, czy też napiszesz o mnie w ten sposób, w tym duchu? Masz dar... o tak, to jest bardzo mądrze

ujęte... Umiesz odmalować słabostki ludzkie, głupotę i niegodziwość, umiesz to wszystko w stopniu, przerastającym zwykle możliwości dziewczynki w twoim wieku. Ale... czy to warto, Emilko?...

— Nie, nie — odrzekłam. Byłam tak zawstydzona, tak skruszona, że musiałam uciec i wypłakać się. Okropna była mi myśl, że pan Carpenter wyobraża sobie swoje pośmiertne wspomnienie, napisane przeze mnie w podobnym stylu, równie złośliwe, po tem wszystkim, co uczynił dla mnie.

Kiedy wróciłam, rzekł pan Carpenter łagodnie:

— Nie warto pisać takich rzeczy. Satyra ma zastosowanie; zapewne, bywają infekcje, które tylko wypalić można, ale pozostaw tę czynność wielkim genjuszom. Lepiej jest leczyć, niż bić. My, ułomni ludzie, wiemy coś o tem.

— Och, panie Carpenter — zaczęłam. Pragnęłam powiedzieć mu, że on nie jest ułomnym człowiekiem... pragnęłam powiedzieć mu tysiąc rzeczy... ale wiedziałam, że on mi nie da dokończyć.

— Nie mówmy już o tem, Emilko. Gdy umrę, powiedz: „On błądził, ale nikt nie wiedział dokładnie, nikt z większą goryczą nie odczuwał ułomności jego natury, jak on sam.” Bądź miłosierna dla grzeszników, Emilko. Szydź z niegodziwości, o ile musisz szydzić, ale miej litość nad słabością.

Wstał i zwołał uczniów i uczennice na lekcję. Od tej pory czuję się złą i spać nie mogłam tej nocy. Ale uroczyście wpisuję te słowa do mego dziennika, jako dewizę: „*Pióro moje ma leczyć, a nie ranić*”. Podkreślam te wyrazy, niech to sobie będzie manjera

wiktorjańska, albo nie, podkreślam, bo są to wyrazy niezmiernie doniosłe i bezwzględnie stosować się do nich będę.

Nie zniszczyłam tego poematu, chociaż... nie, nie mogłam... za dobry jest, ażeby go podrzeć. Włożyłam go między inne moje papiery i przeczytam go jeszcze nieraz, dla własnej uciechy, ale nikomu go nie pokażę.

Och, jakżebym chciała, żeby pan Carpenter nie czuł się dotknięty!

.
1 kwietnia 19...

Dzisiaj słyszałam o Czarnowodzie zdanie przyjezdnych, które mnie bardzo obeszło. Państwo Sawyer, mieszkańcy Charlottetown, byli na pocztce jednocześnie ze mną. Pani Sawyer, która jest bardzo ładna, modnie ubrana i zarozumiała, rzekła do swego męża: „Jak tutejsi ludzie mogą wytrzymać w tej norze? Jabym oszalała. Tu się nigdy nic nie dzieje”.

Byłabym jej chętnie opowiedziała o Czarnowodzie. Ale, naturalnie, mieszkańcy Srebrnego Nowiu *nie urządzają awantur publicznych*. Poprzestałam więc tylko na bardzo zimnem skinięciu głową, gdy przemówiła do mnie i bez słowa odpowiedzi przesłałam mimo. Słyszałam za sobą głos pana Sawyera: „Kto to jest, ta mała?”. A jego żona odpowiedziała: „To jest ta mała Starrówna, ma sposób trzymania głowy, charakterystyczny dla Murrayów.”

Cóż za pomysł: tu się nigdy nic nie dzieje! Dlaczego? Dzieje się pełno rzeczy niezmiernie ważnych,

wstrząsających niekiedy. Uważam, że życie jest tutaj cudowne. Tyle jest stale tematu do śmiechu, do rozmowy i do łez.

Przyjrzyjmy się zdarzeniom z ostatnich trzech tygodni: co za pomieszanie komedji i tragedji! James Baxter przestał nagle rozmawiać ze swoją żoną, a nikt nie wie dlaczego. Ona też nie, biedactwo, i ma złamane serce z tego powodu. Stary Adam Gillian, który nienawdził wszelkich wynurzeń, umarł przed dwoma tygodniami, a ostatnie jego słowa były: „Żądam, aby nie było na moim pogrzebie żadnego wycia i wciągania nosem”. Nikt więc nie wciągał nosem, ani nie „wył”. Nikt nie miał na to ochoty, a że zabronił, więc nie było o czem mówić. Nigdy jeszcze nie było takiego dziwnego pogrzebu w Czarnowodzie. Widywałam wesela bardziej melancholijne, niż ten pogrzeb. Naprzykład ślub Elli Brice. Jak przygnębiona musiała być Ella, skoro zapomniała włożyć białe pantofelki i zeszła do salonu w ślubnej sukni i w starych, przydeptanych pantofelkach domowych, z dziurami, przez które wyglądały palce u nóg. Gdyby była się pokazała nago, nie byłiby ludzie więcej o tem mówili! Biedna Ella płakała bezustannie podczas kolacji weselnej, tak ją to zmartwiło i upokorzyło.

Stary Robert Scobie i jego siostra przyrodnia pokłócili się, przeżywszy razem 30 lat bez jednego nieporozumienia, chociaż o niej mówią, że jest zrzędną kobietą. Ona nic nie uczyniła, coby go mogło rozgniewać, ani mu nie powiedziała przykrego słowa, tylko zjadła orzechy, które on bardzo lubi i odstaWił na bok, aby je zjeść w łóżku wieczorem. Gdy

spostrzegł, że ich niema, wybuchnął strasznym gniewem. Nazwał ją starą djablicą i rozkazał jej opuścić jego dom. Matylda wyprowadziła się natychmiast do swej siostry w Gęsim Stawie, a Robert ani myśli ją przeprosić. Oboje są zawzięci, jak wszyscy Scobowie. Żadne z nich już nie zazna szczęścia, ani zadowolenia.

Jerzy Lake wracał do domu z Gęsiego Stawu w noc księżycową. Było to przed dwoma tygodniami. Nagle ujrzał jakiś czarny cień, idący tuż za nim, widoczny na śniegu.

A dokoła nie było nikogo, był tylko ten czarny cień.

Jerzy wpadł do najbliższego domu, napół martwy z przerażenia i powiadają, że od tej pory nie jest to już ten sam człowiek.

To jest najdramatyczniejsze zdarzenie ubiegłych tygodni. Dreszcz mnie przejmuje, kiedy o tem piszę. Jerzy omylił się, niezawodnie. Ale jest to rzetelny człowiek, który nie pije. Sama nie wiem, co o tem myśleć.

Arminjusz Scobie jest małostkowym człowiekiem. Stale kupuje kapelusze dla swej żony i stale je przepłaca. A czyni to właśnie dlatego, żeby ona nie kupowała zbyt drogich kapeluszy! W całym Shrewsbury śmieją się z niego. W zeszłym tygodniu kupował u pana Jonesa kapelusz dla żony, a pan Jones powiedział mu, że odda mu ten, który wybrał, darmo, o ile Arminjusz przejdzie do dworca w tym kapeluszu na głowie. Arminjusz zgodził się. Do stacji była przeszło mila drogi i wszyscy mali chłopcy biegli za

nim ze śmiechem i z gwizdem. Ale Arminjuszowi było to obojętne. Ocalił 3 dolary 95 centów.

A tutaj w Srebrnym Nowiu ja wylałam pewnego wieczoru jajko na miękko ugotowane na drugą zrzędu co do elegancji suknię kaszmirową ciotki Elżbiety. To chyba też było zdarzenie! Upadek jednej z monarchji europejskich nie byłby wywołał w Srebrnym Nowiu takiego wrażenia, jak ten fakt właśnie!

Tak więc, Mrs Sawyer, myli się pani. A przytem nawet bez zdarzeń wyjątkowych życie tu płynie ciekawie, bo ludzie tutejsi są ciekawi. Nie wszystkich lubię, ale interesują mnie wszyscy. Naprzykład: panna Matty Small, która ma lat 40, a nosi tylko jasne suknie. W kościele miała ostatnio różową suknię i szkarłatny kapelusz. Stary wuj Reuben Bascom, który jest tak leniwy, że wołał spać, trzymając parasolkę nad głową, kiedy dach w jego domu był uszkodzony; wołał to, niż odsunąć łóżko. Mr. Closkey, który, opowiadając o misjonarzach, nie śmie wspomnieć o ich spodniach, tylko mówi: „dolna część garderoby”! Amasa Derry, który otrzymał na wystawie pierwszą nagrodę za warzywa, skradzione z pola starego Ronnie. Ronnie natomiast nie otrzymał żadnej nagrody. A Jimmy Joe Belle, który przyszedł wczoraj i przyniósł domek dla mego pieska. Wszyscy ci ludzie są ciekawi, zajmujący i zabawni.

Chyba dowiodłam pani Sawyer że się omyliła w swym sądzie. Teraz jestem już mniej na nią zagniewana chociaż nazwała mnie „małą Starrówną”.

Dlaczego nie lubię, gdy mnie nazywają „małą”? skoro małe kotki naprzykład są tak uroczeni stworzeniami? A lubię, kiedy mówią o mnie „kociątko”.

29 kwietnia 19...

Przed dwoma tygodniami posłałam najlepszy mój utwór poetycki do tygodnika, wychodzącego w New-Yorku, a dzisiaj otrzymałam zwrot z adnotacją: „żałujemy, że nie możemy skorzystać.”

Czuję się okropnie. Widzę, że nigdy nie zdołam napisać niczego, coby było naprawdę dobre.

Owszem! Zdołam! Ten tygodnik będzie szczęśliwy, że wolno mu drukować utwory tej autorki dzisiaj wzgardzonej!

Nie powiedziałam panu Carpenterowi, że posłałam ten utwór. On nie byłby tego pochwałał. Jego zdaniem za pięć lat dosyć będzie czasu na szukanie wydawców. Ale ja wiem, że niektóre poezje, drukowane w tymże tygodniku, nie są ani troszkę lepsze od moich.

Bardziej jestem usposobiona do pisania poezji na wiosnę, niż kiedykolwiek. Pan Carpenter radzi mi zwalczać ten odruch. Powiada, że wiosna ponosi odpowiedzialność za większą ilość głupstw, niż jakikolwiek inny czynnik na całym świecie.

.....

1 maja 19...

Dean przyjechał. Wczoraj był u swej siostry, a potem przyszedł tutaj. Przechadzaliśmy się wzdłuż zegara słonecznego i rozmawialiśmy. Cudnie, że on powrócił, on, ze swymi zielonemi oczami i ładnymi ustami.

Rozmowa nasza trwała długo. Mówiliśmy o Algier-

rze, o wędrówce dusz, o krematorjach, o profilach (Dean mówi, że ja mam dobry profil czysto grecki). Bardzo lubię komplementy Deana.

— Gwiazdko poranna, jakże urosłaś! — rzekł. Zeszłej jesieni odjeżdżając, zostawiłem dziecko, a zastaję kobietę!

(Kończę 14 lat za trzy tygodnie i jestem duża jak na mój wiek. Dean cieszy się z tego najwyraźniej w przeciwieństwie do ciotki Laury, która stale wzdycha, przydłużając moje sukienki i mówi, że dzieci zbyt szybko rosną.)

— Czas posuwa się naprzód — odrzekłam — powtarzając maksymę, wrytą przy zegarze słonecznym na kamieniu i czując się wielce *filozoficznie* nastrojona.

— Jesteś prawie tego wzrostu, co ja — rzekł. I z goryczą dodał: — Fakt, że Garbus Priest nie jest zbyt postawny.

Nigdy nie wspominałam o jego łopacie, unikałam świadomie tego tematu, ale teraz odezwałam się:

— Deanie, proszę cię, nie mów o sobie tym sztyderczym tonem, przyjemniej nie ze mną. Nigdy nie myślałam o tobie, jako o Garbusie.

Dean wziął mnie za rękę i zajrzał mi w oczy, jakgdyby chciał czytać na dnie mojej duszy.

— Czy pewna jesteś, Emilko, że nigdy nie myślisz o moim garbie, mojem kalectwie? Czy nie pragnęłabyś nieraz, abym był prosty, jak inni ludzie?

— Dla twego dobra pragnęłabym tego — odrzekłam. — Ale jeśli o mnie chodzi, jest mi to zupełnie obojętne i nigdy mnie obchodzić nie będzie.

— Nigdy? Gdybym był tego pewien, Emilko, gdybym był tego pewien!

— Możesz być tego pewien — oświadczyłam żywo. Gniewało mnie jego powątpiewanie, a jednak coś w jego twarzy mówiło mi, że nie wszystko rozumiem, że może on ma cię słuszności. Czułam się dziwnie nie-swojo. Nagle przypomniała mi się owa scena, kiedy on uratował mi życie i powiedział, że teraz cała moja przyszłość do niego należy, ponieważ on mnie uratował. A ja niechętnie o tem myślę, iżby moje życie miało należeć do kogokolwiekbądź, nawet do Deana, a nie do mnie samej. A z drugiej strony wolę Deana, niż wszystkich ludzi na świecie.

Kiedy się ściemniło, kiedy się ukazały gwiazdy, patrzyliśmy na nie przez teleskop Deana. To było bardzo ciekawe. Dean dużo wie o gwiazdach, mnie się zdaje, że on bardzo dużo wie o wszystkim. Ale kiedy mu to oznajmiłam, odrzekł:

— Jednej tajemnicy nie wiem z pewnością, a oddałbym całą wiedzę za tę jedną jedyną tajemnicę, której nigdy bodaj nie zbadam. A mianowicie, sposób pozyskania... sposób pozyskania..

— Czego? — spytałam ciekawie.

— Serca, którego pragnę, do którego tęsknię — rzekł Dean, rozmarzony, patrząc na migocącą gwiazdę, która zdawała się być zawieszona nad Trzema Księżniczkami. — Mam wrażenie, że jest ono równie nieosiągalne, jak ta gwiazda, podobna do klejnotu. Ale, kto wie, Emilko?...

Ciekawa jestem, jakie jest to serce, którego Dean tak mocno pragnie.

4 maja 19...

Dean przywiózł mi śliczną tekę do papierów z Paryża, a ja wpisałam w odwrotną stronę okładki mój ulubiony wiersz, z którego wyjęłam motto niniejszego dziennika. Ślubowałam wszakże, że „wejdę na szczyt alpejski.” Zaczynam pojmować, że wspinanie się na szczyty w przenośni jest rzeczą bardzo trudną i że nie wystarcza „mieć świetne skrzydła.” Pan Carpenter odebrał mi sporo złudzeń.

— Musisz pracować w pocie czoła, z zaciśniętymi zębami, to jest jedyna droga, prowadząca do celu — rzekł.

Ubiegłej nocy obmyślałam, leżąc w łóżku, tytuły moich książek, tych, które napiszę w przyszłości: „Dama w wielkim Stylu”, „Wierna na Śmierć i Życie”, „Błada Małgosia”, „Królestwo nad Morzem”.

Teraz muszę tylko wymyślić treść książek.

Piszę powieść pod tytułem: „Dom wśród ruin”, bardzo dobry tytuł chyba? Ale rozmowy miłosne nudzą mnie wciąż jeszcze. Wszystko, co piszę z tej dziedziny, takie jest mdłe, głupie, że rozpacz mnie ogarnia. Pytałam Deana, czy on mógłby mnie nauczyć, jak pisać porządnie dialogi ludzi zakochanych i przypominałam mu, że mi to obiecał, ale on powiedział, że tymczasem jestem za młoda. Powiedział to w ów tajemniczy sposób jemu właściwy. Można myśleć stale że w jego słowach kryje się znacznie więcej niż one zawierają pozornie dla niewtajemniczonych. Chciałabym się nauczyć tego sposobu mówienia, *znaczącego*, bo to czyni człowieka wysoce interesującym.

Dzisiaj, po skończonych lekcjach zaczęliśmy czytać,

Dean i ja, „Alhambrę”, siedząc w ogrodzie na ławce kamiennej. Przy tej książce czuję się zawsze, jakgdybym otworzyła bramę krainy dobrych wróżek.

— Jakżebym pragnęła zobaczyć „Alhambrę!” — rzekłam.

— Pojedziemy tam czasem, razem — rzekł Dean.

— Och, toby było cudowne! — wykrzyknęłam. — Czy sądzisz, że zdołamy to przeprowadzić, Deanie?

Zanim Dean zdążył odpowiedzieć, usłyszałam gwizdek Tadzia w gajku Wysokiego Jana, ten kochany gwizdek, złożony z dwóch nut wysokich i jednej niskiej, przeciągłej. To jest nasz sygnał.

— Przepraszam, Deanie, muszę już iść, Tadzio mnie woła — rzekłam.

— Czy musisz zawsze pójść, gdy Tadzio cię woła? — spytał Dean.

Przytaknęłam i wyjaśniłam mu dlaczego.

— On mnie tak wzywa wtedy tylko, gdy jestem mu *szczególnie* potrzebna, a ja przyrzekłam, że zawsze przyjdę, o ile to będzie możliwe.

— I mnie jesteś *szczególnie* potrzebna! — rzekł Dean. — Przyszedłem tu dzisiaj po to tylko, żeby czytać z tobą Alhambrę.

Poczułam się nagle strasznie nieszczęśliwa. Tak pragnęłam pozostać z Deanem, a jednak czułam, że muszę iść do Tadzia. Dean patrzył na mnie przenikliwie, badawczo. Wreszcie zamknął książkę.

— Idź — rzekł.

Poszłam... ale coś się zepsuło... sama nie wiem co i dlaczego...

10 maja 19.....

Przeczytałam trzy książki, które pożyczył mi Dean w zeszłym tygodniu. Jedna była jak ogród różany, bardzo miła, ale trochę przesłodzona. A druga była jak las sosnowy na stoku górskim, pełna woni żywicznej i smaku, pokochałam tę opowieść, a jednak napełniła mnie ona pewną odmianą rozpacz. Była tak pięknie napisana! Ja nie umiem i nie nauczę się chyba nigdy tak pisać. Nie, nigdy, jestem tego pewna. A ta ostatnia książka, ta mi przypomniała chlew. Dean dał mi ją przez pomyłkę. Bardzo był rozgniewany, gdy się spostrzegł, zagniewany i zmartwiony.

— Gwiazdko... Gwiazdko... nigdybym ci nie był dał takiej książki... To moje karygodne niedbalstwo... przebacz mi. Ta książka jest wiernym obrazem świata, ale nie twego świata, Bogu dzięki! I nie tego, który ja kiedykolwiek ukazę twoim oczom. Gwiazdko, przyrzeknij mi, że zapomnisz o tej książce.

— Zapomnę o niej, o ile zdołam — odrzekłam.

Ale nie wiem, czy zdołam zapomnieć. To było takie brzydkie. Od chwili przeczytania jej, nie mogę już być taka szczęśliwa, jak przedtem. Doznaję wrażenia, jakgdyby moje ręce zostały zbrukane i nie dają się domyć. I jeszcze innego wrażenia doznaję: jakgdyby zatrzasnęły się za mną jakieś wrota, a ja znalazłam się nagle po drugiej ich stronie, wśród nieznanego świata, gdzie nie znam dróg, ani ścieżek, a jednak muszę przebrnąć przez ten świat, muszę żyć na nim.

Dzisiaj próbowałam napisać charakterystykę Deana. Ale nie powiodło mi się. Była to jakby fotografia,

a nie wizerunek. W Deanie jest coś, czego nie mogę objąć moim umysłem.

Dean sfotografował mnie przed paru dniami, bo ma nowy aparat, ale nie był zadowolony ze swego zdjęcia.

— To nie ty — rzekł — ale jasnym jest, że człowiek nie może sfotografować światła gwiazd.

Dodał, dość cierpko, jak mi się zdawało:

— Powiedz temu idjocie, Tadziowi Kentowi, żeby dał spokój twojej twarzyczce i nie umieszczał jej na każdym swem malowidle. To zbyteczne.

— On tego nie czyni! — zawołałam. — Tazio namalował mnie raz tylko jeden i ten portrecik ukradł mi ciotka Nancy.

Powiedziałam to bez cienia wstydu, bo nie przebaczyłam do dziś dnia ciotce Nancy zatrzymania tego portreciku.

— W każdym jego malowidle, w każdym rysunku jest jakiś szczegół twojej osoby — odrzekł Dean z uporem. — Twoje oczy, twoje wygięcie szyi, twój sposób trzymania głowy... To najgorsze właśnie. Nie dbam tak dalece o twoje oczy, o twoją szyję, ale to coś, co jest w tobie, nie pragnę bynajmniej, aby było uwydatniane w każdym jego rysunku. Jest to jakby kradzież części twej duszy bez twojej wiedzy, otóż tego sobie nie życzę stanowczo. On sam nie wie zapewne, że to czyni, i to jest bodaj *najgorsze*.

— Nie rozumiem cię — rzekłam wyniośle. — Ale Tazio jest cudny... Pan Carpenter sam tak się wyraził.

— A Emilka ze Srebrnego Nowiu powtarza to, jak echo! Och, ten malec ma talent niezaprzeczony, będzie

coś z niego zczasem, o ile jego zwarzowana matka nie złamie mu życia. Ale niech on pilnuje swego ołówka, a ja pilnuję *mojej* własności.

Dean śmiał się już, mówiąc te słowa. Ale ja podniosłam głowę jeszcze wyżej. Nie jestem niczyją własnością, nawet na żarty. I nigdy nią nie będę.

.....

12 maja 19....

Ciotka Ruth i wuj Wallace i wuj Oliver byli u nas dzisiaj popołudniu. Lubię wuja Olivera, ale nie polubiłam ani troszeczkę ciotki Ruth i wuja Wallace'a. Przybyli oni na małą naradę rodzinną i rozmawiali w saloniku z ciotką Laurą i ciotką Elżbietą. Kuzynowi Jimmy wolno było wejść do saloniku, ale mnie wyłączone z tego posiedzenia, chociaż czułam, że to o mnie chodzi. Zdaje mi się, że ciotka Ruth nie przeprowadziła swoich planów, bo podczas kolacji bezustannie mnie strofowała i powiedziała, że brzydko wyrosłam! Ciotka Ruth wciąż mnie strofuje, a wuj Wallace bierze mnie w swoją opiekę. Wolę strofowanie ciotki Ruth, bo nie muszę udawać, że jestem za nie wdzięczna. Znoszę je do pewnego momentu w milczeniu, aż wkońcu ciotka zmęczy się i też zamilknie. Ciotka Ruth mówi do mnie:

— Emilko, nie zaprzeczaj — jakgdybym była małym dzieckiem. Spojrzałam jej prosto w oczy i odpowiedziałam zimno:

— Ciotko Ruth, zdaje mi się, że już zbyt stara jestem, ażeby do mnie mówiono w ten sposób.

— Nie jesteś zbyt stara, ażeby być niegrzeczną i

szorstką — odrzekła ciotka Ruth, grożąc mi palcem. Gdybym ja była Elżbieta, albo Laura, wytargałabym cię mocno za uszy, panienko!

Nienawidzę, gdy się do mnie mówi: „panienko”. Mam wrażenie, że ciotka Ruth jednoczy w sobie wszystkie wady Murrayów, a nie posiada ani jednej ich zalety.

Syn wuja Olivera, Andrzej, przyjechał z nim razem i pozostanie tu przez tydzień. Jest on starszy ode mnie o cztery lata.

.

19 maja 19....

Dzisiaj są moje urodziny. Kończę lat 14. Napisałam list: „Ode mnie czternastoletniej do mnie czterdziestoletniej”, zakleiłam kopertę i odłożyłam do moich papierów. Otworzę ten list, kiedy skończę lat 40. W liście tym są pewne przepowiednie. Ciekawa jestem, czy się sprawdzą do dnia otworzenia koperty.

Ciotka Elżbieta oddała mi dzisiaj wszystkie książki mego ojca. Tak się cieszę! Są one jakby częścią ojca. Na każdym tomie widnieje jego nazwisko, wypisane jego ręką, na marginesach pełno jest uwag i notatek. Są to jakby listy pośmiertne do mnie pisane. Przeglądałam je przez cały wieczór i znów ojciec był mi taki bliski, że uczułam się szczęśliwa i bardzo smutna zarazem.

Jedno tylko zepsuło mi ten dzień. Kiedy podeszłam do tablicy rozwiązywać zadanie arytmetyczne, wszyscy zaczęli się śmiać pocichu. Nie wiedziałam, dlaczego. Wreszcie spostrzegłam na tablicy napis:

„Emilja Byrd Starr, autorka czworonożnej kaczkii”. Śmieli się jeszcze bardziej, gdy wytarłam ten napis gniewnym ruchem. Do szału mnie doprowadza podobne wyszydzanie moich ambicyj. Wróciłam do domu, rozdrażniona i smutna. Ale gdy usiadłam na stopniach altany i pogawędziłam z kuzynem Jimmy, cały mój gniew opadł. Nikt nie może się długo gniewać, gdy zetknie się z czystym sercem bliźniego: to godzi z życiem.

Zresztą przyjdzie dzień, że oni śmiać się przestaną!

Andrzej odjechał wczoraj do domu. Ciotka Elżbieta zadała mi pytanie, czy go lubię. Nigdy mi nie zadaje takich pytań, moje upodobania mało ją obchodzą. Widocznie zauważyła, że *nie jestem już dzieckiem*.

Odpowiedziałam, że jest on dobry, uprzejmy, głupi i niezajmujący.

Ciotka Elżbieta taka była niezadowolona, że przez cały wieczór nie przemówiła do mnie. Dlaczego? Muszę przecież mówić prawdę. A Andrzej jest *taki*.

.

21 maja 19...

Stary Kelly był tutaj, po raz pierwszy tej wiosny. Jak zwykle pytał mnie, kiedy wyjdę zamaż. Ale wyglądało, że ma coś na sercu, a kiedy poszłam do mleczarni, podreptał za mną.

— Kochana dziewczynko — rzekł tajemniczo. — Spotkałem Garbusa Priesta na łące. Czy on często tu przychodzi?

Podniosłam głowę wysoko, jak przystało na członka rodziny Murrayów.

— Jeżeli macie na myśli pana Deana Priestę — rzekłam — to istotnie przychodzi często. Jest to mój osobisty przyjaciel.

Stary Kelly potrząsnął głową.

— Kochana dziewczeczko... ostrzegałem cię... nigdy nie wychodź zamaż za Priestę... żadnego...! Nie pamiętasz?

— Zabawni jesteście, panie Kelly — rzekłam. — Nie wychodzę zamaż za nikogo. Pan Priest mógłby być moim ojcem, a ja jestem małą dziewczynką, której on pomaga w naukach.

Kelly znów potrząsnął głową.

— Ja znam Priestów, dziecko — rzekł. — Oni przeprowadzą zawsze to, co sobie postanowią. A ludzie mówią, że ten Garbus postanowił pojąć cię z czasem za żonę, tego dnia przyszło mu to na myśl, kiedy cię nieomal z wody wyłowił. Mówią, że jest on niewierzącym człowiekiem, a wszyscy wiedzą, że gdy go chrzcili, zerwał pastorowi okulary z nosa. Czegóż można się po nim spodziewać? Pamiętaj, co ci mówi stary Kelly: zerwij wszelkie z nim stosunki zawczasu. I nie patrz na mnie tak po Murrayowsku, kochana dziewczeczko. Mówię to dla twego dobra.

Odeszłam i zostawiłam go samego. Nie mogę się z nim sprzeczać o takie rzeczy: chciałabym, aby ludzie nie nasuwali mi takich myśli. Teraz nie będę się czuła swobodna w obecności Deana przez szereg tygodni. Wiem doskonale, że każde słowo Kelly'ego było nieodzownością.

Gdy Kelly odszedł, opisałam go w moim zeszycie od Jimmy'ego.

Ilza otrzymała nowy kapelusz z błękitnym tiulem i czerwonymi wisienkami, wiąże się pod brodą na wstążki. Mnie się ten kapelusz nie podoba. Powiedziałam jej to. Była strasznie zła na mnie i oświadczyła, że jestem zawistna. Nie rozmawiała ze mną przez dwa dni. Przemyślałam to wszystko. Wiem, że nie byłam zawistna, ale doszłam do wniosku, że zbłądziłam. Nigdy już nie powiem nikomu takiej rzeczy. To jest prawdą, ale to nie było taktowne powiedzenie.

Mam nadzieję, że Ilza przebaczy mi to jutro. Brak mi jej okropnie, ilekroć jest na mnie zagniewana. Ona jest takim kochanym stworzeniem; taka ładna dziewczynka i piękna natura, o ile się nie gniewa.

Tadzio jest na mnie krzywy nieco. Nie podobało mu się to, że Jerzy North odprowadzał mnie do domu z rekolekcji w zeszłą środę. *Mam nadzieję*, że to jest powodem dąsów Tadzia. Miło mi jest czuć taką potęgę w stosunku do niego.

Zastanawiam się, czy powinnam była to napisać. Ale to jest *prawdą*.

Gdyby Tadzio wiedział o tem, byłabym bardzo nieszczęśliwa i zawstydzona. Po pierwsze, byłam dumna i uszczęśliwiona, gdy Jerzy wyróżnił mnie z pośród innych dziewczynek. Dotychczas nikt mnie nie odprowadzał do domu, a Jerzy jest chłopcem z miasta, bardzo przystojnym i dobrze wychowanym i wszystkie starsze dziewczynki w Czarnowodzie ubiegają się o jego względy. Ja zaś odeszłam z kościoła przy jego boku, czując się tak, jakby mi przybyło kilka cali wzrostu. Ale już po chwili nienawidziłam go. Taki miał w

stosunku do mnie *taskawy* ton! Widocznie myślał, że jestem zwyczajną dziewczyną wiejską, której imponuje jego towarzystwo.

I to było do pewnego stopnia prawdą! To mnie najwięcej boli. Pomyśleć, że byłam takim głuptasikiem!

On jest afektowany i nudzi mnie. O niczem nie umie mówić rozsądnie. A może nie zadawał sobie trudu dla mnie. Byłam srodze rozsierdzona, gdyśmy już dochodzili do Srebrnego Nowiu. Wynudziłam się za wszystkie czasy!

Ciotka Elżbieta zaś dowiedziała się, że Jerzy odprowadził mnie do domu i oświadczyła, że już nigdy nie pójdę sama do kościoła na wieczorne rekolekcje.

.

25 maja 19...

Siedzę w moim pokoju o zmierzchu. Okno jest otwarte, a żaby rechocą, opowiadając widocznie jakąś baśń z dawnych czasów. Deszcz już nie pada, ale cały dzień był dżdżysty. Lubię wszelką pogodę, to też i słotę lubię, taką lekką słotę, podczas której Królowa Wichrów porusza delikatnie wierzchołkami drzew. I lubię też dnie gwałtownej burzy, lubię ulewę letnią i błyskawice i grzmoty. Lubię słuchać, jak deszcz pluszcze o dach i o szyby i wlewa się w rynnę, a Królowa Wichrów wyje, jak stara czarownica w lesie i w ogrodzie.

Tylko gdy deszcz pada wtedy, kiedy ja mam wyjść z domu, wówczas narzekam tak samo, jak wszyscy.

Taki wieczór, jak dzisiejszy, zawsze mi przypomina tę wiosnę, podczas której umarł mój ojciec przed trzema laty, przypomina mi ten kochany, stary domek w Borze Majowym. Od tej pory nigdy tam nie byłam. Ciekawa jestem, czy ktoś tam mieszka. Czy też Adam i Ewa i Wyniosły Świerk stoją wciąż na tem samym miejscu? A kto też sypia teraz w moim pokoju i czy ktoś kocha małe krzewy i igra z Królową Wichrów na polance, wśród świerków? Pisząc te słowa uprzymnam sobie żywo ów moment, kiedy miałam lat 8 i późną jesienią dostrzegłam na jednym z drzew dwa listki zupełnie jeszcze świeże i zielone. Doznałam na ten widok dziwnego wzruszenia i po raz pierwszy rozbłysnął we mnie „promyk” w owej chwili. Dużo widziałam listków w życiu i nie pamiętam ich wszystkich, ale te listki zapamiętałam i zawsze wspominam z biciem serca ten widok i ten cudowny nastrój, jaki wywołały we mnie.

3. ;

NOC LIPCOWA.

Każdy z nas pamięta pewne chwile przełomowe w swoim życiu, w których mijamy jakiś zasadniczy etap życiowy i przechodzimy do następnego, każdy pamięta te cudowne godziny, kiedy chłopiec staje się mężczyzną, a dziewczę kobietą, a potem te dręczące minuty, w których zdajemy sobie nagle sprawę, że młodość jest już poza nami, a wreszcie błogie, ukojenia pełne dni zrezygnowanej starości. Emilja Starr

nie zapomniała nigdy owej nocy, kiedy minęła pierwszy etap, czyli pożegnała na zawsze swe dzieciństwo.

Każde doświadczenie wzbogaca życie, a im głębsze jest dane doświadczenie, tem większe jest bogactwo, które z niego wypływa. Owa noc grozy i tajemnicy i dziwnej rozkoszy dała jej duszy i sercu taką dojrzałość, na jaką normalnie składają się lata całe.

Była to noc lipcowa. Dzień ubiegły był strasznie upalny. Ciotka Elżbieta była tak wyczerpana, że postanowiła nie pójść na nabożeństwo wieczorne. Ciotka Laura poszła do kościoła z kuzynem Jimmy i z Emilką. Przed wyjściem uzyskała Emilka pozwolenie ciotki Elżbiety na odprowadzenie Ilzy Burnley do domu po skończonem nabożeństwie i na przenocowanie u Burnleyów. Był to fakt godzien podkreślenia. Ciotka Elżbieta zasadniczo nie uznawała nocowania u znajomych i przyjaciółek.

Ale dr. Burnley musiał wyjechać do chorego, a jego gospodyni leżała chwilowo, bo złamała nogę. Ilza prosiła Emilkę, żeby z nią przenocowała, a Emilka uzyskała to pozwolenie ze względu na wyjątkowe okoliczności. Ilza jeszcze o tem nie wiedziała, miała tylko nieśmiałą nadzieję, że ciotka Elżbieta da się ubłagać. Dopiero po nabożeństwie miała się dowiedzieć o pomysłnym rezultacie swej prośby. Gdyby Ilza się nie spóźniła, byłaby jej Emilka powiedziała o ich szczęściu przed wejściem do kościoła i to byłoby zapobiegło wszelkim niefortunnym zdarzeniom owej nocy. Ale na nieszczęście, Ilza spóźniła się, jak zwykle, i wszystko złe z tego wynikło.

Emilka siedziała w ławce Murrayów w pobliżu okna. Było to nabożeństwo szczególne, połączone z re-

kolekcjami ze względu na uroczystą komunję, do której parafianie mieli przystąpić w nadchodzącą niedzielę. Mówcą był nie pan Johnson, młody i pełen zapału kaznodzieja, którego Emilka lubiła słuchać, chociaż przypominał jej owo fatalne roztargnienie; dzisiaj przyjechał wygłosić kazanie pastor z Shrewsbury, którego sława ściągnęła do kościoła tłumy wiernych. Emilka przyglądała mu się swem mądrym, krytycznym wejrzeniem i doszła do wniosku, że jest on mało zajmujący i pełen fałszywego patosu.

Przez kilka minut słuchała uważnie kazania i doszła do wniosku, że jest on nielogiczny, że goni za takim poklaskiem. Stwierdziwszy to, przestała się nim interesować i pograżyła się we własnych marzeniach, co stale czyniła, ilekroć pragnęła instynktownie ująć przykrej, nieharmonijnej rzeczywistości.

Za oknami kościoła księżyc opromieniał świerki i sosny potokami srebra, chociaż z północy nadciągała ciężka, czarna chmura. Od czasu do czasu rozlegał się w oddali groźny pomruk grzmotów, wstrząsających cichem powietrzem wieczornem. Gorąca letnia noc, noc bez wiatru, cicha, niemal uroczysta... Chwilami tylko zrywał się powiew gwałtowny, nieoczekiwany i natychmiast uspokajało się wszystko w przyrodzie, jakby tłumione jakąś surową, przemożną dłonią. Było coś dziwnego w pięknie tej nocy, pełnej zwiastunów nadciągającej burzy, było w niej coś, co zastanawiało Emilkę, która lwią część czasu spędziła na układaniu opisu tej nocy — prozą tym razem. Drugim jej zajęciem było obserwowanie zebranych, tych przynajmniej, którzy się znajdowali w jej polu widzenia.

Im starsza była Emilka, tem żywiej pochłaniało

ją studjowanie twarzy ludzkich wśród liczniejszych zgromadzeń. To było takie zajmujące, odcyfrowywać te różne twarze i czytać w nich historję ich życia, wypisaną na każdej fizjonomji pismem dostępnem dla wtajemniczonych tylko! Każda istota ma swoje życie wewnętrzne, swoje przeżycia, o których nikt nie wie, prócz danej osoby i Boga. Inni mogą się tylko domyślać, a Emilka lubiła właśnie to odgadywanie. Czasami zdawało jej się, że jest to więcej, niż zgadywanie, że w niektórych momentach intensywnego napięcia ona wnika w obce dusze, w ich ukryte motywy i namiętności, takie, o których niejednokrotnie sami zainteresowani nie wiedzieli. Dla Emilki było zawsze trudnem zadaniem oprzeć się pokusie tej gry psychologicznej, jakkolwiek doznawała za każdym razem niemiłego uczucia, że popełnia niedyskrecję. Co innego wznosić się na skrzydłach fantazji w świat wyśniony, całkiem odmienny od rzeczywistego, świat cudnej, naziemskiej piękności; tam nie było powodu do wahań i do powątpiewań. Ale podsłuchiwać, korzystając z chwilowego niedomknięcia drzwi, zaglądać do niedość pilnie w danej chwili strzeżonego skarbcza serca i duszy, to było coś, co przyprawiało ją stale o poczucie mocy i o wyrzut sumienia zarazem. To było coś zakazanego, coś świętokradczego. Ale Emilka nie była pewna, czy zdoła kiedykolwiek oprzeć się tej pokusie, zawsze zaglądała przez te niedomknięte drzwi duszy ludzkiej do serc bliźnich i dostrzegała tam wiele rzeczy, zanim sobie uświadamiała, że to czyni. Były to niemal bez wyjątku rzeczy straszne. Tajemnice rzadko kiedy nie są straszne. Piękna nie kryje się przeważnie, ukrywa się tylko brzydotę i ułomność.

— Starszy Forsyth byłby w czasach odległych tyranem i prześladowcą — myślała Emilka. — On ma tę powierzchowność. Teraz słucha uważnie pastora, bo ten opisuje piekło, a Forsyth sądzi, że wszyscy jego nieprzyjaciele tam pójdą. Tak, i dlatego ma taki rozradowany wyraz twarzy. A pani Bowes byłaby przed kilkuset laty czarownicą i stary Forsyth byłby ją kazał spalić na stosie. Ona niecierpi wszystkich dokoła. Jakie to musi być straszne wszystkich nienawidzieć! Muszę koniecznie opisać taką osobę, przepędnioną nienawiścią. Ciekawa jestem, czy nienawiść wyrugowała z jej duszy wszelką miłość, czy też jest tam jakiś kącik nietknięty, poświęcony uczuciu. Jeżeli tak, to będzie zbawiona. To byłby dobry temat do powieści. Muszę to zapisać sobie, zanim pójdę do łóżka: pożycz mi Ilza kawałek papieru. Nie... tutaj w mojej książce do nabożeństwa jest biała kartka. Ta wystarczy.

Ciekawa jestem, co by ci ludzie powiedzieli, gdyby im ktoś zadał pytanie, czego pragną najbardziej i gdyby zmuszeni byli odpowiedzieć szczerze. Ciekawa jestem, ilu mężów i ile żon zapragnęłoby zmiany? Chris Farrar i pani Chrisowa zapragnęliby stanowczo — ona innego męża, a on innej żony. To każdy wie. Sama nie wiem, dlaczego jestem przeświadczona, że James Beatty i jego żona też są niezadowoleni z siebie wzajemnie. Wygląda, że są całkiem szczęśliwi, ale ja raz pewnego widziałam jej wzrok zwrócony na niego z wyrazem nienawiści. Nie sądziła, że ją ktoś obserwuje i dzięki temu zajrzałam do głębi jej duszy. Tak, nienawidziła go i bała się go strasznie. Teraz siedzi obok niego, mała, drobna i zwiędła, ale

w niej wre bunt. Najgorętszem jej pragnieniem jest uwolnić się od niego, albo przynajmniej wyrwać się choćby na kilka tygodni z codziennego trybu życia. Taby jej ulgę przyniosło.

A otóż i Dean. Ciekawa jestem, co go tu sprowadziło? Wyraz twarzy ma uroczysty, ale na dnie jego oczu widać szyderstwo. Pan Sampson właśnie mówi o mądrych pannach. Nienawidzę mądrych panien, zdaje mi się, że one są strasznie zarozumiałe i samolubne. Mogły były dać tym głupim pannom trochę oleju. Nie wierzę, że Chrystus je pochwalił, nie! On tylko ostrzegał głupich ludzi przed niedbalstwem i chciał dowieść, że nie trzeba być głupim i lekkomyślnym, bo mądrzy ludzie są zarozumiałymi egoistami i nie przyjdą z pomocą tamtym biedakom. Zastanawiam się, czy to bardzo źle, że ja czuję raczej sympatię do głupich panien i chciałabym im dopomóc i pocieszyć je, a nie podziwiać te mądre panny, które same sobą są zachwycone. Zresztą pocieszanie tamtych byłoby znacznie bardziej interesujące.

A otóż pani Kent i Tadzio. Och, ona strasznie mocno czegoś pragnie, nie wiem czego, ale to jest coś nieosiągalnego, a pragnienie tego czegoś pożera ją we dnie i w nocie. Dlatego tak pilnuje Tadzia... wiem. Ale nie wiem, czem ona się różni tak bardzo od innych kobiet. Nie mogę nigdy wejrzeć w jej duszę, ona zamyka drzwi przed każdym... jej drzwi nie bywają nieodknięte.

Czego ja najwięcej pragnę? Chyba wspiąć się na sam szczyt najwyższego łańcucha najwyższych gór.

„I tam wyrzyc na kamieniu
Imię kobiety nieznanie.”

Wszyscy jesteśmy głodni. Wszyscy domagamy się od życia chleba, ale pan Sampson nie może nam go dostarczyć. Ciekawa jestem, czego on najwięcej pragnie? Dusza jego jest taka mglista, nic w niej nie widać. Ma on wiele niskich potrzeb. Przedewszystkiem nie chce, żeby ktokolwiek nad nim górował. Pan Johnson doprawdy pragnie nieść pomoc ludziom, objawiać im prawdę, tak, on szczerze dąży do spełnienia pewnego apostolatu na ziemi. A ciotka Janey pragnie bardziej jeszcze, niż wszyscy, aby cały świat przyjął religję chrześcijańską. Jej dusza nie kryje na dnie żadnych nieczystych pragnień. Wiem, czego pragnie pan Carpenter — odzyskać swe utracone stanowisko. Katarzyna Morris pragnie zachować swą młodość, niecierpi nas, młodych dziewcząt, ponieważ jesteśmy młode. Stary Malcolm Strang pragnie poprostu żyć, istnieć, chociażby jeszcze rok, byle jeszcze rok... Byle nie umrzeć. To musi być okropne nie mieć innego celu w życiu, prócz ujęcia śmierci. A jednak on wierzy w niebo, ma nadzieję, że pójdzie do nieba. Gdyby mógł raz jeden odczuć mój „promyk”, nie drżałby tak na myśl o śmierci, biedny staruszek. A Marja Strang pragnie umrzeć, zanim dozna okropnych bóli, które ją doprowadzą do skonania w męczarniach. Powiadają, że to się nazywa „rak”. Tam, wyżej, siedzi pan Morrison; wszyscy wiemy, czego on pragnie: odszukać swoją Aneczkę. Tom Sibley pragnie księżycy, a wie, że nigdy go nie osiągnie. Ludzie mówią, że nie jest całkiem normalny. Amy Crabbe pragnie, aby Maks Terry powrócił do niej, nic innego jej nie obchodzi.

Muszę opisać jutro wszystkie te sprawy. Są wysoce zajmujące, ale ja wolę pisać o pięknych rzeczach.

Tylko, że te sprawy mają pewien *podkład*, którego rzeczy piękne są przeważnie pozbawione! Światło księżycy czyni cuda z płytami grobowemi, nawet najbrzydsze wyglądają pięknie. Strasznie jest gorąco, udusić się można, a te potężne grzmoty słychać coraz bliżej. Mam nadzieję, że Ilza i ja zdążymy do domu, zanim zerwie się wichur. Och, panie Sampson, panie Sampson, Bóg nie jest Bogiem surowym i gniewnym, nie wie pan nic o Nim, skoro pan tak twierdzi. Jest niezadowolony, gdy błądzimy, to pewne, ale nie wchodzi się w drobiazgi, nie jest małostkowy. Pański Bóg i Bóg Heleny Greene są zupełnie do siebie podobni. Wstałabym chętnie z miejsca i powiedziałabym to panu, ale tradycja Murrayowska nakazuje siedzieć przykładnie w kościele. Pan wykrzywia obraz Boga, On jest piękny. Nienawidzę cię za to obrzydzanie ludziom Boga, ty przysadzisty, krępy człowieczku.

Pan Sampson, który kilkakrotnie zauważył skupiony wzrok Emilki i jej potrząsanie główką w pewnych momentach, skończył kazanie i usiadł, przeświadczony, że wywarł niesłychanie głębokie wrażenie na tej małej dziewczynce. Zebrani czekali chwilę na hymn i błogosławieństwo, ale na odgłos pioruna, całkiem już bliski, zaczęli tłumnie opuszczać kościół, dążąc do domu i do świeższego powietrza. Emilka, porwana przez ten prąd ludzki, straciła z oczu ciotkę Laurę. Tłum odrzucił ją od wyjścia, na lewo, za katedrę. Upłynęło sporo czasu, zanim zdołała się oddzielić od tłumu i pobiec dokoła do głównego wyjścia, gdzie miała nadzieję spotkać Ilzę. Ale i tu był tłok, który wprawdzie topniał szybko, lecz Ilzy nigdzie nie mogła dostrzec. Wtem przypomniała sobie Emilka, że

zostawiła w ławce swoją książkę do nabożeństwa. Wróciła szybkim krokiem do ławki za chórem. Musiała odnaleźć tę książkę, bo wsunęła do niej kartkę z notatkami, skreślonymi ukradkiem podczas nabożeństwa. Był tam opis raczej niepochlebny panny Potter, charakterystyka dość cięta samego pana Sampsona i jeszcze kilka humorystycznych uwag, które pragnęła ukryć przed okiem ludzkim ze względu na owe osoby i na szacunek dla swego natchnienia: ujawnianie swoich najskrytszych myśli uważała Emilka zawsze za profanację własnego „ja”.

Stary Jakób Banks, zakrystjan, trochę ślepy, a zupełnie głuchy, gasił lampy, gdy Emilka weszła do swej ławki. Emilka chwyciła książkę do nabożeństwa, leżącą na pulpicie. Karteczki nie było wewnątrz. Ale przy mdłym światełku ostatniej lampy, gaszonej dopiero w tej chwili przez starego Jakóba, dostrzegła ów kawałek papieru na kamiennej posadzce. Przyklękła i włożyła go do książki. Jakób przez ten czas wyszedł i zamknął drzwi na klucz. Emilka nie zauważyła tego, kościół był oświetlony blaskiem księżyca. Przyjrzała się teraz bacznie owemu kawałkowi papieru. To nie ten! Gdzież on mógł być, ów właściwy? Otóż i on. Emilka podniosła z podłogi upragnioną kartkę i pobięła do drzwi, które się nie otworzyły.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że Jakób Banks wyszedł z kościoła, że jest tu sama jedna. Daremnie próbowała otworzyć wrota kościelne. Zaczęła wołać pana Banksa. Wreszcie pobięła do głównego wejścia. Usłyszała tylko turkot odjeżdżającego pojazdu, a jednocześnie księżyc schował się widocznie za chmury i kościół pograżył się w ciemnościach. Emilka krzyknę-

ła. Ogarnęło ją nagłe przerażenie. Zaczęła bić pięściami w drzwi, szarpać klamkę, znów krzyknęła. Przecież wszyscy nie mogli odejść. Ktoś z pewnością usłyszy! „Ciotko Lauro! Kuzynie Jimmy! Ilzo!” Wreszcie w przystępie rozpaczy: „Tadziu, Tadziu!”

Błękitno-biały snop światła rozświetlił wnętrze kościoła. Rozpoczęła się jedna z najgroźniejszych burz, notowanych w kronikach Czarnowodzkich. Emilka Starr zamknięta była w kościele wśród lasu, ona, która zawsze obawiała się piorunów, odczuwając instynktowny, a przemożny strach, nie dający się opanować, ani zwyciężyć rozumem.

Padła, cała drżąca, na stopnie, prowadzące na galerję i skuliła się, czekając na ratunek. Ktoś przyjdzie z pewnością, skoro zauważą jej nieobecność. Ale czy zauważą, że jej niema? Kto? Ciotka Laura i kuzyn Jimmy będą przypuszczali, że ona jest u Ilzy, stosownie do umowy. Ilza, która najwidoczniej poszła do domu, pomyśli, że Emilka nie otrzymała pozwolenia na nocowanie u niej i wróciła do Srebrnego Nowiu. Nikt się nie dowie, gdzie ona jest, nikt nie wróci tu po nią. Musi tu pozostać, w tym ponurym, złowieszczym mroku, w tym kościele, który tak lubiła dotychczas, a który teraz stał się miejscem wrogiem, upiornem. Niema ucieczki. Okien nie można otworzyć. Kościół zaopatrzony był w wentylatory, zamykane i otwierane zapomocą drutów, lub sznurków. Nie mogła się wspiąć aż do wentylatora, a przytem nie zmieściłaby się w jego wąskim otworze, gdyby nawet zdołała się tam dostać.

Drżała od stóp do głowy. Teraz pioruny i błyskawice szalały bez przerwy niemal. Deszcz tłukł o szy-

by, ulewny deszcz, istne strumienie prostopadłe. Od czasu do czasu bombardował okna kościelne gwałtowny grad. Zerwał się nagle wichur i wył w tej samotni i wstrząsał murami kościołka. Nie była to ukochana Królowa Wichrów jej dzieciństwa, lecz cały zastęp rozhukanych czarownic. „Książę-władca przestworów zarządził wiatr” — rzekł kiedyś Szalony Morrison. Dlaczego przyszedł jej na myśl pan Morrison? Jak te okna trzeszczą, jakgdyby potrząsał nimi demon burzy. Słyszała niegdyś opowiadanie o kimś, kto w ciemną noc zaskoczony został w kościele dźwiękiem organów: grały, bez udziału ludzkiej ręki! *Przypuśćmy, że teraz organy grać zaczynają!* Żadne niezwykle wydarzenie nie było niemożliwością na tle tej okropności. Czy schody nie trzeszczą? Mrok pomiędzy jedną błyskawicą a drugą tak był gęsty, że wydawał się namacalny. Emilka zlekła się, że ta czarność dotknie jej postaci i ukryła twarz na kolanach.

Siedząc tak skurczona doszła do wniosku, że nie jest na wysokości tradycyj Murrayowskich. Murrayowie nie bywają chyba tak przerażeni. Murrayowie nie boją się panicznie burzy. Ci starzy Murrayowie, śpiący snem wiecznym na cmentarzu za jeziorem, wyrzekliby się jej, jako zwyrodniałego potomka. Ciotka Elżbieta powiedziałaby niezawodnie, że odzywa się w niej krew Starrów. Trzeba być odważną. Ostatecznie przeżyła już gorsze chwile, naprzykład ową noc, kiedy mniemała, że zjadła zatrute jabłko u Wysokiego Jana, albo owo popołudnie, kiedy leżała na kruchej skale nad zatoką morską. Obecne zdarzenie było tak nieoczekiwane, że nie zdołała jeszcze rozpocząć walki ze strachem. Ale trzeba się opanować. Nic strasznego jej

się nie stanie, nic gorszego, niż przymusowe spędzenie nocy w kościele. Zrana będzie mogła ściągnąć na siebie uwagę jakiegoś przechodnia, pukając w drzwi i wołając. Była tu już sama przeszło godzinę, a nic jej się nie zdarzyło, o ile, rzecz jasna, włosy jej nie posiwiały, jak to podobno nieraz bywa. Emilka wyciągnęła promień włosów z za ucha i trzymała go w palcach, czekając na następną błyskawicę. Gdy rozbłysła, przekonała się dziewczynka, że włosy jej są nadal czarne. Odetchnęła z ulgą. Burza uspokajała się. Grzmoty rozbrzmiewały rzadziej i oddalały się coraz bardziej. Deszcz padał jeszcze ulewny, a wiatr dał przeraźliwie przez wszystkie szpary kościoła.

Emilka wyciągnęła ramiona i ostrożnie opuściła nogę na niższy stopień. Myślała, że lepiej będzie zejść ze schodów do kościoła, między ławki. Schody mogą się pod nią załamać, pod wpływem wstrząsów wichru i piorunów. A może nadciąga druga burza? Najlepiej będzie zejść i usiąść w ławce Murrayów. Odzyska spokój, skupi się, pomedytuje. Wstydziła się swego panicznego strachu, ale *to* było okropne.

Dokoła niej panowały wciąż nieprzejrzane ciemności, dające owo złudzenie czegoś namacalnego. Był to może efekt wilgoci i upału tej nocy lipcowej.

Wyciągnęła rękę, chwyciła się za poręcz schodów i z trudem dźwignęła się na zdrętwiałe nogi. Ręka jej dotknęła nie poręczy, lecz... Boże wielki, co to jest?... coś włochatego. Emilka wzdrygnęła się ze zgrozy, krzyk zamarł na jej ustach. Błyskawica rozświetliła nagle wnętrze kościoła: u stóp schodów stał ogromny czarny pies i patrzył na nią pod górę krwią nabiegłymi, wrogiemi oczami.

Włosy jej stanęły na głowie, wielki, kroplisty, zimny pot zaczął jej spływać po karku i szyi. Nie byłaby mogła poruszyć ani jednym mięśniem, za żadną cenę! Głosu również nie mogła wydobyć. Przez kilka minut przecierpiała takie piekło trwogi, że uczuła się fizycznie chorą. Wreszcie, z wysiłkiem, który nie był bynajmniej wysiłkiem dziecka (mam wrażenie, że w tym momencie właśnie Emilka przestała być dzieckiem) zebrała myśli i odzyskała panowanie nad sobą. Zaciśnęła zęby i pięści: będzie odważna i rozsądna. Był to zwykły pies jednego z mieszkańców Czarnowody, który przyszedł tu za swym panem, zabłąkał się na galerję i tu pozostał. Ponowna błyskawica ukazała jej cały kościół: pusto wszędzie! Widocznie pies poszedł do jakiegoś kąta i tam czeka, skulony, na koniec nocy. Emilka postanowiła pozostać tu, gdzie była w danej chwili. Ochłonęła z paniki, ale nie odczuwała bynajmniej potrzeby zimnego i wilgotnego dotyku wśród ciemności. Nie zapomniała jeszcze uczucia wstępu, doznanego przy zetknięciu jej ręki z sierścią zwierzęcia.

Teraz jest chyba północ. O 10-tej skończyło się nabożeństwo. Odgłosy burzy ucichły niemal zupełnie. Od czasu do czasu słychać jeszcze wycie wiatru, ale rzadziej i mniej gwałtownie zawodzi. Tylko jednostajny plusk deszczu rozlega się miarowo w ciemnościach. Stopniowo serce jej zaczęło bić normalnie, powracał dar logicznego myślenia. Nie podobała jej się obecna sytuacja, ale już jej się ukazywały pewne dramatyczne możliwości, które zamierzała zużytkować w jednej z ksiąg od Jimmy'ego. A poza tem w powieści, w tej powieści, którą napisze Emilka kiedyś w przyszłości!

To była sytuacja wymarzona dla bohaterki powieści; uratować, wyzwolić musi ją oczywiście bohater książki. Emilka zaczęła tworzyć ową scenę, potęgując grozę wypadków, dodając to i owo drobne zdarzenie, szukając właściwych wyrazów na oddanie nastroju... To było całkiem zajmujące. Chciałaby tylko wiedzieć, gdzie się znajduje pies. Jak jęczy i zawodzi ten wiatr za oknami! Ale teraz jest to już znowu jej przyjaciółka, Królowa Wichrów. Królowa Wichrów jest jedną z jej dziecięcych fantazji, którym pozostała wierna do wieku dziewczęcego. Obecnie pojęcie to jest jej pociechą, doznaje wrażenia, że jest mniej sama. Dzicy rycerze burzy odjechali, stara jej towarzyszka wróciła. Emilka westchnęła z uczuciem zadowolenia niemal. Najgorsze już minęło. I czyż nie zachowała się bardzo ładnie? Znowu wolno jej szanować samą siebie.

Lecz wtem, znienacka, poczuła Emilka, że nie jest sama!

Jak się tego dowiedziała, nie byłaby umiała powiedzieć. Nic nie słyszała, nic nie widziała; nie widziała i nie czuła nikogo. A jednak wiedziała z niezbitą pewnością, że za nią, na schodach znajduje się *ktos*.

Odwróciła się i spojrzała. Okropna była ta konieczność patrzenia w oczy strasznemu, domniemanemu niebezpieczeństwu, ale jeszcze straszniejsze było to przeczuwanie za sobą czyjejś niewidzialnej obecności. Patrzyła nienaturalnie rozszerzonymi źrenicami w ciemności, ale nie mogła dostrzec niczego. Wtem... usłyszała ponad sobą śmiech, cichy śmiech, przejmujący, nieludzki, śmiech stworzenia chorego umysłowo. Niepotrzebne jej było światło błyskawicy, które roz-

błysło na przeciąg paru sekund: odrazu wiedziała, że jest tutaj o parę kroków od niej Szalony Morrison. Ale zbliżał się ku niej, widziała go, miała wrażenie, że otwiera się przed nią przepaść, rozpadlina lodowa... nie mogła krzyczeć.

Obraz, który błyskawica ukazała nagle jej oczom, pozostał po wsze czasy wyryty w jej pamięci. Morrison stał o pięć stopni wyżej, niż ona. Jego siwa głowa podana była naprzód, żółte zęby wyglądały drapieźnie, straszliwie, w złowieszczym, szaleńczym śmiechu, długa, wąska, krostowata ręka wyciągnięta była ku niej, dotykała niemal jej ramienia.

Emilka doznała wstrząsu całej swej istoty. Skoczyła na nogi, gnana dzikiem przerażeniem.

— Tadius! Tadius! Ratuj mnie! — krzyknęła.

Nie wiedziała, że woła Tadzia, nie zdawała sobie sprawy, że właśnie jego wzywa, ani dlaczego. Dopiero potem sobie przypomniała ten szczegół, tak jak przypominamy sobie dreszcz zgrozy, który nas budzi z głębokiego uspienia, z koszmarne go snu. Wiedziała tylko, że on musi jej dopomóc, że umarłaby, gdyby ta okropna ręka dotknęła jej ciała. *On nie może jej dotknąć!*

Skoczyła, jak szalona, jednym susem była na dole i biegła ku katedrze. Musi ukryć się przed nim, zanim nowa błyskawica oświetli kościół. Nie wolno jej się schronić do ławki Murrayów. Tam będzie jej szukał z pewnością. Przykucnęła w jednej z ławek bocznych, pod katedrą. Była niewidoczna. Całe jej ciało zlane było zimnym potem. Była cała w szponach szalonej, niepohamowanej trwogi. Jedyłą jej myślą był ten instynktowny zakaz: *nie wolno temu staremu szaleńcowi dotknąć mnie!*

Chwile, które mijają, wydały jej się wiekami. Teraz słyszała kroki, kroki, które zbliżały się i oddalały naprzemian. Nagle pojęła, co on robi. Chodził od ławki do ławki, obmacywał każdą pokolei, szukając jej w ten sposób, dotykiem, nie czekając na błyskawicę. Nieraz słyszała o tem, że on prześladował młode dziewczęta, mniemając, że to jego Aneczka. O ile porwał w objęcia dziewczynę, trzymał ją mocno jednym ramieniem, a drugą głaskał ją po twarzy, po głowie. Nigdy nie wyrządził żadnej krzywdy nikomu, ale nigdy też nie wypuścił ze swych rąk młodej dziewczyny, którą zdołał schwycić, dopóki jej ktoś nie uwolnił. Mówiono, że Marja Paxton z Gęsiego Stawu nie odzyskała już równowagi psychicznej po takim spotkaniu ze starym Morrisonem. Nerwy jej nie otrząsnęły się z tego wstrząsu.

Emilka rozumiała, że wcześniej, czy później, on ją odnajdzie, że jest to tylko kwestja czasu. Nie traciła przytomności ze strachu i wstrętu li-tylko dlatego, że najwyższym wysiłkiem woli przywoływała świadomość, gdyż w razie zemdlenia wydana byłaby na pastwę tych rąk czerwonych, ohydnych... Ponowna błyskawica zdradziła jej jego obecność o jedną ławkę za ledwie od niej. Emilka skoczyła i przebiegła na drugą stronę kościoła. Znów się ukryła. On ją znajdzie, ale ona znowu zdąży mu się wymknąć. Siły szaleńca okazały się chyba nie tak wielkie, jak jej wytrzymałość. Ale jeżeli ta gra w chowanego potrwa przez całą noc, w takim razie Emilka padnie, wyczerpana, a on rzuci się na nią, może ją zabije....

Wydawało jej się, że ta okrutna igraszka trwa już szereg godzin. A tymczasem było to pół godziny

dopiero. Dziewczynka nie była już przytomną istotą ludzką, lecz stworzeniem oszalałym z trwogi, niemniej szalonym, niż jej prześladowca. Ten gonił ją po całym kościele z niezrównaną wytrwałością. Wreszcie znalazła się przy portalu i, zrozpaczona, zatrzasnęła mu przed nosem wewnętrzne drzwi, które zwykle zostawiano otworem. Ostatnim wysiłkiem oparła się o ciężkie podwoje, usiłując zabarykadować je niewielkim ciężarem swego ciała. Gdy tak walczyła, usłyszała... nie! to chyba sen?! Tadzia głos doszedł jej uszu z poza zewnętrznych drzwi.

— Emilko, Emilko... czy jesteś tutaj?

Nie wiedziała, którądy przyszedł, jak się to dzieje, że jest przy niej. Wiedziała tylko, że *jest!*

— Tadzium, jestem zamknięta w kościele! — krzyknęła — jest tutaj Szalony pan Morrison, och... przedko... przedko... ratuj mnie, ratuj mnie!

— Klucz wisi na gwoździu po prawej stronie! — wrzasnął Tadzio przez drzwi. — Czy możesz dosięgnąć i otworzyć? W przeciwnym razie, wybiję szybę.

W tym-że momencie chmury rozdarły się, zajaśniał księżyc. Emilka zobaczyła wielki klucz, wiszący na ścianie przy głównym wejściu. Skoczyła i dosięgnęła go, a w tejże chwili Szalony Morrison otworzył drzwi wewnętrzne i wtargnął do przedsionka, jego pies za nim. Emilka zdążyła otworzyć zewnętrzne drzwi i wypadła za nie prosto w ramiona Tadzia, w samą porę, gdyż już, już dosięgał jej włosów Morrison swą krostowatą ręką. Słyszała jego dziki, rozpaczony pełen krzyk. Była ocalona.

Łkając, drżąc na całym ciele, tuliła się do Tadzia.

—Och, Tadzium, zabierz mnie stąd. Przedko... przed-

ko... nie pozwól mu dotknąć mnie, Tadzio, nie pozwól mu dotknąć mnie...!

Tadzio stanął przed nią z rozpostartymi ramionami i spojrzał prosto w oczy szaleńcowi.

— Jak pan śmiał przerazić ją do tego stopnia? — spytał ostro.

Stary Morrison uśmiechnął się głupio. Nie był już gwałtowny, ani dziki, był znowu starcem o złamanem sercu, szukającym swego ukochania.

— Pragnę ujrzeć Aneczkę — szepnął — gdzie jest Aneczka? Sądziłem, że już tym razem ją znalazłem. Chciałem tylko odnaleźć moją cudną Aneczkę.

— Tu niema Aneczki — odrzekł Tadzio, ujmując mocno zimną rączkę Emilki.

— Czy możesz mi powiedzieć, gdzie jest Aneczka? — pytał tajemniczo, poufnie pan Morrison. — Czy możesz mi powiedzieć, gdzie jest moja ciemnowłosa Aneczka?

Tadzio był oburzony na pana Morrisona za przestkach Emilki, którego szaleniec był powodem, ale ta rozpacz wzruszyła go. Zbudził się w nim artysta. Odczuł malowniczość tej sceny na tle kościołka, opromienionego światłem księżyca. Pomyślał, że chętnie namalowałby Morrisona tak, jak stoi przed nim, wysoki, chudy, w wyszarzanem ubraniu, z długimi włosami i długą brodą i tą głęboką ludzką prośbą błagalną na dnie podkrążonych, zapadłych oczu.

— Nie... nie... nie wiem, gdzie ona jest — odrzekł łagodnie — Ale sądzę, że ją pan kiedyś odnajdzie.

Morrison westchnął.

— O, tak. Wkońcu ja zwycięzę, nie Aneczka. Chodź, mój piesku, pójdziemy jej szukać.

Zszedł ze stopni kościółka i powlókł się, prowadząc za sobą swego psa. W tej-że chwili wyszedł z obrębu życia Emilki. Nigdy już nie zobaczyła pana Morrisona. Ale patrzyła za nim łagodnie, rozumiała go i przebaczyła mu. Dla siebie samego nie był on wstrętnym starcem, jakim był dla niej. On mniemał, że jest wciąż jeszcze młodym, pełnym galanterji narzeczonym, małżonkiem, szukającym swej utraconej oblubienicy. Piękno jego wierności i modlitwy, jaką dojrzała w jego oczach, wzruszyło ją, jakkolwiek nie ochłonęła jeszcze zupełnie ze swego okropnego przerażenia.

— Biedny pan Morrison — zaszlochała. Tadzio poprowadził ją, zaniósł ją niemal do jednego z wielkich kamieni, znajdujących się po obu stronach kościoła.

Usiedli. Emilka stopniowo odzyskiwała spokój.

Czuła, że nie zdoła nigdy opowiedzieć, ani nawet opisać w księdze Jimmy'ego, całej grozy ubiegłych godzin. *To* nie dawało się oddać słowami.

— I pomyśleć — załkała — że ten klucz wisiał tam przez cały czas. A ja go nie widziałam, nigdy nie zauważyłam.

— Stary Jakób Banks zawsze zamyka główne wejście od wewnątrz tym wielkim kluczem, który wieszka na ścianie z prawej strony. Tylne drzwi, od strony chóru, zamyka od zewnątrz i tamten klucz, niewielki, zabiera do domu. Zawsze tak robi od czasu, kiedy zgubił przed trzema laty ów wielki klucz i szukał go przez długie tygodnie, zanim go wreszcie odnalazł.

Nagle uprzytomniło się Emilce, jak dziwnem było to nieoczekiwane zjawienie się Tadzia o tej porze.

— Jak się to stało, że przyszedłeś, Tadziu?

— Usłyszałem, że mnie wołasz — odrzekł. —
Wołałaś mnie, czy nie?

— Tak — odrzekła Emilka powoli. — Zawołałam cię, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam pana Morrisona. Ale, Tadziu, nie mogłeś mnie słyszeć, żadną miarą! Wasz dom jest położony o milę stąd.

— Słyszałem twój głos — odrzekł Tadzio z uporem. — Spałem i twoje wołanie mnie zbudziło. Krzyczałaś: „Tadziu, Tadziu, ratuj mnie”. To był twój głos, słyszałem go tak, jakbym stał o dwa kroki od ciebie. Wstałem, ubrałem się śpiesznie i przybiegłem tutaj, jak mogłem najrychlej.

— Skąd wiedziałeś, że jestem tutaj?

— Skąd?... no, tego nie wiem — odrzekł Tadzio, zmieszany. — Nie zastanawiałem się nad tem. Prosto *wiedziałem*, że jesteś w kościele, że stąd mnie wołasz i biegłem tu, jak mogłem najszybciej. To wszystko jest bardzo... niejasne — dodał niepewnym głosem.

— To... to mnie trochę przeraża — rzekła Emilka, wzdrygając się. — Ciotka Elżbieta mówi, że ja mam dar jasnowidzenia... pamiętasz historję z matką Ilzy? Pan Carpenter mówi, że jestem dobrem medjum... nie wiem, co to *znaczy właściwie*, ale zdaje mi się, że wołałabym być czem innym.

Znowu się wzdrygnęła. Tadziowi przyszło na myśl, że jej jest zimno, a nie mając niczego, czemby ją mógł otulić, otulił ją własnem ramieniem. Uczynił to ruchem trochę wahającym, bo nie był pewien, co na to powie duma Murrayowska i godność Murrayowska. Emilce nie było zimno w fizycznym znaczeniu tego wyrazu, tylko odczuwała wielką potrzebę ciepła w

znaczeniu przyjaźni, uczucia. Coś nadprzyrodzonego, coś tajemniczego, czego nie mogła zrozumieć, przysunęło się do niej zbyt blisko, aby nie wyrzucić wstrząsającego wrażenia na jej przewrażliwionej duszyczce. Mimowoli przytuliła się do Tadzia, czując instynktownie, ile chłopięcej czułości kryje się za tą chłopięcą nieśmiałością. Uświadomiła sobie w tej chwili, że kocha Tadzia bardziej, niż kogokolwiek na świecie, jeszcze bardziej, niż ciotkę Laure, albo Ilzę, albo Deana.

Tadzio rozluźnił nieco swój uścisk.

— W każdym razie szczęśliwy jestem, że przybyłem w porę — rzekł. — W przeciwnym razie ten stary, nieszczęsny szaleniec byłby cię przeraził na śmierć.

Siedzieli przez kilka minut w milczeniu. Wszystko dokoła wydawało się cudne, trochę nierzeczywiste. Emilce zdawało się, że to sen, że to jedna z jej własnych bajek. Burza minęła zupełnie, a księżyc jaśniał teraz pełnym blaskiem. Słyszać było w ciszy nocnej spadanie dużych kropel z dachu kościelnego, szept Królowej Wichrów, daleki szum morza, a od czasu do czasu pomruki nocy, odgłosy tajemnicze, a dziwne. Emilka słyszała je raczej uszami duszy, niż ciała. Jakaś sowa zaśmiała się radośnie na wierzchołku sosny. Na ten magiczny dźwięk rozbłysnął w duszy Emilki ów mistyczny „promyk”. Doznała wrażenia, że Tadzio i ona są sami na wielkim, cudownym świecie, zupełnie odnowionym, innym, niż ten świat, na którym żyli dotychczas, świecie, stworzonym dla nich jedynie, dla młodości, rozkoszy i radości. Oni sami byli w jej odczuciu częścią tej chłodnej, srebrzystej nocy, tego śmiechu sowy, rozkwitu stokrotek, woniejących a niewidzialnych.

Tadzio zaś uważał, że Emilka ślicznie wygląda w świetle księżyca, zachwycał się jej ciemnymi lokami, jej śnieżną szyją i wielkimi, tajemniczy pełnymi oczami. Objął ją nieco mocniej ramieniem, a duma Murrayowska i godność Murrayowska nie zaprotestowały i tym razem.

— Emilko — szepnął Tadzio — jesteś najśłodsza dziewczynką na świecie.

Te słowa zostały wyszeptane tyle razy przez tylu chłopców do ucha tylu dziewcząt, że powinny być niemal zabronione. Ale gdy się je słyszy po raz pierwszy, w magicznej godzinie przed rokiem dwudziestym, są one tak nowe, oryginalne i przecudowne, jakgdyby zostały wykradzione z raju. Starsze panie, bądźcie szczerze, przyznajcie, że kiedy usłyszałyście ongi owe słowa po raz pierwszy w życiu z ust jakiegoś nieśmiałego wielbiciela, zadrżałyście ze wzruszenia i że była to wielka chwila w waszym życiu. Emilka doznała uczucia dziwnej słodyczy, była oszołomiona i przerażona zarazem. Wrażenie to było dla jej serca tem, czem „promyk” był dla jej ducha. Emilce przyszło na myśl, że Tadzio jest jej tak bliski, jakgdyby był jej braciuzkiem, że powinni się pocałować, jak brat i siostra. Tadzio jednocześnie myślał to samo. Ale do tego nie doszło.

Jakiś cień sunął od bramy i kierował się ku nim przez ogródek, okalający kościół. Cień ten zbliżył się do nich i dotknął ramienia Tadzia. Emilka spojrzała. Pani Kent stała przy nich, bez kapelusza i patrzyła na nich wzrokiem tragicznym, co podkreślał jeszcze bardziej jaskrawy blask księżyca.

Emilka i Tadzio zerwali się na równe nogi, jakby

za pociśnięciem sprężyny. Wyśniony, cudowny świat Emilki zniknął... Znów była na zwykłym świecie, i to na nedorzecznym, śmiesznym. Tak jest, śmiesznym był ten świat, w który ją wprowadzała stale obecność pani Kent. Czy mogło coś być bardziej nedorzecznego, jak to przyłapanie jej i Tadzia przez jego matkę o drugiej w nocy na poetycznej rozmowie? Tylko pod kątem śmieszności będą na to spoglądać obcy ludzie. Jak się to dzieje, że ta sama rzecz jest taka piękna w danej chwili, a taka nedorzeczna w następnej? Była wielce zawstydzona. A Tazio... wiedziała, że Tazio czuje się bardzo nieswojo.

Dla pani Kent nie było to śmieszne. Dla niej było to okropne. Jej nienormalna zazdrość przypisywała tej niewinnej scenie tragiczne znaczenie. Patrzyła na Emilkę swemi chciwemi, głodnemi oczami.

— A zatem usiłujesz ukraść mi mego syna — rzekła. — Jest on wszystkim, co posiadam, a ty usiłujesz mi go ukraść.

— Och, matko, na miłość Boską, bądź rozsądna! — prosił Tazio.

— On mnie uczy rozsądku — zwróciła się pani Kent tragicznym tonem do księżycy. — Rozsądku!

— Tak, rozsądku — powtórzył Tazio gniewnie. — Niema o co robić takiego hałasu. Emilka została przypadkowo zamknięta w kościele wraz z szaleńcem Morrisonem, który ją nieomal o śmierć przyprowadził, tak ją przeraził. Przybyłem w porę, zdążyłem ją uwolnić i siedzimy tu od paru minut, czekając, aż ona ochłonie z wrażenia i będzie mogła pójść do domu o własnej sile. To wszystko.

— Skąd wiedziałeś, że ona tu jest? — spytała pani Kent.

Rzeczywiście! To było trudne pytanie. Prawda brzmiała w tym wypadku jak głupie, idjotyczne kłamstwo. Niemniej Tazio powiedział prawdę.

— Ona mnie wołała — rzekł poprostu.

— A ty usłyszałeś, będąc o milę oddalony? Czy sądzisz, że w to uwierzę? — spytała pani Kent, śmiejąc się dzikim śmiechem.

Emilka odzyskała przez ten czas równowagę. Emilja Byrd Starr nie bywała nigdy zakłopotana dłużej, niż parę minut. Wyprostowała się dumnie i mimo swe Starrowskie rysy twarzy wyglądała, jak niezawodnie wyglądać musiała przed trzydziestu kilku laty, Elżbieta Murray.

— Czy pani w to wierzy, czy nie, niemniej jest to prawdą — rzekła wyniośle — ja nie kradnę pani syna... nie jest mi potrzebny... może odejść.

— Przedewszystkiem odprowadzę cię do domu, Emilko — rzekł Tazio. Skrzyżował ramiona, głowę odrzucił wtył i usiłował wyglądać równie imponująco jak Emilka. Czuł dobrze, że mu się to nie udaje, ale pani Kent zaimponowała naprawdę tą postawą. Zaczęła płakać.

— Idź, idź — rzekła. — Idź z nią, unikaj mnie.

Teraz gniew wstąpił w Emilkę. Skoro ta nierozsądna kobieta uparcie dążyła do „sceny”, dobrze będzie ją miała.

— On nie jest mi potrzebny — powtórzyła lodowatym tonem. — Taziu, idź z twoją matką.

— Ach, więc teraz ty mu rozkazy wydajesz — zawołała pani Kent, tracąc wszelkie panowanie nad

sobą. Ciałem jej wstrząsały gwałtowne łkania. Załamała rękę.

— Niech on sam wybiera — krzyknęła — niech idzie z tobą, albo niech wraca ze mną. Wybieraj, Tadziu, wybieraj, ty sam! Nie musisz wykonać jej woli. Wybieraj! — dramatycznym gestem wyciągnęła ramię ku biednemu Tadziowi.

Tadzio czuł się bezsilny i zażenowany, jak każdy przedstawiciel rodu męskiego, ilekroć dwie niewiasty kłóć się o niego w jego obecności. Byłby pragnął być o tysiąc mil dalej. Cóż za los nieszczęsny być świadkiem takiej sceny, której się jest zarazem głównym bohaterem, być ośmieszonym w ten sposób wobec Emilki! Dlaczego, u Boga, nie może jego matka zachowywać się tak, jak matki innych chłopców? Dlaczego musi być taka przeczulona i wyłączna? Wiedział, że w Czarnowodzie szeptano, iż jest ona „postrzelona”. On w to nie wierzył. Ale teraz stawiała go w położeniu, w którym normalna matka nie postawiłaby syna, przynigdy! Tadzio wiedział, że jeśli odprowadzi Emilkę, matka jego będzie płakać i modlić się po całych dniach i nocach. A z drugiej strony porzucić Emilkę na pastwę losu! dać jej iść samej opustoszałą szosą po strasznym przeżyciu tej nocy, to było nie do pomyslenia! Ale panią sytuacji była teraz niepodzielnie Emilka. Była bardzo rozgniewana, tym lodowatym gniewem starego Hugona Murraya, który nie rozprasał się na próżną gadaninę, lecz zmierzał prosto do celu.

— Jest pani głupią, samolubną kobietą — rzekła. — I doprowadzi pani swego syna do tego, że będzie nienawidził własną matkę.

— Samolubna? Ja? — jęknęła pani Kent. — Żyję tylko dla Tadzia, on jest wszystkim dla mnie.

— Jest pani samolubna — odparła Emilka. Stała, wyprostowana, oczy jej były prawie czarne, głos jej krajał. W twarzy jej było „murrayowskie spojrzenie”, a w tem oświetleniu wyglądało to istotnie groźnie. Sama się dziwiła, mówiąc, skąd wie niektóre rzeczy.

— Pani się zdaje, że pani go kocha, a pani kocha siebie samą. Postanowiła pani zniszczyć mu życie. Nie pozwala mu pani pojechać do Shrewsbury, bo przykro pani będzie rozstać się z nim. Zazdrość pożera pani serce, nie panuje pani nad sobą. Nie umie pani znieść najmniejszej przykrości dla jego dobra. Nie jest pani matką bynajmniej. Tadzio ma wielki talent, wszyscy to mówią. Powinna pani być dumna z niego, powinna mu pani dać możność kształcenia się. Ale pani nie chce tego i przyjdzie dzień, w którym on panią znenawidzi.

— Nie, nie — jęknęła pani Kent. Wyciągnęła rękę, jakgdyby się zasłaniała od widma tej nienawiści. — Och, jesteś okrutna, okrutna. Nie wiesz, ile ja przecierpiałam, nie wiesz, jaki ból jest w mojem sercu. On jest wszystkim, co posiadam, wszystkim. Nie mam niczego więcej, nawet wspomnień. Ty nie rozumiesz, nie możesz zrozumieć. Ja nie mogę zrzec się Tadzia...

— Jeżeli zazdrość będzie panią zaślepiać nadal, utraci go pani — rzekła Emilka, nieubłagana. Zawsze bała się pani Kent dotychczas. Teraz przestała jej się bać i wiedziała, że już nigdy bać się jej nie będzie. — Pani nienawidzi wszystko to, co on kocha, nienawidzi pani jego przyjaciół, jego psa i jego rysunków. Wiem,

że tak jest. Ale tem go pani nie przytrzyma, Mrs. Kent. Dojdzie pani sama do tego wniosku, gdy już będzie za późno. Dobranoc, Tadius. Dziękuję ci, że przyszedłeś mi z pomocą. Dobranoc, Mrs. Kent.

„Dobranoc” Emilki było bardzo stanowcze. Odwróciła się i szła, nie oglądając się za siebie. Z początku czuła tylko wielki gniew, potem ogarnęło ją zmęczenie, ogromne zmęczenie. Zdała sobie sprawę, że miotają nią dreszcze. Osłabienie jej zwiększało się z każdą minutą. Co robić? Nie uśmiechała jej się myśl powrotu do Srebrnego Nowiu. Emilka czuła, że nie będzie mogła spojrzeć w oczy ciotce Elżbiecie, o ile wyjdą na jaw rozliczne skandale, których ona, Emilka, była ośrodkiem tej nocy. Zwróciła się więc w kierunku domu dra Burnleya. Tam drzwi nie były nigdy zamknięte na klucz. Emilka wsunęła się do hall'u, gdy już świtało. Zbyteczne byłoby budzić Ilzę. Opowie jej zrana swoją przygodę i zobowiąże ją do milczenia. Nie powtórzy jej tylko jednego zdania Tadzia, ani rozmowy z panią Kent. Tamto było zbyt piękne, a to zbyt nieprzyjemne. Rzecz jasna, że pani Kent nie była taką kobietą, jak inne i nie należało brać jej tego za złe... Niemniej zepsuła, spłoszyła moment wielkiego piękna, przecięła swemi głupstwami najcudniejszy nastrój, spełnienie nieświadomych marzeń dziewczęcych. A biedny Tazio czuł się oczywiście jak głupiec i tego głównie nie mogła jej Emilka przebaczyć.

Usypiając, przeżywała jeszcze raz w myśli wypadki ostatnich kilku godzin. Jj uwięzienie w kościele... okropne wrażenie, kiedy dotknęła psa... stokroć gorsze, gdy zaczęła się pogoń za nią szaleńca - Morri-ssona... ocalenie dzięki Tadiowi... krótka sielanka

przy świetle księżyca... tragikomiczne wtargnięcie matki Tadzia, biednej, chorobliwie zazdrosnej pani Kent.

— Mam nadzieję, że nie byłam dla niej zbyt twarda — rozmyślała Emilka. — Jeżeli tak, to żałuję... Będę musiała to zanotować, jako zły uczynek, w moim dzienniku. Czuję się, jakby mi przez tę jedną noc dużo lat przybyło. Dzień wczorajszy wydaje mi się o lata całe odległy... Ale jaki to da rozdział dziennika! Opiszę wszystko, wszystko... z wyjątkiem tego, co powiedział Tadzio: że jestem najśodsza dziewczynką na świecie. To jest zbyt... kochane... ażeby to napisać. O tem będę poprostu *pamiętać*.

4.

„JAK NAS WIDZĄ INNI LUDZIE”

Emilka ukończyła szorowanie podłogi kuchennej i zajęta była sypaniem na nią piasku w piękny i skomplikowany deseń, który był jedną z tradycyj Srebrnego Nowiu, jako wynalazek pra-prababki, słynnej ze swego „tu pozostanę”. Ciotka Laura nauczyła Emilkę, jak to robić; dziewczynka dumna była z tej umiejętności. Nawet ciotka Elżbieta raczyła uznać, że Emilka wywiązuje się z zadania nader dobrze, a gdy ciotka Elżbieta chwaliła, wszelkie inne komentarze były zbyteczne. Srebrny Nów był jedynym domem w Czarnowodzie, gdzie sypano piasek na podłogę; inne panie domu już oddawna przyjęły nowsze sposoby utrzymywania w czystości podłóg i bielienia ich,

częstokroć były to sposoby mechaniczne. Ale panna Elżbieta Murray nie chciała słyszeć o niczem podobnem. Dopóki ona będzie panią Srebrnego Nowiu, dopóty będą tu płonęły świece co wieczór, dopóty będą podłogi posypywane piaskiem.

W chwili, kiedy Emilka kończyła swą robotę i odstawiała na bok, pod okno, naczynie z piaskiem, usłyszała dziwne głosy w sieni. Rzuciła okiem przez okienko i stwierdziła, że właścicielkami tych głosów są panna Salomea Potter i pani Anna Cyrylla Potter, które niewątpliwie przyszły w sprawie projektowanej Pomocy Społecznej Kobiet. Przychodziły kuchennem wejściem, jak to było zwyczajem w Czarnowodzie, gdy odwiedziny były nie-bezinteresowne: idąc do sąsiadów po informacje, lub w sprawie finansowej, handlowej, lub społecznej, wchodziło się wejściem „dla służby”.

Pani Anna Cyrylla zapukała dwukrotnie. Ale Emilka z rozporządzenia ciotki Elżbiety miała na sobie do szorowania kuchni przedpotopowy szlafrok ciotki Laury, nie mniej śmieszny, jak ongi „dzidziusiowaty fartuch” i ani myślała pokazać się w tym stroju obcym przybyszom. Czekala więc, aż ciotka Elżbieta usłyszy pukanie i otworzy, a ona wymknie się do swego pokoju, gdzie będzie mogła przebrać się w odzież bardziej współczesną.

Panna Potter była szczupłą, zjadliwą plotkarką, która nikogo właściwie nie lubiła, a Emilki wręcz niecierpiała. Pani Anna Cyrylla była krępą, ładniutką osobką, również lubiącą plotki. Ponieważ była uprzejma i łagodna napozór, wyrządzała więcej złego w przeciągu tygodnia, niż panna Potter w ciągu

roku. Emilka nie miała do niej zaufania, chociaż mimowoli ją lubiła. Nieraz słyszała, że pani Anna wyśmiewała się z ludzi, wobec których była czarująco miła i słodka, a zwłaszcza wyszydzała chętnie śmieszności zewnętrzne, niewłaściwy sposób ubierania się innych kobiet: pochodziła z rodziny krawieckiej z Gęsiego Stawu.

Ponowne pukanie. Tym razem pukała panna Potter, Emilka poznała jej „staccato”. Niecierpliwily się. Mogą pukać do wieczora, postanowiła Emilka. Nie otworzy drzwi w tym staroświeckim szlafroku. Wtem usłyszała głos Perry’ego, który wyjaśniał obu paniom, iż panna Elżbieta jest za szopą i zrywa maliny. On pójdzie po nią, a tymczasem niech panie zechcą wejść i rozgościć się w kuchni. Ku rozpaczcy Emilki tak się też i stało. Ukryła się za kominem. Panna Potter usiadła, krzesło zatrzeszczało, pani Potter usiadła, suknie jej zaszeleściły. Emilka zdawała sobie sprawę, że jest w pułapce. Było jej bardzo gorąco i duszno. Miała nadzieję, że Perry niebawem odszuka ciotkę Elżbietę.

— Ależ tu gorąco — rzekła, jękliwie pani Anna Cyrylla.

Biedna Emilka... nie, nie nazywajmy jej biedną Emilką. Postąpiła bardzo niemądrze i nie zasługuje na współczucie. Emilka podzielała zdanie pani Potter.

— Ja mniej odczuwam upał, niż tęgie osoby — rzekła panna Potter. — Mam nadzieję, że Elżbieta nie każe nam długo czekać. Słyszę kroki Laury na strychu. Ale z nią niema co mówić, Elżbieta nie uszanuje żadnej obietnicy siostry, chociażby dlatego, że

to nie ona przyrzekła, tylko Laura. Widzę, że podłoga jest świeżo posypana piaskiem. Patrz, jakie tu wszystko zniszczone. Elżbieta powinna odnowić tę kuchnię, ale jest na to zbyt skąpa. Patrz na te świece, przygotowane na wieczór, dlatego tylko, że troszkę nafty za drogo musiałyby kosztować. Hm, niemniej nie zabierze swych pieniędzy do trumny ze sobą, będzie zmuszona pozostawić je na ziemi, chociaż jest Murrayówną.

Emilka doznała wstrząsu. Zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy od owego pamiętnego wieczoru w Borze Majowym podsłuchuje cudzą rozmowę. Wówczas czyniła to rozmyślnie, bo wujowie i ciotki radzili nad jej losem, nad całą jej przyszłością, więc, ukryta pod stołem, usiłowała dowiedzieć się o ich decyzji o 12 godzin wcześniej. Teraz zrobiła to przypadkiem, ażeby nie pokazać się w komicznym wedługu niej stroju. Ale to nie zmieniało postaci rzeczy: panna Potter będzie nadal mówić swe złośliwości, nie wiedząc o podsłuchu, a Emilka wykrada cudze tajemnice, jakkolwiek to nie było jej zamiarem. Emilka była bardzo zła na pannę Potter: ciotka Elżbieta nie jest skąpa! A zresztą czy to jej rzecz? Emilka często sama krytykowała ciotkę Elżbietę, ale w duchu, bez słów. A słyszeć, że ją krytykuje ktoś obcy, nie, to było nie do zniesienia! A ten przytyk do Murrayów! Emilka wyobrażała sobie błysk w oczach panny Potter, gdy to mówiła. A co do świec...

— Murrayowie więcej widzą przy świetle świec, niż pani przy najintensywniejszym świetle dziennym w słoneczny, letni dzień, panno Potter — myślała Emilka z pogardą, a przynajmniej z tą pogardą, na

którą stać człowieka zlanego potem od stóp do głów i oddychającego z trudem.

— Sądzę, że ze względu na koszt nie zechce ona posyłać Emilki do szkoły od przyszłego roku począwszy — rzekła pani Anna Cyrylla. — Przeważnie uważają, że ona powinna wysłać ją na rok do Shrewsbury, chociażby ze względu na ich dumę rodzinną. Ale słyszałam, że stanowczo się temu sprzeciwiła.

Emilce serce zabiło gwałtownie. Do tej chwili nie była pewna, że ciotka nie wyśle jej do Shrewsbury. Łzy trysnęły jej z oczu, piekące, obfite łzy rozczarowania.

— Emilka powinna mieć fach w rękę — rzekła panna Potter. — Jej ojciec nie zostawił ani grosza.

— Zostawił *mnie* — rzekła Emilka przez zaciśnięte zęby. Gniew osuszył jej łzy.

— Och! — rzekła pani Anna Cyrylla, śmiejąc się drwiąco. — Emilka zamierza podobno zarabiać na utrzymanie, pisząc powieści i nowele. Jak słyszałam, wyobraża sobie, że to jej da nawet majątek, nietylko utrzymanie.

Znowu się roześmiała. Ta myśl była taka zabawna! Pani Anna Cyrylla oddawna nie słyszała niczego równie zabawnego.

— Mówią, że ona traci dnie całe nad tą pisaniną — przytaknęła panna Potter. — Gdybym ja była jej ciotką, rychłoby ją wyleczyła z tej niedorzeczności.

— Nie byłoby to łatwym zadaniem. Ona zawsze była trudna do prowadzenia, uparta, jak przystało na wnuczkę Murrayów. Ten cały klan Murrayowski wyróżnia się oślim uporem.

(*Emilka, rozsierdzona:* — Cóż za sposób wyrażania się o nas, pozbawiony szacunku! Ach, gdybym nie miała na sobie tego szlafroka, stanęłabym przed niemi i zażądałabym wyjaśnień!)

— Ona powinna być krótko trzymana, ja znam się na ludziach — ciągnęła dalej panna Potter. — Będzie flirtować, gdy dorośnie, to widać odrazu. Będzie powtórzeniem Julki. Zobaczysz! Przewraca oczami do każdego, kto na nią spojrzy!

(*Emilka, ironicznie:* — Nieprawda! A matka moja nie flirtowała z nikim. Byłaby mogła, ale nie robiła tego. A wy możebyście i chciały, ale nie mogłybyście flirtować, wy, szanowne matrony!!)

— Ona nie jest taka ładna, jak była Julka. Jest bardzo podstępna i przebiegła. Pani Dutton mówi, że nigdy nie spotkała przebieglejszego dziecka. Ale niektóre rzeczy podobają mi się w biednej Emilce.

Ton pani Anny Cyrylli był nader protekcyjnalny. „Biednej!”. Emilka zgrzytnęła zębami.

— Czego w niej nie lubię, to jej próżności — rzekła panna Potter stanowczo. — Ona wciąż mówi mądre rzeczy, przeczytane w książkach i podaje je za swoje pomysły.

(*Emilka, urażona:* — Nieprawda!)

— Jest bardzo ironiczna i zjadliwa, a pyszna jak sam Lucyfer — zakończyła panna Potter.

Pani Anna Cyrylla roześmiała się znowu pobłażliwie i łagodnie.

— To są cechy nieuniknione w Murrayównie. Największą ich wadą jest przeświadczenie o ich niezawodnej wyższości nad wszystkimi innymi ludźmi, a Emilka pełna jest tego mniemania o sobie. Jej się

wydaje, że mogłaby nawet lepiej odprawiać nabożeństwo, niż pan Johnson.

(*Emilka*: — To dlatego, że powiedziałam kiedyś, iż przeczył samemu sobie w jednym ze swych kazań; tak też i było. Ale słyszałam, jak pani krytykowała całe tuziny kazań, Mrs. Anno Potter.)

— Jest ona mocno zawistna — ciągnęła dalej pani Anna Cyrylla. — Nie znosi czyjejs wyższości, musi być pierwszą we wszystkim. Z pewnością wylewa teraz gorzkie łzy, ponieważ na koncercie przed paru dniami Ilza Burnley zbierała oklaski za deklamację. Emilka bardzo marnie deklamowała, ona nie jest zdolna. A wciąż stawia czoło starszym osobom. Byłoby to zabawne, gdyby nie świadczyło o złem wychowaniu...

— Dziwne, że Elżbieta nie tępi w niej tego rysu. Murrayom zdaje się, że ich edukacja jest ponad wszelką krytyką — rzuciła panna Potter.

(*Emilka*: — Tak też jest w istocie.)

— Liczne wady Emilki pochodzą zresztą z jej zażyłości z Ilzą Burnley — rzekła pani Anna Cyrylla. — Nie powinna na to pozwalać panna Elżbieta. Mówią, że Ilza jest równie niewierząca, jak jej ojciec. Słyszałam, że ona nie wierzy w Boga, ani w diabła.

(*Emilka*: — Co jest gorszem przestępstwem w pani oczach?)

— No, doktor traktuje córkę trochę lepiej od czasu, kiedy wykrył, że jego cenna małżonka nie uciekła z Leonem Mitchellem — zasyczała panna Potter. — Posyła ją do szkółki niedzielnej. Ale to nie jest towarzyszką dla Emilki. Klnie jak grenadjer,

podobno. Pani Markowa Burns była u doktora niedawno i słyszała wyraźnie, jak Ilza powiedziała: „Przeklęty łobuzie”, zwracając się do psa.

— Mój Boże, mój Boże! — wzdychała pani Anna Cyrylla.

— Czy wiesz, co ja widziałam w zeszłym tygodniu?... Widziałam na własne oczy! — Panna Potter powiedziała to z wielkim patosem. Pani Anna nie powinna przypuszczać, że ona widuje coś cudzemi oczami.

— Nie zdziwisz mnie niczem — rzekła słodko pani Anna. — Powiadają, że ona należała do tej kocięj muzyki, urządzonej Johnsonowi w zeszły wtorek; przebrana była za chłopca.

— Całkiem słusznie. Ale to, co ci opowiadam, zdarzyło się na mojem podwórzu. Była tam z Jennie Strang, która przyszła do mnie po róże dla swojej matki. Zadałam Ilzie pytanie, czy umie szyć i gotować. Odpowiedziała: nie, bez najmniejszego wstydu, a potem spytała: ...no, jak myślisz, co za pytanie mi zadała ta dziewczyna?

— Skądże mam wiedzieć! No, jakie? — spytała pani Anna bez tchu.

— Trudno mi powtórzyć... Posłuchaj: stanęła na jednej nodze i zapytała, mrużąc oczy: a czy pani umie, stojąc na jednej nodze, podnieść drugą do wysokości czoła, panno Potter? Nie? A ja umiem! I... — panna Potter łyknęła ślinę parę razy — *zrobiła to!*

Emilka stłumiła głośny wybuch śmiechu. Wiedziała, że Ilza lubi gorszyć pannę Potter.

— Boże wielki, czy był obecny jakiś mężczyzna? — spytała pani Anna.

— Na szczęście, nie. Ale ja byłam obecna, to wystarcza. A przytem Ilza byłaby to zrobiła w obecności samego pastora. Stałyśmy tuż przy drodze, mógł ją widzieć ktoś z przechodniów. Zawstydziłam się okropnie. Za moich czasów byłaby raczej umarła młoda dziewczyna, zanimby się zdecydowała na podobny gest.

— Nie widzę w tem nic gorszego, niż ich przechadzka, Emilki i Ilzy, całkiem nago, nad brzegiem morza, przy świetle księżyca — rzekła pani Anna. — To był chyba największy skandal. Czy słyszałaś o tem?

— Tak, ta historia obiegła całą Czarnowodę. Wszyscy o tem słyszeli, z wyjątkiem Laury i Elżbiety. Nie mogę dociec, jak to wyszło najaw. Czy widział je ktoś?

— Nie, tak źle nie było. Ilza opowiadała o tem sama. Ona nie rozumiała, że mogło w tem być coś złego. Ja uważam, że ktoś powinien był ostrzec Laurę i Elżbietę.

— Powiedz ty im o tem — radziła panna Potter.

— Nie, nie chcę zatargów z sąsiadami. Nie jestem odpowiedzialna za głupstwa Emilji Starr. Bogu dzięki! Gdybym ja się nią opiekowała, nie pozwoliłabym jej na ciągle przebywanie z Garbusem Priestem. Jest on największym dziwakiem z całej rodziny. Pewna jestem, że on na nią wywiera wpływ ujemny. Te jego zielone oczy działają mi na nerwy. Nie mogę dociec, czy wierzy w cokolwiek.

(Emilka, znów ironicznie:— Nawet w djabła nie?)

— Opowiadają dziwną historję o nim i o Emilce — rzekła panna Potter. — Nie mogę się w tem

zorjentować. Przechadzali się w czwartek po południu na wzgórzu, patrząc w niebo. Od czasu do czasu przystawali, chwyтали się za ramiona, poczem znów chodzili oddzielnie, wpatrzeni w horyzont, na którym nic widać nie było i coś sobie pokazywali. Pani Price widziała ich ze swych okien i w głowę zachodziła, co to było. Przez całą noc nie spała, rozmyślając nad tem.

— To wszystko stąd pochodzi: Emilja Starr musi się czemś wyróżniać — rzekła pani Anna Cyrylla. — Czasami wydaje mi się, że powinnam zabronić Muriel i Gladys przebywania z nią tak często.

(*Emilka, pogodnie*: — Pragnęłabym tego gorąco. One wciąż krążą dokoła Ilzy i mnie, a są tak głupie i ograniczone, że nas zanudzają na śmierć).

— W gruncie rzeczy mnie jej żal — rzekła panna Potter. — Ona jest niemądra i zarozumiała i żaden rozsądny, przyzwoity człowiek z nią się nigdy nie ożeni. Jerzy North mówi, że odprowadzał ją raz jeden do domu i ma dosyć!

— Ale ona prawdopodobnie nie dożyje tych lat, aby mogła być serjo mowa o jej małżeństwie — odrzekła pani Anna. — Ona wygląda jak suchotnica. Doprawdy, żal mi jej.

To była przysłowiowa ostatnia kropla. Ona, Emilja Starr, córka Murrayówny, przedmiotem politowania ze strony pani Potter! Szlafrok, czy nie szlafrok, tego ścierpieć nie można! Emilka wyskoczyła nagle z za komina i stanęła przed obu paniami. Policzki miała rozpalone, oczy jej pociemniały. Panna Potter i pani Anna Cyrylla nie zdążyły zamknąć ust i tak też siedziały, jak skamieniałe, z rozchyłnemi

wargami. Zaczerwieniły się po uszy. Były oszołomione.

Emilka patrzyła na nie przez chwilę. Milczenie to było wymowne. Poczem z miną obrażonej królowej przeszła majestatycznie przez kuchnię i zniknęła za drzwiami saloniku, a równocześnie ciotka Elżbieta wchodziła do kuchni ze strony sieni, przeprasząc z godnością, że tak długo dała na siebie czekać. Panna Potter i pani Anna Cyrylla tak były zaskoczone, że z trudem przyszło im przedstawić sprawę Pomocy Społecznej, to też odeszły po krótkiej wymianie pytań i odpowiedzi. Ciotka Elżbieta nie umiała sobie wytłumaczyć ich dziwnego zachowania i doszła do wniosku, że widocznie obraziły się, ponieważ w ich pojęciu zbyt długo dała im czekać. Niebawem przestała o nich myśleć. Członek rodu Murrayów nie może długo rozmyślać nad uczuciami i myślami Potterów. Nie wiedziała, że Emilka leży w swym pokoiku na łóżku i płacze i szlocha z upokorzenia i wstydu. Czuła się dotknięta i zraniona w swej dumie. Wszystko to było skutkiem jej głupiej próżności, wiedziała o tem sama, ale też kara była surowa!

Słowa panny Potter mniej ją obeszły, ale subtelniejsze żądło pani Anny ubodło ją boleśnie. Lubiła dotychczas ładną, uprzejmą panią Annę, która zawsze była dla niej taka miła, życzliwa napozór i mówiła jej same komplementy. Sądziła, że pani Anna lubi ją naprawdę. A teraz usłyszała, co ona o niej myśli i i mówi!

— Czyż nie mogły powiedzieć o mnie ani jednej rzeczy dodatniej? — szlochała. — Och, czuję się *zbrukana*... zarówno moją własną głupotą, jak ich niego.

dziwością. Czy wydzwignę się jeszcze kiedykolwiek z tego upokorzenia?

Poczuła się „oczyszczona” dopiero po opisanii tego zdarzenia w swoim dzienniku. Wtedy nabrała otuchy i wezwała na pomoc filozoficzny światopogląd.

Pan Carpenter powiada, że każde doświadczenie wzbogaca naszą wiedzę życiową — pisała. — Powiada: *każde* doświadczenie, mniejsza o to, czy dodatnie, czy ujemne. Tylko musimy na nie spoglądać obiektywnie, chłodno. Jest to — dodaje z goryczą — *zasada*, którą głoszę przez całe życie, a nie doszedłem jeszcze do umiejętności stosowania jej w praktyce.

Dobrze, spróbuję spojrzeć na dzisiejsze zdarzenie chłodno i obiektywnie! A zatem muszę rozpatrzyć wszystko to, co zostało powiedziane o mnie i uznać, ile w tem jest prawdy, a ile niesprawiedliwości, ile zaś rozmyślnego oszczerstwa, co jest chyba gorsze, niż niesprawiedliwość.

Pierwszy mój postępek, *zły*: nie powinnam była ukryć się za kominem. Drugim złym uczynkiem było zjawienie się nagle przed oczami tych pań. Skoro już tak długo wysiedziałem za kominem, powinnam była wytrwać tam do końca. Ale cóż, nie mogę jeszcze zdobyć się na zupełny obiektywizm, bo cieszę się *najszczerzej*, że to właśnie zrobiłam! Cieszę się, chociaż mnie zobaczyły w tym szlafroku. Nigdy nie zapomnę ich twarzy w tym momencie! Zwłaszcza twarzy pani Anny. Panna Potter niebawem się pocieszyła, powie z pewnością, że dobrze mi tak, ale pani Anna będzie niepoczyszona do grobowej deski, że została przypadkowo *zdemaskowana*.

A teraz zrobmy przegląd ich uwag o Emilji Byrd

Starr. Czy zasłużyła wyżej wymieniona Emilja Byrd Starr na tak surową krytykę? Bądź uczciwa, Emilko, wejrzyj w siebie i staraj się poznać swe błędy. Patrz na siebie taką, jaką jesteś w istocie, a nie taką, jaką cię widzi panna Potter, albo taką, jaką ty się widzisz zazwyczaj.

(Zdaje mi się, że to będzie interesujące!)

Po pierwsze, pani Anna powiedziała, że jestem uparta.

Czy rzeczywiście?

Wiem, że jestem stanowcza, że ciotka Elżbieta nazywa to uporem. Stanowczość jest zaletą, a upór jest wadą. Osoba uparta przeważnie nie rozumie własnej głupoty, bo trzeba być głupim, żeby się upierać przy swoim; poza tem uprawia upór jako sztukę dla sztuki. Człowiek uparty usiłuje przebić głową ścianę.

Nie, ja nie jestem uparta.

Panna Potter powiedziała, że ja lubię flirtować. To jest nieprawda, nie będę się nawet zastanawiać nad tem. Ale powiedziała też, że „przewracam oczami”. Czyżby? Chyba nie. Nie rozmyślnie, tego jestem pewna. Ale podobno można przewracać oczami bezwiednie, więc jak to zrobić, żeby temu zapobiec na przyszłość? Nie mogę chodzić po świecie ze spuszczo-nemi oczami. Dean powiedział przed paru dniami:

— Gdy tak patrzysz na mnie, Gwiazdeczko, nie mogę ci odmówić niczego.

A ciotka Elżbieta była niezadowolona w zeszłym tygodniu, bo, jak twierdziła, patrzyłam na Perry’ego „niewłaściwie”, prosząc go, żeby poszedł

ze mną na zabawę, urządzaną przez kursa niedzielne. (Perry nienawidzi tego rodzaju zabaw).

Zdaje mi się, że w obu wypadkach byłam bezwiednie *zalotna*.

Pani Anna Cyrylla mówi, że nie jestem ładna. Czy to prawda?

Emilka odłożyła pióro, podeszła do zwierciadła i spojrzała w nie „objektywnie”. Czarne włosy... purpurowe usta... ciemne, głębokie oczy... Nieźle. Czoło zbyt wysokie, ale można je przysłonić włosami. Cera bardzo biała, policzki ongi blade, były teraz delikatnie zaróżowione, jak koncha perłowa. Usta zbyt szerokie, ale ładne zęby. Śpiczaste uszy nadają jej pewien wdzięk małego fauna. Szyja ma linje, które jej samej się podobają, niema na to rady. Smukła, dziecięca figurka jest zgrabna. Pęciny i stopy ma Shipleyowskie, to jej powiedziała ciotka Nancy. Emilka patrzyła bardzo poważnie na Emilkę - w - Zwierciadle, poczem powróciła do swego dziennika.

„Doszłam do wniosku, że nie jestem ładna” — pisała. — Zdaje mi się, że mogę ładnie *wyglądać*, gdy jestem dobrze uczesana, ale prawdziwie ładna dziewczynka wygląda ładnie, chociaż jest źle uczesana. Tak więc na tym punkcie pani Anna ma słuszność. Ale pewna jestem, że nie jest tak źle, jak ona daje do zrozumienia.

Potem powiedziała, że jestem przebiegła i podstępna. Czy rzeczywiście? Nie. Ale dlaczego ludzie mniemają, że ja jestem przebiegła? Ciotka Ruth zawsze to podkreśla we mnie. Może to stąd pochodzi, że mam zwyczaj, gdy się nudzę, uciekać do mego własnego światka, zatraskując przed nosem obecnych

drzwi do tego światka. To jest przenośnia, ale ludzie to czują, jakgdyby to było faktem namacalnym i mają to za złe. Zresztą jest to całkiem zrozumiałe. To nie jest przebiegłość, to jest tylko samoobrona. Oni to źle nazywają. Więc o to nie będę się troszczyć.

Panna Potter powiedziała rzecz obrzydliwą: jakobym podawała mądre zdania, przeczytane w książkach, za moje własne. To jest stanowczo kłamstwo. Doprawdy, nigdy nie staram się popisywać mądrością. Ale usiłuję czasem usłyszeć, jak brzmi coś, co pomyślałam, gdy ubrać to w słowa. Może to jest pewna chęć popisania się? Muszę na to uważać.

Zawistna: nie, nie jestem zawistna, z pewnością. Lubię być wszędzie pierwsza, przyznaję. Ale to nie jest zawiść i nie z powodu zawiści płakałam istotnie po koncercie, na którym wyróżniono Ilzę. Płakałam, bo czułam, że ja źle się wywiązałam z zadania. Ale też rola, jaką mi wyznaczono, nie odpowiadała mi bynajmniej, a w takich razach nie umiem deklamować wierszy, jak należy. Zgodziłam się na tę rolę tylko przez wzgląd na panią Johnson i czułam się okropnie upokorzona, bo widziałam jej rozczarowanie. Duma moja ucierpiała z tego powodu niezawodnie, ale do głowy mi nie przyszło, że mogłabym być zazdrosna o powodzenie Ilzy. Byłam z niej dumna, ona grała wspaniale.

Lubię się sprzeciwiać starszym, opierać się ich woli. Tak, to jest mój wielki błąd, przyznaję. Ale ludzie mówią tyle głupstw! A zresztą dlaczego mnie nie wolno przeczyć, gdy dorośli coś powiedzą, a dorosłym wolno przeczyć, gdy ja coś powiem? A oni

ciągle to robią, chociaż mam słuszość równie często, jak oni.

Ironiczna? Tak, to też jest moją wadą. Zjadliwa? Nie. Jestem bardzo wrażliwa, więc się bronię. Pyszna? Hm, tak, jestem troszkę zbyt dumna, może to jest pycha. Ale w każdym razie mniej jest we mnie pychy, niż ludzie przypuszczają. Nie umiem trzymać głowy pochylonej i nie mogę się oprzeć pewnemu samopoczuciu, gdy pomyślę, że mam za sobą kilka pokoleń dobrych, uczciwych ludzi, mających tradycje i niemałe zasługi. Nie tak, jak Potterowie. Wyrosli jak z pod ziemi wczoraj, czy też przedwczoraj!

Och, jak te kobiety obgadują biedną Ilzę! Nie mogłyśmy wszakże spodziewać się, że ktoś podpatrzy scenę z „Lady Mackbeth”. Naturalnie, że Potterówna, czy też żona jednego z Potterów, nie wiedzą, co to jest Szekspir i nie można od nich tego wymagać. Otóż powtarzaliśmy scenę z „Mackbeth”. Ilza jest w tym nieporównana. Nigdy nie brała udziału w kociej muzyce, mówiła tylko, że byłaby chętnie należała do tego koncertu. A co do kąpieli przy świetle księżyca, to jest prawdą, ale to było tylko piękne i nie było w tym nic złego. Teraz zostało to naturalnie zbrukane przez ludzką podłość. Szkoda, że Ilza o tem wspominała.

Poszłyśmy owego wieczora na wybrzeże. Było cudnie. Zachciało nam się kąpieli, ale nie miałyśmy kostjumów kąpielowych. Usiadłyśmy więc na piasku i rozmawiałyśmy o tem i owem. Była to prawdziwa rozmowa, nie pogawędka. Zatoka leżała przed nami, srebrzysta, dostojna, tajemnicza jak ocean w cudnej bajce.

Rzekłam:

—Chciałabym wsiąść na okręt i pojechać daleko, daleko... Gdziebym wylądowała, ciekawa jestem? —

— W Europie, prawdopodobnie — odrzekła Ilza, prozaicznie według mnie.

— Nie, nie... w zaklętej krainie — odrzekłam, rozmarzona. — Gdzieś na nieznanym wybrzeżu, gdzie „nigdy deszcz nie pada i wiatr nie wieje”. Może dotarłabym do owej krainy, do której pojechał „Brylant” i nigdy nie wrócił. Dusza rwie się w dal, gdy się patrzy na srebrne wody w taką uroczą noc.

— To jest tęsknota do nieba, przypuszczam — rzekła Ilza.

I zaczęłyśmy mówić o nieśmiertelności duszy, a Ilza wyjawiała mi, że boi się nieśmiertelności. Przeraziła ją ta konieczność życia bez końca. Mówi, że z pewnością będzie okropnie zmęczona swoim własnym „ja”. Rzekłam, że mnie się podoba pogląd Deana o szeregu kolejnych istnień, różnych wcieleń tej samej duszy (nie mogłam dociec, czy on w to sam wierzy naprawdę, czy nie), a Ilza odpowiedziała, że to wszystko bardzo byłoby piękne, gdyby człowiek miał pewność, że przyjdzie na świat, jako osoba przyzwoita i uczciwa, ale jeżeli nie?...

— No, jakieś ryzyko musi być przy wszelkiej nieśmiertelności — rzekłam.

— W każdym razie — rzekła Ilza — kimkolwiek będę w następnym życiu, mam nadzieję, że nie będę miała takiego okropnego usposobienia. W przeciwnym razie podre w strzępy samą siebie. Wiesz, że mam słusność, Emilko. Wczoraj miałam znowu straszne zajście z Perrym. Pokłóciliśmy się okropnie. Ale to

moja wina. Tylko, że on mnie niepotrzebnie drażni. Takbym chciała nauczyć się panowania nad sobą.

Ja już nie zważam na gniew Ilzy. Wiem, że ona nie ma złych zamiarów, tylko jest niepohamowanie porywczą. Uśmiecham się do niej i notuję na kawałku papieru przezwiska, których wówczas używa. To doprowadza ją do takiej pasji, że trzęsie się cała i nie może słowa wymówić. Milknie więc. Poza tem jest Ilza kochanem stworzeniem i wyśmienitym kompanem.

— Nie panujesz nad swem uniesieniem, bo lubisz się gniewać — rzekłam.

— Nie, chyba nie.

— Owszem. Rozkoszujesz się swym gniewem. Zastanów się.

— Hm, możliwe — rzekła wkońcu Ilza — czasami sprawia mi to przyjemność wymyślać komuś, obzierać go przezwiskami. Masz słuszność, Emilko. Dziwne, że mi to nigdy nie przyszło na myśl. Możliwe, że gdybym była naprawdę nieszczęśliwa z tego powodu podczas ataku złości, umiałabym się opanować zawczasu. Ale potem odczuwam zawsze takie wyrzuty sumienia! Wczoraj płakałam do późnej nocy po mojej kłótni z Perrym.

— Tak, ale przedtem sprawiało ci to przyjemność. A i ten płacz był czemś przyjemnem, czy nie?

Ilza zamyśliła się.

— Możliwe, Emilko. Jesteś niesamowitą dziewczyną. Nie będziemy już rozmawiać na ten temat. Chodźmy. Wykapiemy się. Nie mamy kostjumów? Co to szkodzi. Dokoła niema żywej duszy. Nie mogę się oprzeć tym falom. Wzywają mnie.

I ja to odczuwałam, a przytem kąpiel przy świetle

księżycą wydawała mi się czemś romantycznym. I jest w tem wielki romantyzm, chociaż wszyscy Potterowie razem wzięci nie mają o tem pojęcia. Był to urzeczywistniony poemat, baśń wysniona. Wzięliśmy się w wodzie za ręce i tańczyliśmy jak dwie nimfy, a potem wyszliśmy z wody, ubrałyśmy się i poszłyśmy do domu, uszczęśliwione. Musiałyśmy tylko rozwiesić w naszych pokojach mokre spódniczki, ale nikt nas nie widział. To zdarzenie wywołało taki skandal w Czarnowodzie!

Bądź co bądź, mam nadzieję, że nie doszło to do uszu ciotki Elżbiety.

Szkoda, że pani Price straciła tyle snu z powodu Deana i mnie. Myśmy poprostu przechadzali się po Czarownej Górze i rysowaliśmy obrazy na obłokach. Może to było dziecinne, ale to taka wielka przyjemność! To właśnie lubię w Deanie, że on się nie obawia niewinnych igraszek, które mogą dać do myślenia, że jest dziecinny. Jeden obłok, który on mi pokazał, wyglądał zupełnie jak anioł, płynący po bladym, jasnym niebie i trzymający w objęciach małe dziecię. Nad głową miał błękitną aureolę i bledziuchną gwiazdkę nad czołem. Skrzydła miał lekko zaróżowione, a suknie przetykaną złotem.

— Oto Anioł Gwiazdy Wieczornej z Jutrem w ramionach — rzekł Dean.

To było takie piękne, że doznałam jednego z moich cudownych momentów. Ale w 10 sekund później obłok przybrał kształt wielbłąda z olbrzymim, nieprawdopodobnym garbem!

Przeżyliśmy cudne pół godziny, chociaż pani Po-

ter, czy też pani Price mogły pomyśleć, żeśmy osza-
leli: one nic nie widziały na niebie.

Z tego wszystkiego wynika, że nie należy żyć dla
opinii ludzkiej. Pozostaje nam zatem tylko jedno: żyć
dla siebie, dla własnej opinii. Ja wierzę w siebie, w
gruncie rzeczy. Nie jestem taka zła, ani taka głupia,
jak im się wydaje i nie mam suchot i umiem pisać.
Już teraz, wypisawszy się trochę, czuję się znacznie
lepiej. Jedno mnie tylko martwi i gniewa: litość pan-
ny Potter w stosunku do mnie. Ja mam być przedmie-
tem litości Potterów!

Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam klomb nas-
turtcji i kuzyna Jimmy, podlewającego kwiatki. Nagle
rozbłysnął „promyk”. Panna Potter, pani Anna i ich
złośliwe języki, wszystko to przestało istnieć dla mnie.
Nasturtcje, kto was umalował, śliczne, zachwycające
twory Boskie? Musiałyście się wyłonić z letniego za-
chodu słońca.

Pomagam kuzynowi Jimmy w jego robotach o-
grodnicznych. Lubię te zajęcia chyba nie mniej, niż on
sam. Robimy codziennie nowe odkrycia.

A więc ciotka Elżbieta nie chce mnie wysłać do
Shrewsbury! Czuję się tak rozczarowana, jakgdybym
była żywiła nadzieję, że się zgodzi na mój wyjazd.
Teraz doznaję wrażenia, że drzwi życia zamknęły się
przede mną raz na zawsze.

Ale zastanówmy się, że winna jej jestem już
wdzięczność za mnóstwo dobrodziejstw. Ciotka El-
żbieta pozwoli mi chodzić jeszcze przez dwa lata do
szkoły tutejszej, pozwoli z pewnością! A pan Carpen-
ter może mnie jeszcze nauczyć tylu ciekawych rzeczy!
Mam moje pióro, którem będę mogła czasem zara-

biać na utrzymanie i wstawić się.. i otrzymałam ślicznego, szarego kota, który właśnie wskoczył na moje biurko, dając mi znać, że już dosyć pisania na dzisiaj.

Prawdziwy kot musi być szary!

5.

POŁOWICZNE ZWYCIĘSTWO.

W pewien wieczór sierpniowy usłyszała Emilka gwizdek Tadzia, dochodzący ze ścieżki Jutrzejszej i wyslizgnęła się na spotkanie. Miał jakieś nowiny, to było widać po jego błyszczących oczach.

— Emilko! — zawołał radośnie. — Jadę do Shrewsbury. Matka powiedziała mi dzisiaj, że doszła do wniosku, iż powinienem się kształcić i pozwala mi jechać!

Emilka ucieszyła się, ale nie była to radość wolna od przymieszki żalu, za który czyniła sobie gorzkie wyrzuty. Jakże samotna będzie tej zimy po wyjeździe swego wiernego towarzysza! Nie uprzytomniała sobie dotychczas, jak dalece liczyła na towarzystwo Tadzia. Zawsze był podłożem jej myśli, uważała jego przyjaźń za najpewniejszą. Teraz nie będzie miała nikogo, nawet Deana, bo Dean wyjeżdżał do Egiptu lub do Japonji, jeszcze nie zdecydował ostatecznie dokąd. Co ona pocznie? Przecież wszystkie księgi, jakie jej podaruje Jimmy, nie zdołają zastąpić kolegów i koleżanek z krwi i kości.

— Gdybyś ty też jechała do Shrewsbury! — rzekł

Tadzio tonem ubolewania, idąc z nią ścieżką Jutrzej-szą, która była już niemal Dzisiejszą, tak bardzo uros-ły młode drzewa przez te trzy lata.

— Nie mamy po co marzyć o tem, ani mówić... to mnie tylko zasmuca — rzekła Emilka melancholij-nie.

— No, będziemy mieli week-endy. A wyjazd mój zawdzięczam tobie. To, co powiedziałaś matce owej nocy przed kościołem, to wpłynęło na jej decyzję. Wi-działem, że rozmyślała o tem dniem i nocą. Słyszałem, jak szeptała: „To okropne być matką, być matką i cierpieć tak strasznie. A jednak ona nazwała mnie sa-molubną!” Innym razem znów mówiła do siebie: „Czy to jest egoizm chcieć zachować przy sobie jedyną isto-tę, jaką się posiada na świecie?” Ale dzisiaj była prze-miła, kiedy mi oznajmiła, że mogę jechać. Wiem, że mówią o matce, iż nie jest normalna. I bywa ona istot-nie dziwna, ale tylko w obecności obcych ludzi. Nie wyobrażasz sobie, Emilko, jaka ona może być miła i ko-chana, gdy jesteśmy sami. Strasznie mi przykro, że muszę od niej odjechać. Ale muszę się kształcić!

— Cieszę się, jeżeli moje słowa przyczyniły się do zmiany postanowienia twjej matki, ale ona mi tego nie przebaczy. Zawsze mnie nienawidziła... wiesz, że tak było, Tadziu. Wiesz, jak ona na mnie patrzy, gdy do was przychodzę. Jest dla mnie bardzo grzeczna... ale jej oczy, Tadziu....

— Wiem — odrzekł Tadzio niechętnie. — Ale nie bądź twarda dla matki, Emilko. Pewien jestem, że ona niezawsze taka była, chociaż, jak dawno sięga mo-ja pamięć, jest taka właśnie. Nie wiem niczego o niej z przed mego przyjścia na świat. Nie wiem niczego o

moim ojcu. Ona nie mówi o nim. Nie wiem nawet, jakim sposobem nabawiła się tej blizny na policzku.

— Nie sądzę, żeby twoja matka była nienormalna— rzekła Emilka powoli. — Ale sądzę, że ją coś dręczy, że nie może przezwyciężyć jakiegoś wspomnienia, jakiejś obawy.... Tadziu, pewna jestem, że twoja matka jest nawiedzana... Nie przez duchy, rzecz jasna... przez jakąś straszną myśl....

— Ona nie jest szczęśliwa, to jest pewne — rzekł Tadzio. — A przytem biedni jesteśmy. Matka powiedziała mi dzisiaj, że może mnie wysłać na trzy lata zaledwie—nie stać jej na więcej. Ale to już powinno wystarczyć, doda mi bodźca, da mi podstawy, potem sam będę się douczał, będę pracował. Wiem, że dam sobie radę.

— Będiesz zczasem wielkim artystą — rzekła Emilka, zamyślona.

Doszli do końca Ścieżki Jutrzejszej. Emilka spojrzała pod górę, w okna domu pani Kent. Nie było w nich światła. Czy samotna wdowa płakała po ciemku, zamknięta u siebie ze swą tajemnicą, udręczona daremną tęsknotą za kochającym sercem?

Emilka patrzyła na zachodzące słońce. Nie czuła się już przygnębiona. Nigdy nie poddawała się długo depresji, a tem mniej będąc w towarzystwie Tadzia. Nie było na całym świecie cudniejszej muzyki, jak jego głos. Przy nim wszystko wydawało się możliwe. znośne, dobre. Ona nie może pojechać do Shrewsbury, ale może pracować i uczyć się w Srebrnym Nowiu i będzie się uczyć bardzo pilnie, och, jak pilnie! Pan Carpenter da jej zapewne mniej, niż wyższa szkoła w Shrewsbury. Każdy ma swój szczyt, na który musi się

wspinać, ona będzie się wspinać na swój szczyt, będzie dążyć, robić postępy, nic nie zdoła jej przeszkodzić w osiągnięciu upragnionych wyżyn....

— Gdy będę wielkim artystą, namaluję twój portret — rzekł Tadzio. — Zatytułuję go Joanna D'Arc. Będziesz miała uduchowioną twarz, będziesz słuchała Głosów.

Mimo owe głosy, poszła Emilka spać tego dnia w nastroju raczej smutnym. Nazajutrz obudziła się z niezachwianem przeświadczeniem, że tego dnia zdarzy jej się coś pomyślnego. Przeświadczenie to trwało, chociaż godzina za godziną upływała w najbanalniejszy sposób, taki sam, jak wszystkie soboty w Shrewsbury. Sprzątano gorliwie, ażeby dom był jeszcze czystszy, niż zwykle, na niedzielę.

O zmierzchu zaczął padać drobny deszcz. Żadna dobra nowina nie nadeszła. Emilka pisała właśnie w swoim pokoju wiersz pod tytułem „Marzenie podczas Deszczu”, gdy weszła do niej ciotka Laura z oznajmieniem, że ciotka Elżbieta życzy sobie z nią mówić, czeka w saloniku.

Posiedzenia Emilki z ciotką Elżbietą w saloniku nie należały do przyjemnych. Nie przypominała sobie żadnego niedawnego uczynku złego, ani takiego, który byłby dobry, a nie został spełniony. A jednak ciotka Elżbieta miała widocznie coś ważnego do powiedzenia, w przeciwnym razie nie wzywałaby jej do saloniku. Tu odbywały się tylko „posiedzenia” w sprawach niezwykłej wagi. Stop, duży kot Emilki, wślizgnął się za nią do saloniku, jak szary cień, bez szmeru. Emilka miała nadzieję, że ciotka Elżbieta nie wyrzuci go za

drzwi. Jego obecność krzepiła ją. Kot jest dobrem oparciem moralnym, gdy się go ma przy boku!

Ciotka Elżbieta cerowała. Wyglądała uroczyście, ale nie gniewnie. Nie zwróciła uwagi na Stopa, ale pomyślała, że Emilka wydaje się bardzo wysoka na tle wielkiego, ocienionego zmierzchem pokoju. Jak szybko dzieci rosną! Było to jakby powtórzenie jasnowłosej, ładnej Julki. Elżbieta Murray z pewnym wysiłkiem odpędziła od siebie te myśli.

— Siadaj, Emilko — rzekła. — Muszę z tobą pomówić.

Emilka usiadła. Stop poszedł za jej przykładem, machając wesoło ogonem. Emilka poczuła nagle, że ma dłonie wilgotne, a wargi suche i spieczone. Byłaby chętnie wzięła się również do cerowania. Tak ciężko było siedzieć tu beczynnym i czekać w napięciu nerwów, co się stanie. To, co nastąpiło, było jedyną rzeczą, o której nie pomyślała ani przez chwilę. Ciotka Elżbieta po dłuższej chwili milczenia i zawziętego cerowania rzekła bez żadnego wstępu:

— Emilko, czy chciałabyś pojechać do Shrewsbury w przyszłym tygodniu? —

Pojechać do Shrewsbury? Czy ona dobrze słyszy?

— Och, ciotko Elżbieto! — odrzekła.

— Omówiłam tę sprawę z twoimi wujami i ciotkami — ciągnęła dalej ciotka Elżbieta. — Oni podziela ją moje zdanie, że powinnaś otrzymać wyższe wykształcenie. Będzie to znaczny wydatek, rzecz jasna... nie, nie przerywaj mi. Nie lubię, żeby mi przerywano, gdy ja mówię... Ruth da ci u siebie mieszkanie i utrzymanie. Wuj Oliver będzie jej zwracał połowę kosztów: wuj Wallace będziełożył na książki i podręczniki, a

ja będę cię ubierać. Naturalnie będziesz pomagać ciotce Ruth w gospodarstwie w miarę sił i możliwości, ażeby się jej odwdziżyć za jej dobroć. Możesz pojechać do Shrewsbury na trzy lata pod jednym warunkiem. . . .

Jakim warunkiem? Emilka, która byłaby najchętniej tańczyła i śpiewała i śmiała się z radości w tym saloniku, w którym nawet jej matka nigdy nie tańczyła, ani nie śpiewała, zmusiła się do spokoju i zadawała samej sobie to pytanie. Czuła, że ten moment jest wysoce dramatyczny.

—Trzy lata spędzisz w Shrewsbury — ciągnęła dalej ciotka Elżbieta — to ci da nie mniej, niż akademja, chyba że chciałabyś uzyskać dyplom nauczycielski, co nie jest ci potrzebne, bo nie potrzebujesz zarabiać na życie: ale, jak już powiedziałam, pod jednym warunkiem . . .

Dlaczego ciotka Elżbieta nie wymienia tego warunku? Emilka zaczynała być niespokojna. Czyż być może, że ciotka Elżbieta sama *boi się* wymienić ów warunek? Nie było to jej zwyczajem zyskiwać na czasie. Czyż to coś bardzo straszego?

— Musisz przyrzec — rzekła ciotka Elżbieta surowo — że w ciągu tych trzech lat w Shrewsbury, nie będziesz wcale pisywać tych twoich bredni, nad którymi tracisz tyle czasu, że tego zaniechasz zupełnie na czas twych studjów i będziesz tylko pisać szkolne ćwiczenia, nic więcej.

Emilka siedziała, milcząca. Było jej zimno. Z jednej strony grozi jej pozostanie w Srebrnym Nowiu, wyrzeczenie się Shrewsbury, z drugiej — zrezygnowanie z poezji, nowel, „szkiców”, dziennika, pisanego w

przemiliych księgach Jimmy'ego. Minutę tylko zastanawiała się nad odpowiedzią.

— Tego przyrzec nie mogę, ciotko Elżbieto — rzekła stanowczo.

Ciotka Elżbieta przestała cerować: była zaskoczona. Tego się nie spodziewała. Sądziła, że Emilka tak się ucieszy perspektywą wyjazdu do Shrewsbury, iż uczyni wszystko, czego od niej zażądają Murrayowie. A w dodatku szło tutaj o taką drobnostkę! Ciotka Elżbieta była zdania, że jest to upór karygodny i nic innego, tylko upór.

— Czy chcesz powiedzieć przez to, że nie zaniechasz tej głupiej bazgraniny przez miłość dla nauki, której tak zawsze pragnęłaś jakoby? — spytała.

— Nie znaczy to, że nie chcę, ciotko Elżbieto — odrzekła Emilka z rozpaczą. — To znaczy, że nie mogę zaniechać pisania. — Wiedziała, że ciotka Elżbieta tego nie zrozumie, nigdy tego nie rozumiała. — Nie mogę przestać pisać, ciotko Elżbieto. Ja to mam we krwi. Naleganie byłoby bezcelowe. Nie *mogłabym* dotrzymać takiego przyrzeczenia, więc pocóż miałabym je dać dzisiaj?.

— W takim razie będziesz mogła pozostać w domu — rzekła ciotka Elżbieta, rozgniewana.

Emilka była przygotowana na majestatyczne wyjście z pokoju obrażonej ciotki. Ciotka Elżbieta zaś cerowała pilnie nadal. Prawdę powiedziawszy, była Elżbieta Murray zaskoczona odpowiedzią Emilki. Chciała bowiem wysłać ją do Shrewsbury, stosownie do tradycji rodzinnej i do zapatrywania wszystkich krewnych. Ten warunek był jej własnym pomysłem. Uważała, że nadarza się znakomita sposobność od-

zwyczajenia Emilki od tych „bazgroł”, będących strażką czasu i papieru. Pewna była, że ten plan się powiedzie, bo wiedziała, jak bardzo Emilka pragniejechać na studia. A tu nagle ten nierozsądny, niedorzeczny, samolubny upór niewdzięcznego dziecka! „Krew Starrów się odzywa”, myślała ciotka Elżbieta z goryczą, zapominając o dziedzictwie Shipleyów. Co tu robić? Wiedziała ze swych doświadczeń przeszłych, że nic na świecie nie skłoni Emilki do odstąpienia od stanowiska, zajętego przez nią. Wiedziała również, że Wallace, Oliver i Ruth nie poprą jej, Elżbiety, jakkolwiek uważali tę pisaninę za głupią i niezgodną z tradycjami. Elżbieta Murray przewidywała zupełną porażkę, a ta perspektywa nie uśmiechała się Elżbiecie Murray. Byłaby chętnie potrząsnęła, ujmując ją mocno za ramiona, tą bladą, wiotką istotą, siedzącą na kanapie. Taka delikatna, taka młoda, a taka niezłomna! W ciągu trzech lat zgórausiłowała Elżbieta Murray wyleczyć ją z tej manji pisanania i w ciągu trzech lat nie zdołała odnieść zwycięstwa!

Elżbieta, zirytowana, cerowała zawzięcie, a Emilka siedziała, nieporuszona, walcząc z gorzkim rozczarowaniem i poczuciem niesprawiedliwości. Postanowiła, że nie rozplacze się w obecności ciotki Elżbiety, ale z wielkim trudem powstrzymywała łzy. Byłaby wolała, żeby Stop nie machał ogonem z takim zadowoleniem, jakgdyby wszystko było jak najlepiej z szaro-kociego punktu widzenia. Pragnęła, aby ciotka Elżbieta kazała jej odejść. Ale ciotka Elżbieta tylko cerowała zapamiętałe i nie odzywała się ani słowem. Wszystko razem było jakby złą marą senną. Zerwał

się wiatr, deszcz zaczął pluskać w szyby, a zmarli Murrayowie wyzierali wzrokiem nagany pełnym z ciemnych, ciężkich ram. Oni nie mieli sympatji dla ksiąg Jimmy'ego, dla „promyków” i szczytów alpejskich, dla pogoni za nieuchwytnymi, ukochanymi bóstwami. Emilka zaś myślała już, mimo swe przygnębienie, jaką świetną nowelkę możnaby stworzyć na tle obecnej sceny.

Drzwi otworzyły się i wszedł kuzyn Jimmy. Kuzyn Jimmy czuł, co się tu świeci, więc poprostu stał za drzwiami i podsłuchiwał, chcąc zastąpić domysł pewnością. On wiedział, że Emilka nigdy nie da podobnego przyrzeczenia, powiedział to Elżbiecie przed 10 dniami, podczas narady rodzinnej. On był tylko głupim Jimmy Murrayem, ale rozumiał to, czego rozsądna Elżbieta Murray pojąć nie mogła żadną miarą.

— Co się tu stało? — spytał, patrząc naprzemian na ciotkę i na siostrzenicę.

— Nic się nie stało — odrzekła ciotka Elżbieta wyniosłe. — Ofiarowałam Emilce możność dalszego kształcenia się, a ona ją odrzuciła. Naturalnie ma prawo rozporządzać sobą w tym względzie, to jest oczywiste; jest wolna.

— Nie ma prawa rozporządzać sobą, bo nie jest wolny ten, kto ma tysiące przodków — rzekł Jimmy tym uroczystym tonem, którym głosił podobne orzeczenia. Elżbietę zawsze przesywał w tych chwilach dreszcz, nie mogła zapomnieć, że ten ton, ten poniekąd nadprzyrodzony charakter jego słów, że to wszystko jest jej winą.

— Emilka nie może przyrzec tego, czego żądasz od niej. Czy tak, Emilko?

— Nie.

Wbrew postanowieniu, łzy potoczyły się po twarzy dziewczynki.

— Gdybyś mogła — rzekł kuzyn Jimmy — przyrzekłabyś to ciotce, nieprawdaż?

Emilka przytaknęła.

— Zbyt wiele zażądałaś, Elżbieto — rzekł kuzyn Jimmy do zagniewanej damy, pochylonej nad igłą. — Zażądałaś, aby ona wyrzekła się pisania wogóle. Zażądaj, aby przestała pisać niektóre utwory. Emilko, czy zgodziłabyś się zaniechać pewnego rodzaju pisania? Czy byłabyś zdolna do tego, jak myślisz?

— Jakiego rodzaju? — spytała Emilka niespokojnie.

— No, na przykład, rzeczy „nieprawdziwych” — kuzyn Jimmy usiadł przy Emilce i położył jej dłoń na ramieniu. Elżbieta nie przestawała cerować, ale zwolniła tempa. — Na przykład, żebyś tak przestała pisywać nowele, Emilko. Ona głównie nie lubi twoich nowel. Uważa je za kłamstwa. Inne rzeczy mniej ją irytują. Czy nie sądzisz, Emilko, że mogłabyś nie pisywać nowel przez trzy lata? Wykształcenie to wielka rzecz. Twoja babka Archibaldowa byłaby oddała kilka lat życia za wykształcenie, nieraz słyszałem sam, jak to mówiła. No, cóż, Emilko?

Emilka rozważała. Ogromnie lubiła pisać; nowelki: trudno jej przyjdzie wyrzec się ich na trzy lata. Ale będzie pisywać wierszem, co jej przez myśl przyjdzie, będzie mogła opisywać spotkanych ludzi w szeregu szkiców, będzie mogła pisać nadal swój

dziennik i w nim zamieszczać wypadki bieżące z zabarwieniem humorystycznym, satyrycznym, tragicznym, stosownie do okoliczności i nastroju osobistego.

— Spróbuj... spróbuj... — szeptał kuzyn Jimmy.
— Ustąp jej w pewnej mierze. Zawdzięczasz jej bardzo wiele, Emilko. Ustąp jej w połowie...

— Ciotko Elżbieto — rzekła Emilka drżącym głosem — jeżeli zgadzasz się wysłać mnie do Shrewsbury, ja ci przyrzekam, że przez te trzy lata nie napiszę niczego, co nie jest *prawdą*. Czy to wystarcza? Bo to jest wszystko, co mogę przyrzec.

Elżbieta cerowała jeszcze przez minutę, zanim raczyła odpowiedzieć. Kuzyn Jimmy i Emilka sądzili, że nie odpowie wcale. Wreszcie złożyła robotę i wstała.

— Dobrze. Zgadzam się na to. Naturalnie, że najwięcej mam do zarzucenia twym nowelom. Co do reszty, to pozostawiam ciotce Ruth troskę o twój czas: ona z pewnością nie pozostawi ci go zbyt wiele, tak że nie będziesz mogła tracić go na bazgraninę.

Ciotka Elżbieta wyszła z pokoju, bardzo podnieciona na duchu, gdyż zdołała wyjść z pozornym triumfem z trudnej sytuacji, w którą się uwikłała. Kuzyn Jimmy poklepał Emilkę po główce.

— Dobrze, Emilko. Nie trzeba być zbyt upartą, wiesz. A trzy lata to nie wieczność, kurczątko.

Nie, ale wydają się wiecznością, gdy się ma lat 14. Emilka płakała w łóżku, zanim usnęła, poczem obudziła się w nocy o godzinie trzeciej i znów uрониła kilka łez. Zapaliła świecę, wstała i opisała całą tę scenę w księdze Jimmy'ego. Starannie przestrzegala

ściślej autentyczności każdego słowa, ażeby nie zakradła się w ten opis ani iskierka fantazji. Przyrzekła!

6.

POCZĄTKI W SHREWSBURY.

Tadzio, Ilza i Perry skakali z radości, gdy Emilka oznajmiła im, że jedzie do Shrewsbury. Emilka była szczęśliwa, ale im więcej o tem rozmyślała, tem rozsądniej, tem chłodniej się cieszyła. Najważniejszą rzeczą były wyższe studja. Ale nie uśmiechała jej się perspektywa zamieszkania u ciotki Ruth. To było nieoczekiwane. Sądziła, że ciotka Ruth nie zgodzi się na to, że nie będzie chciała mieć ją u siebie, że o ile ciotka Elżbieta poweźmie zamiar wysłania jej do Shrewsbury, zamieszka gdzie indziej, prawdopodobnie razem z Ilzą. Byłaby wołała... Wiedziała, że życie nie będzie słodkie pod dachem ciotki Ruth. A przytem nie wolno jej pisać nowelek.

Czuć ów zapal twórczy, którego zawsze była pełna i nie móc go uzewnętrznić, rozkoszować się w duchu pomysłami humorystycznymi lub dramatycznymi, a nie móc ich przenosić na papier, mieć świetną myśl i spostrzec się nagle, że nie wolno jej rozwinąć — wszystko to było torturą, której nie może pojąć ten, kto nie urodził się z ową fatalną potrzebą pisania. Wszystkie ciotki Elżbiety na świecie nie rozumieją tego. Dla nich jest to głupstwko.

Te ostatnie dwa tygodnie w Srebrnym Nowiu upłynęły wśród wyteżonej pracy. Elżbieta i Laura

odbywały długie narady nad garderobą Emilki. Musiała otrzymać wyprawkę, któraby nie przyniosła wstydu Murrayom, ale decydującym względem był tu rozsądek, a nie moda. Emilka sama nie miała głosu. Laura i Elżbieta naradzały się któregoś dnia przez kilka godzin, czy sprawić Emilce bluzkę taftową (Ilza miała trzy bluzki jedwabne) i postanowiły, że nie, ku wielkiemu rozczarowaniu dziewczynki. Ale Laura zwyciężyła co do sukni, którą nazywała w duchu „wieczorową”, a głośno: „strojniejszą”; nazwa „wieczorowa suknia” byłaby ją zgubiła w oczach Elżbiety; była to bardzo ładna sukienka z lekkiego jedwabiu, blado-różowa, bez kołnierzyka (wielkie ustępstwo ze strony ciotki Elżbiety), z szerokimi, bufiastymi rękawami, które dzisiaj wyglądałyby śmiesznie, ale według ówczesnej mody były ładne i elegancie, gdy zdobiły ramiona młodej i pięknej dziewczyny z tej epoki. Była to najładniejsza sukienka, jaką Emilka miała kiedykolwiek, a zarazem najdłuższa, co wiele znaczyło w owe czasy, kiedy długa suknia oznaczała dorosłą pannę. Ta sięgała do kostek.

Włożyła ją pewnego wieczora, kiedy obie ciotki wyszły z domu, bo chciała ją pokazać Deanowi. Przyszedł spędzić z nią wieczór, bo nazajutrz wyjeżdżał do Egiptu. Poszli do ogrodu. Emilka czuła się bardzo dojrzałą i filozofowała zawzięcie, ponieważ musiała unosić suknię, ażeby jej nie zamoczyć o zroszoną trawę. We włosach miała czerwoną wstążkę i wyglądała bardziej, niż kiedykolwiek, jak gwiazdka; jak myślał Dean. Koty stanowiły ich orszak: Stop, rażny i wesół, Nieznośnik, który jeszcze wciąż królował nad kocią gromadą w szopie Srebrnego Nowiu. Koty zmie-

niały się, ale Nieznośnik był jedynym kotem Emilki, którego powagi nic naruszyć nie mogło.

Dean wyjeżdżał do Egiptu, ale wiedział, że wśród wszystkich wrażeń, jakich dozna, wciąż mieć będzie przed oczami ten śliczny obrazek: Emilkę i jej koty w ogrodzie Srebrnego Nowiu.

Rozmawiali mniej, niż zwykle, milczenie wytwarzało dziwny nastrój. Dean doznawał chwilami ochoty pozostania tu na zimę. Gotów był zrezygnować z Egiptu. Najlepiej byłoby bodaj pojechać do Shrewsbury. Wzruszył ramionami i zaśmiał się. To dziecko nie potrzebuje jego obecności, strzegą jej panie ze Srebrnego Nowiu. A poza tem ma innych towarzyszy zabaw. Jest tylko dzieckiem, chociaż ma ten wzrost i te głębokie, mądre oczy. Ale jakże cudną ma linję szyi, jak słodkie są te purpurowe usteczka! Niebawem będzie kobietą, ale nie dla niego, nie dla Garbusa Priesta z pokolenia jej ojca. Po raz setny powtarzał sobie Dean, że nie należy być głupcem. Musi poprzestać na tem, co mu los wyznaczył, na jej przyjaźni i czułości siostrzanej. W ciągu najbliższych lat ona pokocha kogoś, będzie to cudna, uszczęśliwiająca miłość, ale uszczęśliwi ona innego mężczyznę. Niewątpliwie, pomyślał Dean cynicznie, ona roztrwoni te skarby w stosunku do jakiegoś ładnego manekina, który nie będzie jej wart w przybliżeniu nawet.

Emilka rozmyślała, jak okropnie odczuwać będzie brak Deana. Bardziej, niż dotychczas, To lato tak ich zbliżyło. Ogromnie się zaprzyjaźnili. Każda rozmowa z Deanem wzbogaciła jej życie. Jego mądre, dowcipne spostrzeżenia, pełne humoru i zmysłu satyrycznego, były kształjące. One były jej bodźcem, jej natchnieniem.

A jego komplementy, od czasu do czasu rzucane, dodawały jej otuchy, pewności siebie. Nie uświadamiała sobie tego, ale odczuwała tak właśnie. Tadzio... hm... wiedziała teraz, dlaczego lubiła Tadzia. Bo był taki... Tadzioваты. A Perry... Perry był to miły, opalony, „wygadany”, impertynent, którego niepodobna było nie lubić. Ale Dean był inny. Czy wdziękiem jego był czar Nieznanego, czy też doświadczenie, wiedza, subtelność, gorycz z powodu rzeczy, które znał, a o których nigdy nie mówił? Emilka nie byłaby umiała tego określić. Wiedziała tylko, że każdy wydawał jej się „mdły” w zestawieniu z Deanem, nawet Tadzio, chociaż lubiła go bardziej, niż kogokolwiek. Dean zaspokajał w niej jakąś potrzebę jej subtelnej, skomplikowanej natury, wiecznie głodnej, gdy on był nieobecny.

— Dziękuję ci, Deanie, za wszystko, czego mnie nauczyłeś — rzekła, kiedy przystanęli przy zegarze słonecznym.

— Czy sądzisz, Gwiazdeczko, że ty mnie nie nauczyłaś niczego?

— Skądże?! Taka jestem młoda... tak mało umiem...

— Nauczyłaś mnie śmiać się bez goryczy. Mam nadzieję, że nigdy się nie dowiesz, jak wielkim to było darem. Nie pozwól tym ludziom z Shrewsbury zepsuć cię, Gwiazdko. Tak się cieszysz na ten wyjazd, że nie chciałbym cię oblewać zimną wodą. Ale lepiejby ci było, bezpieczniej, tu... w Srebrnym Nowiu.

— Deanie! Ja muszę się kształcić.

— Kształcić się! Wykształcenia nie połyka się łyżeczkami algebry i łaciny. Stary Carpenter nauczyłby

cię więcej i gruntowniej wielu rzeczy, niż nauczyciele i nauczycielki w Wyższej Szkole w Shrewsbury.

— Nie mogę już tu chodzić do szkoły — protestowała Emilka. — Byłabym najstarsza, bo wszyscy moi rówieśnicy jadą do Shrewsbury. Nie rozumiem cię, Deanie. Sądziłam, że będziesz się cieszył z mego wyjazdu do Shrewsbury, z pozwolenia ciotki Elżbiety.

— Cieszę się... bo ty się cieszysz. Ale wiedza, której pragnę dla ciebie, jest nie do nabycia w szkole, wyższej, czy niższej, czy nawet najwyższej. Trzeba pracować nad sobą samą, to jest najważniejsze. Nie pozwól im zrobić z siebie tej, którą nie jesteś z przyrodzenia, oto, o co mnie chodzi. Wątpię, ażeby im się to udało.

— Z pewnością — rzekła Emilka stanowczo. — Jestem podobna do tego kota Kiplingowskiego, robię, co mi się podoba i kręcę ogonem, jak mi się podoba. Dlatego Murrayowie patrzą na mnie ze znakiem zapytania w oczach. Och, Deanie, pisuj do mnie często, dobrze? Nikt mnie tak nie rozumie, jak ty. A przytem tak się przyzwyczaiłam do ciebie, że już nie mogę się obejść bez twego zdania, twojej obecności.

Dean zaczerwienił się. Nie żegnali się z sobą, był to stary układ pomiędzy nimi. Dean dał jej znak ręką: „do widzenia!”

— Niech każdy dzień radość ci przynosi — rzekła Emilka uśmiechnęła się do niego swym tajemniczym, stopniowanym uśmiechem. Już go nie było. Ogród wydał jej się nagle bardzo samotny. Ucieszyła się na odgłos gwizdku Tadzia z gajku Wysokiego Jana.

W przeddzień wyjazdu poszła odwiedzić pana Carpentera i zasięgnąć jego zdania o paru rękopisach.

które mu wręczyła przed kilku dniami. Wśród nich były jej ostatnie nowele, napisane przed *ultimatum* ciotki Elżbiety. Pan Carpenter był surowym krytykiem, ale był sprawiedliwy i Emilka miała do niego nieograniczone zaufanie.

— Ta historia miłosna jest nic nie warta — rzekł bez ogródek pan Carpenter.

— Wiem, że nie jest ona tem, czem ją mieć chciałam — westchnęła Emilka.

— Tem nie będzie nigdy żadna z twych nowel. Możesz zadowolić innych, ale siebie nie zadowolisz nigdy. Co do miłosnych historii, nie możesz ich pisać jeszcze, bo ich nie odczuwasz. Nie próbuj pisać rzeczy nieodczutych, zawsze będą chybione. A teraz ta opowieść o starej kobiecie. Ta jest niezła. DIALOG jest rozumny, styl prosty i ładny. I Bogu dzięki wyrobiłaś w sobie zmysł humoru i dlatego, mam wrażenie, że nigdy nie będziesz celować w historjach miłosnych. Nikt, mający zmysł humoru, nie umie pisać o miłości.

Emilka nie rozumiała, dlaczego tak jest. Lubiała pisać historie miłosne, i to bardzo sentymentalne, tragiczne.

— A Szekspir? — spytała.

— Wątpię, abyś miała genjusz, równy Szekspirowskiemu — rzekł sucho pan Carpenter.

Emilka zarumieniła się.

— Wiem, że nie. Ale pan powiedział: „nikt”.

— I obstaję przy tem. Szekspir jest wyjątkiem, który potwierdza regułę. Ale i jego zmysł humoru był niezawodnie na wywczasach, gdy pisał „Romeo i Julję”. Ale powróćmy do Emilki ze Srebrnego Nowiu.

Ta historja... no, powiedzmy, że najmłodsze dziewczę mogłoby ją przeczytać bez najmniejszego uszczerbku.

Emilka po jego głosie poznała, że nauczyciel nie chwali—mówiąc to—jej noweli. Milczała, a pan Carpenter przeglądał nadal jej cenne rękopisy, przerzucając kartki bez najmniejszej oględności.

— Ta oto brzmi, jak słabe naśladownictwo Kiplinga. Czytałaś go ostatnio?

— Tak.

— Tak myślałem. Nie naśladuj Kiplinga. Jeżeli musisz kogoś naśladować, naśladuj Laurę Jean Lebbey. W tej tutaj noweli jest tylko dobry tytuł. A „Ukryte Bogactwo” nie jest dobrym utworem, bo czytając je, ani na chwilę nie można zapomnieć, że jest to nowela. Rozumiesz?

— Usiłowałam napisać coś bardzo prawdziwego, wziętego z życia — zaprotestowała Emilka.

— I to są skutki... właśnie! Wszyscy widzimy życie poprzez złudzenia, nawet najtrzeźwiejsi z nas. Dlatego nie trafiają nam do przekonania ludzie i sytuacje zbyt wiernie skopjowane z życia. A teraz weźmy „Rodzinę Szaleńców”, też próbę realizmu. Ale to jest fotografia, to nie jest portret.

— Ileż nieprzyjemnych rzeczy mi pan powiedział! — rzekła Emilka.

— Świat byłby przyjemny, gdyby każdy mówił tylko rzeczy miłe, ale byłby niebezpieczny — odparł pan Carpenter. — Mówisz, że chcesz usłyszeć uwagi krytyczne, a nie pochlebstwa. „Różnica” jest dobrą nowelą, powiedziałbym nawet: całkiem dobrą, gdybym się nie obawiał, że ci nadmiar kadzideł zaszkodzi. Za 10 lat możesz przerobić ten sam temat i zrobić z

tego coś wartościowego. Tak, tak, za 10 lat, nie ścią-
gaj brwi, mała. Masz talent i niezwykle wycucie
słownika, zawsze używasz właściwego określenia na
dane pojęcie, lub dany przedmiot, a to jest nieocenio-
ne. Ale masz również wady. To ciągle podkreślanie...
pozbadź się tego, mała, koniecznie!

Emilka opowiedziała mu, zanim odeszła, o swym
układzie z ciotką Elżbietą.

— Wybornie! — zawołał pan Carpenter.

— Wybornie? — powtórzyła Emilka zdumiona.

— Tak. Tego właśnie ci potrzeba. To cię nauczy
oszczędności. Obserwuj życie przez trzy lata i zobacz,
co można z niego zrobić w noweli. Odbiegnij od fan-
tazji i poprzestań z konieczności na zwykłym życiu
codziennem.

— Niema takiego pojęcia: zwykłe życie — rzekła
Emilka — życie zawsze jest niezwykle i codzień inne.

Pan Carpenter przyjrzał jej się przez chwilę.

— Masz słusność — rzekł powoli. — Ale dziwi
się człowiek dorosły, gdy słyszy to zdanie w twych
ustach. Skąd ty wiesz o tem? No, dobrze, idź nadal tą
ścieżką, którą sobie obrałaś, jesteś wolna....

— Kuzyn Jimmy mówi, że nikt nie jest wolny,
kto ma tysiące przodków.

— A ludzie mówią, że ten człowiek jest głupi —
mruknął pan Carpenter. — Ale, widzisz, twoi przod-
kowie nie wymagają od ciebie niczego szczególnego,
mam wrażenie. Odziedziczyłaś po nich tylko pewien
dar, bardzo cenny i wolno ci spokojnie pielęgnować
twoje zdolności. Zobaczymy, czy doznasz porażki, czy
też...

— ...Zwycięzę... — dokończyła Emilka, odrzucając wtył swą ciemną główkę.

— Daj Boże — rzekł pan Carpenter.

Emilka napisała tej nocy wiersz: „Pożegnanie Srebrnego Nowiu” i łączyła nad nim obfite. Pięknie to było jechać do szkoły, ale odjeżdżać z ukochanego Srebrnego Nowiu! Każdy szczegół w Srebrnym Nowiu był z nią zrośnięty, był częścią jej samej.

Nietylko ja kocham mój pokój i drzewa i pagórki, one mnie też kochają — rozmyślała.

Mała jej walizka była spakowana. Ciotka Elżbieta dopilnowała, żeby niczego potrzebnego nie zapomniano, a kuzyn Jimmy i ciotka Laura czuwali, żeby znalazły się tam i niepotrzebne drobiazgi. Ciotka Laura szepnęła Emilce, że znajdzie tam parę koronkowych pończoch (jedwabnych nawet Laura nie śmiała dać Emilce), a kuzyn Jimmy włożył tam trzy księgi oprawne w skórę oraz kopertę z banknotem pięciodolarowym.

— Ażebyś mogła sobie kupić to, na co będziesz miała ochotę, kurczątko. Byłbym ci dał 10, ale Elżbieta dała mi tylko 5 na poczet mojej pensji. Bałem się, że się domyśla...

— Czy będę mogła wydać dolara na znaczki pocztowe Stanów Zjednoczonych, o ile je znajdę? — spytała Emilka z niepokojem.

— Na co tylko zechcesz — odrzekł Jimmy lojalnie, chociaż niebardzo mu się w głowie mieściło, jak można tak łąknąć znaczków amerykańskich. Ale jeżeli kochana Emilka pragnie kupować znaczki Stanów Zjednoczonych, niech je sobie kupuje.

Następny dzień przeżywała Emilka jak we śnie.

Obudziła się zrana, usłyszała ptaszka, śpiewającego w gajku Wysokiego Jana; następnie jechała do Shrewsbury w mglisty poranek wrześnieiowy. Zimne powitanie ciotki Ruth... obca szkoła... kolacja w domu ciotki... to chyba nie mogło zdarzyć się wszystko jednego dnia!

Dom ciotki Ruth był położony na końcu głównej ulicy, prawie za miastem. Emilka pomyślała, że jest to bardzo brzydki dom. Ale w Shrewsbury okna weneckie i czerwone dachówki uchodziły za ostatni wyraz szyku. Ogrodu nie było, tylko niewielki, nagi trawnik. Ale ku radości Emilki rosły za domem stare, wysokie i gęste świerki.

Ciotka Elżbieta spędziła dzień cały w Shrewsbury i wracała do domu po kolacji. Na progu podała rękę Emilce, zapowiadając jej, aby była dobrą dziewczynką i wykonywała wszystkie polecenia ciotki Ruth. Nie pocałowała Emilki, ale głos jej był bardzo łagodny, jak na ciotkę Elżbietę. Emilka tłumiała łkanie i stała z oczami pełnymi łez na progu domu ciotki Ruth, patrząc za oddalającą się ciotką Elżbietą...wracającą do ukochanego Srebrnego Nowiu.

— Chodź — rzekła ciotka Ruth — i proszę cię, nie trzaskaj drzwiami.

Emilka nigdy nie trzaskała drzwiami.

— Pozmywamy po kolacji — rzekła ciotka Ruth. — Od dnia dzisiejszego będzie to twojem zajęciem. Pokażę ci, gdzie stoi każdy poszczególny przedmiot. Przypuszczam, że Elżbieta powiedziała ci, że będziesz wykonywać różne posługi wzamian za mieszkanie i życie.

— Tak — odrzekła Emilka lakonicznie.

Nie cofała się przed żadną „posługą”, ale ten ton ciotki Ruth!

— Twój pobyt u mnie będzie mnie dużo kosztował — ciągnęła dalej ciotka Ruth. — Ale musimy wszyscy przyczynić się do wychowania cię według tradycji Murrayowskiej. Ja byłam zdania, że powinnaś była się kształcić na nauczycielkę i mieć dyplom w kieszeni na wszelki wypadek.

— I ja tego pragnęłam — rzekła Emilka.

— Tak ty mówisz. — Ciotka Ruth wydeła usta niedowierzająco. — W takim razie nie wiem, dlaczego Elżbieta tutaj cię przysłała. Ona ustępuje ci pod każdym niemal względem, więc nie wiem, dlaczego miałyby się uprzeć na tym punkcie, kiedy przypadkowo masz słuszność. Chyba, że niebardzo tego pragnęłaś wbrew twemu twierdzeniu dzisiejszemu. Sypiać będziesz w pokoiku przy kuchni. Tu jest cieplej w zimie, niż w innych pokojach. Niema tam gazu, ale w żadnym razie nie mogę się zgodzić na wypalanie gazu do pracy nocnej. Będziesz miała prawo do dwóch świec naraz. Pokój swój musisz utrzymywać czysto i przychodzić punktualnie na obiad i na kolację. Na to kładę szczególny nacisk. I nie wolno ci przyjmować tu twych przyjaciółek. Ani myślę brać je na utrzymanie.

— Nie wolno mi tu widywać Ilzy, ani Perry’ego, ani Tadzia?

— No, Ilza jest Burnleyówną, daleką krewną. Może czasem przyjść, ale nie za często. Sądząc z tego, co o niej słyszałam, nie jest to bardzo wskazana towarzyszka dla ciebie. Co do chłopców — pod żadnym pozorem! Nic nie wiem o Tadzium Kent, a co do Per-

ry'ego, to powinnaś być zbyt dumna, aby przebywać z Perrym Millerem.

— Zbyt dumna jestem, aby z nim nie przebywać,
— odrzuciła Emilka.

— Nie rezonuj, gdy mówisz ze mną, Emilko. Tutaj nie będziesz rządzić się swym kaprysem, tak jak w Srebrnym Nowiu. Nie życzę sobie, żeby najemnicy odwiedzali moją siostrzenicę. Nie wiem, skąd masz takie upodobania. Nawet ojciec twój miał pozory człowieka z towarzystwa. Idź na górę i rozpakuj swoje rzeczy. Potem odrabiaj lekcje. O 9-tej idziemy do łóżka!

Emilka była oburzona. Nawet ciotce Elżbiecie nie przyszło do głowy zabronić Tadziowi wstępu do Srebrnego Nowiu. Zamknęła się w swoim pokoju i rozpakowała rzeczy. Pokój był bardzo brzydki. Drzwi nie domykały się szczelnie. Sufit był ścięty i nad łóżkiem tak niski, że mogła go dotknąć ręką. Nie było tu znać smaku Murrayowskiego.

— Wolę nie patrzeć dokoła, bo oczy mnie bołą... ten pokój jest niegościnnie, nie pragnął mnie bynajmniej, a ja się nigdy do niego nie przyzwyczaję — pomyślała Emilka.

Tęskniła okropnie do domu. Tęskniła do świec Srebrnego Nowiu, do ukochanych drzew, do muzyki wichru w gajku Wysokiego Jana, a nawet do cmentarzyka, na którym spoczywali zmarli Murrayowie.

— Nie będę płakać. — Emilka zacisnęła piąstki. — Ciotka Ruth wyśmiałaby mnie. W tym pokoju nie polubię niczego. A co jest za tem oknem?

Wychyliła się. Okno wychodziło na świerki, o-wiała ją woń balsamiczna. Na lewo drzewa tworzyły

jakby szpaler, przez który widać było kawałek nieba i śliczny półksiężyc, zawieszony nad doliną. Będzie widać zachód słońca codziennie!

— Och, to jest piękne — pomyślała Emilka, wdychając chciwie woń żywiczną. — Ojciec zawsze mówił, że wszędzie można znaleźć coś do kochania. Ja kocham ten widok.

Ciotka Ruth wsunęła głowę przez uchylone drzwi.

— Emiljo Starr, zamknij natychmiast to okno. Czy oszalałaś?

— Ten pokój jest taki ciasny — protestowała Emilka — duszno mi było.

— Możesz go wietrzyć w dzień, ale nie wieczorem, po zachodzie słońca! Jestem obecnie odpowiedzialna za twoje zdrowie. Wiedz, że suchotnicy winni unikać nocnego powietrza i przeciągów.

— Nie jestem suchotnicą.

— Rezonuj, naturalnie!

— A gdybym była suchotnicą, to także nocne powietrze lepsze jest, niż żadne. Dr. Burnley powiada, że trzeba mieć czem oddychać. Nienawidzę być zamkniętą.

— Młodym się zdaje, że starzy są głupi, a starzy wiedzą, że młodzi są głupi — ciotka Ruth wygłosiła to przysłowie tonem bezapelacyjnym.

Emilka zeszała z westchnieniem nadół. Jadalnia ciotki Ruth była znacznie wspanialsza i współczesniejsza, niż jadalnia w Srebrnym Nowiu. Ale o ile miłsza atmosfera tam panowała! Emilka tęskniła coraz bardziej. Zdawało jej się, że nie polubi niczego w Shrewsbury, nawet szkoły i studjów, bo nie można lubić niczego, mieszkając pod jednym dachem z ciotką Ruth.

Nauczyciele wydali jej się powierzchowni i głupi w porównaniu z panem Carpenterem. A jedna z dziewczynek wzbudziła w niej nienawiść od pierwszego spojrzenia. A ona przypuszczała, że będzie jej tak dobrze w tem ładnym Shrewsbury, w Wyższej Szkole! W życiu wszystko jest inaczej, niż sobie zgóry wyobrażamy, pomyślała Emilka w przystępie pesymizmu i poszła do swej sypialni. Dean opowiadał jej, że marzył przez całe życie o jeździe gondolą po kanale we-neckim przy świetle księżyca. Kiedy nareszcie doczekał się tej chwili, omal nie został zjedzony przez moskity.

Emilka zacisnęła zęby i wsunęła się do łóżka.

— Trzeba przytrzymać myśl przy świetle księżyca i przy romantyzmie, a nie zważać na moskity — pomyślała. — Tylko, że ciotka Ruth tak nudzi...

7.

POTPOURRI.

20 września, 19...

„Ostatnio zaniedbałam mój dziennik. Człowiek, mieszkający u ciotki Ruth, nie ma zbyt wiele wolnego czasu. Ale jest piątek, a ja nie mogłam pojechać do domu na week-end, więc, żeby się pocieszyć, piszę mój dzienniczek. Mogę jeździć do domu co dwa tygodnie, nie co tydzień. Co drugą sobotę muszę tu pozostać, bo potrzebna jestem ciotce Ruth do „gruntownego sprzątnia”. Sprzątamy ten dom bezustannie, czy trzeba, czy nie trzeba, a w sobotę zamęczamy się

poprostu całkiem niepotrzebnie, chyba po to, ażeby mieć po czem odpoczywać w niedzielę.

Dzisiaj jest już w powietrzu mroźny powiew. Obawiam się, że ogród w Srebrnym Nowiu ucierpi. Kuzyn Jimmy zacznie niebawem gotować ziemniaki dla świń w starym sadzie i deklamować swoje poezje. Dokoła niego skupią się Ilza, Perry i Tadzio, którzy pojechali do domu na te dwa dni (szczęśliwe istoty!), a Stop będzie się uwijał dokoła. Ale nie chcę myśleć o tem. Zbyt wielka ogarnia mnie nostalgia.

Zdaje się, że polubię Shrewsbury i szkołę tutejszą. Chociaż Dean miał słuszność, mówiąc, że nie znajdę drugiego takiego nauczyciela, jak pan Carpenter. Należę do najmłodszej klasy, na którą seniorzy i juniorzy spoglądają z wysoką. Tylko kilkoro z nich raczy się ze mną zadawać, naprzykład Ewelina Blake, której najlepsza przyjaciółka, Marja Carswell mieszka z Ilzą razem w pensjonacie pani Adamson.

Nienawidzę Eweliny. To nie ulega wątpliwości. I ona napewno nienawidzi mnie. Jesteśmy instynktownymi nieprzyjaciółkami, patrzymy jedna na drugą, jak dwa obce koty. Dotychczas nikogo nie darzyłam nienawiścią. Nienawiść jest więc dla mnie czemś interesującym, jako odmiana, nowość. Ewelina należy do Juniorów, jest wysoka, mądra, ładna, ma podłużne, jasne oczy, *zdradzieckie* oczy i mówi przez nos. Ma ambicje literackie i uważa się za najlepiej ubraną dziewczynę z całej szkoły. Może i słusznie. Ale też jej suknie wywierają większe wrażenie, niż ona sama. Niektórzy krytykują Ilzę, że ubiera się zbyt bogato i poważnie, ale ona zawsze *góruje* nad swemi sukniemi. A Ewelina — nie! Zawsze myśli się więcej o jej ub-

raniu, niż o niej samej. Różnica polega na tem, że Ewelina ubiera się dla innych, a Ilza dla siebie samej. Muszę napisać o niej szkic, gdy ją lepiej poznam. Będzie to przyjemność i zadośćuczynienie.

Po raz pierwszy spotkałam ją u Ilzy. Przedstawiła ją Marja Carswell. Ewelina popatrzyła na nas, jest trochę wyższa ode mnie, jest zresztą o rok starsza i rzekła:

— Ach, panna Starr? Słyszałam, jak moja ciotka, pani Henrykowa Blake, rozmawiała o pani.

Pani Henrykowa Blake jest to eks-panna Brownell. Spojrzałam Ewelinie prosto w oczy i rzekłam:

— Niewątpliwie odmalowała pani Henrykowa Blake pochlebny mój wizerunek.

Ewelina roześmiała się. Nie lubię tego śmiechu. Doznaje się wrażenia, że ona śmieje się z człowieka, a nie z tego, co ten człowiek powiedział.

— Do jakich pism pisuje pani? — spytała Ewelina słodko.

Wie doskonale, że nie pisuję do żadnych; jeszcze nie!

— Do „Enterprise”, wychodzącego w Charlotetown, do „Tygodnika Shrewsbury”, to wszystko narazie — odrzekłam. — Właśnie zawarłam z niemi umowę: będę otrzymywać 200 centów za każdą wiadomość nadesłaną do „Enterprise” i 25 centów na tydzień za list z kroniki towarzyskiej, napisany dla „Tygodnika”.

Ewelina zdziwiona była moją ironją. „Najmłodsze” nie używają zwykle tej broni. To jest przywilej Junjorów i Senjorów.

— Pytałam zupełnie serjo o czasopismo szkolne,
— odrzekła wyniośle.

— Jakie?

— „Pióro” jest czasopismem naszej Szkoły. Jest to miesięcznik, wydawany przez członków stowarzyszenia literackiego, do którego należeć mogą tylko Senjorzy i Junjorzy. Artykuły w „Piórze” są redagowane przez studjujących i w zasadzie każdy uczeń naszej szkoły może nadsyłać swoje utwory, ale w praktyce prawie nigdy nie zamieszcza się utworów „najmłodszych”.

Ewelina jest kuzynką wydawcy „Pióra”. Po tem oznajmieniu, odwróciła się ode mnie, sądząc zapewne, że już mi dokuczyła dostatecznie i przestała się mną zajmować. Dopiero gdy rozmowa zesła na rozdział sukien, znów raczyła mnie ukłuć:

— Muszę obejrzyć nowe modele — rzekła. — Podobno Jones ma już prześliczne nowe sukienki. Ta aksamitna wstążka, którą pani nosi na szyi, panno Starr, bardzo ładnie wygląda. Ja sama nosiłam takie wstążki, kiedy były modne, bo w nich jest każdej kobiecie do twarzy.

Nie zdążyłam odpowiedzieć nic mądrego. Przychożą mi do głowy mądre rzeczy, kiedy nie są potrzebne natychmiast. Ale gdy się trzeba pośpieszyć, nie umiem nic wymyślić. Nic więc nie powiedziałam, tylko się uśmiechnęłam wzgardliwie. To rozgniewało Ewelinę bardziej, niż wszelka odprawa, gdyż słyszałam później, jak stwierdzała, że „Emilja Starr ma bardzo afektowany uśmiech”.

Uwaga: Można bardzo wiele zdziałać odpowiednim uśmiechem. Muszę dokładnie wystudjować ten

przedmiot. Uśmiech przyjazny... uśmiech pełen wyrzutu... uśmiech niedbały... pociągający uśmiech... zwykły uśmiech, albo grymas ustami.

Co do panny Brownell, czyli pani Blake, spotkałam ją na ulicy przed paru dniami. Kiedy mnie minęła, powiedziała coś do swej towarzyszki i obie śmiały się głośno. Bardzo złe manjery, *mojem* zdaniem.

Lubię teraz Shrewsbury i lubię szkołę, ale nie polubię nigdy domu ciotki Ruth. Ten dom ma nieprzyjemną indywidualność. Domy są jak ludzie, jedne lubimy, do drugich czujemy nieprzepartą antypatję. Pokoje są tu czyste, ale cokolwiek w nie wstawić lub zawiesić na ścianie, wszystko wygląda, jakby powinno było znaleźć się gdzieindziej, nie tutaj. Niema tu miłych, romantycznych kącików, tak jak w Srebrnym Nowiu. Mój pokój nie zyskuje przy bliższem poznaniu, przeciwnie. Sufit dławi mnie i przytłacza, tak nisko jest nad mojem łóżkiem (jest pochyły), a ciotka Ruth nie pozwala ruszyć łóżka z miejsca. Była wręcz zgorszona, kiedy jej to zaproponowałam.

— Łóżko zawsze stało w tym kącie — rzekła. — Tym samym tonem byłaby mi powiedziała: — Słońce wschodzi codziennie.

Ale najgorszą z tych wszystkich rzeczy są obrazy: oleodruki najokropniejszego gatunku. Odwróciłam je wszystkie malowidłem do ściany i naturalnie ciotka Ruth weszła (nigdy nie puka) i momentalnie to zauważyła.

— Emilko, dlaczego odwrotnie zawiesiłaś te obrazy?

Ciotka Ruth zawsze pyta: „Dlaczego to, dlaczego owo”. Czasami mogę wyjaśnić, a czasami nie. To był

jeden z tych wypadków, w których nie mogłam. Ale musiałam odpowiedzieć na jej pytanie. Tutaj nie pomógłby lekceważący uśmiech.

— Kołnierz królowej Aleksandry działa mi na nerwy — rzekłam. — A wyraz twarzy Byrona na łóżu śmiertelnem przeszkadza mi w studjach.

— Emilko — rzekła ciotka Ruth — powinnaś okazać choć trochę wdzięczności!

Już miałam zapytać:

— Komu? Królowej Aleksandrze czy Byronowi? — ale się powstrzymałam w porę. Natomiast odwróciłam wszystkie obrazy malowidłem na pokój.

— Nie powiedziałaś mi istotnego powodu, dla którego zawiesiłaś odwrotnie te obrazy — rzekła ciotka Ruth surowo. — Przypuszczam, że nie masz zamiaru mi wyjawić prawdziwych przyczyn. Przebiegła jesteś, zawsze to mówiłam. Od pierwszego dnia, gdy cię zobaczyłam w Borze Majowym, orzekłam, że jesteś najprzebieglejszem dzieckiem, jakie widziałam kiedykolwiek.

— Ciotko Ruth, dlaczego mówisz mi takie rzeczy? — spytałam, wyprowadzona z równowagi. — Czy dlatego, że mnie kochasz i chcesz mnie wypróbować, czy też dlatego, że mnie nienawidzisz i chcesz mnie urazić, czy też dlatego poprostu, że nie możesz nie mówić rzeczy przykrych?

— Panno impertynentko, pamiętaj, że to jest mój dom. A moje obrazy zostawisz na przyszłość w spokoju. Przebaczam ci dzisiaj twój postępek, ale nie radzę ci, by to się powtórzyło. Wykryję istotną przyczynę tego odwrócenia ich do ściany, bądź spokojna, na nic się nie przydadzą twe mądrości!

Ciotka Ruth wyszła z pokoju, ale wiem, że stała dłuższą chwilę podedrzwiami, nasłuchując, czy nie zaczęła mówić sama do siebie. Wciąż mnie obserwuje i podpatruje, nawet gdy nic nie mówi. Czuję to. Doznaję wrażenia, że jestem muchą pod mikroskopem. Nic nie uchodzi jej krytycznemu wzrokowi. A ponieważ nie umie czytać w mojej duszy, więc przypisuje mi najgorsze myśli, do których jestem wręcz niezdolna: to mnie najwięcej gniewa.

Czyż nie mogę uczynić nic dobrego, ciotko Ruth? Chyba tak.

Jest ona uczciwa i cnotliwa, prawa i praktyczna. Ale nie posiada cnót, któreby zjednywały serca. Nigdy nie zrezygnuje z dociekania, dlatego ja odwrotnie zawiesiłam obrazy w moim pokoju. Nie uwierzy, że powiedziałam jej prawdę.

Naturalnie, że mogło być jeszcze gorzej. Tazio powiedziałby, że zamiast królowej Aleksandry mogła to przecież być sama królowa Wiktorja.

Mam kilka własnych obrazków, przywiezionych ze Srebrnego Nowiu i to mnie ratuje. Jeden z nich od Deana. Patrząc na ten obrazek, zapominam o królowej Aleksandrze i o lordzie Byronie.

Ciotka Ruth spytała, skąd mam ten obrazek. Kiedy jej powiedziałam, od kogo go otrzymałam, zasyzczała:

— Nie pojmuję twego upodobania do Garbusa Priesta. Nie miałabym co robić z takim mężczyzną.

Tego jestem pewna.

Dom jest brzydki, mój pokój niegościnnie, ale Kraina Wyżyn jest piękna i utrzymuje duszę moją w równowadze. Kraina Wyżyn to ów świerk, rosnący

za domem. Tak go nazwałam, bo świerki są wszystkie tak niezwykle wysokie, strzeliste i proste. A przytem poza świerkiem widnieją wzgórza, widoczne przez szparę między gałęziami drzewa, taką wąziutką, że niemal niewidzialną. One należą do Krainy Wyżyn. Gdy jestem smutna, gdy czuję się opuszczona, niezadowolona, albo zbyt ambitna, siadam w oknie i patrzę na ten śliczny krajobraz. Nikt nie może długo się traścić, patrząc na te ciemne wierzchołki, sięgające niemal stropu niebieskiego. Czasami idę pod drzewa z książką, siadam na ławce i tam się uczę, chociaż ciotka Ruth przypuszcza, że jest to jeszcze jeden objaw mojej przebiegłości. Niebawem będzie się ściemniało zbyt wcześnie, ażeby móc tam studjować. Szkoda! Książki moje nabierają tam innego sensu, niż mają gdziekolwiekbyż poza tym uroczym zakątkiem.

W Krainie Wyżyn jest tyle zakątków! Pełne są zapachu żywicznego i szumu traw, poruszanych przez Królowę Wichrów. A tuż przed moim oknem rosną dwa świerki, które przy świetle księżyca wyglądają, jak dwie ponure wiedźmy. Kiedy wiatr porusza ich gałęziami, doznaje się wrażenia, że to czarownice odprawiają jakieś tajemnicze gusła. Kiedy po raz pierwszy je zauważyłam o zachodzie słońca, przy czerwonym odbłasku mej świecy w szybach, poczułam po raz pierwszy również od czasu mego pobytu w Shrewsbury — „promyk”!... Tak byłam uszczęśliwiona, że wszystko inne przestało się liczyć. Napisałam wiersz na ten temat.

Ale takbym pragnęła pisać nowele! Wiedziałam, że ciężko będzie dotrzymać słowa, danego ciotce Elżbiecie, ale nie przewidziałam, że będzie aż tak ciężko.

Z każdym dniem jest mi ciężej; takie przepyszne pomysły cisną mi się do mózgu! Muszę poprzestawać na szkicach i „sylwetkach” ludzi, których widuję. Napisałam już kilka sylwetek. Stale mam ochotę trochę podmalować tło, dodać parę zabawnych szczegółów, ale przypominam sobie zawczasu, że przyrzekłam ciotce Elżbiecie pisać tylko prawdę. Więc panuję nad sobą i staram się opisywać ludzi jaknajwierniej.

Napisałam sylwetkę ciotki Ruth. Zajmująca, ale niebezpieczna. Nigdy nie pozostawiam mego dziennika, albo innej książki Jimmy’ego w moim pokoju. Wiem, że ciotka Ruth szpera tam, gdy wychodzę. To też zabieram książki Jimmy’ego ze sobą, w teczce.

Ilza przysłała dzisiaj do mnie po kolacji i odrabialiśmy razem lekcje. Ciotka marszczy czoło, patrząc na nas. Prawdę powiedziawszy, nie wiem, czy nie ma słuszności w tym wypadku. Ilza jest taka zabawna, taka komiczna, że przeważnie śmiejemy się głośno, zamiast pracować. Nazajutrz gorzej umiemy lekcje, a przytem ten dom jest wrogiem śmiechu.

Perry i Tadzio polubili Wyższą Szkołę. Perry zarabia na mieszkanie, doglądając gotowania i zmywania, a na utrzymanie — podając do stołu. Poza tem otrzymuje 25 centów za godzinę różnych cięższych posług. Widuję go rzadziej, niż Tadzia, niemal tylko w soboty i niedziele, spędzane w domu, u nas. Regulamin szkolny zabrania chłopcom i dziewczętom chodzić razem do szkoły, lub odprowadzać się wzajemnie po skończonych lekcjach. Ale młodzież robi to, mimo ten zakaz. I jabym miała sposobność obejść regulamin, ale doszłam do wniosku, że nie byłoby to zgodne z tradycjami Srebrnego Nowiu. Zresztą ciotka Ruth pyta

mnie co wieczór, czy mnie ktoś odprowadzał ze szkoły. Zdaje mi się, że jest czasami trochę rozczarowana, gdy mówię: „nie”.

Prawdę powiedziawszy, nie mam wcale ochoty na przechadzkę z żadnym z tych chłopców, którzy chętnie przechadzaliby się ze mną.

.
20 października. 19...

Pokój mój pełen jest dzisiaj woni jesiennych, ale nie wolno mi otworzyć okna. Zaryzykowałabym to, mimo wszystko, gdyby ciotka Ruth nie była przez cały dzień w bardzo złym humorze. Wczoraj przypadła ta niedziela, którą spędzam w Shrewsbury, a kiedy poszłyśmy do kościoła, usiadłam w głębi ławki, w kącie. Nie wiedziałam, że zwykle siedzi tam ciotka Ruth, a ona pomyślała, że uczyniłam to rozmyślnie. Przez całe popołudnie czytała bibliję. Czułam, że czyta ją mnie na złość, ale nie mogłam zrozumieć dlaczego. Dzisiaj zrana zapytała, dlaczego tak postąpiłam wczoraj.

— Jak? — spytałam, zdumiona.

— Emilko, wiesz, co zrobiłaś. Nie myślę tolerować tej obłudy. Jakie motywy kierowały tobą?

— Ciotka Ruth, nie mam najłżejszego pojęcia, co masz na myśli — rzekłam wyniośle, bo czułam, że krzywdą mi się tu dzieje.

— Emilko, usiadłaś wczoraj w kącie ławki, ażeby mnie tam nie dopuścić. Dlaczego to uczyniłaś?

Spojrzałam z góry na ciotkę Ruth, jestem teraz wyższa od niej i z łatwością mi to przychodzi. Ona te-

go nie lubi... Byłam zła i miałam z pewnością Murra-
yowskie spojrzenie. Cała ta historia była drobiazgiem
do lekceważenia, czyż było o co wszczynać „kwestję”?

— Jeżeli uczyniłam to, ażeby ciebie tam nie do-
puścić, to czyż nie wymieniłaś już sama przyczyny? —
rzekłam pogardliwie, co było wiernym wyrazem mo-
ich uczuć. Wzięłam moją teczkę z książkami i skiero-
wałam się ku drzwiom. Na progu stanęłam. Przyszło
mi na myśl, że jakimby nie był sposób bycia i postę-
powania Murrayów, nie zachowuję się w tej chwili,
jak przystało na córkę Starra. Ojciec nie byłby po-
chwalił tego rodzaju odpowiedzi. Zwróciłam się więc
do ciotki Ruth i rzekłam bardzo grzecznie:

— Nie powinnam była tak się do ciebie odezwać,
ciotko Ruth i przepraszam cię za to. Nie miałam żad-
nych określonych zamiarów, siadając w kącie. Stało
się to dlatego poprostu, że pierwsza weszłam do ławki.
Nie wiedziałam, że ty wolisz to miejsce.

Może przesadziłam w grzeczności. Faktem jest,
że moje przeproszenie rozgniewało ciotkę Ruth jesz-
cze bardziej. Zasyzczała:

— Przebaczę ci tym razem jeszcze, ale niech się
to nie powtórzy. Naturalnie nie miałam nadziei ani
przez chwilę, że powiesz mi istotną przyczynę twego
postępu. Na to jesteś zbyt nieszczerą i przebiegłą.

Ciotko Ruth! Ciotko Ruth! Jeżeli nie przesta-
niesz nazywać mnie przebiegłą, doprowadzisz mnie na-
prawdę do wybiegów, a wtedy miej się na baczności!
Jeżeli się zdobędę na przebiegłość, owinę cię dokoła
małego palca! Możesz sobie radzić ze mną tylko dzie-
ki mojej prawości.

Muszę chodzić spać co wieczór o 9-tej godzinie:

„Ludzie zagrożeni suchotami potrzebują wiele snu”. Gdy wracam ze szkoły, jemy obiad, a potem studjuję przez cały wieczór. Nie mam więc ani chwili dla siebie. Nie mogę pisać. Wiem, że ciotka Ruth i ciotka Elżbieta uknuły razem ten spisek. Ale ja muszę pisać. To też zrana wstaję skoro świt, ubieram się, kładę palto, bo poranki są teraz chłodne, i gryzmołę przez godzinę przynajmniej. Nie chcąc, aby ciotka Ruth mnie przydybała i znów mi zarzuciła przebiegłość, powiedziałam jej o tem. Dała mi do zrozumienia, że jestem umysłowo chora i że źle skończę, najprawdopodobniej w zakładzie lub przytułku, ale mi narazie nie zabroniła rannego wstawania. Może się domyśliła, że toby się na nic nie zdało. Ta godzina o świcie jest najczarowniejszym momentem mego obecnego życia.

W ciągu dnia *obmyślam* nowele, ponieważ pisać mi ich nie wolno. Ale przyszło mi na myśl, że i tym sposobem nie dotrzymuję obietnicy, danej ciotce Elżbiecie. Łamię ją w duchu, nie w czynie, ale to przecież stokroć ważniejsze. Więc i tego zaprzestałam.

Dzisiaj napisałam wizerunek Ilzy. Bardzo ciekawy. Ją trudno jest analizować. Taka jest indywidualna i nieobliczalna. Ona nawet się nie gniewa tak, jak inni. Lubię jej „awantury”. Już nie używa takich przymiotników, jak niegdyś, ale jest w gniewie *pikantna*. (Pikantny — jest dla mnie nowym wyrazem. Lubię używać nowopoznanych słów. Wydaje mi się, że wtedy dopiero staję się właścicielką danego wyrazu, kiedy go wypowiem, lub napiszę).

Piszę przy oknie. Ogromnie lubię patrzeć, jak światełka domostw Shrewsbury migocą poprzez świerki na wzgórzu.

Dziś otrzymałam list od Deana. Jest w Egipcie, wśród ruin świątyń starych bogów, wśród grobów faraonów. Widzę ów dziwny kraj jego oczami, cofam się wraz z nim o całe lata wstecz, co mówię! o całe stulecia. Poznałam magiczny urok tych krajów. Stałam się na chwilę Emilką z Karnaku, albo Emilką z Teb, a przestałam być Emilką z Shrewsbury. Ten dar posiada Dean i tylko on jeden!

Ciotka Ruth zażądała koniecznie, żebym jej pokazała jego list. Po przeczytaniu orzekła, że jest on bezbożny.

Ten przymiotnik nie byłby mi nigdy przyszedł na myśl.

.
21 października 19...

Weszłam dziś na wzgórze, które widać z mego okna i na szczycie doznałam wielkiego zachwytu. Sam fakt osiągnięcia jakiegoś szczytu sprawia człowiekowi taką ogromną przyjemność! Widok stamtąd jest rozległy i bardzo ładny. Zapomniałam o wszystkim, o ciotce Ruth i jej wścibskości, o Ewelinie Blake i jej pretensjonalnym tonie, o kołnierzu królowej Aleksandry, słowem, o wszystkim, co nie jest pomyślnie w mojem życiu. Piękne myśli cisnęły mi się do głowy, zbiegały się jak ptaki. To nie były *moje* myśli. Jabym nie umiała pomyśleć czegoś tak cudnie miłego. One pochodziły od kogoś innego.

Wracając, usłyszałam nagle śmiech, pochodzący ze szczytu świerka przy mojem oknie. Stanęłam jak wryta. Wiedziałam, że to nie jest ludzki śmiech, a

choć brzmiał jak śmiech Puka szekspirowskiego, to niemniej nie mogę już wierzyć w Elfy. Człowiek traci tak wiele, gdy staje się niedowiarkiem! Przez chwilę bałam się trochę, sama nie wiem czego. Wtem zrozumiałam: to głos sowy! I rzeczywiście dwie sowy siedziały na gałęzi i widocznie uśmieły się z jakiegoś sowego żartu. Muszę napisać wiersz na ten temat, chociaż zgóry wiem, że nigdy nie zdołam oddać uroku i demoniczności tego momentu.

Ilza została wezwana wczoraj do przełożonego, bo wracała ze szkoły w towarzystwie Guya Lindsaya. Pan Hardy powiedział jej coś, co ją tak rozłościło, że rzuciła (w niego czy w ścianę?) wazon z chryzantemami, stojący na jego biurku. Wazon rozbił się w drobne kawałki.

— Gdyby nie był trafił w ścianę, byłby trafił w pana — oświadczyła.

Niejedna z nas musiałaby podobnego czynu gorzko pożałować, ale pan Hardy jest przyjacielem d-ra Burnleya. Zresztą w tych żółtych oczach Ilzy jest coś takiego, że jej uchodzą rzeczy najbardziej niedozwolone. Wiem dobrze, jakim wzrokiem patrzyła na pana Hardy, rzuciwszy w niego ów wazon. Gniew już ją opuścił napewno, a oczy jej śmiały się bezczelnie — powiedziałaaby ciotka Ruth. Pan Hardy powiedział jej, że postępuje jak małe dziecko i że zapłaci za wazon, ponieważ jest to własność szkoły. To ostudziło Ilzę do reszty: tak się nie kończą nigdy bohaterские wy-czyny.

Ja skrzyczałam ją srodze. Doprawdy, ktoś powinien wychowywać Ilzę, a nikt sobie nie zdaje sprawy ze swej odpowiedzialności. Dr. Burnley śmieje się ze

wszystkiego, co ona mu opowiada. Więc ja ją łaję, ale z równem powodzeniem mogłabym łajać Królową Wichrów. Ilza śmiała się i uściśniła mnie:

— Kochanie, co to był za huk! Kiedy go usłyszałam, odrazu ochłonęłam z gniewu.

Ilza deklamowała w zeszłym tygodniu na naszym koncercie szkolnym i wszyscy byli nią zachwyceni.

Ciotka Ruth powiedziała mi dzisiaj, że ma nadzieję, iż zostanę jedną z „czołowych uczennic”. Wszystkie uczennice, które otrzymują 90 punktów na sto przy egzaminie przedświątecznym, a w żadnym przedmiocie nie spadną poniżej 80, nazywają się „czołowymi uczennicami” i zostają odznaczone złotymi gwiazdkami, które noszą na piersiach aż do następnego egzaminu. Jest to wysokie odznaczenie, które niewielu uczennicom przypada w udziale. Jeżeli „przepadnę”, ciotka Ruth będzie strasznie nieprzyjemna. *Muszę* zdać pierwszorzędnie.

30 października 19...

Listopadowy numer „Pióra” wyszedł dzisiaj z druku. Posłałam mój wiersz o sowie w zeszłym tygodniu na ręce wydawcy, ale nie wydrukował go. Natomiast zamieścił wiersz Eweliny Blake, głupi, pretensjonalny wierszyk o „Liściach Jesiennych”, coś w tym rodzaju, jak ja pisywałam przed trzema laty.

A Ewelina pocieszała mnie wobec całej klasy: widocznie Tom Blake powiedział jej o nadesłaniu przeze mnie wiersza.

— Nie powinna pani być tem zmartwiona, panu Starr. Tom mówi, że ten wiersz nie jest bynajmniej zły, ale naturalnie nie jest na poziomie „Pióra”. Za

rok, albo dwa będzie pani mogła z pewnością współpracować z nami. Niech pani pracuje nadal.

— Dziękuję — rzekłam. — Nie martwię się tem. Czemże? Ja nie rymuję „mętny” z „wierny”. Gdybym to robiła, miałabym się czem martwić istotnie.

Ewelina zarumieniła się powyżej uszu.

— Nie okazuj tak wyraźnie twego rozczarowania, *dziecko* — rzekła.

Ale zauważyłam, że niebawem zmieniała temat.

Dla własnej satysfakcji napisałam krytykę wiersza Eweliny zaraz po powrocie ze szkoły. Wzorowałam ją na szkicu Macauley'a o biednym Robercie Montgomery i tak się ubawiłam, że już się nie czułam upokorzona, ani przygnębiona. Muszę to pokazać panu Carpenterowi, gdy pojedę do domu. Będzie się zaśmiewał.

6 listopada 19...

Zauważyłam dzisiaj, przeglądając mój dziennik, że przestałam po krótkim czasie notować moje dobre i złe uczynki. Zapewne dlatego, że większość moich uczynków była na pół dobra, na pół zła. Nigdy nie mogłam ustalić, do jakiej kategorii należy dany uczynek.

W poniedziałek zrana zaczęły się egzaminy. Dzisiaj zrana przytoczyłam wiersz z mego poematu „Wiatr Morski”. Kiedy opuszczałam grono Egzaminatorów i miałam zejść na dół do klasy najmłodszej, odwołała mnie panna Aylmer, wice-przełożona szkoły:

— Emilko, co to jest za piękny wiersz, ten, który przytoczyłaś w swem opowiadaniu? Skąd go masz? Czy znasz cały utwór?

Byłam tak zdumiona, że z trudem odpowiadałam.

— Tak, miss Aylmer — rzekłam cichym głosem.

— Chciałabym, żebyś mi go przepisała — rzekła panna Aylmer. — Czy zechcesz? A kto jest autorem?

— Autorem — rzekłam, śmiejąc się — jest Emilija Byrd Star. Przyznam się, miss Aylmer, że zapomniałam zajrzeć do regulaminu, który przewiduje przytoczenie jakiegoś wiersza w każdym opowiadaniu, jako „motta”, więc w ostatniej chwili sięgnęłam do własnych utworów.

Panna Aylmer nic nie mówiła. Przyglądała mi się przez chwilę. Jest to otyła osoba lat średnich, o regularnej twarzy i łagodnych, pięknych oczach.

— Czy pani jeszcze życzy sobie, żebym przepisała ten utwór, miss Aylmer? — spytałam z uśmiechem.

— Tak — rzekła, patrząc na mnie w dalszym ciągu tak, jakgdyby mnie nigdy nie widziała dotychczas. — Tak, i przepisz mi go ręcznie, proszę!

Przyrzekłam jej to i zesłam ze schodów. Na dole obejrzałam się. Stała jeszcze, nieporuszona i patrzyła za mną. W oczach jej było coś, co mnie uszczęśliwiało. Byłam dumna i pokorna zarazem, byłam *rozmodlona*. Oto jest właściwy wyraz na określenie stanu mojej duszy.

Och, to był cudny dzień. Cóż mi teraz po „Piórze”, po uznaniu Eweliny Blake?

Dzisiaj po południu poszła ciotka Ruth do miasta, aby odwiedzić Andrzeja, syna wuja Olivera. On teraz pracuje w tutejszym banku. Mnie zabrała ze sobą. Udzieliła Andrzejowi mnóstwa nauk co do moralności, odżywiania się i ubierania i zaprosiła go do siebie na którykolwiek z najbliższych wieczorów. An-

drzej jest Murrayem, widzicie, więc on może przestąpić progi, zbyt wysokie dla Tadzia i Perry'ego. Jest przystojny, ma sterczące, czerwonawe włosy.

Uważałam wieczór za niezupełnie stracony, bo ta pani, u której mieszka Andrzej, pani Garden, ma interesującego kota. Ten kot wyraźnie przymilał się do mnie. Gdy Andrzej pogłaskał go i nazwał go „biednym kociątkiem”, inteligentne zwierzę podrapało go.

— Nie powinieneś być zbyt poufały z kotami — ostrzegłam Andrzeja. — A także musisz się do nich wyrażać i do nich się zwracać z szacunkiem.

— Phi! — rzekła wzgardliwie ciotka Ruth.

Ale kot jest kotem i wie, co o tem myśleć.

8 listopada 19..

Noce są teraz zimne. Kiedy wróciłam tu w poniedziałek, przywiozłam z sobą jedną z butelek do gorącej wody ze Srebrnego Nowiu, ażeby mieć ciepło wieczorem. Kładę się z nią do łóżka i rozkoszuję się kontrastem miłego ciepła w pokoju z zawieruchą za oknami. Ciotka Ruth obawia się, że korek wyskoczy i że w łóżku będzie potop. To byłoby równie złe, jak zdarzenie ubiegłej nocy. Obudziłam się o północy z cudownym pomysłem noweli. Czułam, że muszę wstać i natychmiast zanotować sobie ten pomysł. Za trzy lata będę miała prawo opracować go.

Wyskoczyłam z łóżka i zaczęłam obmacywać po ciemku biurko, szukając świecy. Przewróciłam kałamarz! To mnie pozbawiło do reszty przytomności umysłu, niczego nie mogłam znaleźć. Zapalki, świeca, wszystko zniknęło. Postawiłam kałamarz, ale wiedziałam, że na biurku jest wielka czarna plama. Całe palce miałam powalane atramentem i nie śmiałam się

dotknąć niczego, a nie miałam w co wytrzeć rąk. Przez cały ten czas słyszałam ściekanie atramentu na podłogę.

Zrozpaczona, otworzyłam drzwi (palcami u nóg, bo ręką nie śmiałam dotknąć klamki) i zeszłam na dół, gdzie wytarłam palce o ścierkę od pieca i zdobyłam kilka zapalek. Ciotka Ruth obudziła się i naturalnie wstała, dopytując się, co się stało, dlaczego, pogo? Odebrała mi zapalki, zapaliła swoją świecę i poszła ze mną na górę. Och, to była tragiczna noc! Jak może taki mały kałamarz zawierać tyle atramentu? Tam chyba było z pół litra, sądząc po rozmiarze katastrofy.

Czułam się jak ten stary emigrant szkocki, który przyszedł pewnego wieczora do domu, zastał ów dom spalony, a żonę i dzieci oskalpowane przez Indjan i oświadczył: „To nie ma najmniejszego sensu”. Serweta na stole była poplamiona, dywanik był cały czarny, nawet tapeta ucierpiała. Tylko królowa Aleksandra uśmiechała się niezmiennie, a Byron nadal umierał.

Ciotka Ruth i ja rozmawiałyśmy przez godzinę. Była to rozmowa przepojona octem i żółcią. Ciotka Ruth nie uwierzyła mi, gdy jej powiedziałam, że wstałam, aby zanotować temat noweli. Ona wie, że miałam inne powody i że złożyłam nowy dowód przebiegłości i obłudy. Powiedziała jeszcze dużo innych rzeczy, których nie napiszę tutaj. Rzecz jasna, że zasłużyłam na jej gniew za to przewrócenie kałamarza, ale nie zasłużyłam na to wszystko, co ona mi powiedziała. Ale wysłuchałam jej krzyku bardzo pokornie. Po pierwsze, nie byłam w porządku. Powtórę miałam na nogach nocne pantofle. Każdy może mnie przekrzyczeć,

gdy jestem w nocnych pantoflach. Wreszcie ciotka odeszła, mówiąc, że przebacza mi jeszcze tym razem, ale żeby to już było po raz ostatni.

Perry pobił wszystkie rekordy w szkole sportowej i wziął pierwszą nagrodę. Zanadto się tem przechwala, Ilza znów się na niego rozgniewała.

11 listopada 19...

Wczoraj wieczorem zastała mnie ciotka Ruth, czytającą „Dawida Copperfielda”. Płakałam nad rozstaniem Dawida z matką, byłam oburzona na pana Murdstone’a. Ciotka Ruth musiała się dowiedzieć, dlaczego płaczę, a gdy jej powiedziałam prawdę, nie chciała uwierzyć.

— Płaczesz nad ludźmi, którzy nigdy nie istnieją? — spytała z niedowierzaniem.

— Ależ oni istnieli i istnieją — odrzekłam. — Oni są niemniej żywymi istotami, jak ty, ciotko Ruth. Czyż uważasz pannę Betty Trotwood za złudzenie?

Przyjeżdżając do Shrewsbury, sądziłam, że będę mogła pijać prawdziwą herbatę, ale ciotka Ruth mówi, że to niezdrowo. Piję więc zimną wodę, bo nie chcę już pić nadal rumianku. Nie jestem już dzieckiem!

30 listopada 19...

Andrzej był tu dziś wieczorem. Stale przychodzi w piątki, w które nie wyjeżdżam do Srebrnego Nowiu. Ciotka Ruth pozostawiła nas samych w saloniku i poszła na posiedzenie Pomocy Społecznej Kobiet. Pod opieką Andrzeja można mnie zostawić, bo jest on Murrayem.

Nie mogę powiedzieć, żebym nie lubiła Andrzeja.

Nie można nie lubić tak nieszkodliwego stworzenia. Jest on jednym z tych dobrych, rozmownych ludzi, którzy budzą w nas nieprzepartą pokusę dokuczania im. A potem doznajemy wyrzutów sumienia, ponieważ są tacy dobrzy!

Dzisiaj zauważyłam dopiero, jak mało mamy sobie do powiedzenia, Andrzej i ja. Po raz pierwszy byliśmy tak długo sami. Zauważyłam, że można go z łatwością zbyć paru „tak”, paru „nie”, wyrzeczonemi ze śmiechem, lub bez. A najlepiej radzę sobie, mówiąc co kilka słów: „Nadzwyczajne”. On mówi, mówi, mówi, a ja myślę o czym innym i od czasu do czasu przerywam mu na wszelki wypadek okrzykiem: „Nadzwyczajne!” Uczyniłam to dokładnie 11 razy. Andrzej mówił nadal, widziałam, że jest zachwycony swoim powodzeniem. Doznawał z pewnością wrażenia, że on sam jest „nadzwyczajny” i jego rozmowa także. Ja zaś przeżywałam w myśli cudne wrażenia: byłam na Riwierze, w Egipcie za czasów Totmesa I.

Byliśmy więc oboje bardzo szczęśliwi. Mogę tak postępować nadal. Andrzej jest zbyt głupi, aby mnie na tem przyłapać.

Ciotka Ruth, wróciwszy do domu, zapytała:

— No, jakże wam się gawędziło?

Za każdym razem zadaje nam to pytanie. Wiem dlaczego. Zgaduję, jaki cichy spisek uknuli Murrayowie, chociaż wątpię, czy go już ujęli kiedykolwiek w słowa. Ale myślą wszyscy o tem samem...

— Świetnie — odrzekłam — Andrzej robi postępy. Dzisiaj powiedział już jedną rzecz zajmującą i nie miał tyle kłopotu co zwykle z rękami i nogami.

Nie wiem, dlaczego mówię takie rzeczy ciotce

Ruth. Byłoby o wiele lepiej, gdybym tego nie czyniła. Ale coś, nie wiem, czy to jest coś Murrayowskiego, czy Starrowskiego, czy Burnleyowskiego, czy Shipleyowskiego, coś jest, co każe mi tak mówić do niej.

— Ty z pewnością znalazłabyś bardziej zajmujących towarzyszy wśród kowali i szewców — odrzekła wzgardliwie ciotka Ruth.

8.

BEZ DOWODÓW.

Emilka niechętnie opuszczała księgarnię. Lubiała ten zapach książek i świeżo wydrukowanych czasopism. Wślizgiwała się jak najczęściej do księgarni i zapuszczała ciekawe spojrzenia w czasopisma, których kupić nie miała za co. Badała, jaki rodzaj materiału odpowiada któremu pismu. Interesował ją zwłaszcza dział poezyj. Nie mogła się z tem zgodzić, ażeby większość wierszy zamieszczanych przez owe czasopisma była lepsza od jej utworów poetyckich. A mimo to wszyscy wydawcy odsyłali jej systematycznie rękopisy. Emilka zużyła już sporą ilość znaczków Stanów Zjednoczonych, kupionych za część pieniędzy, otrzymanych od kuzyna Jimmy, posyłając je czasopismom amerykańskim na ewentualny zwrot rękopisu i odpowiedzi. Stale otrzymywała zpowrotem grubszą kopertę, niż oczekiwała. Jej „Śmiech Sowy” odbył już podróż do sześciu redakcyj, wciąż bezskutecznie. Ale Emilka nie traciła nadziei, że go zdoła umieścić. Tegoż

dnia zrana wsunęła znowu list do skrzynki pocztowej przy księgarni.

— Za siódmym razem powiedzie mi się, siódemka to szczęśliwa cyfra — pomyślała, skręcając w ulicę, prowadzącą do pensjonatu Ilzy. O jedenastej czekał ją egzamin z angielskiego, chciała więc przejrzeć notatki Ilzy, zanim pójdzie do szkoły. Emilka miała nadzieję, że otrzymała stopnie, dające jej nie mniej, niż 80 punktów. Dzisiaj była kolej na język angielski, z którego pewna była, że otrzyma najmniej 90 punktów. Pozostał jeszcze egzamin z historii, która należała również do jej ulubionych przedmiotów. Wszyscy mieli nadzieję, że ona otrzyma odznaczenie. Kuzyn Jimmy był zgorączkowany, a Dean przysłał jej przedwczesne powinszowanie, tak był pewien jej sukcesu. List jego nadszedł tegoż dnia wraz z paczką, zawierającą prezent gwiazdkowy.

— Posyłam ci mały naszyjnik, zdjęty z mumii zmarłej przed wiekami księżniczki, należącej do dynastji 19-ej — pisał Dean. — Na imię jej było Mena. Nagrobek jej opiewa, że była „słodką i serdeczną dziewczyną.” Sądzę więc, że srodzy bogowie mieli dla niej uśmiech wyrozumiały, gdy stanęła przed ich obliczem. Ten mały amulet leżał na jej zastygłej piersi przez tysiąc lat zgórą. Posyłam ci go wraz z wiekami rozmyślań i miłości, któremi jest obarczony. Sądzę, że był to podarunek miłosny. W przeciwnym razie dlaczegóżby go była zachowała na piersiach przez tyle stuleci? Takiem było widocznie jej osobiste życzenie. Książęta byliby włożyli cenniejszy klejnot na szyję zmarłej córki faraona.

Amulet intrygował Emilkę swym tajemniczym

urokiem, a zarazem bała się go. Zadrżała, kładąc go na szyję i czując to zimne dotknięcie metalu. Rozmyślała o zmarłej królewskiej dziewczeczce, która nosiła go za czasów świetności Egiptu. Jakie były jej dzieje i jej nieznanne przeżycia?

Ciotka Ruth naturalnie nie pochwalała tego daru. Z jakiego tytułu otrzymywała Emilka prezenty gwiazdkowe od Garbusa Priesta?

— Gdyby ci chociaż był przysłał coś *nowego*, skoro już ci daje prezenty!

— Pamiątkę z Kairu, „made in Germany” — dokończyła Emilka z powagą.

— Coś w tym rodzaju — przytaknęła ciotka Ruth, nie podejrzewając ironji.—Pani Ayers otrzymała od swego brata, gdy przyjechał z Egiptu, śliczne lustro w złotej ramce z owalnym malowidłem bardzo maleńkiem, przedstawiającem sfinksa. Owal ten, malowany na papierze, jest włączony w tę samą ramkę, przedzielony od lusterka wąską warstwą złota. To rozumiem, to jest prezent! Ale ten zniszczony przedmiot kosztował niezawodnie parę groszy.

— Parę groszy! Ależ ciotko Ruth, czyż nie zdajesz sobie sprawy, że ten naszyjnik jest ręcznej roboty i że nosiła go jedna z księżniczek egipskich przed narodzinami Mojżesza?

— O! Skoro chcesz wierzyć we wszystko, co ci opowiada Garbus Priest! — rzekła ciotka Ruth, ubawiona. — Jaby nie nosiła tego naszyjnika, gdybym była tobą, Emilko. Murrayowie nigdy nie noszą lichej biżuterji. Nie włożysz go chyba dzisiaj, dziecko?

— Stanowczo go włożę na szyję, ciotko Ruth. Po raz ostatni był on niezawodnie noszony na dworze

faraona w epoce ucisku. Dzisiaj ja go będę miała na szyi, tańcząc na wieczorku Kitty Barrett. Jaka różnica! Mam nadzieję, że duch księżniczki Meny nie nawiedzi mnie tej nocy. Ona ma mi może za złe moje świętokradztwo, kto to wie? Ale to nie ja obrabowałam jej grób, a ten, kto to uczynił, nie myślał zapewne wcale o biednej małej księżniczce. Gdybym ja nie otrzymała jej naszyjnika, nosiłby go ktoś, ktoby też nie wspomniał jej właścicielki. Pewna jestem, że ona jeszcze mniej byłaby rada, gdyby ten naszyjnik leżał w jakimś muzeum, wystawiony na tysiące ciekawych, zimnych spojrzeń. Nie, ona z pewnością nie będzie mi zazdrościć, iż dzisiaj ja noszę jej klejnot. Pani Egiptu, której królestwo rozproszone było wśród piasków pustyni, jak wino, rozlane w beczki i kielichy, pozdrawiam cię poprzez szeregi wieków minionych.

Emilka skłoniła się głęboko i dłonią powiewała ku swej wizji przeszłych stuleci.

— Taka napuszona mowa jest bardzo głupia — zasyczała ciotka Ruth.

— Prawie całe zdanie ostatnie jest cytata z listu Deana — odrzekła Emilka naiwnie.

— Mogłam się była domyślić — rzuciła ciotka Ruth pogardliwie. — Jestem zdania, że twój wenecki naszyjnik byłby odpowiedniejszy, niż ten pogański przedmiot. Pamiętaj, nie baw się zbyt długo, Emilko. Niech cię Andrzej odprowadzi do domu najpóźniej o dwunastą.

Emilka szła z Andrzejem na „wieczorek” do Kitty Barrett. Był to niezwykle przywilej. Otrzymała pozwolenie na ten wyłom w zwyczajach Murayow-

skich ze względu na obecność ulubieńca ciotki Ruth, Andrzeja. Gdyby nawet nie wróciła do godziny pierwszej, ciotka Ruth patrzyłaby na to „przez palce”. Tak się też i stało, ale nazajutrz była Emilka bardzo senna, tem bardziej, że poprzedniej doby pracowała do późnej nocy. Ciotka Ruth dodawała jej jeszcze jedną świecę w okresie egzaminów. Coby była powiedziała, gdyby mogła odgadnąć, że Emilka używa tych świec dodatkowych do pisania poematu, pod tytułem: „Cienie”, którego nie znam i nic o nim orzec nie mogę? Wiem tylko, że był to długi utwór, który z pewnością pochłoniął niemałą ilość świec. Ciotka Ruth byłaby to niechybnie uważała za nowy dowód przebiegłości Emilki. Może to i było przebiegłe. Pamiętajmy, że jestem tylko biografem Emilki, a nie jej obrońcą.

Emilka zastała w pokoju Ilzy Ewelinę Blake. Ewelina była w duchu bardzo niezadowolona, bo nie została zaproszona na wieczorek Kitty Barrett. Tem bardziej ją to upokarzało, że Emilja Starr otrzymała zaproszenie. To też, siedząc na stole i kołysząc swemi długimi nogami, ażeby uwydatnić jedwabne pończochy i dokuczyć tem koleżankom, które miały tylko bawełniane, zdecydowana była Ewelina, że będzie tego dnia wysoce niemila.

— Cieszę się, że przyszedłś, doprawdy — jęknęła Ilza. — Ewelina zrzędzi i brzęczy mi nad głową przez całe rano. Może teraz wyleje trochę żółci na ciebie, a ja odpocznę przez ten czas.

— Mówiłam jej, że powinna panować nad sobą — rzekła Ewelina uroczystym tonem. — Czy nie podziela pani mego zdania, panno Starr?

— A co zrobiłaś dzisiaj, Ilzo? — spytała Emilka.

— Pokłóciłam się z panią Adamson. To musiało nastąpić prędzej, czy później. Cierpiałam w milczeniu, aż nagromadził się we mnie zapas złości. Marysia wiedziała o tem, nieprawdaż, Marysiu? Marysia wiedziała, że wybuch jest nieunikniony. Pani Adamson zaczęła mi znowu zadawać nieprzyjemne pytania, jak to jest jej zwyczajem. Potem zaczęła zrzedzić, a wkońcu płakać. Wtedy dałam jej w twarz.

— Widzisz — rzekła Emilka znacząco.

— Nie mogłam się opanować — dowodziła Ilza. — Mogłam jeszcze znieść jej impertynencje i jej narzekania, ale gdy zaczęła płakać... nie, to już było za wiele! Ona jest taka *brzydka*, gdy płacze!

Ilza wybuchnęła śmiechem.

— Po pierwsze, przestała buczyć. Ale ja po chwili poczułam wyrzuty sumienia. Przepraszę ją w każdym razie. Żałuję doprawdy, że to zrobiłam, ale wiem, że mogłabym zrobić to samo w podobnej sytuacji. Gdyby Marysia tu obecna nie była taka dobra, ja nie byłabym ani w połowie taka zła, jak jestem. Ale muszę równoważyć tę jej dobroć. Marysia jest słaba i pokorna, a pani Adamson nad nią przewodzi. Żebyście słyszały, jak ona łaje Marysię, o ile Marysia wyjdzie z domu więcej, niż raz na tydzień, wieczorem.

— Ma słuszość — rzekła Ewelina. — Byłoby znacznie lepiej, gdybyś ty mniej wychodziła z domu. Będą cię obgadywali, Ilzo.

— Ty nie wyszłaś z domu wczoraj wieczorem,

nieprawdą, kochanie? — spytała Ilza ze złośliwym grymasem.

Ewelina zarumieniła się i odpowiedziała wyniosłym milczeniem. Emilka pogрузyła się w czytaniu notatek. Marysia i Ilza wyszły z pokoju. Emilka byłaby chciała, żeby Ewelina poszła za ich przykładem. Ale Ewelina nie miała bynajmniej tego zamiaru.

— Dlaczego nie wpływasz na Ilzę, żeby się zachowywała po ludzku? — zaczęła tonem poufnym, pełnym powstrzymywanej nienawiści.

— Nie mam wpływu na Ilzę — rzekła Emilka chłodno. — Zresztą, nie uważam, żeby się źle zachowywała.

— O, moja droga, sama słyszałaś, że uderzyła panią Adamson.

— Pani Adamson zasłużyła na to. Jest to ohydna kobieta. Wiecznie płacze bez najmniejszego powodu. Rozumiem, że to podrażniło Ilzę.

— No, Ilza znów uciekła wczoraj z lekcji francuskiego i poszła na przechadzkę nad rzekę z Ronnie Gibsonem. Jeżeli to się będzie zdarzało częściej, wyrzucą ją ze szkoły.

— Chłopcy bardzo lubią Ilzę — rzuciła Emilka, wiedząc, że Ewelinie zależy na ich względach.

— Lubią ją, hm.. ci najmniej interesujący, może... — Ewelina mówiła teraz tonem łaskawym, zdając sobie sprawę, że to najwięcej drażni Emilkę. — Zawsze wodzi za sobą zastęp niegrzecznych, dzikich chłopców. Mili, dobrze wychowani chłopcy nie zadają się z nią, zauważ.

Ewelina mówiła teraz „ty”, gdyż treść była ważniejsza, niż pretensjonalna, rozmyślna forma: „pani”.

jakiej używała zwykle w stosunku do Emilki, chcąc zaznaczyć dystans, jaki je dzielił.

— Czyż Ronnie Gibson nie jest grzecznym i dobrze wychowanym chłopcem?

— No, a cóż powiesz o Marshallu Orde?

— Ilza nie ma nic wspólnego z Marshalllem Orde.

— Czyżby? Jeździła z nim w zeszły wtorek do dwunastej w nocy, a on był pijany, kiedy przyszedł po konie do stajni.

— Nie wierzę! Ilza nigdy nie jeździła na spacer z Marshalllem Orde.

Emilce usta zbieleły z oburzenia.

— Mnie mówiła o tem osoba, która ich *widziała*. Ilza sama opowiada o tem wszędzie. Może nie masz na nią wpływu, ale masz z pewnością głos doradczy. Chociaż i ty robisz głupstwa. Naprzykład idziesz się kąpać bez kostjumu kąpielowego, nago. Cała szkoła wie o tem. Słyszałam, jak brat Marshalla śmiał się z tego. Czyż nie było to szaleństwem, moja droga?

Emilka zaczerwieniła się ze złości. Gniewało ją raczej to zwrócenie się do niej: „moja droga”, niż sama plotka. Ta piękna kąpiel przy świetle księżyca, ile hałasu to narobiło! Nie będzie prowadzić na ten temat dyskusji z Eweliną. Nie powie jej nawet, że miały halki na sobie. Niech myśli, co chce.

— Nie sądzę, żebyś rozumiała niektóre rzeczy, panno Blake — rzekła z subtelną, ledwo uchwytną ironją.

— Och, naturalnie, ty należysz do ludzi wybranych — zaśmiała się zjadliwie Ewelina.

— Tak jest — odrzekła Emilka spokojnie, nie podnosząc oczu z nad zeszytu.

— Nie bądź taka urażona, kochanie! Mówię o tem wszystkim dlatego tylko, że żal mi Ilzy, która zbacza z właściwej drogi. A ja ją lubię, biedaczkę! Chciałabym również, żeby się mniej jaskrawo ubierała. Na koncercie w zeszłym tygodniu miała na sobie tę czerwoną suknię... Doprawdy, aż oczy bolały...

— Wyglądała jak złota lilja w czerwonych ramach — rzekła Emilka.

— Jesteś wierną przyjaciółką, moja droga. Wątpię, czy Ilza takby walczyła o ciebie. No, ale muszę dać ci się uczyć. O 11-ej masz angielski, prawda? Pan Scoville będzie egzaminował. Pan Travers zachorował. Czy nie uważasz, że pan Scoville ma cudne włosy? Skoro już mowa o włosach, dlaczego nie chesz się tak, ażeby zasłonić uszy, przynajmniej wierzchołki? Byłoby ci, moja droga, znacznie bardziej „do twarzy”!

Emilka postanowiła, że o ile Ewelina Blake nazwie ją raz jeszcze „moja droga”, ona, Emilka, rzuci w nią kałamarz z atramentem.

Ewelina miała jeszcze jeden pocisk w swym kołczanie.

— Ten młody twój przyjaciel, który służył u was w Srebrnym Nowiu w charakterze najemnika, usiłował dostać się do „Pióra”. Nadesłał poemat patryjotyczny. Tom pokazał mi go. Istny skandal. Jeden wiersz zwłaszcza był przepyszny: „Kanado, ty jak *dziewczyzna*, witasz radośnie twych synów.” Tom ryczał ze śmiechu, pokazując mi to.

Emilka mimowoli uśmiechnęła się, chociaż była okropnie zmartwiona, że Perry naraża się na pośmiewisko. Dlaczegoż nie mógł pojąć, że dla niego zbyt wysokie są progi Parnasu!

— Nie uważam, żeby wydawca „Pióra” miał obowiązek, a bodaj i prawo, pokazywać odrzucone rękopisy osobom, nie należącym do redakcji — rzekła zimno.

— Tom mnie nie uważa za obcą osobę. No, ale teraz pójdę do księgarni.

Emilka westchnęła z ulgą, gdy drzwi się zamknęły za Eweliną.

Ilza wróciła do pokoju.

— Poszła Ewelina? Milutka była dzisiaj, niema co mówić! Nie pojmuję, co Marysia w niej widzi. Marysia nie jest zajmująca, ale jest przyzwoitą osobą.

— Ilzo — rzekła Emilka poważnie — czy jeździłaś na spacer nocą z Marshalllem Orde?

Ilza była zdumiona.

— Nie, głuptasie, nie jeździłam. Domyślam się, kto cię uraczył tą plotką. Nie wiem, ktoby z nim jeździł.

— Ale opuściłaś lekcję francuskiego i poszłaś się przejść z Ronnie Gibsonem?

— Tak.

— Ilzo... nie powinnaś... doprawdy...

— Nie gniewaj mnie, Emilko — przerwała Ilza szorstko. — Stajesz się afektowaną babą, nie wiem, coby tu zrobić, ażeby to nie przeszło w stan chroniczny. Nienawidzę pedanterji i kazań. Już mnie niema... biegnę do księgarni, zanim pójdę do szkoły.

Ilza pochyliła się nad książkami i po chwili wybiegła z pokoju. Emilka ziewnęła. Skończyła przeglądanie notatek. Miała przed sobą pół godziny czasu. Położyła się na łóżku Ilzy i odpocznie.

Ani się spostrzegła, jak siedziała znów na łóżku, wpatrzona z przerażeniem w zegarek Marysi Carswell: pięć minut zaledwie do jedenastej, a ona powinna mieć kwadrans czasu na drogę! Emilka zeskoczyła z łóżka, porwała palto i kapelusz, zeszyt z notatkami i pobiegła. Przybyła do szkoły, zdyszana, z dziwną podświadomością, że ludzie oglądają się za nią na ulicy i przypatrują jej się niezmiernie ciekawie. Zawiesiła w szatni palto i kapelusz i pobiegła do klasy, nie spojrzawszy w zwierciadło.

Gdy weszła, zapanowała cisza, poczem rozległ się głośny, niepohamowany wybuch śmiechu. Pan Scoville, wysoki, szczupły, elegancki, rozdawał kartki, niezbędne do egzaminu. Jedną z nich położył przed Emilką i spytał poważnie:

— Czy spójrzała pani w zwierciadło, zanim pani tu przyszła, miss Starr?

— Nie — odrzekła Emilka, urażona, czując, że jej coś zagraża.

— Jabym... był... spójrzał na pani miejscu... — wyjąkał pan Scoville z dziwnym trudem.

Emilka wstała i wróciła do szatni dla dziewczynek. Spotkała przełożonego szkoły, pana Hardy, w korytarzu. Pan Hardy przystanął i przyjrzał jej się z wyraźnym zdumieniem. Dlaczego? Emilka zrozumiała wszystko, spojrzawszy w lustro.

Dokoła jej górnej wargi narysowane były ogromne, czarne wąsy, zachodzące aż na policzki i podkreścone ku górze. Emilka patrzyła na samą siebie z przerażeniem i zgrozą... dlaczego... jak... kto to zrobił?

Była oburzona, rozgoryczona, rozżalona. Właśnie weszła do szatni Ewelina Blake.

— Ty... ty to zrobiłaś! — krzyknęła Emilka.

Ewelina popatrzała na nią przez chwilę, poczem wybuchnęła szalonym śmiechem.

— Emiljo Starr! Wyglądasz jak strach na wróble. Czy może weszłaś do klasy z tem malowidłem na obliczu?

Emilka zacisnęła pięści.

— Ty to zrobiłaś — powtórzyła.

Ewelina podniosła głowę do góry.

— Doprawdy, panno Starr, nie mam takich głupstw w głowie. Przypuszczam, że raczej twoja ukochana przyjaciółka, Ilza, spróbowała spletać ci takie-go figla, żeby wypróbować stałość twoich uczuć. Śmiała się z czegoś do rozpuku, gdy przyszła do szkoły przed paru minutami.

— Ilza nigdyby tego nie zrobiła — krzyknęła Emilka.

Ewelina wzruszyła ramionami.

— Jabym na twojem miejscu zmyła przedewszystkiem te wąsy, a potem dociekałabym, kto to zrobił — rzekła spokojnie i wyszła z szatni.

Emilka zmyła wąsy, drżąc na całym ciele ze wstydu, upokorzenia i gniewu. Takiej męki jeszcze nie przecierpiała. Postanowiła wracać do domu. Ale po chwili zmieniła zdanie, opanowała się i z zaciśniętymi zębami wróciła do klasy, trzymając głowę bardzo wysoko i krocząc powoli do swej ławki. Twarz ją paliła, w duszy jej wrzało. W kącie siedziała Ilza z głową pochyloną nad kajetami. Inne dziewczynki uśmiechały się, szeptały. Pan Scoville był poważny, a w jego

powadze był wyraźny odcień nagany. Emilka ujęła pióro, ale ręka jej trzęsła się nad papierem.

Gdyby była mogła się wyplakać, jej wzburzone uczucia znalazłyby najodpowiedniejsze ujście. Ale to było niemożliwe. Nie będzie płakać. Nie da im poznać po sobie, jak głębokiem i okrutnem jest jej upokorzenie. Gdyby Emilka była mogła śmiać się wraz z innymi z tego złośliwego żartu, odczułaby natychmiast ulgę, nie byłaby wręcz doznała takiego wstydu. Ale będąc Emilką, będąc wnuczką Murrayów, nie mogła śmiać się z tego. Odczuła zniewagę całym sercem, całą duszą.

Mogła już śmiało wracać do domu. „Klasówka” angielska przepadła. Straciła bowiem już 20 minut, a upłynie jeszcze 10 minut najmniej, zanim zdoła utrzymać pióro w drżącej ręce. Nie mogła zebrać myśli. A klasówka była trudna, jak zwykle ćwiczenia pana Traversa. Emilka miała w mózgu nieopisany chaos. Napisała byle co, sama sobie nie zdając sprawy, co pisze. Gdy wręczyła swoją klasówkę i wyszła ze szkoły, wiedziała, że nie otrzyma gwiazdki, owego upragnionego odznaczenia. Ale w danej chwili nie dbała o to. Pobiegła do domu, do swego niegościnnego pokoiku. Na szczęście ciotka Ruth wyszła. Emilka była sama. Rzuciła się na łóżko i płakała. Czuła się zdeptana, sponiewierana, wyszydzona, a najbardziej dręczyła ją pewna wątpliwość, do której sama przed sobą nie chciała się przyznawać.

Nie, Ilza nie zrobiła tego! To niemożliwe! Ale któż? Marysia? Nie do pomyslenia. Tylko Ewelina. Ewelina. Ewelina wróciła ze sklepu i spletała jej tego nie-

godnego figla. Wprawdzie zaprzeczyła z oburzeniem, ale oczy jej miały wyraz zbytnej niewinności. Ilza powiedziała: „Stajesz się afektowaną babą, należałoby coś zrobić, zanim to przejdzie w stan chroniczny.” Czyżby?... Czyżby... Ilza obrała taki wstrętny środek wyleczenia jej z owej rzekomej afektacji?

— Nie, nie, nie! — łkała Emilka rozpaczliwie. Ale wątpliwości dręczyły ją nadal.

Ciotka Ruth nie miała wątpliwości. Odwiedziła swoją przyjaciółkę, panią Ball, której córka należała również do najmłodszej klasy. Anita Ball wróciła do domu z wieścią, że cała ich klasa, oraz klasy seniorów i juniorów uśmieły się kosztem biednej Emilki Starr, której Ilza Burnley spłatała takiego niegodziwego, lecz wesołego figla.

— Jak słyszę — rzekła ciotka Ruth, wtargnąwszy do pokoju Emilki — jak słyszę, ładnie cię dziś umalowała Ilza Burnley. Sądzę, że teraz widzisz, z kim masz do czynienia.

— Ilza nie zrobiła tego — odrzekła Emilka.

— Czy ona ci to powiedziała?

— Nie. Nie ubliżyłabym jej podobnem pytaniem.

— A ja wierzę, że to ona. I nie wpuszczę jej tu nigdy więcej. Zapamiętaj to sobie.

— Ciotko Ruth...

— Słyszałaś, co powiedziałam, Emilko: Ilza Burnley nie jest odpowiedniem towarzystwem dla ciebie. Za dużo o niej słyszę w ostatnich czasach. Ale to, co zrobiła dzisiaj, jest nie do wybaczenia.

— Ciotko Ruth, a jeżeli zadam Ilzie pytanie, czy to ona, a ona zaprzeczy, czy jej uwierzysz?

— Nie, nie uwierzę na słowo żadnej dziewcz-

czynie tak źle wychowanej, jak Ilza Burnley. Mam przeświadczenie, że jest ona zdolna do każdego postępu i do każdego kłamstwa. Nie życzę sobie widzieć ją kiedykolwiek w moim domu.

Emilka wstała i usiłowała wlepić w ciotkę Ruth Murrayowskie spojrzenie.

— Ciotko Ruth — rzekła zimno — nie będę ci narzucać Ilzy, o ile nie chcesz jej widywać. Ale ja do niej chodzić będę nadal, a jeżeli się na to nie zgadzasz, wrócę do Srebrnego Nowiu. W tej chwili jest mi tak ciężko na duszy, że wogóle nie wiem, czy tu wytrzymam. Tylko w żadnym razie nie podam już nigdy więcej ręki Ewelinie Blake.

Ciotka Ruth wiedziała dobrze, iż mieszkańcy Srebrnego Nowiu niechętnem okiem patrzyliby na całkowite poróżnienie Ilzy z Emilką. Zanadto byli zaprzyjaźnieni z doktorem Burnleyem. Pani Dutton zaś nie lubiła go oddawna. Była bardzo rada, że ma pretekst odsunięcia Ilzy od Emilki. Tylko na to czekała. Oburzenie jej nie miało źródła w jakiegokolwiek sympatji dla Emilki, nie, gniewał ją fakt ośmieszenia krewnej Murrayów, Murrayówny po kądzieli.

— Byłabym sądziła, że masz dosyć Ilzy po tem, co zaszło. Co do Eweliny Blake, jest to zbyt dobrze wychowana i mądra dziewczynka, ażeby spłatać takiego idjotycznego figla. Znam Blake'ów. Jest to bardzo dobra rodzina, a ojciec Eweliny jest wybitną jednostką. A teraz, przestań płakać. Ładnie wyglądasz! Co to ma za sens: płakać?

— Żadnego — przyznała Emilka ze smutkiem — tylko, że nie mogę nad tem zapanować... Nie znoszę śmieszności. Wszystko inne zniosę, byle nie to. Och,

ciotko Ruth, proszę cię, zostaw mnie samą. Nie mogę jeść kolacji.

— Jesteś zupełnie wytrącona z równowagi, jak przystało na Starrównę. My, Murrayowie umiemy powściągać nasze uczucia.

— Nie potrzebujecie ich powściągać, nie macie żadnych — myślała Emilka z buntem w duszy.

— Trzymaj się zdaleka od Ilzy Burnley po dzisiejszym zdarzeniu, a nie spotka cię już afront publiczny — radziła ciotka Ruth, wychodząc z pokoju.

Po bezsennej nocy, w czasie której zdawało się Emilce, że się udusi, jeżeli nie zdoła natychmiast odepchnąć ręką sufitu z nad głowy, dziewczynka wstała z mocnem postanowieniem wyświecenia tej sprawy. Poszła do Ilzy i powtórzyła jej, co powiedziała ciotka Ruth. Ilza była oburzona i złościła się, ale Emilka zauważyła z niepokojem że nie protestowała przeciw samemu zarzutowi.

— Ilzo... ty... przecież... tego nie zrobiłaś? — spytała Emilka drżącym głosem. *Wiedziała*, że Ilza nie była sprawczynią tego postępuku, była tego *pewna*, ale chciała usłyszeć potwierdzenie z jej ust. Ku jej zdziwieniu oblała się Ilza krwawym rumieńcem.

— Czy obecna tu sługa twoja jest podłym psem? — spytała, wyraźnie zmieszana. To nie była prosta odpowiedź, a przytem Ilza nieczęsto bywała zmieszana. Odwróciła się plecami do Emilki i zaczęła czegoś szukać w swej teczce.

— Nie przypuszczasz chyba, żebym ja tobie zrobiła coś podobnego, Emilko?

— Naturalnie, że nie — odrzekła Emilka powoli. Temat był wyczerpany. Ale lekka niepewność po-

została na dnie duszy i nurtowała stale. Nie mogła uwierzyć, ażeby Ilza to popełniła i w dodatku kłamała, zamiast przyznać się i przeprosić przyjaciółkę. Nie, to niemożliwe! Ale dlaczego była taka zmieszana i zażenowana? Czy niewinna Ilza nie byłaby zmyślała Emilki po swojemu za sam fakt podejrzenia, czy nie byłaby się z nią pokłóciła, aż wkońcu ucałowałyby się i żądło byłoby usunięte raz na zawsze?

Nie było już mowy o tem zdarzeniu. Ale rzuciło ono cień na stosunki obu przyjaciółek. Pozornie były dziewczynki nie mniej zaprzyjaźnione niż dotychczas, ale Emilka uświadamiała sobie, że jest między nimi coś niewypowiedzianego. Daremnie usiłowała nie myśleć o tem. Ilzy zupełna nieświadomość tego stanu rzeczy, pogłębiała tylko przepaść, jaka już była pomiędzy nimi. A więc Ilza tak mało o nią dbała, o jej przyjaźń, że nawet nie zauważyła zmiany? A więc jest tak obojętna, że nie dostrzega jej nieufności? Emilka dumiała nad tem nieraz i była coraz smutniejsza. Była to zhora, która prześladowała we dnie i w nocy jej namiętną, gorącą naturę. Żadna jawna sprzeczka z Ilzą nie byłaby jej tak boleśnie dotknęła. Nastrój ten zepsuł jej wakacje świąteczne w Srebrnym Nowiu. Im więcej nad tem rozmyślała, tem potworniejsze wydawało jej się to wszystko. Była nieszczęśliwa, roztargniona, niespokojna. Ciotka Laura i kuzyn Jimmy zauważyli ten jej stan duszy, ale przypisywali to oboje rozczarowaniu z powodu niezdania egzaminu z odznaczeniem. Im powiedziała, że z pewnością go nie otrzyma. Emilce zaś nie zależało już dzisiaj na odznaczeniach szkolnych.

Kiedy wróciła do szkoły, obwieszczono rezultaty

egzaminów. Istotnie nie należała do owych czterech uprzywilejowanych, na których piersiach błyszcząły gwiazdki uznania profesorów. Ciotka Ruth wypominała jej to przez szereg tygodni. Ciotka Ruth była zdania, że nazwisko Murrayów poniosło porażkę nie małą w osobie Emilki i tego jej nie mogła przebaczyć. Emilka ze swej strony czuła, że Nowy Rok zaczął się dla niej pod niefortunną gwiazdą. Pierwszy miesiąc tego roku był tak smutny dla niej, że i później nie lubiła wracać do niego myślą. Była samotna i opuszczona. Ilza nie mogła jej odwiedzać. Ona chodziła do Ilzy, ale żądło tkwiło, jad był zaszczerpiony i przepaść między nimi pogłębiała się z każdym dniem niemal. Ilza wciąż nie dawała po sobie poznać niczego. Zresztą nigdy prawie nie były same. Pokój Ilzy zawsze był przepełniony dziewczętami, pełno tu było gwaru i śmiechu i żartów. Było to wszystko niewinne i nawet miłe, ale takie różne od cichej zażyłości, jaka łączyła obie przyjaciółki za dawnych „dobrych czasów.” Dawniej umiały przegawędzić kilka godzin, we dwie, albo też nie mówić ani słowa i czuć się idealnie szczęśliwymi. Teraz nie było już czasu na takie milczenie. Kiedy zdarzało się, że były same, obie szczebiotały wesoło i gorliwie, jakgdyby każda bała się w duchu, że przyjdzie chwila milczenia, która zdradza tajemnice duszy ludzkiej.

Serce Emilki krwawiło z żalu za utraconą przyjaźnią. Co noc wylewała obfite łzy w poduszkę. Ale była bezsilna: nie mogła wygnać z serca dręczących ją wątpliwości. Nie zaniechała najsumienniejszych wysiłków w tym kierunku. Codziennie powtarzała so-

bie, że Ilza Burnley nie mogła tego *popelnić*, że była do tego organicznie niezdolna: i szła do Ilzy z niezłomnem postanowieniem bycia znów tą, którą była przed owem zdarzeniem. Jedynym wynikiem była pewna nienaturalność, pewna nuta sztucznej serdeczności, która czyniła ją podobną do Eweliny Blake, a nie do dawnej Emilki, zawsze pełnej prostoty. Ilza też była serdeczna i przyjacielska, a rozłam trwał nadal...

— Ilza nigdy mi teraz nie wymyśla — myślała sobie Emilka ze smutkiem.

To było prawdą. Ilza była teraz stale uprzejma względem Emilki, okazywała jej niezmienną grzeczność, niezakłóconą ani jednym wybuchem. Emilka czuła, że z radością powitałaby nagły „atak wściekłości” dawnej Ilzy. Byłby on przerwał lód, który nieznacznie wytworzył się między niemi, znów byłby mógł popłynąć swobodnie wartki prąd starej serdeczności.

A co najprzykrzejsze, to fakt, iż Ewelina Blake zdawała sobie sprawę z tego ochłodzenia stosunków między Emilką i Ilzą. Jej drwiące oczy, jej niedopowiedzenia, mówiły jasno o jej radości z tego powodu. To bolało strasznie Emilkę, która i tutaj czuła się bezsilna, bezbronna. Ewelina była dziewczyną, która nie lubiła zażyłości między koleżankami, a przyjaźń Emilki z Ilzą była jej szczególnie solą w oku. Była to taka doskonała przyjaźń, taka uszczęśliwiająca obie strony. Nie było tam miejsca na osoby trzecie. A Ewelina nie lubiła czuć się zbyt dużą, nie mieć wstępu do jakiegoś zamkniętego ogrodu, lub pałacu. Była więc w skrytości ducha niezmiernie rada, że ta

drażniąca ją, piękna przyjaźń między dwiema znie-
nawidzonymi przez nią dziewczynkami skończyła się
nareszcie.

9.

WIELKA CHWILA.

Emilka schodziła ze schodów opieszale, czując,
że wszelka barwa i melodia odeszły z życia, które
leżało przed nią, nieprzerwanie szare i jednostajne.
W 10 minut później zajaśniała przed nią tęcza, a na
pustyni jej przyszłości zakwitły najpiękniejsze róże.

Przyczyną tej cudownej przemiany był list, któ-
ry wręczyła jej ciotka Ruth z uśmiechem właściwym
sobie tylko i innym ciotkom jej podobnym. Załą-
czony był i numer czasopisma, ale na razie nie zwró-
ciła Emilka na to uwagi. Zobaczyła w rogu koperty
adres firmowy pewnego wydawnictwa i wyczuła pal-
cem, że ta koperta jest cienka, nie przypominająca
niczem owych kopert, zawierających zwroty jej rękopi-
sów.

Serce jej zabiło gwałtownie. Rozerwała kopertę
i spojrzała na te kilkanaście wierszy pisma maszyno-
wego:

Wielmożna Panna

Emilja B. Starr,

Shrewsbury, P. E. Island,
Kanada.

Szanowna Pani,

Z przyjemnością donosimy, że pani utwór poety-
cki p. t. „Śmiech Sowy” został przyjęty przez naszą

redakcję dla czasopisma „Ogród i Las”. Ukazał się w ostatnim numerze naszego tygodnika, który-to numer załączamy. Wiersze Pani wykazują szczerzy talent i szczęśliwi będziemy, jeżeli zechce nam Pani nadsyłać je stale.

Nie jest naszym zwyczajem płacić gotówką za utwory zamieszczane przez nas, ale może zechce Pani wybrać jakieś rośliny, lub nasiona z naszego katalogu, załączonego również przy niniejszym. Wybrane rośliny (do wysokości dwu dolarów) wyślemy niezwłocznie pod Pani adresem.

Dziękujemy Pani uprzejmie za Jej współpracę i kreślimy się

z wysokim poważaniem
E. Carlton et Co”

Emilka złożyła list i sięgnęła drżącą ręką po numer czasopisma. W głowie jej się kręciło, litery skakały przed jej oczami, doznała jakiegoś dziwnego wstrząsu... Tu, na pierwszej stronie, wśród winiet, widniał jej utwór poetycki: „Śmiech Sowy” przez Emilję Byrd Starr.

Był to jej pierwszy sukces literacki, nic więc dziwnego, że ją upoił. Nie było to bynajmniej dowodem głupoty. Zaniosła list i pismo do swego pokoju, ażeby rozkoszować się widokiem swych wierszy wydrukowanych. Nie uświadamiała sobie, że ciotka Ruth patrzy na nią badawczo i mruży. Ciotka Ruth podejrzliwie spoglądała na zarumienione policzki, błyszczące oczy, na to nagłe oderwanie od wszvstkiego, co ziemskie.

W swoim pokoju przeczytała Emilka swoje wier-

sze, jakgdyby ich nigdy nie była widziała przedtem. Zakradła się wprawdzie jedna omyłka zecerska, ale niemniej był to jej wiersz, jej własny, przyjęty i wydrukowany przez redakcję w prawdziwym czasopiśmie.

I płacą jej za ten utwór! Tak, czek byłby milej widziany, dwa dolary zarobione samodzielnie własnym piórem byłyby dla Emilki bogactwem. Ale z jaką przyjemnością kuzyn Jimmy i Emilka będą wybierali nasiona do zasiania w ogródku w Srebrnym Nowiu! Widziała już oczami wyobraźni ten cudny klomb, jaki tam zakwitnie w przyszłym roku, purpurowy i żółty, błękitny i złoty.

A co jeszcze napisano w liście:

„Wiersze Pani wykazują szczerzy talent i szczęśliwi będziemy, jeżeli zechce nam Pani nadsyłać je stale”.

O błogości! O raju! Świat należał do niej, już osiągnęła szczyt alpejski. Cóż znaczy jeszcze kilka susów wzwyż?

Emilka nie mogła pozostać w tym ciemnym pokoju, pod niskim sufitem, wśród brzydkich mebli. Grobowy wyraz twarzy lorda Byrona uragał jej szczęściu. Zarzuciła na siebie płaszcz i pośpieszyła do Krainy Wyżyn.

Kiedy przechodziła przez kuchnię, ciotka Ruth, coraz podejrzliwsza, spytała z oczywistą ironją:

— Co się stało? Czy pożar wybuchnął?

— Nie. W mojej duszy płonie radosny ogień — odrzekła Emilka z zagadkowym uśmiechem. Zatrzasnęła drzwi za sobą i znów zapomniała o ciotce Ruth i wogóle o wszelkich nieprzyjemnych osobach i rze-

czach. Jaki piękny był świat, jak piękne było życie, jak cudna była Kraina Wyżyn! Emilka weszła powoli na szczyt wzgórza. Zdawało jej się, że ma skrzydła, nie dotykała prawie ziemi nogami.

— „Wykazują prawdziwy talent, szczerzy talent” — szeptała Emilka, powtarzając te nieprawdopodobne słowa. — Oni chcą, żebym stale nadsyłała moje utwory. Och, gdyby ojciec mógł widzieć moje wiersze, wydrukowane!

Przed laty, w starym domku w Borze Majowym, wyrzekł jej ojciec, pochylony nad śpiącą dziewczynką, te słowa: „Będzie gorąco kochać... okropnie cierpieć... ale wzamian zazna chwil pełnych chwały”.

I oto przeżywała jedną z chwil swej chwały. Odczuwała radość z samego faktu istnienia na świecie. Zdolność twórcza, uśpiona w ciągu ostatnich miesięcy, nagle zerwała się w jej duszy nanowo, zapłonęła jak gorejąca pochodnia. Wypleniła wszelkie stany chorobliwe, zatrute myśli, niskie posądzenia. W jednej chwili pojęła Emilka, że Ilza nigdy *tego* nie zrobiła. Roześmiała się radośnie, ubawiona.

— Jakim głuptasem byłam przez cały ten czas! Jak strasznym głuptasem! Naturalnie, Ilza nigdy *tego* nie zrobiła. Teraz już niema nic pomiędzy nami, żadnej zapory, wszystko jest po dawnemu. Pobiegnę prosto do niej i powiem jej to.

Emilka pośpieszyła napowrót w dolinę. Kraina Wyżyn leżała za nią, tajemnicza w oświetleniu księżycowem, spowita w cudne misterjum zimy w lesie. Tworzyła nierozzerwalną całość z pięknem, urokiem i milczeniem. Królowa Wichrów westchnęła nagle, a jednocześnie z tem westchnieniem rozgorzał „pro-

myk” w duszy Emilki. Wbiegła do Ilzy z jego od-
blaskiem w sercu.

Zastała Ilzę samą. Zarzuciła jej ramiona na
szyję, przytuliła się do niej mocno.

— Ilzo, przebacz mi — zawołała. — Nie powin-
nam była wątpić o tobie... a wątpiałam... ale teraz
wiem... *wiem!* Czy mi przebaczysz?

— Ty, mała kozo — rzekła Ilza.

Emilka niezmiernie się ucieszyła z tej nazwy.
To była znowu dawna Ilza, *jej* Ilza.

— Och, Ilzo, Ilzo, taka byłem nieszczęśliwa!

— No, nie piszcz na ten temat — rzekła Ilza. —
Ja sama byłem niewesoła. Słuchaj, Emilko, coś ci
powiem. Tego dnia, kiedy się to stało, spotkałam
Ewelinę Blake w księgarni. Wróciłyśmy do mego po-
koju po książce, której ona zapomniała i zastałyśmy
cię, pogrążoną we śnie. Spałaś tak mocno, że nawet
się nie obudziłaś, gdy uszczypnęłam cię w policzek.
Wtedy, ot tak! dla żartu, wzięłam ołówek i rzekłam:
„narysuję jej wąsy na twarzy i też się nie obudzi”.
Ewelina skrzywiła się i rzekła: „O nie, to byłoby
podłe, nie uważasz?” Ja to powiedziałam tylko żar-
tem, ale ten protest Eweliny tak mnie rozzłościł, że
oznajmiłam, iż wykonam to, co obiecałam. Gdy się
obudzisz, spojrzysz w lustro. W duchu postanowiłam
na wszelki wypadek zaczekać na ciebie i podać ci
lusterko, obudziwszy cię zawczasu. Ale wtem przysła
Kasia Errol i prosiła, żeby z nią wyjść. Nie zdążyłam
cię umalować i wyszłam. Oto wszystko, Emilko, mo-
żesz mi wierzyć. Ale potem miałam straszne wyrzuty
sumienia, że taka myśl wyszła ode mnie. A gdy zo-
baczyłam, że masz żal do mnie, zacięłam się. Była to

inna złość, nie gwałtowna, nie, to był zimny gniew, tłumiony, zawzięty. Uważałam, że nie powinno było ci przyjść do głowy takie podejrzenie, jak to, że ja ci pozwolę świadomie wejść do szkoły z takim malowidłem na twarzy. Więc, powiedziałam sobie, skoro ma o mnie takie pojęcie, to niech je zachowa nadal, ja nie sprostuję go ani słowem. Ale cieszę się ogromnie, gąsko, że przestałaś mnie posądzać o taką niegodziwość.

— Czy przypuszczasz, że Ewelina urządziła to umyślnie?

— Nie. Jest wprawdzie do tego zdolna, o tem nie wątpię, ale nie widzę, jakby była mogła to „urządzić”. Poszła do księgarni ze mną i z Kasią i tam zastawiłyśmy Kasię. W 15 minut później była Ewelina w klasie, więc chyba nie byłaby zdążyła wymalować ci wąsów na twarzy. Przypuszczam, że zrobiła to May Hilson, ta mała djablica. Była obecna, gdy wymachiwałam ołówkiem. Co rychlej skorzystała z pomysłu. Ale to nie mogła być Ewelina.

Emilka zatrzymała przy sobie przeświadczenie, że to mogła być ona i że to ona była stanowczo sprawczynią jej wstydu. Najważniejsze było teraz fałszywe mniemanie ciotki Ruth, iż Ilza była winowajczynią. A co najgorsze, że ciotka Ruth nie da się przekonać!

— Muszę wybadać, kto to zrobił — rzekła Emilka ponuro — i udowodnić to ciotce Ruth.

Nazajutrz po południu zastała Ewelina Blake obie przyjaciółki w wyborzym nastroju. Przynajmniej Ilza była bardzo wesoła i serdeczna. Emilka siedziała ze skrzyżowanymi nogami, twarz jej wyra-

żała nudę i lekceważenie. Oczy miała wpróprzymknięte. Ewelinę powinno to było ucieszyć, jako dowód chłodnych stosunków między przyjaciółkami. Ale po chwili zaczęła Ilza wymyślać Emilce, co zmartwiło Ewelinę: to znaczyło niechybnie, że się pogodziły.

— Cieszę się, że przebaczyłaś Ilzie tę podłą psotę — rzekła nazajutrz ze słodyczą, zwracając się do Emilki. — Była to poprostu bezmyślność z jej strony, stale to powtarzam wszystkim. Nie zastanowiła się, jaką śmiesznością cię okrywa. Biedna Ilza jest taka żywa! Wiesz, chciałam ją powstrzymać... nie mówiłam ci tego nigdy, nie chcąc dolewać oliwy do ognia. Ale jej powiedziałam, że to jest okropnie podłe, wystawić przyjaciółkę na pośmiewisko ogólne. Ślicznie postąpiłaś, przebacząc jej, droga Emilko. Masz lepsze serce, niż ja. Mnie się zdaje, że nigdy nie byłabym zdolna przebaczyć komuś, ktoby mnie naraził na ludzki śmiech.

— Dlaczego jej nie uderzyłaś w odpowiedzi na tę potwarz? — spytała Ilza, kiedy Emilka przytoczyła jej to zdanie Eweliny.

— Przymrużyłam oczy i spojrzałam na nią po Murrayowsku — odrzekła Emilka — a to było groźniejsze, niż śmierć.

10.

GODZINA SZAŁU.

Koncert Szkoły Wyższej na rzecz biblioteki szkolnej był dorocznem zdarzeniem wielkiej wagi w Shrewsbury. Urządzano go w pierwszej połowie kwietnia, kiedy uczniowie i uczennice nie musieli jeszcze

ślęczyć nad egzaminami wiosennymi. W tym roku program obejmował produkcje muzyczne i deklamacje, oraz krótką komedijkę. Emilkę zaproszono do wzięcia udziału w komedyjce. Ciotka Ruth nie była by się na to zgodziła pod żadnym pozorem, gdyby panna Aylmer nie była przyszła do niej z osobistą prośbą o zezwolenie. Panna Aylmer była wnuczką senatora Aylmera, więc ciotka Ruth liczyła się z nią więcej, niż z kimkolwiek bądź w Shrewsbury. Panna Aylmer zaproponowała uczniom, ażeby zredukować program muzyczny i odegrać komedijkę w paru aktach, zamiast projektowanego dialogu. Młodzież przyjęła tę propozycję z zapałem. Emilka otrzymała rolę, która jej odpowiadała, więc zainteresowała się poważnie koncertem. Cieszyły ją próby, które odbywały się w budynku szkolnym dwa razy na tydzień wieczorem. Reżyserem była sama panna Aylmer.

Komedyjka była przedmiotem rozmów całego Shrewsbury. Mówiono, że zainteresowanie tem nowem, wielkiem przedsięwzięciem tegorocznem Wyższej Szkoły było tak wielkie, iż studenci z Charlotetown zamierzali przyjechać na koncert, aby zobaczyć tę sztukę i jej wykonanie. To zgorączkowało młodocianych aktorów. Studenci akademji w Charlotetown byli wytrawnymi znawcami gry scenicznej, ponieważ sami odegrali już cały szereg sztuk, niekoniecznie z repertuaru amatorskiego. Przyjadą więc, żeby krytykować. Cała Wyższa Szkoła dokładała wszelkich starań, ażeby przedstawienie wypadło jak najchlubniej dla Shrewsbury. Siostra Kasi Errol, która studjowała w szkole dramatycznej, uczyła młodzież dykcji. A kiedy nadszedł wielki wieczór, niebywałe

zgorączkowanie ogarnęło wszystkie domy rodzinne i pensjonaty w miasteczku.

Emilka w swoim małym pokoiku, patrzyła przy świetle świec na Emilkę-w-Zwierciadle z zadowoleniem, które było całkiem usprawiedliwione. Zarumienione policzki, pociemniałe szare oczy, uwydatniały się na tle blado-różowej sukni. We włosach miała srebrne liście, nadające jej pozór rusałki. Ale nie czuła się jak rusałka. Ciotka Ruth kazała jej zdjąć koronkowe pończochy i włożyć bawełniane. Próbowwała nawet skłonić ją do włożenia wełnianych pończoch, ale skapitulowała, widząc, że naraża się na sromotną klęskę. Zmusiła jednak Emilkę do włożenia pod różową sukienkę flanelowej halki.

— Wstrętna sztuka! — mruzczała Emilka, mając na myśli halkę, rzecz jasna. Ale kształty owej epoki były raczej okrągłe, a smukłość Emilki mogła znieść nawet grubszą flanelową halkę, niż ta, do której ją nakłoniono.

Właśnie kładła na szyję swój egipski medaljon, gdy ciotka Ruth weszła do pokoju.

Jednym rzutem oka przekonała się Emilka, że ciotka Ruth jest srodze zagniewana.

— Emilko, pani Ball telefonowała przed chwilą. Powiedziała mi coś, co mnie zaskoczyło. Czy to prawda, że bierzesz udział dzisiaj w *komedyjce*?

Emilka była zdumiona.

— Tak, naturalnie, ciotko Ruth. Przecież wiedziałas o tem.

— Kiedy prosiłś mnie o pozwolenie na udział w koncercie, mowa była o *djalogu*, to samo powiedziała mi panna Aylmer — rzekła ciotka Ruth lodowato.

— Tak, ale potem postanowiła panna Aylmer, że zamiast djalogu odegrana zostanie komedyjka. Sądziłam, że wiesz o tem, ciotko Ruth, doprawdy, byłam tego pewna. Zdawało mi się, że ci o tem wspomniałam.

— Nie zdawało ci się to bynajmniej, Emilko. Rozmyślnie zachowałeś to w tajemnicy przede mną, bo wiedziałas, że nigdy nie pozwoliłabym ci na udział w *komedyjce*.

— Nie, ciotko Ruth — zaprotestowała Emilka z powagą. — Nigdy nie zamierzałam tego ukryć. Unikałam rozmowy z tobą o koncercie, to przyznaję, gdyż wiedziałam, że nie pochwalasz tej imprezy wogóle.

Gdy Emilka mówiła poważnie, ciotka Ruth zawsze poczytywała to za bezczelność.

— To jest koroną wszystkiego, Emilko. Wiedziałam wprawdzie zawsze, że jesteś przebiegła, ale nigdy nie przypuszczałam, że możesz być aż tak przebiegła.

— Ależ to nie jest żadną przebiegłością, ciotko Ruth — rzekła Emilka niecierpliwie. — Głupotą byłaby z mojej strony chęć ukrycia czegoś, o czem mówi całe Shrewsbury. Nie widzę, jak mogłabyś nie dowiedzieć się o tem.

— Wiedziałaś, że nigdzie nie chodzę z powodu bronchitu. Przenikam wszystko, Emilko. Mnie nie oszukasz.

— Nie próbowałam cię oszukać. Sądziłam, że wiesz, co gramy, ot i wszystko. A nie mówiłam o koncercie, bo znałam twoją antypatję do wszystkich imprez tego rodzaju. Tak było naprawdę ciotko Ruth. A zresztą jaka jest różnica między djalogiem a komedyjką?

— Wielka różnica. Komedyjki są rzeczą złą.

— Ale to jest taka mała, maleńka komedyjka — perswadowała Emilka, zrozpaczona. W tej samej chwili roześmiała się: usłyszała swe własne słowa, które brzmiały tak dziecięco naiwnie, że pusty śmiech ją ogarnął. Ten śmiech rozdrażnił do żywego ciotkę Ruth.

— Mała, czy duża... ty nie weźmiesz w niej udziału.

Emilka znowu zdumiała się. Trochę pobladła.

— Ciotko Ruth, muszę... cała komedyjka byłaby na nic...

— Lepiej, żeby komedyjka była „na nic”, niż dusza ludzka.

Emilka nie miała odwagi uśmiechnąć się. Szło o zbyt ważne rzeczy.

— Nie bądź taka... sroga, ciotko Ruth — rzekła. O mało co nie powiedziała: niesprawiedliwa. — Żałuję, że nie pochwalasz komedyjek. W przyszłości nie wezmę już udziału w żadnej, ale wejrzyj w moje położenie: dzisiaj muszę odegrać moją rolę!

— Moja droga Emilko, nie sądzę, abyś była taka niezbędna.

Ciotka Ruth była bardzo drażniąca. Jak przykro mogło brzmieć słowo: *droga!* Ale i tym razem jeszcze opanowała się Emilka.

— Owszem, dzisiaj jestem nawet niezbędna. Widzisz, ciotko, nie mogą mnie zastąpić w ostatniej chwili. Panna Aylmer nie przebaczyłaby mi tego.

— Czy więcej ci zależy na przebaczeniu panny Aylmer, niż na przebaczeniu Boga? — spytała ciot-

ka Ruth z miną sędziego, ferującego wyrok ostateczny.

— Tak, bardziej, niż na przebaczeniu twego Boga — odrzuciła Emilka, nie mogąc już dłużej panować nad sobą wobec tak niedorzecznych pytań.

— Czyż nie masz szacunku dla twych przodków? — zapytała ciotka Ruth z goryczą. — Oni z pewnością przewracają się w grobach, słysząc swą wnuczkę i prawnuczkę, głoszącą takie bluźnierstwa!

Emilka rzuciła ciotce Murrayowskie spojrzenie.

— Toby było dla nich pierwszorządne ćwiczenie. Odegram moją rolę w tej komedyjce, ciotko Ruth.

Emilka mówiła spokojnie, patrząc zgóry na ciotkę rezolutnymi oczami. Ciotka Ruth doznała nieprzyjemnego uczucia bezradności. W drzwiach Emilki nie było klucza, a przytem trudno ją było zatrzymać przemocą fizyczną.

— Jeżeli pójdziesz, możesz nie wracać dziś do domu — rzekła, blada z oburzenia. — Ten dom zamyka się na klucz o godzinie dziewiątej.

— Jeżeli nie wrócę dzisiaj, nie wrócę już nigdy do tego domu — odrzekła Emilka, zbyt wzburzona, ażeby obliczać dalsze konsekwencje swych słów i czynów. — Jeżeli zastanę dom zamknięty na klucz, pójdę do Srebrnego Nowiu. Oni tam wiedzą wszyscy o komedyjce. Nawet ciotka Elżbieta chętnie mi pozwoliła na wzięcie w niej czynnego udziału.

Sięgnęła po palto i wcisnęła na głowę mały kapelusik z piórkiem, który podarowała jej na gwiazdkę żona wuja Olivera. Gustu ciotki Addie nie pochwalały panie z Srebrnego Nowiu, ale kapelusz był milutki i Emilce było w nim bardzo ładnie. Ciotka Ruth spo-

strzegła nagle, że dziewczynka wygląda nad wiek dojrzałe i „dorośle”. Ale ta wiadomość wzmogła jeszcze bardziej jej gniew. Emilka poszła, Emilka ośmieliła się przekroczyć jej zakaz, wypowiedzieć jej posłuszeństwo! Bezczelna, przebiegła Emilka! Trzeba ją nauczyć!

O dziewiątej godzinie zamknęła ciotka Ruth na klucz drzwi wejściowe i położyła się do łóżka.

Komedyjka miała wielkie powodzenie. Nawet studenci Akademji w Charlottetown podziwiali sztukę i aktorów i oklaskiwali ich szczodrze. Emilka grała z zapalem swoją rolę, ze wzmogoną energją, gdyż rozgrzała ją utarczka z ciotką Ruth. Zapomniała o flanelowej halce. Panna Errol była mile zdziwiona, gdyż stawiała Emilce dotychczas zarzut zbytniego chłodu w scenach, wymagających rozmachu i akcentów wielkiej szczerości. Obsypywano Emilkę komplementami. Nawet Ewelina Blake rzekła uprzejmie:

— Doprawdy, droga Emilko, byłaś znakomita... istna „gwiazda”... poetka, nowelistka... jakąż jeszcze zgotujesz nam niespodziankę niebawem?

Emilka pomyślała:

— Jaka łaskawa! Wstrętna istota!

Emilka odrzekła:

— Dziękuję ci, Ewelino!

Szczęśliwa, wesoła, pełna triumfu, poszła do domu w towarzystwie Tadzia, powiedzieli sobie serdeczne „dobranoc” i... zastała drzwi zamknięte.

Gniew Emilki, złagodzony przez wrażenia tego wieczoru, ozwał się nagle ze wzmogoną siłą. Nie pozwoli się traktować w ten sposób. Dość już wycierpiała z winy ciotki Ruth, dość ma tego! To była przy-

słowiowa ostatnia kropla. Nie można znosić *wszystkiego*, nawet dla miłości wiedzy. Człowiek jest też coś winien swej godności, swojemu „ja”.

Trzy drogi otwierały się przed nią: dobijać się tak długo, aż ciotka Ruth wstanie i wpuści ją do domu. Tak już się raz zdarzyło, czego ciotka nie omieszkala jej wypominać tygodniami. Mogła pójść do pensjonatu Ilzy. Dziewczęta jeszcze nie spały z pewnością. Ciotka Ruth napewno tego właśnie się spodziewała. A potem Marysia Carswell opowie to Ewelinie Blake, a Ewelina Blake zaśmieje się zjadliwie i rozpowie wszystkim w szkole. Emilka nie miała ochoty na żadną z tych możliwości. Od chwili, kiedy zastała zamknięte drzwi, wiedziała co uczyni: pójdzie do Srebrnego Nowiu i tam pozostanie. Całe miesiące ucisku ciotki Ruth doprowadziły do nieuniknionego buntu. Emilka wyszła z bramy, zatrasnęła ją za sobą bez Murrayowskiej godności, lecz z namiętnością zaiste Starrowską i wyruszyła na swą 7-milową przechadzkę*). Była północ. Gdyby to było trzy razy po 7 mil, nie byłaby się zawahała.

Była tak oburzona, że nie wydała jej się ta przymusowa przechadzka zbyt długą. Nie czuła też zimna tej ostrej nocy kwietniowej, chociaż miała na sobie tylko lekkie okrycie.

Śnieg już stopniał, ale droga była przymarznięta, twarda, wysoce nieodpowiednia dla pantofelków, które jej podarował na gwiazdkę kuzyn Jimmy. Emilka przypomniała sobie ze śmiechem, który uważała za sarkastyczny i gorzki, że ciotka Ruth poleciła jej włożyć flanelową halkę i wełniane pończochy.

*) mila angielska = 1,60934 km.

Noc była widna, księżycowa, ale niebo pełne było skłębionych obłoków, rozległy krajobraz był skąpany w mdłym, szarawym świetle. Wiatr jęczał chwilkami w polu. Emilka z zadowoleniem stwierdziła, że ta noc jest szarmonizowana z jej własnym nastrojem.

Nie wróci *nigdy* do ciotki Ruth, tego była pewna. Wszystko jedno, co powie o tem ciotka Elżbieta, a powie napewno niemało, wszystko jedno, co ktokolwiek powie. Jeżeli ciotka Elżbieta nie zgodzi się, ażeby ona zamieszkała w pensjonacie, Emilka zrezygnuje ze studjów. Wiedziała, że to wywoła wielkie wrażenie w Srebrnym Nowiu. Trudno! W jej usposobieniu obecnem wszelkie nastroje niezwykle wydawały się pożądane. Nie pozwoli się upokarzać ani jednego dnia dłużej, stanowczo nie! Ciotka Ruth zbyt daleko się posunęła. Nie wolno bezkarnie doprowadzać do ostateczności córki Starra!

— Skończyłam z Ruth Dutton po wsze czasy — ślubowała Emilka. Odczuwała wielką satysfakcję z opuszczenia wyrazu „ciotka”.

Kiedy znalazła się wpobliżu domu, chmury rozdarły się i drzewa gaiku Wysokiego Jana zajaśniały nagle w pełnym blasku księżycowym. Było to tak piękne, że Emilka wstrzymała oddech z zachwytu i zapomniała na parę minut o ciotce Ruth. Ale niebawem gorycz wzięła górę nad czarem Trzech Księżniczek.

W kuchni było światło. Emilka ciekawa była, kto też nie śpi o tej porze w Srebrnym Nowiu. Sądziła, że zastanie cały dom pogrążony w ciemnościach. Zamierzała wślizgnąć się głównem wejściem do mieszkania, pobiec na palcach do swego ukochanego pokoi-

ku i położyć się spać, zostawiając wyjaśnienia na dzień następny. Ciotka Elżbieta zawsze zamykała uroczyście drzwi kuchni na noc, ale frontowe wejście nigdy nie było zamknięte na klucz. Złodzieje i bandyci nie byliby w żadnym wypadku tak źle wychowani, ażeby wejść do Srebrnego Nowiu głównem wejściem.

Emilka przeszła przez ogród i zajrzała do kuchni przez okno. Kuzyn Jimmy siedział tu sam w towarzystwie dwóch świec. Oczy miał utkwione w szybcie, wiszącej u pułapu, a ustami poruszał bez szmeru. Jasnym było, że kuzyn Jimmy układał poezje, jakkolwiek zagadką być mogło, dlaczego czynił to o tej godzinie.

Emilka pocichu otworzyła drzwi kuchenne i weszła. Biedny kuzyn Jimmy zaniemówił z wrażenia. Czy to Emilka, czy jej duch? Emilka w granatowym płaszczyku, w ślicznym kapelusiku z piórką, Emilka z rozwianymi włosami i tragicznymi oczami, Emilka w zakurzonych pantofelkach wieczorowych, Emilka w tym stroju dziwnym tu, w Srebrnym Nowiu, zamiast leżeć w swem dziewczęcym łóżeczku w Shrewsbury?

Kuzyn Jimmy chwycił zimne ręce, które mu podawała dziewczynka.

— Emilko, drogie dziecko, co się stało?

— Mówiąc jasno, bez ogródek: opuściłam dom ciotki Ruth i nigdy już tam nie powrócę.

Kuzyn Jimmy nic nie odpowiedział, narazie. Przeszedł przez kuchnię, rozpałił ogień, przysunął krzesło do kominka, posadził na niem Emilkę. Zapalił jeszcze dwie świece i postawił je na kominie. Wreszcie usiadł znów na swem krześle i położył obie ręce na kolanach.

— Opowiedz mi wszystko.

Emilka, jeszcze wzburzona i rozgoryczona, opowiedziała mu szczegółowo przebieg wypadków.

Kuzyn Jimmy słuchał uważnie, kiwając głową. Emilka czuła się nieswojo. Im mocniej kuzyn Jimmy kiwał głową, tem niepewniej czuła się Emilka, tem mniej wydawała się samej sobie bohaterką. Zakończyła swe opowiadanie, powtarzając z uporem:

— W żadnym wypadku nie powrócę do ciotki Ruth.

Kuzyn Jimmy kiwnął głową jeszcze mocniej, poczem podał jej parę orzechów.

— Zjedz, kurczątko — rzekł.

Emilka wahała się.

Bardzo lubiła orzechy, a od kolacji nic nie jadła. Ale orzechy niewiele miały wspólnego z buntem i z sytuacją rewolucyjną. Orzechy były stanowczo pierwiastkiem konserwatywnym. Wobec tego nie wzięła Emilka orzechów, podziękowała odmownie.

Kuzyn Jimmy sam siebie poczęstował.

— A zatem nie wracasz już do Shrewsbury?

— Do ciotki Ruth, w każdym razie nie.

— Na jedno wynosi.

Emilka wiedziała o tem. Wiedziała, że niema nadziei, aby ciotka Elżbieta zechciała łożyć na jej pobyt w pensjonacie.

— I przeszłaś cały ten kawał drogi w pantofelkach, sama jedna, nocą — kiwał znowu głową Jimmy. — Hm, masz charakter.

— Czy ty mnie nie pochwalasz? — spytała Emilka drżącym głosem, czując, że cały jej hart wewnętrz-

ny łamie się pod wpływem tego kiwania głową kuzyna Jimmy.

— N-n-nie. To było bezwstydnie podłe ze strony Ruth Dutton, zostawić cię za drzwiami na całą noc.

— I przyznajesz... wszak prawda? nie, nie mogę wrócić do niej po tem, co zaszło.

Kuzyn Jimmy przyglądał się uważnie orzechom.

— Nie sądzę, aby którakolwiek z twych prababek tak łatwo zrzekła się możliwości studjowania — rzekł. — Przynajmniej ze strony Murrayów z pewnością żadna—dodał po chwili, jakgdyby chciał zaznaczyć, że nie zna rodziny Starrów i nie może niczego twierdzić co do nich.

Emilka siedziała, milcząca. Jakby powiedział Tadzio językiem sportowym, kuzyn Jimmy trafił odrazu w środkową bramkę. Czuła, że skoro kuzyn Jimmy w przystępie natchnienia powołał się na jej prababki, wszystko nabierało innego znaczenia. Rzeczy i ludzie nie byli ci sami, oglądani pod kątem tradycji.

Marja Shipley, Elżbieta Burnley, te kochane, zmarłe panie Srebrnego Nowiu, patrzają teraz na nią z politowaniem, na swą wnuczkę, nieokiełznaną, gorąco-krwistą, szaloną! Kuzyn Jimmy daje poniekąd do zrozumienia, że rodzina Starrów rządziła się stale impulsami, ulegała słabostkom. Nie, nie, ona im dowiedzie, że się mylą!

Spodziewała się głębszej sympatji kuzyna Jimmy w danym wypadku. Wiedziała zgóry, że ciotka Elżbieta ją potępi, że nawet ciotka Laura będzie zmartwiona jej postępkami. Ale na kuzyna Jimmy liczyła, jako na niezawodnego sprzymierzeńca. Dotychczas zawsze nim był.

— Moje prababki nigdy nie miały do czynienia z ciotką Ruth — rzuciła, nadąsana.

— Miały do czynienia z twoimi pradziadami — odrzekł kuzyn Jimmy, jakby miał na myśli, że to była najcięższa próba, jakby chciał powiedzieć, że dla tego, kto znał Archibalda Murraya, lub Hugona Murraya, ciotka Ruth jest zaledwie czyścem, lecz nie piekłem.

— Kuzynie Jimmy, czy uważasz, że powinnam wrócić i wysłuchać łajań i utyskiwań ciotki Ruth, a potem tak postępować, jakgdyby nigdy nic nie było zaszło?

— A co ty sama o tem myślisz, kurczątko? — spytał kuzyn Jimmy. — Weź orzeszek, maleńka.

Tym razem Emilka dała się namówić. Była spragniona jakiegokolwiek pociechy. Spróbujmy jeść ulubione orzechy i pozostać, mimo to, postacią dramatyczną.

Emilka przerzuciła się nagle z tonu tragicznego w ton zadzierzysty.

— Ciotka Ruth była dzisiaj *szkaradna* i nietylko dzisiaj, przez całe te ostatnie miesiące, a zwłaszcza od czasu, kiedy bronchit nie pozwolił jej wychodzić z domu. Nie możesz sobie wyobrazić, *czem* było życie w jej domu.

— Owszem, owszem, mogę. Ruth Dutton zawsze unieszczęśliwiała całe swoje otoczenie. Czy rozgrzały ci się nogi, Emilko?

— Nienawidzę jej — krzyknęła Emilka, szukając gorączkowo usprawiedliwienia swego stanowiska. — Straszna jest rzeczą współżycie pod jednym dachem z człowiekiem znenawidzonym przez nas.

— Tak, to zatrzuwa każdą godzinę — przytaknął kuzyn Jimmy.

— To nie moja wina. Usiłowałam ją pokochać, usiłowałam jej się przypodobać. Ona zawsze znajduje coś do zarzucenia mi, zawsze wie lepiej ode mnie, co ja myślę, co było moją intencją. Węszy zniewagę w każdym moim powiedzeniu, w każdym postępk. Sama wciąż znieważa pamięć moich rodziców. Wciąż mi *przebacza* niepopelnione przeze mnie winy, albo raczej moje dobre uczynki...

— Jeszcze gorzej... — potakiwał kuzyn Jimmy z powagą.

— Jeszcze gorzej... masz słusność. Wiem, że skoro stanę przed nią jutro, powie: przebaczam ci tym razem, ale niech się to nie powtórzy. A przytem ona tak syczy, ach, jej mowa jest istnym sykiem węża!

— Czy słyszałaś kiedykolwiek syk węża, kurczątko? — spytał kuzyn Jimmy.

Emilka nie raczyła odpowiedzieć.

— Nie mogę zawsze źle postępować, ale w mniemaniu ciotki Ruth nie zdarza się, abym zrobiła coś dobrego. Nie pozwala mi wychodzić wieczorami pod pretekstem, że suchotnicy muszą wcześniej chodzić spać. Gdy jej jest zimno, muszę kłaść ciepłą halkę. Wiecznie mi zadaje nieprzyjemne pytania, a gdy jej udzielam wyjaśnień, nie wierzy mi. Zarzuca mi bezustannie niemal przebiegłość. Twierdzi i tym razem, że byłam tak przebiegła, że zataiłam przed nią ową komedijkę, wiedząc, że mi nie da na nią pozwolenia. Nie przyszło mi to do głowy. Przecież w zeszłym tygodniu pisały o tem dzienniki, wychodzące w Shrewsbury. Ciotka Ruth pilnie je czyta. O jednej i tej samej

rzeczy mówi tygodniami, byle to był temat do zręczenia, do łajania. Kiedy poplamiłam rdzą jedną z moich halek, wszczęła dociekania, w jaki sposób i kiedy się to stało, a ja nie miałam pojęcia, doprawdy... Dostawałam obłędu na sam dźwięk wyrazów „rdza” i „halka”.

— Każdy normalny człowiek byłby odczuwał tak samo — zwierzył się kuzyn Jimmy szynce, zwisającej z pułapu.

— Och, każda poszczególna scena, wymieniana oddzielnie, jest tylko drobiazgiem, wiem o tem, i uważasz mnie w duchu za głupią, że o tem mówię, ale...

— Nie, nie. Sto drobiazgów ciężej waży, niż jedna poważna utarczka.

— Otóż to właśnie: ciągle ukłucia szpilkami. Nie pozwala Ilzie bywać u mnie, ani Tadziewi, ani Perry'emu, nie wolno mnie odwiedzać nikomu, z wyjątkiem tego głupca, Andrzeja. Tak go mam dosyć! Nie dała mi pójść na wieczorek mojej klasy. Nie byłam na noworocznym obchodzie, wszyscy poszli prócz mnie. Gdy idę na wzgórze w Krainie Wyżyn, pewna jest, iż dzieje się tam coś podejrzanego, ona nigdy nie odczuwa potrzeby ruchu, ani piękna przyrody, więc skąd do mnie takie zachcianki? Mówi, że mam wygórowane pojęcie o sobie. Nie, nieprawda. Czy ty jesteś tego zdania, kuzynie Jimmy?

— Nie — odrzekł kuzyn Jimmy, zamyślony. — Masz o sobie wysokie pojęcie, ale nie *zbyt* wysokie.

— Mówi, że zawsze robię nie to, co należy. Jest nieznośną pedantką. Wciąż słyszę: dlaczego, dlaczego, dlaczego? Wciąż, wciąż, kuzynie Jimmy!

— Teraz czujesz się lepiej, skoro się wygadałaś, nieprawdaż, kurczątko?

Emilka przysunęła się do stołu z westchnieniem i zaczęła jeść orzechy. Była bardzo głodna.

— Czy Ruth daje ci jeść do syta? — spytał kuzyn Jimmy niespokojnie.

— O tak. Ciotka Ruth stosuje się przynajmniej pod jednym względem do tradycji Srebrnego Nowiu. Kuchnia jest dobra u niej w domu. Ale orzechów nie ma.

— A ty lubisz coś przegryźć przed pójściem do łóżka, nieprawdaż? Ale przecież zabrałaś całe pudełko orzechów przed tygodniem?

— Ciotka Ruth skonfiskowała je. Podaje codziennie niewielką ilość na deser do obiadu. Ale to niema już tego uroku, co takie jedzenie ich o niedozwolonej porze, prawda? Jak się to dzieje, że nie śpisz o tej godzinie, kuzynie Jimmy?

— Jedna z krów zachorowała. Siedzę i od czasu do czasu zaglądam do niej.

— Ucieszyłam się, że nie śpisz. Już jestem spokojniejsza, kuzynie Jimmy. Wiem, że mnie uważasz za szaloną.

— Każdy jest szalony na swój sposób.

— Dobrze. Powrócę zatem i połknę pigułkę bez szemrania.

— Połóż się na sofie i odpocznij. O świcie odwiozę cię do Shrewsbury.

— Nie, to się nie da zrobić dla różnych przyczyn. Po pierwsze, drogi są niedobre w tej porze roku. Powtóre, ciotka Elżbieta usłyszałaby nas i dowiedziałaby się o wszystkim, czego nie pragnę bynaj-

mniej. Niech moja godzina szafu pozostanie tajemnicą między nami dwojgiem, kuzynie Jimmy.

— Więc jakże wrócisz do Shrewsbury?

— Pieszko.

— Pieszko? O tej godzinie?

— Przecież już przyszedłam o tej godzinie w odwrotnym kierunku. Powtórzę więc tę przechadzkę. Mam tu parę starego obuwia w szafie. Włożę je na nogi, to będzie odpowiedniejsze, niż wieczorowe pantofelki. Zniszczyłam twój śliczny prezent w przystępie uniesienia. Włożę też moje stare palto. Będzie mi cieplej. Będę w Shrewsbury o świcie. Wyruszę, skoro tylko uporamy się ze wszystkimi orzechami.

Kuzyn Jimmy zgodził się. Emilka była młoda i silna, a im mniej Elżbieta będzie wiedziała o tym zatargu rodzinnym, tem lepiej dla wszystkich. Odetchnął z ulgą. Bał się z początku, że upór Emilki będzie tym razem nie do przełamania.

— A jak tam z pisaniem?

— Pisuję sporo, chociaż w moim pokoju jest strasznie zimno zrana, ale tak lubię pisać! Marzeniem mojem jest stworzyć zczasem coś pięknego.

— Zdziałasz coś z pewnością, nie wątpię o tem. Ciebie nikt nie wepchnął do studni.

Emilka uściśnieła mu dłoń. Ona jedna czuła, ile byłby mógł zdziałać kuzyn Jimmy, gdyby nie był został wepchnięty do studni.

Kiedy orzechy były już zjedzone, przebrała się Emilka w stare buciki i w palto. Był to nędzny przyodziewek, ale jej młoda uroda nie potrzebowała jeszcze ram, aby się uwydatnić. Wyglądała jak gwiazda w ubogim, zadymionym pokoju.

Kuzyn Jimmy patrzył na nią. Myślał że jest ona piękną, bogato obdarzoną, radosną istotą i że niektóre rzeczy są hańbą...

— Wysoka i postawna — szepnął — jak wszystkie nasze kobiety. Z wyjątkiem ciotki Ruth — dodał. Emilka roześmiała się i zrobiła grymas.

— Ciotka Ruth będzie usiłowała wykazać największą ilość cali, na jaką ją stać, przy naszej najbliższej rozmowie. To zdarzenie będzie jej ciążyć do końca roku. Ale nie martw się, najdroższy kuzynie, ja już nie zrobię żadnego głupstwa w niedalekiej przyszłości. Ciotka Elżbieta pomyśli, że strasznie dużo orzechów zjadłeś, czuwając nad chorą krową, kuzynie Jimmy.

— Czy potrzebna ci nowa księga w skórę oprawna?

— Jeszcze nie. Ostatnia jest dopiero zapisana do połowy. A każda nowa księga ciąży mi, skoro nie mogę pisywać nowel. Och, gdybym znów mogła, kuzynie Jimmy!

— Nadejdzie i ta chwila, nadejdzie — pocieszał ją Jimmy. — Poczekaj cierpliwie. Nie gońmy niczego w życiu, a samo przyjdzie.

Wypuścił Emilkę i zamknął drzwi. Zgasił świece prócz jednej. Poczem rzekł głośno, zachwycony, że Elżbieta go nie słyszy:

— Ruth Dutton niech idzie do... — zabrakło mu odwagi — do ...nieba!

Emilka wróciła do Shrewsbury przy świetle księżyca. Powrót był nadspodziewanie piękny. Emilka była jedną z owych „niewolnic piękności”, o których śpiewają, że są one, względnie oni, „paniami (paniami) świata”. Była zmęczona, ale przy zmęczeniu

nieraz odczuwamy zjawiska i wzruszenia tem mocniej, tem ostrzej. Myśli jej były szybkie i sprawne. Snuła w duchu cały szereg marzeń, rozmów świetnych i dowcipnych i była sobą mile zdziwiona chwilami. Życie było piękne i zajmujące, a ją samą prosto rozsadzała żywotność, młoda i bujna. Była sama, ale nie samotna.

Szła, uosobiając swym zwyczajem rzeczy i zjawiska dokoła.

— Człowiek tak wiele traci, tracąc łatwowierność — mówiła sama do siebie. Pomyślała, że jest to mądre spostrzeżenie i zapagnęła znaleźć się jaknajrychlej przy swem biurku, aby je zanotować.

Tak więc, obmywszy duszę z goryczy w uroku nocy wiosennej i świeżem powietrzu, ożywiona od stóp do głów intensywnem życiem duchowem, przybyła Emilka do ciotki Ruth, gdy wzgórza oblane były purpurą wschodzącego słońca. Była pewna, że jeszcze zastanie drzwi wejściowe zamknięte na klucz. Ale nie: klamka ustąpiła, drzwi otworzyły się i Emilka weszła do kuchni, gdzie ciotka Ruth rozniecała ogień.

Po drodze obmyślała Emilka cały szereg powitań okolicznościowych, a teraz zapomniała, co sobie przygotowała do formułki. W ostatniej chwili przyszło jej do głowy coś niezwykłego:

— Ciotko Ruth, wracam, aby ci powiedzieć, że ci przebaczam, ale żeby to się nie powtórzyło.

Prawdę powiędziałwszy doznała pani Ruth Dutton znacznej ulgi na widok Emilki. Bała się Elżbiety i Laury (sprzeczki familijne Murrayów były groźne!), a przytem lękała się o Emilkę, która może poszła do Srebrnego Nowiu w cienkich pantofelkach i lekkim

okrvciu. Ruth Dutton nie była w gruncie rzeczy złą kobietą, była tylko głupiem, upartem stworzeniem, które pokusiło się o tresurę skowronka. Była szczerze przerażona, że z jej winy Emilka może się przeziębć i dostać suchot. A jeżeli Emilka postanowi nie wrócić pod żadnym pozorem do Shrewsbury, ludzie będą „gadać”, a Ruth Dutton nienawdziła „gadania”, gdy ona sama była jego przedmiotem. Tak więc doszła do wniosku, że najlepiej będzie nie słyszeć impertynencckiego przywitania siostrzenicy.

— Czy spędziłaś noc na ulicy?—spytała cierpko.

— O nie, skądże! Byłam w Srebrnym Nowiu, pogawędziłam z kuzynem Jimmy, zjadłam coś lekkiego i wróciłam.

— Czy widziałaś się z Elżbietą? A może z Laurą?

— Nie. Spały.

Pani Dutton odetchnęła powtórnie.

— Dałaś dowód wielkiej niewdzięczności, Emilko — rzekła chłodno. — Ale przebaczam ci tym razem... — urwała nagle. Przecież te słowa zostały już wypowiedziane przed chwilą? Zanim zdążyła obmyśleć inne zdanie, Emilka zniknęła już na schodach. Pani Ruth Dutton pozostała w kuchni z niemiłym poczuciem połowicznego triumfu, o ile wogóle o jej triumfie mogła tu być mowa.

RADOŚĆ I SMUTEK.

Shrewsbury, 28 kwietnia 19...

„Byłam przez sobotę i niedzielę w Srebrnym Nowiu i wróciłam dzisiaj zrana. Tęsknię za domem. Ciotka Ruth jest w poniedziałki jeszcze bardziej nieznośna, niż zwykle, albo też wydaje mi się taka nasutek kontrastu, jaki stanowi ona w zestawieniu z ciotką Laurą i ciotką Elżbietą. Kuzyn Jimmy był tym razem równie miły, jak zawsze. Kilkakrotnie odezwał się tak dziwnie, jak to on potrafi. Był trochę zmartwiony, bo jego młode drzewka umierają: zaszkoziła im zima i mszyce. A przytem nie mógł nakłonić ciotki Elżbiety do wprowadzenia pewnych zmian na folwarku, zmian nieodzownych według niego. Ale ciotka jest konserwatystką i nie zgadza się na nowe ulepszenia. Ja się cieszę w duchu, że się nie zgodziła. Lubię wszystko w Srebrnym Nowiu i pragnę, żeby pozostało tak, jak jest dotychczas.

Kiedy udało mi się wyrwać kuzyna Jimmy z jego trosk, przejrzelśmy katalog Carltona i naradzaliśmy się, co wybrać za moje dwa dolary, stanowiące równowartość „Śmiechu Sowy”. Ułożyliśmy kilkaset planów, kombinacyj, klombów, wyciągnęliśmy z tego przyjemności za kilka tysięcy dolarów conajmniej, aż w końcu wybraliśmy długi, wąski klombik astrów i lawendy,

obramowany jednym rzędem gwoździków. To będzie bardzo piękne, a ja będę na to spoglądać we wiześniu przyszłego roku i pomyślę: oto, co wyszło z mojej głowy!

Zrobiłam krok naprzód w kierunku szczytów. W zeszłym tygodniu „Tygodnik dla Pań” przyjął mój utwór poetycki: „Królowa Wichrów” i zapłacił mi dwiema prenumeratami „Tygodnika”. Gotówki nie dostaję jeszcze, ale przyjdzie i na to pora. Muszę zdobyć jak najrychlej dużo pieniędzy, ażeby zapłacić ciotce Ruth co do centa za mieszkanie i utrzymanie. Zwrócę jej wszystkie koszta, jakie poniosła z mej przyczyny. Nie będzie mogła mi wypominać ofiar, których jestem niewdzięczną (!) sprawczynią. Niema dnia, żeby o tem nie wspomniała „Nie, mrs. Beatty, nie mogę w tym roku dać takiej dużej składki na misję, bo moje rozchody powiększyły się znacznie.” „Nie, panie Morrison, ma pan istotnie piękne materiały, ale ja nie mogę w tym roku sprawić sobie jedwabnej sukni.” „Ten pokój domaga się odnowienia, tapeta jest już zniszczona, ale mowy o tem być nie może w ciągu następnego roku, albo i dwóch lat.” Tak ciągle!

Ale dusza moja nie należy do ciotki Ruth.

„Śmiech Sowy” został przedrukowany w „Czasie”, wychodzącym w Shrewsbury, wraz z omyłką zecerską. Ewelina Blake mówi, że to niemożliwe, żebym ja była autorką tego wiersza, że czytała już to gdzieś przed paru laty, tylko nie przypomina sobie, gdzie.

Droga Ewelina!

Ciotka Elżbieta nic nie mówi o tem wszystkim, ale kuzyn Jimmy szepnął mi, że ona wycina moje utwo-

ry z czasopism i wkłada je do Biblii, która leży przy jej łóżku. Kiedy jej oznajmiłam, że dostanę za moje wiersze równowartość dwu dolarów w roślinach, odrzekła, że z pewnością dowiem się niebawem o bankructwie tej firmy!

Mam zamiar posłać do „Złotych Chwil” tę nowelkę o dziecku, która tak się podobała panu Carpenterowi. Pragnęłabym, żeby mi ją przepisano na maszynie, ale to jest niemożliwe. Więc przepiszę ją starannie piórem. Zastanawiam się, czy się odważyć na ten krok. Za nowelkę zapłaciliby z pewnością.

Niebawem wraca Dean. Jak ja się cieszę na jego powrót! Ciekawa jestem, czy on powie, że bardzo się zmieniłam. Urosłam niezawodnie. Ciotka Laura powiada, że niebawem będę nosić długie suknie i upinać włosy, ale ciotka Elżbieta oświadczyła, że za młoda jestem: mam lat 15. Według niej dzisiejsze dziewczęta są mniej kobietami w tym wieku, niż za jej czasów. Wiem, że ciotka Elżbieta obawia się, że skoro tylko dorosnę, ucieknę „tak jak Julka”. Ale mnie się nie śpieszy. Nie chcę być jeszcze dorosłą. Lepiej jest być na granicy dzieciństwa i wieku panińskiego. Mogę być dziecinna od czasu do czasu, nie wstydząc się tego; a kiedy chcę okazać dojrzałość, posiadam autorytet moich kilku cali nadprogramowych.

Dziś mamy ciepły, dżdżysty wieczór. Napiszę chyba poemacik pod tytułem: „Wizja wiosenna”.

5 maja 19...

W Wyższej Szkole nastąpił istny wybuch poezji na temat wiosny. Ewelina też napisała wiersz, wy-

drukowany w majowym zeszytcie „Pióra”: „Kwiaty”.
Liche rymy.

A Perry! I on odczuł doroczny zapach wiosny, jak to nazywa pan Carpenter i napisał okropny wiersz pod tytułem: „Stary rolnik sieje swe nasiona”. „Pióro” wydrukowało to w rubryce: „Humor”. Perry bardzo jest dumny i nie zdaje sobie sprawy, że robi z siebie błązna. Ilza zbladła ze złości, gdy to przeczytała, i od tej pory nie rozmawia z nim. Mówi, że to nie jest dla niej towarzystwo. Ilza jest trochę za surowa dla Perry’ego. Ale i ja gdy czytam tę okropność, mam ochotę go zamordować. Perry nie rozumie, co złego jest w tym wierszu.

— Rymy są, czy nie?

— O tak, są!

Ilza już kilka dni temu pogniewała się z Per-
rym, gdyż przyszedł on do szkoły z jednym guzikiem zaledwie przy marynarce. Drażniło mnie to również, więc szepnęłam mu, żeby się po lekcjach spotkał ze mną na rogu ulicy. Wzięłam ze sobą igłę, nitkę i guziki i przyszyłam mu je. Nie rozumiał, dlaczego nie mogłam zaczekać z tem do piątku: przyszyłaby je ciotka Tomaszowa.

— Dlaczego sam ich nie przyszyjesz, Perry? —
spytałam.

— Nie mam guzików, ani pieniędzy na guziki. Ale mniejsza o to, czasem będę mógł mieć złote guziki, o ile zechcę.

Ciotka Ruth zobaczyła, że wracam z igłą i nitką w rękę i musiała się zaraz dowiedzieć, co, jak dlaczego. Powiedziałam jej prawdę, a ona rzekła:

— Lepiejbyś zrobiła, pozostawiając troskę o guziki Perry'ego Millera jego przyjaciółom.

— Jestem najlepszym przyjacielem, jakiego Perry posiada — odrzekłam.

— Nie wiem, skąd do ciebie te gminne upodobania — rzekła ciotka Ruth.

7 maja 19...

Dzisiaj po południu zaprowadził Tadzio Ilzę i mnie nad rzekę. Mieliśmy zrywać kwiatki majowe. I rzeczywiście nazbieraliśmy pełne koszyki kwiecica i spędziliśmy przemiłą godzinę nad rzeczką w cieniu świerków, wśród zapachu żywicy.

Gdyśmy wracali do domu, otoczyła nas znienacka gęsta mgła. Ale Tadzio kierował się gwizdem kolejowym, więc nie baliśmy się, że zabłądzimy. Płynęliśmy po białem morzu, nieprzejrzanem i idealnie spokojnem. Cisza panowała zupełna poza tym oceanem. Byliśmy odgraniczeni od reszty świata. Od czasu do czasu lekki powiew rozdzierał na sekundę tę zwartą zasłonę, która wówczas kłębiła się, tworząc fantastyczne kształty i widma. I znowu byliśmy zatuleni w biel jednostajną. Był to istny poemat w życie wcielony i żałowałam, że tak rychło znalazłam się w mieście i w domu. Ciotka Ruth była bardzo zaniepokojona tą mgłą.

— Gdybym była wiedziała, nie byłabym ci pozwoliła wyjść z domu.

— Nie było żadnego niebezpieczeństwa, ciotko Ruth, nic mi nie groziło. Popatrz na te śliczne kwiaty. Ciotka Ruth nie spojrzała na kwiaty.

— Nic ci nie groziło! A gdybyś tak zablądziła, wpadła pod pociąg, czy pod konie?

— Nie, przecież w mieście mgła nie jest groźna, ciotko Ruth. A przytem taka jest piękna, cudna! Zupełnie tak, jakgdybyśmy podróżowali ponad naszą planetą w przestworzu.

Mówiłam z zapalem i widocznie miałam trochę rozwiane włosy, bo ciotka Ruth rzekła z politowaniem.

— Szkoda, że jesteś taką *entuzjastką*, Emilko.

Ten chłód i ten lekceważący ton wyprowadzają mnie stale z równowagi, więc odrzekłam opryskliwie:

— Ale pomyśl, ile przyjemności tracisz wskutek twego braku wszelkiego entuzjazmu, ciotko Ruth. Niema cudniejszego wrażenia, jak taniec dokoła ogniska. Cóż szkodzi, że kończy się na garstce popiołu?

— Gdy będziesz w moim wieku — rzekła ciotka Ruth — będziesz miała więcej oleju w głowie i nie będziesz się zachwycać gęstą mgłą.

Mnie się wydaje niemożliwą rzeczą, iżbym mogła kiedykolwiek zestarzeć się, albo umrzeć. *Wiem*, że się to stanie, naturalnie, ale nie *wierzę* w to. Nic nie odpowiedziałam, wobec czego ciotka Ruth zaczęła z innej beczki.

— Widziałam Ilzę, przechodziła tędy. Emilko, czy ta dziewczyna nie nosi żadnej halki?

— „Zdobią ją jedwabie i purpura” — szepnęłam, cytując słowa biblji, dlatego poprostu, że jest coś w ich dźwięku, co mnie czaruje. Niema zwieźlejszego i piękniejszego opisu pięknie ubranej kobiety. Ciotka Ruth nie domyśliła się widocznie, że to cytata, nie pa-

mięta bibliji: sądziła, że usiłuję mówić szumnie i protekcyjnie.

— Jeżeli masz na myśli, Emilko, że ona nosi jedwabną halkę, czerwonego koloru, to powiedz to ludzkim językiem. Hm, jedwabną halkę, doprawdy. Gdyby ode mnie zależało, nie nosiłaby jedwabnych halek.

— Ja będę zczasem też nosić jedwabne halki — rzekłam.

— Czyżby, panienko? A czy wolno spytać, za co kupisz te halki, za czyje pieniądze?

— Mam przed sobą wielką przyszłość — rzekłam, najdumniej, najbardziej po Murrayowsku, jak kiedykolwiek odezwał się Murray lub Murrayówna.

Ciotka Ruth zasyczała coś niezrozumiałego.

Wstawiłam do mego pokoju wazony z kwiatami i nawet lord Byron wygląda, jakby miał wyzdrowieć.

14 maja 19...

Posłałam moją nowelkę o dziecku do „Złotych Chwil”. Wrzuciłam kopertę do skrzynki przy księgarni i drzę jeszcze z wrażenia. Och, gdyby oni to przyjęli!

Perry znowu rozśmieszył całą szkołę. Powiedział w klasie, że „Francja eksportuje modę”. Ilza podeszła do niego po lekcji i rzekła: „Ty, marne nasienie!” Od tej pory nie rozmawia z nim.

Ewelina w dalszym ciągu mówi słodko różne złośliwości i śmieje się. Mogę jej przebaczyć złośliwości, ale nie przebaczę jej śmiechu.

15 maja 19...

Wczoraj odbył się majowy wieczorek klasy najmłodszych. Jest to doroczny zwyczaj. Stwierdziliśmy, przychodząc, że nie możemy zapalić gazu. Okazało się, że junjorowie odcięli gaz, ażeby nam dokuczyć. Nie wiedzieliśmy w pierwszej chwili, co czynić. Wtem przypomniałam sobie, że ciotka Ruth otrzymała w prezencie od ciotki Elżbiety całe pudełko świec. Wróciłam do domu i wzięłam te świece (ciotka Ruth była nieobecna). Rozstawiliśmy je dokoła pokoju. Wieczorek odbył się więc i była pyszna zabawa. Bawiliśmy się już samem improwizowaniem lichtarzy, a przytem światło świec jest o tyle miłsze i pogodniejsze, niż światło gazu. Wszyscy byliśmy dowcipni tego wieczoru. Každy pokolei wygłaszał przemówienia. Perry miał mówić o historii Kanady, zdaje się, że byłby to istny odczyt, bardzo rozsądny i bardzo nudny, ale zmienił zamiar i mówił o „świecach”, improwizując w miarę natchnienia. Opowiadał o świecach, które widywał w różnych krajach, gdy był małym chłopcem i jeździł ze swym ojcem. Było to takie dowcipne i zajmujące, że siedzieliśmy jak przykuci. Zdaje mi się, że koledzy i koleżanki zapomnieli o francuskich modach i o starym rolniku, który siał i orał.

Ciotka Ruth nie spostrzegła jeszcze braku świec. Jutro jadę do Srebrnego Nowiu. Poproszę ciotkę Laure o inne pudełko świec (ona się zgodzi, wiem!) i przywiozę je ciotce Ruth.

22 maja 19...

Dzisiaj nadeszła pod moim adresem nienawistna, długa, gruba koperta. „Złote Chwile” odesłały mój rękopis. Szemat drukowany opiewał:

„Przeczytaliśmy z zajęciem pani nowelkę i żałujemy, że narazie nie możemy z niej skorzystać”.

Po pierwsze usiłowałam pocieszyć się faktem, że przeczytali ją „z zajęciem”. Wróciwszy do domu, zrozumiałam nagle, że skoro otrzymuję drukowany szeptat odmowny, to pochlebne te wyrazy odnoszą się do wszystkich autorów, których rękopisy zostają odrzucone. Co najsmutniejsze, to że ciotka Ruth zobaczyła przesyłkę, zanim wróciłam ze szkoły i otworzyła kopertę. Czułam się upokorzona.

— Mam nadzieję, że to cię przekona ostatecznie, iż nie warto tracić pieniędzy na znaczki pocztowe i porysować podobne niedorzeczności, Emilko. Cóż to za pomysł, że ty możesz napisać nowelę, nadającą się do druku!

— Zamieszczono dwa moje wiersze ulotne! — zawołałam.

Ciotka Ruth syknęła:

— Phi! *Poematy. Wiersze*. Muszą czemś wypełniać szpalty.

— Możliwe — rzekłam z godnością, połykając łzy.

Poszłam do mego pokoju, gdzie gniew mój minął szybko. Namyslałam się, czy nie spalić tego niefortunnego rękopisu. Ale nie! Przepiszę go powtórnie i spróbuję szczęścia gdzie indziej. Muszę zwyciężyć.

Zdaje mi się, gdy przeglądam ostatnie stroniczki niniejszego dziennika, że zaczynam się obywać bez podkreśleń i kursywy. Ale czasami jest to niezbędne.

Srebrny Nów, Czarnowoda. 24 maja 19..

Zima skończona, już po deszczu. Kwiaty zjawily się na ziemi, ptaki śpiewają.

Siedzę w moim pokoju przy otwartem oknie, w moim ukochanym pokoiku. Tak miło jest przyjeżdżać tu od czasu do czasu. Nad gaikiem Wysokiego Jana niebo jest żółte, jedna mała gwiazdka świeci, ledwo widzialna wśród tej orgji złota. Wszystko dokoła jest takie cudne, oko nie może się nasycić, ucho wciąż się wsłuchuje z rozkoszą w tajemnicze, dobrze sobie znane dźwięki, a tak zawsze nowe, tak zdumiewające za każdym powrotem wiosny.

Czasami myślę, że nie warto doprawdy pisać niczego, skoro wszystko jest wyrażone tak doskonale w Biblii. Każda definicja, każdy opis, jaki tam znajduję, napelnia mnie poczuciem mojej niemocy: tam kilku słowami oddane jest to, na co jabym potrzebowała kilku stronic.

Dzisiaj popołudniu zasieliśmy, kuzyn Jimmy i ja, nasz klombik. Nasiona rychło nadeszły. Widocznie firma nie zbankrutowała jeszcze. Ale ciotka Elżbieta przypuszcza, że to są zgniłe nasiona, które nie zakiełkują.

Dean jest w domu. Przyszedł do mnie w odwiedziny wczoraj wieczorem. Nie zmienił się wcale. Jego zielone oczy są równie zielone, jak były, jego ładne usta równie ładne, jego zajmująca twarz — równie zajmująca. Ujął obie moje dłonie i popatrzał na mnie poważnie:

— Zmieniłaś się, Gwiazdko — rzekł. — Wyglądasz bardziej niż kiedykolwiek, jak wiosenka. Ale nie

rośnij już więcej. Nie chcę, żebyś na mnie spoglądała z góry.

— Ja też tego nie chcę.

Powiedziałam prawdę. Nie chciałabym być wyższa, niż Dean. Toby źle wyglądało.

Tadzio jest ode mnie o jeden cal wyższy. Dean mówi, że on zrobił znaczne postępy w rysunkach od zeszłego roku. Pani Kent nadal mnie nienawidzi. Spotkałam ją dzisiaj, gdy poszłam na przechadzkę z samą sobą o zmierzchu wiosennym. Nie przystanęła, aby ze mną porozmawiać, przesunęła się, jak cień. Spojrzała na mnie przelotnie, mijając mnie, a w oczach jej była otchłań nienawiści. Zdaje mi się, że z każdym rokiem jest ona bardziej przygnębiona, coraz nieszczęśliwsza.

Podczas mojej przechadzki, wstąpiłam do Rozczarowanego Domu. Tak mi go zawsze żal. Jest to dom, który nigdy nie żył, który nie spełnił swego przeznaczenia. Puste okna wyzierają smutno z jego martwej fizjonomji, jakgdyby szukały czegoś, czego znaleźć nie mogą. Nigdy nie świeciło przez nie światło domowego ogniska poprzez zmierzch letni, lub mroki zimowe. A jednak czuję, że ten mały domek zachował swe sny i marzenia i że czasem one się ziszczą.

Pragnę tego.

Obeszłam dzisiaj wszystkich moich starych przyjaciół: gajk Wysokiego Jana, stary sad, cmentarzyk rodzinny, jezioro, ścieżkę Jutrzejszą. Tak lubię tę ścieżkę, jest mi ona najbliższym osobistym przyjacielem.

Chodząc tak, snułam marzenia i starałam się je ująć w jaknajładniejsze wyrazy. Wyszukiwanie ładnych wyrazów zawsze mnie zajmuje i cieszy. Gdy

znajdę jakiś nowy, piękny wyraz, jestem rozradowana, jakgdybym znalazła klejnot drogocenny i nie mogę spocząć, dopóki nie umieszczę go w odpowiednim aforyzmie.

29 maja 19...

Dzisiaj wróciła ciotka Ruth do domu ze złowróżbną miną.

— Emilko, co znaczy ta plotka, która obiega całe Shrewsbury, jakobyś tej nocy przechadzała się po ulicach, *otoczona ramieniem młodego człowieka, którego całowałaś?*

W mgnieniu oka wiedziałam o co chodzi. Śmiać mi się zachciało gwałtownie wobec tak nieprawdopodobnej plotki. To było takie zabawne, takie niewiarogodne! Ciotka Elżbieta odrazu byłaby wiedziała, że to nieprawda. Ale ciotce Ruth trzeba było udzielić z powagą szczegółowych wyjaśnień.

Oto, co się zdarzyło:

Ilza i ja „wałęsałyśmy się” po ulicach wczoraj dość późnym wieczorem. Przed domem starego Taylora spotkałyśmy jakiegoś mężczyznę. Nie znam go i nie rozpoznałabym go. Nie wiem, czy był wysoki, czy niski, stary, czy młody, biały, czy murzyn, Żyd, czy chrześcijanin, niewolnik, czy wyzwolenc. Ale wiem jedno, że się nie golił tego dnia!

Wpadliśmy na siebie na zakręcie ulicy. Cofnęłam się, aby go przepuścić, on cofnął się w tym samym kierunku i znów nie mogliśmy się ruszyć, ani on, ani ja. Ja na lewo, on na prawo, znów jesteśmy naprzeciw siebie, bo szliśmy w przeciwnych kierunkach. Wreszcie uskokzyłam gwałtownie w bok, on zaś jed-

nocześnie wpadł na ten sam pomysł, tak, że znalazłam się na przeciąg sekundy w jego objęciach, gdyż biedak wyciągnął przed siebie ramiona, czując nieuniknione zderzenie. Ponieważ jestem szczupłą, wpadłam w te ramiona i przez tę chwilę dotknęłam czubkiem nosa jego policzka.

— Przepraszam panią bardzo... — wyjąkał biedny człowiek, odrzucił mnie, jakbym była rozpalonym węglem i zniknął za rogiem.

Ilza zaśmiewała się. Powiedziała, że nigdy w życiu nie widziała niczego równie zabawnego. Stało się to wszystko tak szybko, że można było pomyśleć (tak mówiła Ilza), żeśmy się sobie przyjrzeni i padli w objęcia, jak brat i siostra, którzy się nie widzieli od lat kilku i niespodziewanie się spotkali.

Mnie bolał nos. Ilza powiedziała mi, że przez sekundę mignęła jej w oknie Taylorów twarz panny Taylor, właśnie w momencie, kiedy to się działo. Naturalnie ta stara plotkarka opowiedziała to zdarzenie po swojemu, we własnej interpretacji.

Wyjaśniłam to wszystko ciotce Ruth, która przyrzekała mi się z niedowierzaniem i uważała to za bardzo osobliwe zdarzenie.

— Dziwna rzecz, że nie możesz ująć trzech kroków, żeby nie pocałować kogoś — rzekła.

— Posłuchaj, ciotko Ruth — rzekłam. — Wiem, że mnie uważasz za przebiegłą, głupią i niewdzięczną. Ale wiesz, że jestem pół krwi Murrayówną. Otóż, jak ci się zdaje, czy może Murrayówna całować na ulicy obcego, lub znajomego mężczyznę, czy też nawet krewnego? Na ulicy?!

— Odrazu też powiedziałam, że mi się to wydaje

dziwnem — przyznała ciotka Ruth, — ale panna Taylor zapewnia, że ona sama *widziała*. Wszyscy to słyszeli. Nie lubię, aby mówiono takie rzeczy o członku mojej rodziny. To nie byłoby się zdarzyło, gdybyś nie była wyszła z Ilzą Burnley wbrew mej woli. Niech się takie zdarzenie nie powtórzy, Emilko.

I mów tu, człowieku, z ciotką Ruth!

3 czerwca 19...

Kraina Wyżyn jest cudna. Mogę znowu pisywać na wzgórzu. Ciotka Ruth przygląda mi się podejrzliwie, ilekroć tam zmierzam. Nie zapomniała, że spotkałam tam ongi Perry'ego. Widok stamtąd rozciąga się cudny. Przyszło mi na myśl, że jest to może legendarna góra, z której wierzchołka widać Przyszłość? Co ja tam zobaczę? Zwycięstwo, czy porażkę?

Och nie, nie porażkę!

9 czerwca 19...

W zeszłym tygodniu były urodziny ciotki Ruth. Podarowałam jej patarafkę, którą sama wyhaftowałam. Podziękowała mi oziębło i nie zwracała na nią uwagi tego dnia, ani dni następnych.

Dzisiaj popołudniu siedziałam przy oknie i rozwiązywałam zadanie algebraiczne, korzystając jeszcze z dziennego światła. Na dole drzwi balkonowe były otwarte i słychać było głosy ciotki Ruth i pani Ince, siedzących w saloniku. Myślałam, że wiedzą o mojej obecności, ale widocznie zasłaniała mnie firanka. — Wtem usłyszałam moje imię. Ciotka Ruth pokazywała pani Ince patarafkę.

— Moja siostrzenica, Emilka, podarowała mi to

na urodziny. Niech pani spojrzy, jaka to piękna robota, ona ma talent do igły.

Czy to ciotka Ruth mówi? Czy to może być? Onie miałam ze zdumienia.

— Ona nietylko do igły ma talent — rzekła pani Ince. — Przełożony, pan Hardy, powiedział mi, że powinna się wybić na pierwsze miejsce przy następnych egzaminach.

— Jej matka... moja siostra, Julja... była bardzo mądrą i inteligentną dziewczyną — rzekła ciotka Ruth.

— I ładna jest także — dodała pani Ince.

— Ojciec jej, Douglas Starr, był wybitnie pięknym mężczyzną — rzekła ciotka Ruth.

Po tem zdaniu wyszły z salonu. Przynajmniej tym razem dowiedziałem się czegoś przyjemnego, pod słuchając!

Ale tyle pochlebnych rzeczy w ustach ciotki Ruth!

17 czerwca 19...

Czuwam teraz do późnej nocy, gdyż zbliżają się końcowe egzaminy. Perry doprowadził do furji pana Traversa, cytując na odwrocie zadania algebraicznego Biblię i myśląc się co do tekstu; to najgorsze. Napisał mianowicie: „Widzisz źdźbło w oku brata twego, a belki w twojem oku nie widzisz”. A pan Travers znany jest ze swej minimalnej znajomości matematyki. Był oburzony i odrzucił zadanie Perry’ego, jako niedobre, za karę! A biedny Perry chciał zacytować: „Błogosławieni miłośnierni, albowiem oni dostąpią łaski”. Poszedł do pana Traversa i wyjaśnił mu to, ale pan Travers nie chciał z nim mówić. Więc Ilza poszła do pana Hardy i poprosiła, żeby on się wstawił za Perrym i

wytłumaczył tę omyłkę panu Traversowi. Przyrzekł, że to uczyni. Wkońcu Perry otrzymał dobry stopień, ale zapowiedziano mu, żeby w przyszłości nie nadużywał Słowa Bożego.

28 czerwca 19...

Szkoła skończyła się. Mam odznaczenie. Był to rok studjów, wytężonej pracy, przyjemności i zabawy. A teraz wracam do ukochanego Srebrnego Nowiu na dwa cudne miesiące swobody i szczęścia.

Napiszę książkę o ogrodzie podczas wakacji. Rozważam ten pomysł już od paru tygodni. Ponieważ nie mogę pisać nowel, więc będę się wprawiać, pisząc szkice o ogrodzie kuzyna Jimmy. Do każdego szkicu dołączony będzie krótki opis wierszem. To będzie dobre ćwiczenie stylistyczne, a przytem wiem, że kuzyn Jimmy się ucieszy.

12.

POD STOGIEM SIANA.

— Dlaczego zajmujesz się taką rzeczą? — spytała ciotka Ruth, a raczej zasyczała. Gdy mowa o ciotce Ruth, należy sobie zawsze wyobrazić syczące dźwięki, wychodzące z jej ust, nawet wtedy, gdy obecny biograf nie wspomina o tym szczególe.

— Chcę zebrać kilka dolarów do mojej ubogiej skarbonki — odrzekła Emilka.

Wakacje minęły, książka o ogrodzie została napisana. Czytała ją Emilka, w miarę jak powstawała. ku-

zynowi Jimmy ku jego wielkiej radości; nadszedł wrzesień, a z nim powrót do szkoły, do pracy i do Krainy Wyżyn i do ciotki Ruth. Emilka miała trochę dłuższe suknie, a włosy upięte tak wysoko, że stanowiły istną wieżę. Była teraz Junjorem. Właśnie przed chwilą opowiedziała ciotce Ruth, co zamierza robić w te soboty, których nie będzie spędzać w Shrewsbury.

Redaktor „Czasu” miejscowego miał zamiar wydać numer specjalny, bogato ilustrowany, a Emilka miała zbierać podpisy subskrybentów. Otrzymała niechętnie pozwolenie ciotki Elżbiety, którego nigdy nie była uzyskała, gdyby ciotka Elżbieta sama łożyła na wykształcenie Emilki. Ale Wallace płacił za jej książki i wpisy i on przekonał Elżbietę, że będzie to z jej strony czyn nader szlachetny, jeżeli pozwoli Emilce zarobić parę dolarów. Elżbieta w skrytości serca niebardzo kochała swego brata Wallace’a i miała mu za złe jego wyniosłe miny, jakie przybierał od czasu, gdy się przyczyniał do wykształcenia Emilki. Gdy więc wytoczono argument, że Emilka może zarobić na wszystkie podręczniki, jakie będą jej potrzebne w ciągu całego roku szkolnego, Elżbieta ustąpiła. Wallace chętnie przyjmie zwrot kosztów od siostrzenicy. Od Elżbiety nie przyjąłby bez urazy tej sumy w imię tradycji Murrayowskiej, ale stale głosił, że młode pokolenie wogóle powinno być samodzielne, a zwłaszcza córka Starra.

Ciotka Ruth nie mogła odmówić pozwolenia, skoro ciotka Elżbieta już się na to zgodziła, ale nie pochwalała bynajmniej tego przedsięwzięcia.

— Cóż to za pomysł, wędrować samotnie po całej okolicy!

--- Nie będę sama, Ilza pójdzie ze mną.

Ciotka Ruth nie uważała, aby to poprawiało sytuację.

— Zaczynamy we wtorek — ciągnęła dalej Emilka. — W piątek nie mamy lekcyj, bo umarł ojciec pana Hardy, a w czwartek lekcje kończą się o godzinie trzeciej.

— Czy wolno wiedzieć, gdzie zamierzacie mieszkać po drodze? Czy na szosie?

— O, nie. Przenocujemy u ciotki Ilzy w Wiltney. A drugą noc spędzimy u krewnych Marysi Carswell w St. Clair, poczem wrócimy w sobotę wzdłuż rzeki.

— Nedorzeczność zupełna — oświadczyła ciotka Ruth. — Żadna Murrayówna nie robiła nic podobnego. Dziwię się Elżbiecie. To jest poprostu nieprzyzwoite, żeby dwie młode dziewczyny wędrowały same po wsiach okolicznych przez trzy dni.

— Cóż nam się stać może? — spytała Emilka.

— Niejedno się zdarzyć może — odrzekła surowo ciotka Ruth.

Miała słuszność. Niejedno mogło się zdarzyć i zdarzyło się podczas tej wędrowki. Ale Emilka i Ilza wyruszyły, podniesione na duchu, z mocnem postanowieniem obserwowania wszystkiego, głównie pod kątem humorystycznym. Emilka czuła się szczególnie rozradowana. Otrzymała tegoż dnia list od trzeciorzędnego czasopisma, ofiarowujący jej trzy prenumeraty owego czasopisma wzamian za jej wiersz p. t. „Noc w Ogrodzie”, który ona i kuzyn Jimmy uważali za koronę jej książki o ogrodzie. Emilka zostawiła tę „książkę” w Srebrnym Nowiu, ale postanowiła teraz przepisać z niej szereg fragmentów i rozesłać do różnych czaso-

pism. To dobry znak, że tak rychło przyjęto pierwszą nadesłaną próbę.

— No, jesteście swobodne, wyruszyliśmy nareszcie — rzekła Emilka. — Zobaczmy, co nas czeka.

— Zbierzemy niezawodnie dużo materiału do naszych ćwiczeń — rzekła praktyczna Ilza.

Pan Hardy obwieścił klasie Junjorów, że zażąda od nich w pierwszym kwartale całego szeregu ćwiczeńszkiców. Ilza i Emilka postanowiły, że zaczerpną temat do paru szkiców ze swej wędrówki. Interesującym będzie porównanie ich różnych punktów widzenia. W ten sposób miały przed sobą podwójny cel: subskrybcję i ćwiczenia.

Było to cudne wrześnie popołudnie, tak cudne, na jakie zdobyć się może tylko wczesna jesień. Dziewczynki szły, oczarowane, chociaż niebawem stwierdziły, że rekrutowanie subskrybentów nie jest rzeczą łatwą. Wprawdzie robiły odkrycia psychologiczne, jak mówiła Ilza, ale niemniej praca była ciężka i niezawsze sympatyczna.

Jakiś stary człowiek mówił „hm” na wszystko, co mówiły. Gdy go wkońcu poprosiły o podpis, odpowiedział zwięźle:

— Nie.

— Dobrze, że nie powiedział pan tym razem: „hm” — rzekła Emilka — to zaczynało być monotonne.

Stary pan przyjrzał jej się ze zdziwieniem, poczem zachichotał.

— Czy jest pani może krewną dumnych Murrayów? Pracowałem na folwarku, zwanym Srebrnym Nowiem, gdy byłem młody. Jedna z panien tamtejszych, Elżbieta było jej na imię, miała ten sposób pa-

trzenia na ludzi zwysoka, zupełnie ten sam, co pani.

— Matka moja była Murrayówną.

— Tak też myślałem. Nosi pani piętno rodu na twarzy. Ma pani tutaj dwa dolary, niech pani umieści moje nazwisko na liście. Chciałbym zobaczyć najpierw ów numer specjalny, zanim podpisuję. Nie lubię kupować kota w worku. Ale to jest warte dwa dolary widzieć dumną Murrayównę, proszącą starego Billy Scotta o jego podpis.

— Dlaczego nie roztrzaskałaś mu łba? — spytała Ilza.

Emilka szła prosto przed siebie z podniesioną głową, z rozdętymi nozdrzami.

— Poszłam w świat po subskrybentów, a nie poto, żeby pomnożyć zastęp wdów na świecie. Wątpię, czy to byłoby równie dobrze widziane.

Inny starzec mruczał i wyrzekał przez cały czas, gdy mu Emilka tłumaczyła, o co chodzi, a wreszcie, gdy już była przygotowana na odmowę, podpisał pięć zamówień.

— Ten lubi wywoływać rozczarowania, lub robić miłe niespodzianki — rzekła do Ilzy, gdy wyszły z jego domu. — Woli sprawić przyjemność, byle ujrzeć na twarzy ludzkiej zdziwienie.

Jeden wieśniak kłął siarczyście, inny już, już, miał podpisać, gdy wtargnęła jego żona do izby.

— Jabym nie brała tego numeru na twojem miejscu, ojcie. Ten wydawca jest niewierzący.

— W takim razie jest niezawodnie wstrętnym typem — odrzekł „ojciec” poważnie i schował pieniądze do kieszeni.

— Cudne! — szepnęła Emilka. — Muszę to opisać w księdze Jimmy'ego.

Naogół przyjmowały je kobiety grzeczniej, niż mężczyźni, ale mężczyźni łatwiej było namówić na subskrybcję. Jediną kobietą, która subskrybowała, była jakaś starsza dama, niepocieszona po stracie kota. Emilka podbiła jej serce, okazując szczere zainteresowanie jej przeżyciem.

Najgorsze doświadczenie przeżyły z grubjaninem, który im wręcz nawymyślał, ponieważ jego przekonania polityczne odmienne były od przekonań redaktora „Czasu”. Uważał obie panienki za odpowiedzialne oświadczenie za tę różnicę poglądów.

— Co za bestja! — wykrzyknęła Ilza, gdy się oddaliły. — Mam już temat mego pierwszego szkicu: „Natura ludzka z punktu widzenia akwizytorki”. Opiszę tego człowieka i siebie, mówiącą mu to wszystko, co mu powiedzieć pragnęłam, a czego mu nie powiedziałam!

Emilka wybuchnęła śmiechem i odzyskała dobry humor.

— Ty możesz sobie na to pozwolić. Mnie nie przysługuje nawet prawo takiego rewanzu. Związana jestem przyrzeczeniem, danem ciotce Elżbiecie. Muszę się trzymać faktów rzeczywistych. Nie myślmy już o tym brutalu. Mamy już mnóstwo podpisów, a ten zachód słońca zaczyna być ze wszechmiar godzien uwagi.

— Niemniej byłabym chciała zetrzeć w proch tego wampira — rzekła Ilza.

W następnym miejscu natomiast, doznały życzliwego przyjęcia i zaproszono je na kolację. Postanowiły poprzestać tego dnia na zdobytych dotychczas pod-

pisach. Poszły już prosto do Wiltney. Musiały przejść przez gęsty las, chyba że obrałyby dłuższą drogę przez pole. Ilza głosowała za dłuższą, lecz pewniejszą drogą. Emilka, jak zawsze, marzyła o romantyczniejszym przejściu przez las, na tle którego tak ślicznie wyglądać będzie jasna główka Ilzy. Ilza ustąpiła. Szły mężnie, w milczeniu: Ilza była zmęczona, tem bardziej, że lekko zwichnęła sobie nogę o kamień przydrożny. Emilka marzyła... jak zwykle. Wreszcie dotarły do polanki, na której stało kilka chałup, ale nigdzie nie było śladu miasta, do którego dążyły.

— Gdzie my jesteśmy? — spytała Ilza. — Nie widzę nigdzie Wiltney.

Emilka otrząsnęła się ze swych snów o przyszłości i zbierała z trudem rozpierchłe myśli. Rozejrzała się dokoła.

— Ta wieża tam daleko, to jest kościół katolicki w Indian Head — rzekła. — To znaczy, żeśmy poszły w fałszywym kierunku. Wyszliśmy z lasu wschodnią stroną, zamiast północną.

— Czyli że jesteśmy oddalone od Wiltney o 5 mil — rzekła Ilza, zrozpaczona. — Nie zdołam ująć jeszcze tylu mil drogi, żadną miarą. I nie możemy iść pociemku przez ten las. Cóż, do licha, zrobimy teraz?

— Przypuśćmy, żeśmy zablądziły, zróbmy z tego coś pięknego — odrzekła Emilka zimno.

— Och, zablądziłyśmy niewątpliwie — jęknęła Ilza, siadając na mchu. — Ale nie widzę, co można z tego zrobić pięknego, ani *jak*. Tu nie możemy przenocować. Jedyne wyjście jest przenocowanie w jednej z tych chałup. Musimy poprosić o gościnę. Nie uśmiecha mi się ta myśl. Ludzie tu są bardzo ubodzy i *brudni*.

— Dlaczego nie możemy tu przenocować? — spytała Emilka.

Ilza przyjrzała się Emilce z niedowierzaniem, ale przekonała się, że przyjaciółka mówi to z całą powagą.

— Gdzież mamy spać? Powiesić się na drzewie?

— Położyć się na stogu siana — odrzekła Emilka.

— Tu stoi drabina, siano jest suche i czyste, noc jest ciepła, komarów niema w tej porze roku, możemy się nakryć naszymi płaszczkami. Dlaczego nie?

Ilza patrzyła na stóg, na drabinę, na Emilkę i zaczęła się śmiać przyzwalająco.

— Co powie ciotka Ruth?

— Ciotka Ruth nie musi o tem wiedzieć. Raz jeden będę naprawdę podstępna i przebiegła za karę. Zresztą zawsze marzyłam o nocowaniu pod gołym niebem. Jest to jedno z moich najskrytszych marzeń; nareszcie się ziści. Istny dar bogów!

— A jeżeli deszcz zacznie padać? — spytała Ilza, której ta myśl mniej się uśmiechała.

— Nie będzie deszczu, niema chmurki na niebie.

Wspięły się na szczyt stogu i padły na miękkie siano z westchnieniem zadowolenia i ulgi. Nad niemi widać było niebo, jasne, letnie niebo, lekko zaróżowione jeszcze od zachodu słońca. Jaskółki fruwały nad ich głowami. W dali rysowała się ciemna linja lasów. Były same. Nastrój był uroczy, zakazana przyjemność była bardzo wielka, czuły się uszczęśliwione i śmiały się bez widocznego powodu.

— To się wydaje nieprawdopodobne — szeptała Emilka. — Jest tak pięknie, że aż doznaję chwilami uczucia bólu w sercu. Boję się mówić głośno, aby nie spłoszyć tego czaru. Dzisiaj gniewaliśmy się na tego

nieznośnego zrzędu i jego teorje polityczne, Ilzo. Dlaczego? On nie istnieje wcale. Przynajmniej w *tym* świecie — nie! Słyszę, jak Królowa Wichrów biegnie lekkimi, cichymi krokami po wzgórzu. Jest ona wiedźmą, kiedy przychodzi z północy, samotnym poszukiwaczem szczęścia, kiedy nadciąga ze wschodu, roześmianą dziewczyną, kiedy przybiega z zachodu, a dzisiaj czuję jej powiew od południa, jako uskrzydłonej dobrej wróżki.

— Skąd ci przychodzą na myśl te rzeczy? — spytała Ilza.

To było pytanie, które dla tajemniczych przyczyn zawsze robiło przykrość Emilce.

— Nie myślę o nich, same przychodzą — odrzekła lakonicznie.

Ilza wzięła jej za złe ten ton.

— Na miłość boską, Emilko, nie bądź-że taką obraźliwą babą — zawołała.

Przez chwilę zadrżał w posadach, zachwiał się ów cudowny świat, w którym żyła obecnie Emilka... Ale...

— Nie kłóćmy się tutaj — błagała. — Jedna z nas mogłaby zepchnąć drugą ze stogu.

Ilza parsknęła śmiechem.

Śmiać się szczerze i być zagniewanym jest rzeczą niemożliwą. Tak więc ich noc pod gołym niebem nie została zepsuta sprzeczką. Rozmawiały szeptem o szkolnych sekretach, o marzeniach dziewczęcych i obawach. Rozmawiały nawet o swem przyszłym zamażpójściu. Naturalnie nie powinny były o tem mówić, ale mówiły. Ilza zapatrywała się pesymistycznie na swoje możliwości matrymonjalne.

— Chłopcy lubią mnie, jako towarzysza, kolegę, ale wątpię, żeby którykolwiek zakochał się we mnie.

— Nonsens — rzekła Emilka pocieszająco. — Na 10 chłopców 9 zakocha się w tobie.

— A ja będę zajęta tym dziesiątym — odrzekła Ilza, zamyślona.

Rozmawiały o wszystkim niemal, o czem można mówić na świecie. Wreszcie ślubowały, że którakolwiek z nich umrze pierwsza, powróci na ziemię do drugiej, o ile to będzie wykonalne. Ile już takich ślubów uczyniono! I czy choć jeden został dotrzymany?

Wkońcu Ilza poczuła zmęczenie i usnęła. Ale Emilka nie usnęła, nie czuła potrzeby snu. Ona odczuwała potrzebę leżenia nawznak i patrzenia w gwiazdy, rozkoszowania się tą cudną nocą. Gdy księżyc zajaśniał na niebie, olbrzymi, promienny, okrągły, zachwył Emilki wzmógł się do takiego napięcia, że aż łzy popłynęły z jej oczu, łzy szczęścia, łzy wdzięczności dla Stwórcy. Cieszyła się, że Ilza śpi. Najdroższa nawet obecność ludzka była jej niepożądana w tej chwili. Wystarczała samej sobie, nie tęskniła do miłości, ani do przyjaźni, ani do żadnego wzruszenia, mającego źródło w duszy bliźniej. Szczęście jej było doskonałe, zamknięte samo w sobie. Takie momenty zdarzają się niezmiernie rzadko w życiu ludzkim, ale skoro się zdarzają, są one niewypowiedzianie cudne, jakgdyby doczesność stawała się drugą nieskończonością, jakgdyby człowieczeństwo wznosiło się na jeden błysk aż do poziomu bóstwa, jakgdyby wszelka szpetota znikiała ze świata, pozostawiając li-tylko miejsce na piękno. Och, piękno! Emilka drżała, wymawiając ten cudny wyraz. Kochała piękno, a tej nocy była niem tak przepełniona,

jak jeszcze nigdy bodaj. Bała się poruszyć, lub oddychać mocniej, aby nie przerwać tego prądu piękna, który przenikał całą jej istotę. Życie zdawało się być cudownym instrumentem, na którym dusza jej wygrywała niebiańskie melodje.

— Och, Boże, uczynź mnie godną tego, uczynź mnie tego godną — modliła się. Czy stanie się kiedykolwiek godną takiego posłannictwa, czy ośmieli się podać ludziom, choć w przybliżeniu, treść tego „boskiego dIALOGU”? Musi się tem podzielić, nie wolno jej tego zatrzymać dla siebie samej. Czy świat będzie słuchał... czy zrozumie... czy odczuje?... Tylko wtedy odczuje, o ile ona zdoła wiernie oddać prawdę i przekazać dalej to, co jej zostało powierzone. Mniejsza o uznanie, czy naganę! Kapłanka piękna, tak, tylko temu bóstwu będzie służyć!

Usnęła w tym podniosłym nastroju. Śniło jej się, że jest Safoną, że skacze ze skały, obudziła się i ze zdumieniem spostrzegła, że leży pod stogiem siana, a na górze, na stogu siedzi Ilza i przygląda jej się ciekawie. Na szczęście tyle siana osunęło się wraz z nią, że nie jej się nie stało. Mogła rzec ze śmiechem:

— Widzę, że wciąż jeszcze jestem cała!

13.

PRZYSTAŃ.

Gdy człowiek usnął, wsłuchany w hymn bogów, jest coś upokarzającego w obudzeniu się naskutek upadku ze stogu siana. Ale dzięki tej przygodzie zoba-

czyły wschód słońca nad wieżą kościelną, a to było warte poświęcenia kilku godzin snu.

— Zresztą, nigdy nie wiedziałam, że pajęczyna może być taka cudna, skąpana w rosie porannej. Patrz, Ilzo, tu oto jest zawieszona między temi dwiema wysokiemi trawami.

— Napisz zaraz wiersz o pajęczynie — odrzekła Ilza kwaśno, gdyż humor jej ucierpiał po doznaniem przed chwilą przerażeniu.

— Jak tam twoja noga?

— Dobrze. Ale całe włosy mam mokre.

— Ja też; rosa poranna, Ilzo! Włożymy teraz kapelusze, a słońce osuszy nasze głowy w ciągu paru minut. Dobrze, że wcześniej wyruszymy w dalszą drogę. Wrócimy na łono cywilizacji wtedy, kiedy będzie wskazane ukazać się znów ludziom. Ilzo, przysięgnij, że nikomu słowa nie wspomnisz o tej eskapadzie. Była piękna, ale pozostanie piękna tylko dopóki nikt o niej wiedzieć nie będzie. Przypomnij sobie naszą kąpiel przy świetle księżyca.

— Ludzie mają takie idjotyczne poglądy — mruknięła Ilza, zsuwając się na dół.

— Och, spójrz na wieżę kościelną. Mogłabym zostać w tym momencie wielbicielką słońca, jako bóstwa.

Istotnie, wschód coraz intensywniej różowił niebo i wieżę.

— Świat jest codzien młody przez kilka chwil — o wschodzie słońca. — szepnęła Emilka.

Wyjęła z torby księgę Jimmy'ego i wpisała do niej ten aforyzm.

I znów przeżywały te same doświadczenia, jedni odmawiali uprzejmie, inni — niegrzecznie, jeszcze in-

ni tak niechętnie subskrybowali, że Emilka byłaby wołała, żeby odmówili. Ale naogół przyjemnie spędziły poranek, zwłaszcza, gdy doskonały obiad w gościnniej fermie napełnił obolałe z głodu żołądki.

— Czy nie spotkały panie zabłąkanego dziecka po drodze? — spytał gospodarz.

— Nie. Czy zaginęło dziecko?

— Mały Allan Bradshaw, syn Williama Bradshawa, przepadł bez wieści już od wtorku zrana. Wyszedł z domu, śpiewając, a od tej pory wszelki ślad po nim zaginął.

Emilka i Ilza popatrzyły na siebie, przerażone.

— Ile miał lat?

— Siedem. Jedyne ich dziecko. Mówią, że jego biedna matka jest nawpół przytomna. Wszyscy mężczyźni z całego miasteczka wyruszyli na poszukiwania, szukali przez dwa dni i nie znaleźli go.

— Co mu się stać mogło? — rzekła Emilka, blada ze zgrozy.

— Tajemnica. Widocznie zabłądził i nie mógł trafić przed nocą do domu. A że noc z wtorku na środę była zimna, więc zapewne przeziębził się i umarł. Jego matka też tak sądzi i dlatego tak rozpacza. Co do mnie, myślę, że, niestety, ma ona słuszość.

Emilce nie dawała ta sprawa spokoju. Nie mogła zapomnieć ani na chwilę tej biednej matki. A gdzież był ten mały chłopczyk? Gdzie spędził tę noc, podczas której ona leżała w ekstazie na stogu siana? Ta noc nie była zimna, ale następnej nie przeżyje delikatne dziecko bez okrycia i jedzenia.

— O, Boże, nie mogę tego przeboleć, to jest ponad moje siły! — jęknęła.

— Straszne — przytaknęła Ilza, ze łzami w oczach.
— Ale my nic nie poradzimy. Niema co o tem myśleć.
Och — tu Ilza tupnęła nogą ze złością — ojciec miał słuszną, nie wierząc w Boga. Taka ohydna krzywda, jak ta, czy mogłaby się zdarzyć, gdyby był Bóg na niebie, a przynajmniej *przyzwoity* Bóg?

— Bóg nie ma z tem nic wspólnego — rzekła Emilka.

— Jakto? Przecież powinien był temu zapobiec — zawołała Ilza, która cierpiała tak dotkliwie, że chciałaby uczynić cały wszechświat odpowiedzialny za swój ból.

— Mały Allan Bradshaw znajdzie się jeszcze, musi się znaleźć — odparła Emilka.

— Znajdzie się, ale nieżywy — krzyknęła Ilza. — Nie, nie mów mi o Bogu. I o tem też nie mów ze mną. Dostają szału, gdy o tem myślę.

Ilza znowu tupnęła nogą. Emilka usiłowała oderwać swoją myśl od tego okropnego nieszczęścia i zając się wyłącznie swą robotą, ale na dnie jej świadomości była groza. Raz tylko jeden zapomniała o tem, gdy stanęły w opustoszałej okolicy i zobaczyły przed sobą mały, niezamieszkaný domek, odosobniony na tle rozległych pól, śliczny, schludny, tonący w zieloności.

— Ten domek należy do mnie — rzekła Emilka.

Ilza zdziwiła się bardzo.

— Do ciebie?

— Tak. Nie jest on wprawdzie moją własnością, nie to chcę powiedzieć. Ale czasami bywają domki, które należą do nas bez względu na osobę właściciela, czy znasz to uczucie?

Nie, Ilza tego uczucia nie znała. Nie miała wyobrażenia, o co chodzi Emilce.

— Wiem, czyją własnością jest ten domek — rzekła. — Pana Scobie z Kingsportu. Wybudował go jako letnią rezydencję. Ciotka Net opowiadała o tem, kiedy byłam w Wiltney. Dopiero przed paru tygodniami dokończono budowy tego domku. Ładny domeczek, ale dla mnie za mały. Ja lubię duże domy, nie lubię ciasnej przestrzeni, zwłaszcza w lecie.

— Ale duży dom rzadko kiedy ma swoją indywidualność — rzekła Emilka, zamyślona. — A małe domki zawsze ją mają. Ten domek jest nawskroś indywidualny. Uśmiecha się do mnie, wita nas. Ty, kochany domeczku, kocham cię, rozumiem cię. Gdybym tu mieszkała, stawałabym wieczorami przy zachodnim oknie, aby powiewać chusteczką ku komuś, ktoby wracał do domu. Poto zostało właśnie wybudowane to okno, jako nisza miłości i radosnego wyczekiwania.

— Kiedy skończysz rozmowę z twoim domkiem, pójdziemy stąd — rzekła Ilza. — Nadciąga burza. Patrz na te obłoki, na tę wzburzoną zatokę morską. Takich bałwanów niema tu nigdy, chyba przed burzą. Za chwilę zaczniesz deszcz padać. Tej nocy nie będziemy spały na stogu siana, przyjaciółko Emiljo.

Emilka odeszła od ukochanego domku, ociągając się i oglądała się za siebie, dopóki go było widać. Taki był cudny, poprostu wymarzony dla niej!

— Strasznie niechętnie odchodzę stąd, Ilzo, ten domek *woła* mnie, woła, żebym wróciła.

— Nie bądź głupia — rzekła Ilza gniewnie. — Otóż i pierwsze krople deszczu. Gdybyś nie była tak

marudziła, byłybyśmy już gdzieś w pobliżu siedzib ludzkich. Boże! Jak jest zimno!

— To będzie okropna noc — rzekła Emilka półgłosem. — O Ilzo, gdzież jest ten biedny mały chłopczek? Takbym chciała usłyszeć, że go znaleźli.

— Milcz! — rzekła Ilza surowo. — Ani słowa więcej. To jest straszne, ohydne... ale cóż my możemy poradzić?

— Nie. To jest właśnie najstraszniejsze. Mnie się to wydaje potworne, że my chodzimy i zbieramy podpisy abonentów specjalnego numeru „Czasu”, gdy to dziecko błąka się gdzieś samotne i wylęknione.

Doszły znów do szosy. Reszta dnia nie była pomyslna. Pogoda przestała im dopisywać. Kobiety odmawiały stale subskrypcji, a mężczyźni nie było w domach — cała okolica szukała małego Allana.

— Chociaż teraz to już jest bezcelowe — rzekła jedna z kobiet. — Najwyżej znajdą jego ciało. On nie może żyć do tej pory. Nie mogę jeść, ani gotować, ani szyć, gdy myślę o jego biednej matce. Mówią, że ona ma prawie pomieszanie zmysłów, nic dziwnego.

— Podobno stara Małgorzata McIntyre zachowuje zupełny spokój — rzekła starsza kobieta, szyjąca pod oknem. — Sądziłam, że ona także będzie rozpaczać. Bardzo kochała małego Allana.

— Ech, Małgorzata McIntyre nigdy nie odzyskała równowagi od pięciu lat. Nie przejęła się nawet dołą własnego syna, który zmarł na śmierć w Klondyke. Wygląda to, jakgdyby jej uczucia zamarzły również. Jest nawpół szalona od *tamtego* czasu. I teraz też będzie się uśmiechać i powie nam, że ona dała klapsa królowi.

Obie kobiety zaśmiały się. Emilka wężem nowelistki poczuła, że tu możnaby usłyszeć coś ciekawego, ale Ilza nagliła do dalszej drogi.

— Musimy się śpieszyć, Emilko, w przeciwnym razie nigdy nie dojdziemy do St. Clair przed nocą.

Niebawem zorientowały się, że nie zdążą do St. Clair. Miały jeszcze przed sobą trzy mile drogi, słońce już zachodziło, a wieczór zapowiadał się burzliwy.

— Nie dojdziemy dziś do St. Clair — rzekła Ilza stanowczo. — Za kwadrans będzie zupełnie ciemno, a deszcz już leje, jak z cebra. Zrywa się wichur. Pójdziemy do tego oto domu i poprosimy o gościnę. Domek wygląda poważnie i czysto, może nas tam przyciągnąć.

W tejże chwili słońce przedarło się przez chmury i wielka, czerwona kula słoneczna prześwieciła skośne smugi deszczu. Cały krajobraz wyglądał niezmiernie w tym przedziwnym oświetleniu.

— Och! — zawołała Emilka — nigdy w życiu nie widziałam niczego równie pięknego!

Wydobyła z torby księgę Jimmy'ego i zaczęła pisać gorączkowo, nie odrywając ołówka od papieru. Ilza czekała z ostentacyjną cierpliwością. Wiedziała, że Emilka nie pójdzie, dopóki nie skończy rozpoczętego szkicu. Słońce zniknęło i deszcz lał ze wzmożoną siłą, gdy Emilka złożyła zeszyt z westchnieniem zadowolenia i wstała.

— Teraz możemy iść dalej, Ilzo.

— Czy nie mogłaś poczekać z tem pisaniem, aż się znajdziemy pod dachem? — spytała Ilza, drżąc z zimna.

— Nie. Minęłoby natchnienie. A teraz bez namy-

słu określałam każdą rzecz jej właściwem mianem. Chodźmy, och, jak ten wiatr pachnie. Tak lubię słony zapach wiatru morskiego. Burza jest pięknem zjawiskiem. Coś we mnie zawsze się podnosi, coś rośnie w mej duszy, gdy patrzę na burzę.

— Ja to czasem odczuwam, ale nie dzisiaj — rzekła Ilza. — Zmęczona jestem, a to biedne dziecko...

— Och — krzyknęła Emilka z rozpaczą. — Och, Ilzo, zapomniałam o tem biedactwie. Jak mogłam?... Gdzie on może być?

— Nie żyje — rzekła Ilza szorstko. — Lepiej tak myśleć. Wyobraź sobie małego chłopca przy dzisiejszej pogodzie na wietrze i deszczu, głodnego. Lepiej, żeby to stworzenie już nie żyło.

Schludnie ubrana kobieta w białym fartuchu otworzyła drzwi domu, do którego zmierzały dziewczynki.

— Owszem, mogą panie tu pozostać — rzekła uśmiechnięta. — Ale muszą panie wybaczyć pewien niedład. Jesteśmy bardzo zmartwieni i poruszeni, żyjemy w smutku i nie myślimy o porządku, ani o robocie codziennej.

— Przepraszamy — szepnęła Emilka — pójdziemy gdzie indziej.

— Nie, jeżeli paniom to nie przeszkadza, nam będzie miło udzielić gościny. Przy tej pogodzie trudno paniom będzie przenieść się gdzie indziej. Ja tu nie mieszkam, jestem tylko sąsiadką, która przyszła im z pomocą w nieszczęściu. Pani Bradshaw straciła głowę, nic dziwnego.

— Czy to tutaj... się... stało?... I czy pani Bradshaw odnalazła swego synka?

— Nie i nigdy go nie odnajdzie. Płacze, a ja nie pocieszam, bo i cóż mogłabym jej powiedzieć? Nawet pogrzebu nie będzie, bo jakże można urządzać pogrzeb, gdy niema zwłok?

To wszystko brzmiało makabrycznie. Emilka i Ilza byłyby chętnie poszły do innego domu, ale burza szalała, a ciemności były nieprzejrane. Wzięły więc do ręki zmoczone płaszcze i kapelusze i poszły za panią Hollinger (tak się nazywała) do kuchni.

— Siądźcie przy ogniu. Podsyć go trochę. Nie krępujcie się, panie, obecnością dziadka Bradshawa. Dziadku, to są dwie panienki, które pragną przenocować u nas.

Dziadek spojrział na nie błękitnymi oczami bez wyrazu i nie powiedział ani słowa.

— Nie zważajcie na niego — szepnęła pani Hollinger, — ma lat 90 przeszło, a nigdy nie był rozmowny. Klara, czyli pani Bradshaw, jest w sąsiednim pokoju. Jest przy niej brat jej, pan McIntyme z Charlotetown. Posłaliśmy wczoraj po niego, bo on jeden umie z nią postępować i ma wpływ na nią. Chodziła przez cały dzień po pokoju tam i napowrót, on dopiero wskórał, że się położyła na łóżku. Jej mąż chodzi po okolicy i szuka małego Allana.

— W dziewiętnastym stuleciu nie może zginąć dziecko — odezwał się nagle dziadek Bradshaw z niezwykłą stanowczością.

— Masz słuszność, dziadku, poza tem mamy już wiek dwudziesty. Allan wróci niebawem. Będzie się bawił wesoło wśród nas wszystkich. Jak się panie nazywacie? Burnley? Starr? No, to znacie Murrayów? Ach? Siostrzenica? Ach!

To „ach” pani Julji Hollinger było wymowne. Wyjęła srebrną zastawę stołową i gorliwie krzątała się koło dostojnych gości.

Emilka i Ilza jadły kolację z wielkim apetytem, dziadek Bradshaw przyglądał im się z odcieniem podejrziwości.

— Gdzie jest mój synek... dziś jest mokro i zimno... gdzie mój synek maleńki?... — rozległ się w przyległym pokoju głos kobiety, tchnący taką rozpaczą, że Emilkę dreszcz przeszył.

— Wróci, Klaro, znajdą go — rzekła pani Hollinger łagodnie.

— Nie, nie wróci już nigdy. Umarł, umarł. Zabiło go to zimno wtorkowe. O Boże, zmiłuj się! Taki był słodki chłopczyk! Tyle razy mówiłam mu, żeby się nie odzywał, dopóki nie jest pytany, a teraz już się nie odezwie do mnie nigdy, nigdy w życiu! Nie pozwoliłam mu trzymać pieska w domu, a tak tego pragnął! Teraz niczego mu już nie potrzeba, tylko grobu i trumienki!

— Nie mogę tego słuchać, Ilzo — szepnęła Emilka. — Nie mogę. Wolę wyjść, mimo wichur i burzę; to mnie doprowadzi do szaleństwa.

Pani Hollinger wróciła do pokoju i uśmiechnęła się łagodnie.

— Tak będzie jęczeć, biedaczka, przez całą noc, ale panie nie będziecie jej słyszeć. Zaprowadzę panie do ich pokoiku pod dachem, dobrze?

Ilza pociągnęła Emilkę za rękaw i poszły za panią Hollinger, unikając wzroku dziadka Bradshawa.

Kiedy drzwi się zamknęły za poczciwą, ale wielce rozmowną panią Hollinger, odetchnęły. Wielkie łóż

pod oknem wyglądało zapraszająco. Ilza, cała drżąca, wsunęła się co rychlej pod kołdrę. Emilka poszła za jej przykładem powoli. Ilza, przemęczona, usnęła niezwłocznie, ale Emilka nie mogła oka zmrużyć. Leżała i rozmyślała o nieszczęsnem dziecku i o zrozpaczonej matce. Modliła się gorąco, ażeby Bóg zesłał pociechę tym ludziom, pod których dachem odpoczywała. Usiłowała przebić wzrokiem ciemności za oknem, zmóc uparte milczenie przestworów natężeniem swej intuicji.

— O, Boże, daj, niech oni go odnajdą, o Boże, zbaw tych ludzi, zwróć im syna — błagała żarliwie Emilka, z tem większą rozpaczą, im trudniejszą do spełnienia wydawała jej się ta modlitwa. Wkońcu, przemęczona tą moralną torturą i całym dniem pieszej wędrówki, usnęła ciężkim, niespokojnym snem.

14.

KOBIETA, KTÓRA DAŁA KLAPSA KRÓLOWI.

Emilka obudziła się nazajutrz w małym pokoiku pod dachem i wiedziała, że we śnie szukała i znalazła zaginionego chłopczyka, ale nie mogła sobie przypomnieć, gdzie go znalazła. Ilza spała jeszcze w głębi łóżka, złote jej loki rozsypały się na poduszce. Emilka usiłowała zebrać myśli i przypomnieć sobie szczegóły swego snu. Rozejrzała się dokoła i... doszła do wniosku, że śni nadal.

Przy małym stoliczku, pokrytym białym, koronkowym obrusem, siedziała kobieta, otyła, niemłoda. Na swych rzadkich, siwiejących włosach nosiła czepek,

jaki w Szkocji nosiły wdowy na początku tego stulecia. Suknię miała na sobie czerwoną, na niej — śnieżnej białości fartuch, a minę miała królowej. Twarz jej była dziwnie kredowa i pomarszczona, ale Emilka z bystrością jej właściwą, dostrzegła natychmiast żywość i energję, bijącą z tych rysów. Dostrzegła również wyraz oczu, których wejrzenie mówiło o jakimś niezwykłym wstrząsie w przeszłości ich właścicielki. To była niezawodnie pani McIntyre, o której opowiadała pani Hollinger. W takim razie była pani McIntyre istotnie bardzo szanowną osobą.

Pani McIntyre siedziała z rękami złożonemi na kolanach. Patrzyła na Emilkę, nie odrywając od niej wzroku ani na chwilę. Było w tem spojrzeniu coś dziwnego, trudnego do określenia. Emilka przypomniała sobie, że pani McIntyre uchodziła za niezupełnie normalną. Zastanawiała się, co czynić? Było jej trochę nieswojo. Pani McIntyre przerwała jej wahanie.

— Miałaś wśród twych przodków szkotów, highlanderów? — spytała nieoczekiwanie pełnym, dźwięcznym głosem z rozkosznym akcentem gór szkockich.

— Tak — odrzekła Emilka.

— Jesteś Presbiterjanką?

— Tak.

— Jedyna przyzwoita religja — zauważyła pani McIntyre tonem głębokiego zadowolenia. — A czy można wiedzieć, jak się nazywasz? Emilja Starr? Ładne nazwisko. Powiem ci jak ja się nazywam: pani Małgorzata McIntyre. Jestem kobietą niezwykłą, tą, która dała klapsa królowi.

W Emilce, jeszcze zaspanej, drgnął powtórnie

instynkt nowelistki. Ilza, budząc się w tejże chwili, wydała okrzyk zdumienia. Pani McIntyre wykonała ręką gest uspokajający.

— Nie bój się mnie, dziecko drogie. Ciebie nie uderzę, chociaż królowi dałam w skórę. Ludzie szepczą o mnie, gdy idę do kościoła: „Oto kobieta, która dała klapsa królowi”.

— Zdaje mi się — rzekła Emilka nieśmiało — żeśmy powinny wstać.

— Nie wstaniecie, dopóki wam nie opowiem mojej historii — rzekła stanowczo pani McIntyre. — Gdy cię zobaczyłam — zwróciła się do Emilki — od razu pomyślałam: oto jest ktoś kto jej wysłucha z zajęciem. Nie masz żywych rumieńców i nie powiem, żebyś była bardzo ładna, o nie! Ale masz małeńkie rączki i małe uszy, to są uszy dobrych wróżek, przypuszczam. Twoja towarzyszka jest ładną dziewczyną i będzie odpowiednią żoną dla przystojnego mężczyzny, mądra jest! o tak! ale ty obrałaś właściwą drogę i tobie opowiem moją historję.

— Daj jej mówić — szepnęła Ilza — umieram z ciekawości, co to za król dostał od niej w skórę.

Emilka, zdając sobie sprawę, że nie może nie „dać jej mówić”, że może tylko leżeć cicho i słuchać, przytaknęła.

— Czy władasz obu językami? To znaczy, czy znasz język walijski, którym mówi lud w naszych górach?

Emilka potrząsnęła przecząco swą czarnowłosą główką.

— Szkoda, bo moje opowiadanie nie będzie brzmiało równie dobrze w języku angielskim. Pomyś-

lisz, że stara kobieta śni, ale omylisz się, gdyż opowiem ci prawdziwą historję. *Ja* dałam klapsa królowi. Rzecz jasna, że nie był wówczas królem, był tylko małym księciem, dziewięcioletnim, niewiele starszym od naszego biednego Allana. Ale muszę zacząć od początku, bo nic nie zrozumiesz. Za dawnych, dawnych czasów, dużo lat temu, żyliśmy w szczęściu, mąż mój i ja. Alistair był bardzo przystojnym mężczyzną. Kłóciliśmy się czasami, bo bez tego życie byłoby zbyt jednostajne. Ale kiedyśmy się godzili, kochaliśmy się bardziej, niż jakakolwiek para ludzi na świecie. *Ja* sama byłam bardzo ładna. Teraz tyję ciągle ale byłam szczupła i piękna, naprawdę, nie kłamię, chociaż wam się wydaje, że to nie mogło być. Gdy będziesz miała 80 lat, zrozumiesz, co to znaczy.

Pamiętasz może, że królowa Wiktorja i książę Albert przyjeżdżali co lato do Balmoralu i przywozili z sobą swoje dzieci, a służby tyle tylko, ile było niezbędnie potrzeba, bo nie lubili plotek i swarów i chcieli żyć skromnie i cicho, jak zwykli śmiertelnicy. W niedzielę przechadzali się czasem, szli do kościoła, ażeby usłyszeć kazanie pana Donalda MacPhersona. Był on bardzo zdolnym kaznodzieją, umiał się modlić i nie lubił gdy lud wchodził do kościoła podczas modlitwy. Przerzywał pacierze i mówił: „Panie, zaczekamy aż Duży Jim usiądzie na swoim miejscu”, o tak, umiał tak powiedzieć! Podobno królowa jeszcze nazajutrz śmiała się; z Dużego Jima, rzecz jasna, nie z pastora.

Gdy za mało mieli służby w zamku, posyłali po mnie i po Janinę Jardine. Mąż Janiny był gajowym. Janina mówiła do mnie: „Dzieńdobry, *mrs. McIntyre*”,

a ja jej odpowiadałam: „Dzieńdobry, *Janino*”. Musiałam wykazywać w ten sposób wyższość McIntyre’ów nad Jardines’ami. Ale była ona bardzo dobrą istotą i zgadzałyśmy się idealnie.

Byłam bardzo zaprzyjaźniona z królową, owszem. Ona nie była dumną kobietą. Czasami siadywała u mnie w domu, popijała herbatę i opowiadała o swoich dzieciach. Nie była bardzo ładna, ale miała piękne ręce. Książę Albert był bardzo przystojny, tak ludzie mówili; mojem zdaniem przystojniejszy był mój Alistair. Ale niezawodnie byli to wytworni państwo. Moje dzieci bawiły się codziennie z małymi książętami i księżniczkami. Królowa wiedziała, że jej dziatwa jest w dobrym towarzystwie i bardziej była zadowolona, niż ja, bo książę Bertie był najniegrzeczniejszym, najhałaśliwszym chłopcem, jaki istniał kiedykolwiek. Wciąż się obawiałam, że się pobije z moim Allanem. Bawili się codziennie i kłócili się codziennie. Niezawsze była to winą Allana. Ale zawsze Allan dostawał burę, biedny chłopak! Kogoś trzeba było skrzyczeć, a przecież nie mogłam łajać księcia, moja droga.

Wtem zdarzyło się wielkie nieszczęście: wybuchnął pożar gajku za domem. Gdyby jedno z dzieci tam się zabłąkało, byłoby się udusiło—tyle było tam dymu. Zapowiedziałam Allanowi i księciu Bertie, żeby tam nie chodzili. Poszli, mimo to, ale nic im się nie stało. Jeden składał winę na drugiego, skrzyczałam ich obu. Ale w parę dni później, książę Bertie wpadł do sadzawki, a Allan usiłował go wyciągnąć i o mało razem nie utonęli. Wracałam właśnie z zamku, dokąd zaniosiłam mleko. Gdy mi powiedzieli ludzie, co się stało, pobiegłam, jak szalona...Zobaczyłam ich siedzących na

trawie. Dosyć miałam ciągłego łajania Allana, biedaka, a przytem byłam bardzo rozsierdzona i nie myślałam o tytułach królewskich i książęcych, bynajmniej. A zawsze byłam krewka, wiesz? Chwyciłam księcia Bertie, przerzuciłam go przez moje kolana i dałam mu głośnego klapsa w to miejsce, które Pan Bóg przeznaczył na klapsy zarówno u zwykłych śmiertelników, jak u książąt. Jemu dałam w skórę najpierw, bo był księciem. Potem dałam w skórę Allanowi, a oni razem płakali głośno, bo byłam bardzo zła i nie żałowałam siły moich rąk.

Gdy książę Bertie poszedł do domu, bardzo rozgniewany, ochłonęłam i przelekłam się trochę. Nie wiedziałam, jak królowa przyjmie tę wiadomość. Niemiałą była mi myśl, że Janina Jardine będzie triumfować. Ale królowa Wiktorja była rozsądną kobietą i powiedziała mi nazajutrz, że dobrze zrobiłam. A książę Albert uśmiechał się i żartował z mojej siły i energii. A książę Bertie już nigdy nie był mi nieposłuszny, o nie! i przez dłuższy czas nie mógł siedzieć wygodnie. Co do Alistaira, to obawiałam się trochę jego gniewu, ale on uważał, że co jego żona robi, jest słuszne i rzekł że śmiechem, że będę mogła zczasem opowiadać, że dałam klapsa królowi. Królowa Wiktorja zmarła przed dwoma laty i nareszcie książę Bertie został królem. Gdy Alistair i ja przybyliśmy do Kanady, królowa przysłała mi halkę jedwabną. Bardzo ładna była ta halka. Nigdy jej nie nosiłam, ale włożę ją raz: idąc do trumny. Mam ją w szafie w moim pokoju, dzieci będą wiedziały, gdzie jej szukać. Byłabym chciała, żeby Janina Jardine wiedziała, że będę pochowana w halce. podarowej mi przez królową Wiktorję, ale

cóż! umarła oddawna. Dobra to była istota, jakkolwiek nie była z rodziny McIntyre'ów.

Pani McIntyre złożyła ręce na kolanach i siedziała, nieporuszona. Opowiedziała swoją historję i była zadowolona. Emilka przez cały ten czas słuchała pilnie.

— Pani McIntyre, czy pozwoli mi pani opisać to zdarzenie i ogłosić je drukiem?

Pani McIntyre pochyliła się naprzód. Jej biała, pomarszczona twarz ożywiła się, jej głęboko osadzone oczy rozbłysły.

— Czy masz na myśli, że to zostanie wydrukowane w gazecie?

— Tak.

Pani McIntyre poprawiła szal na piersiach rękami, które nieco drżały.

— Dziwna rzecz, jak niektóre nasze życzenia się spełniają. Szkoda, że głupcy, którzy twierdzą, iż niema Boga, nie mogą tego słyszeć. Ty to napiszesz, przyobleczesz to w piękne słowa...

— Nie, nie — rzekła Emilka szybko. — Tego nie uczynię. Nic prawie nie zmienię, napiszę tak, jak pani mówiła, to nie może być lepsze, niż było w pani opowiadaniu.

Pani McIntyre patrzyła przez chwilę z powątpiewaniem, poczem uśmiechnęła się, rozradowana.

— Jestem biedną, prostą kobietą i nie umiem słów dobierać, ale może ty wiesz lepiej, co potrzeba. Bardzo uważnie słuchałaś mego opowiadania. Teraz zejść na dół i dam wam wstać i ubrać się.

— Czy znaleziono dziecko? — spytała Ilza niespokojnie.

Pani McIntyre potrząsnęła głową przecząco.

— Nie. I nie znajdują go. Słyszałam przez całą noc jęki Klary. Ona jest córką mego syna Daniela. On się ożenił z Wilsonówną, a Wilsonowie wszyscy robią dużo hałasu o byle co. Biedactwo martwi się, że nie była dla niego dość dobra, a psuła go w niemożliwy sposób i dlatego był nieposłuszny i zginął. Ja jej się na nic nie zdam, nie wiem, gdzie go szukać, nie mam szóstego zmysłu. Ty masz niezawodnie dar jasnowidzenia, to widać, o tak!

— Nie, nie — rzekła Emilka szybko. Mimowoli przypomniała sobie pewne zdarzenie w Srebrnym Nowiu z czasów jej dzieciństwa. Nie lubiła myśleć o tem.

Pani McIntyre pokiwała głową i wygładziła ręką swój biały fartuch.

— Nie powinnaś temu przeczyć, moja droga, bo jest to wielki dar. Ale Allana nie znajdują, o nie! Klara za bardzo go kochała. To nie jest dobrze kochać kogoś za bardzo. Bóg jest zazdrosnym Bogiem, tak! Małgorzata McIntyre wie coś o tem. Miałam sześciu synów, sami piękni chłopcy. I cóż mi pozostało? Wspomnienie. A najpierw zginął ten, którego najgoręcej ukochałam. Umierał, gdy ja modliłam się za niego. Od tej pory nie modłę się już więcej. Podobnie odczuwa Klara, ona mówi, że Bóg nie słyszy. Allan był bardzo ładnym chłopczykiem. Zostawiłam Klarę samą, nie będę jej drażniła pocieszeniami. Zawsze byłam zwolenniczką pozostawiania ludzi samych sobie, tylko wtedy nie, kiedy dałam klapsa królowi. Julja Hollinger wciąż ją pociesza pustemi słowami. Głupia kobieta! Rozstaje się z mężem, ponieważ on nie chce się wyrzec psa, którego bardzo lubi, a którego ona chce usunąć z domu. Ale ja mogę współżyć z Julją, bo na-

uczylaam się znosić głupotę ludzką. Teraz powiem wam dowidzenia, moje drogie. Bardzo się cieszę, że się z wami zobaczyłam, życzę wam, abyście nigdy nie zaznały smutku i cierpienia. Nie zapomnę, żeście uważnie słuchały mego opowiadania. Dzisiaj niewiele znacze, ale niegdyś dałam klapsa królowi.

15.

„TO NIEMOŻLIWE”.

Gdy drzwi się zamknęły za panią McIntyre, dziewczynki wstały i ubrały się powoli. Emilka rozmyślała niechętnie o dniu, który je czekał. Czar przysnął, już nie nęciła jej ta praca pełna uroku romantycznego i niespodzianek. Zbieranie podpisów w domach przydrożnych wydało jej się nagle czemś upokarzającym. Fizycznie były obie znacznie bardziej zmęczone, niż sobie z tego zdawały sprawę.

— Zdaje mi się, że już wieki upłynęły od dnia naszego wyruszenia z Shrewsbury — rzekła Ilza.

Emilka odczuwała to samo z równą mocą. Wydawało jej się, że ta noc rozmyślań przy świetle księżycy jest wspomnieniem z przed wielu, wielu lat... A ta ubiegła noc też była bezsennością, ale tym razem krótki sen nad ranem pozostawił jej jakieś niemiłe, nieokreślone uczucie, jakby mgliste wspomnienie dalekiej podróży w nieznaną krainę... Opowiadanie pani McIntyre rozwiało te wrażenia na chwilę, ale teraz powróciły, gdy Emilka czesała swe długie włosy.

— Czuję się, jakgdybym wędrowała tej nocy

przez kilka godzin, sama nie wiem dokąd — rzekła. — Śniło mi się, że znalazłam małego Allana.. ale nie pamiętam gdzie. Straszne to było wiedzieć, że go znalazłam przed sekundą i zapomnieć, gdzie.

— Ja spałam jak suseł — rzekła Ilza, ziewając. — Nic mi się nawet nie śniło. Emilko, chcę jaknajrychlej wydostać się z tego domu, coś mi się tu na piersiach kładzie okropnym ciężarem, lękam się i pragnę uciec.. Gdybym mogła coś pomóc, to inna sprawa. Ale jestem bezsilna, a ja sama tracę całą równowagę, słuchając opowiadania tej starej kobiety.. cóż za nieczuła, zimna istota! Ona nie troszczy się bynajmniej o małego Allana.

— Sądzę, że ona już oddawna przestała troszczyć się o cokolwiekbądź — rzekła Emilka, zamyślona. — Dlatego ludzie mówią, że ona nie jest normalna. Ludzie, którzy o nic nie dbają, są uważani za nie-normalnych, dowodem — kuzyn Jimmy. Ale to jest wspaniała historja. Przedewszystkiem zużytkuję ją jako ćwiczenie, a potem postaram się, żeby ją wydrukowano. Jest to pierwszorzędny szkic dla czasopisma, tylko trzeba uchwycić ton i żywość, jaką tchnęły jej słowa. Zanotuję chyba niektóre jej wyrażenia w mojej księdze, zanim pójdziemy dalej.

— Och, do licha z tą twoją księgą! — zniecierpliwiła się Ilza. Zejdźmy na dół, zjedzmy śniadanie, o ile nam dadzą i chodźmy.

Ale Emilka, znowu zbudzona do swych rozkoszy literackich, zapomniała o wszystkim innem na całym świecie.

— Gdzie jest moja księga? — spytała — nie znaj-

duję jej w mojej torbie podróżnej. Wiem, że ją tu zostawiłam wczoraj wieczorem!

— Czy nie leży tam na stole? — spytała Ilza.

Emilka popatrzyła ze zdziwieniem na stół.

— To niemożliwe... tak, istotnie.. jak się to stało? Wiem, że nie wyjmowałam jej z torby z całą pewnością.

— Widocznie zapomniałaś — rzekła Ilza obojętnie.

Emilka poszła w kierunku stołu, zaskoczona. Księga leżała otwarta, obok niej ołówki. Coś przykuło nagle wzrok Emilki. Pochyliła się nad stołem.

— Dlaczego się nie pośpieszysz trochę i nie upinasz włosów? — pytała Ilza niecierpliwie. — Ja już jestem gotowa. Na miłość Boską, oderwij się od tej księgi i ubierz się nareszcie!

Emilka zwróciła się ku niej, trzymając w ręku otwartą księgę. Była bardzo blada, oczy jej pociemniały z lęku i trwogi.

— Ilzo, spójrz na to — rzekła drżącym głosem.

Ilza podeszła bliżej i spojrzała na stronicę, którą pokazywała jej Emilka. Widniał na niej szkic, doskonale wykonany, przedstawiający domek nad rzeką, ten sam, którym wczoraj Emilka tak się zachwycała. Na jednym z okien był narysowany czarny krzyżyk, a obok, na marginesie, drugi krzyżyk, przy którym napisano: „Allan Bradshaw jest tutaj.”

— Co to znaczy? — krzyknęła Ilza. — Kto to narysował?

— Nie wiem — wyjąkała Emilka — pismo jest... moje.

Ilza przyjrzała się Emilce i odsunęła się o parę kroków.

— Widocznie narysowałaś to we śnie — rzekła.

— Nie umiem rysować — odrzekła Emilka.

— Któż inny mógłby to narysować? Pani McIntyre żadną miarą, to wiesz sama.

— Emilko, nie słyszałam jeszcze o takim dziwnym zdarzeniu. Czy myślisz, że on może tam być?..

— Skądże? Dom jest zamknięty na klucz, niema już robotników.. Zresztą szukali z pewnością dokoła tego domku. Byłby wyglądał przez okno, wołał, byliby go usłyszeli... zobaczyli... Widocznie narysowałam ten domek we śnie, chociaż nie pojmuję, jak mogłam to zrobić.. myśl moja pochłonięta była Allanem. To takie dziwne, przerażona jestem..

— Musisz to pokazać Bradshawom — rzekła Ilza.

— Chyba... a jednak nie mam na to ochoty. Mogę im dać fałszywą nadzieję, a fałszywą okaże się ona napewno. Wstrząsnęło mnie to, boję się, jest to dziecinny lęk, mogłabym usiąść i płakać. Jeżeli on jest tam od wtorku, to już nie żyje z wycieńczenia.

— No, to przynajmniej wiedzieliby coś o nim, Emilko. A gdyby się okazało, że jest tam, że żyje, dowiedziałabym się, że ty jesteś niesamowitą istotą.

— Nie mów tak, nie mogę tego słuchać — rzekła Emilka, cała drżąca.

W kuchni nie było nikogo, gdy weszły. Po chwili wszedł młody mężczyzna. Był to Dr. McIntyre, o którym mówiła pani Hollinger. Miał on miły, mądry wyraz twarzy, oczy jego patrzyły przenikliwie z za szkieł binokli, ale wyglądał na zmęczonego i smutnego.

— Dzieńdobry — rzekł. — Mam nadzieję, że panie wypoczęły i miały pożądaną spokój. Tu u nas panuje smutek i żaloba, nie może być inaczej.

— Nie znaleźli chłopczyka? — spytała Ilza.

— Nie. Już dali za wygraną. Nie może być przy życiu po tych dwóch nocach. Moja biedna siostra jest nawpół przytomna z rozpacz. Żałuję, że bytność pań u nas wypadła w tak niefortunnym czasie i przy mało sprzyjających okolicznościach, ale pani Hollinger nie pozwoliła chyba, aby paniom zbywało na czemkolwiek? Babka McIntyre byłaby niepokieszona, gdyby panie nie zabrały u nas odpoczynku i wygód. Słynna była w swoim czasie z gościnności. Zapewne nie widziały jej panie. Ona nieczęsto ukazuje się gościom.

— Owszem, widziałyśmy ją — rzekła Emilka, roztargniona. — Przyszła dzisiaj do nas do pokoju i opowiedziała nam, jak dała klapsa królowi.

Dr. McIntery zaśmiał się zcicha.

— To jest niemałe odznaczenie, żeby panie wiedziały! Nie każdemu opowiada babka tę historję. Ona, podobnie jak stary marynarz, wie zgóry, na czyją uwagę może liczyć. Ale niech panie jedzą pierwsze śniadanie; nie przeszkadzam moją paplaniną?

— Chwilkę jeszcze, panie doktorze — rzekła Ilza śpiesznie. — Chciałybyśmy to pokazać... panu...

Dr. McIntyre pochylił zdumioną twarz nad księgą Jimy'ego.

— Co to jest? Nie rozumiem...

— My też nie rozumiemy... chyba, że... Emilka narysowała to we śnie.

— We śnie? — Dr. McIntyre tak był zdumiony, że mógł tylko być echem.

— Niezawodnie. Nikogo innego tam nie było, oprócz pana babki. Chyba, że ona umie rysować.

— Nie, nie umie. I nigdy nie widziała tego domu, jest to własność pana Scobie za mostem Malvern, czy tak?

— Tak. Widzieliśmy ten dom wczoraj.

— Ale Allan nie może być tam, dom jest od sierpnia zamknięty na wszystkie spusty, robotnicy odeszli już stamtąd oddawna.

— Wiem — wyjąkała Emilka. — Ale ja tyle myślałam o Allanie przed uśnięciem, sądzę, że to był tylko sen.. wreszcie nic nie rozumiem.. ale pokazać musieliśmy panu ten rysunek.

— Naturalnie. Dobrze, wezmę z sobą Roba Masona i pójdziemy. Dziwne byłoby to.. Ale nie, to być nie może. Nie widzę, jakbyśmy mogli wejść do tego domu. Zabierzemy na wszelki wypadek drabinę. Na razie nie wspomnę o tem wszystkim Wilusiowi, ani Klarze.

Emilka i Ilza zasiadły do śniadania, wdzięczne pani Hollinger, że pozostawiła je same.

— Nie pójdę stąd, dopóki nie wrócą z odpowiedzią.. — szepnęła Ilza.

Emilka przytaknęła. Nie mogła jeść. Gdyby ciotka Elżbieta i ciotka Ruth zobaczyły ją w tej chwili, niechybnie zapędziłyby ją niezwłocznie do łóżka i miałyby całkowitą słuszność. Siły jej skończyły się. Godzina, która upłynęła od wyjścia z domu dra McIntyre'a, wydała im się wiecznością. Wtem usłyszały bieganie, głosy.

— Klara pierwsza musi się o tem dowiedzieć, to jest prawo matki — mówił zdyszany dr. McIntyre.

Zniknął w sypialni siostry. Pani Hollinger wtargnęła, jak burza, do kuchni.

— Znaleźli go... znaleźli małego Allana... na podłodze w hallu... w domu Scobiego!

— Czy... żyje?... — spytała Emilka.

— Tak... ale ledwo może mówić... lekarz powiedział, że będzie żył, że nawet wkrótce odzyska przytomność i siły... ale jeszcze kilka godzin, byłoby po wszystkim...

Dziki krzyk radości rozległ się w przyległym pokoju. Klara Bradshaw z rozwianym włosom i zbielełymi wargami, z błyskiem szczęścia w oczach, przebiegła przez kuchnię i rzuciła się ku wzgórz. Pani Hollinger porwała palto i pobiegła za nią. Dr. McIntyre padł na krzesło.

— Nie mogłem jej zatrzymać... a ja już nie mogę biec dalej... ale radość nie zabija. Okrucieństwem byłoby zatrzymywanie jej, gdybym nawet zdołał.

— Czy mały Allan ma się dobrze? — spytała Ilza.

— Będzie się miał dobrze. Biedak jest wyczerpany, to jasne. Nie byłby przeżył jeszcze jednego dnia. Zanieśliśmy go do doktora Mathesona i poruczyliśmy go jego opiece. Dopiero jutro będzie można przenieść go do domu.

— Czy pan wie, którędy on się tam przedostał?

— On nie mógł nam niczego powiedzieć, to zrozumiałe. Ale ja wiem, jak się to stało. Jedno okno nie jest uszczelnione, silny wiatr je rozchylił, Allan wspinał się i wszedł, ale potem nie mógł się już wdrapać do wysokości parapetu, a tymczasem wiatr okno zatrzaskał i trzeba było siły, ażeby je otworzyć. Allan byłby z

tem sobie poradził, ale musiałyby stać na poziomie okna i pracować oburącz. Na ścianie pod oknem znaleźliśmy ślady jego nóżek, jego rozpaczliwych usiłowań utrzymania się na poziomie parapetu, zbyt wąskiego, aby mógł na nim stanąć. Zresztą nie miał się za co uchwycić... Tem samem nie mógł wzywać pomocy, a raczej krzychał, ale tamtędy nikt nie przechodził, albo nie doszło ludzkich uszu to wołanie dziecka z poza zamkniętych okien i grubych murów. Słowem, był skazany na zagładę, gdyby nie panie.

— Taka jestem szczęśliwa od chwili, kiedy się znalazł — rzekła Ilza, tłumiąc łzy radości.

Dziadek Bradshaw wsunął nagle głowę przez uchylone drzwi:

— Mówiłem wam, że w XIX wieku nie może zginąć dziecko — rzekł.

— Zginęło jednakże — zawołał dr. McIntyre i nie byłoby się odnalazło w porę, gdyby nie jasnowidzenie tej panienki. To jest doprawdy nadzwyczajne.

— Emilka jest... medjum — rzekła Ilza, naśladowując pana Carpentera.

— Medjum! Hm! Bardzo ciekawe, bardzo ciekawe. Nie twierdzą, że rozumiem. Babka powiedziała, że ona ma szósty zmysł. Ona wierzy w to święcie, jak wszyscy Szkoci.

— Och, pewna jestem, że nie mam daru jasnowidzenia — zaprotestowała Emilka. — Widocznie śniło mi się to... więc wstałam podczas snu... ale... ja wcale nie umiem rysować.

— W takim razie *coś* użyło pani jako narzędzia — rzekł dr. McIntyre. — Wreszcie twierdzenie babki, jakoby pani miała szósty zmysł, jest równie rozsądne,

jak każde inne. W niezrozumiałe zjawiska możemy tylko *wierzyć*.

— Chciałabym nie mówić o tem — prosiła Emilka, którą przesywały dreszcze. — Tak się cieszę, że Allan się odnalazł... ale, proszę, niech pan nikomu nie wspomina o roli, jaką ja w tem odegrałam. Niech pan powie, że to panu przyszło na myśl przeszukać ten opustoszały domek. Jabym... nie zniosła, żeby cała okolica o tem tylko mówiła.

Gdy wyszły z małego domku, deszcz przestał padać, słońce zaświciło. Krajobraz leżał przed niemi, piękny i dziki, jak zwykle w tych stronach, po burzy.

— Zostawmy następne wsie na naszą drugą wędrówkę — rzekła Emilka, trzęsąc się z zimna. — Dzisiaj nie mogłabym zbierać podpisów w żadnym razie. Przyjaciółko droga, chodźmy do Malvern Bridge i pojedźmy stamtąd koleją.

— To było... niesłychane... ten twój sen... rzekła Ilza. — Boję się ciebie trochę, Emilko... poprostu...

— O, nie bój się mnie — błagała Emilka. — To był tylko zbieg okoliczności. Tyle o nim myślałam, a ten dom od wczoraj mnie prześladował...

— Przypomnij sobie, jak odkryłaś tajemnicę Matki... — szepnęła Ilza. — Masz jakiś dar nadprzyrodzony, którego my, zwykli śmiertelnicy, nie mamy.

— Może wyrosnę z tego — rzekła Emilka z rozpaczą w głosie. — Mam nadzieję, że tak... niepotrzebny mi jest taki dar... ty nie wiesz, jak okropnie się tego boję, Ilzo. To takie straszne... Jakgdybym była naznaczona, niesamowita... nie czuję się *człowiekiem*. Gdy dr. McIntyre mówił, że *coś* używa mnie jako narzędzia, zimno mi się zrobiło. Wydawało mi

się, że podczas mego snu jakaś obca inteligencja, obca świadomość zakradła się do mego ciała i narysowała ten domek.

—Ależ to było twoje pismo — odrzekła Ilza.

— Ech, nie będę już o tem mówić, ani myśleć... Muszę o tem zapomnieć. Nigdy już nie mów mi o tem wszystkim, Ilzo.

16.

WYJĄTEK Z DZIENNIKA.

Shrewsbury, 3 października 19...

„Skończyłam zbieranie podpisów na specjalny numer tygodnika. Zebrałam największą ilość subskrybentów. Zarobiłam na wszystkie prawie książki, jakie mi będą potrzebne w ciągu roku szkolnego. Gdy powiedziałam o tem ciotce Ruth, nie zasyczyła. Uważam to za fakt godzien zanotowania.

Dzisiaj przyszła zpowrotem moja nowela „Ząb Czasu”. Ale odmowa była napisana na maszynie, nie drukowana. Pismo maszynowe jest trochę mniej obrażające, niż druk, tak mi się wydaje.

„Przeczytalimy nowelę pani z zainteresowaniem i żałujemy, iż nie możemy na razie ogłosić jej drukiem.”

O ile istotnie przeczytali „z zainteresowaniem”, to brzmi to pocieszająco. Ale może tylko słodzą tak pigułkę?

Rok Junjorów jest teraz w pełni. Uważam, że tegoroczne studja są bardzo interesujące. Pan Hardy objął cały szereg wykładów, a ja lubię jego sposób

nauczania bardziej, niż któregośkolwiek z profesorów, z wyjątkiem pana Carpentera. Bardzo mu się podobał mój szkic o „Kobiecie, która dała klapsa królowi”. Postawił go na pierwszym miejscu i obszernie go komentował podczas wykładu teorii stylistycznej. Ewelina Blake pewna jest, naturalnie, że ja przepisałam ten szkic z jakiegoś czasopisma i z pewnością ma wrażenie, że już to gdzieś przeczytała. Ewelina nosi w tym roku włosy uczesane à la Pompadour. Uważam, że jej w tej fryzurze bardzo nieładnie. Ale ponieważ plecy są jedyną częścią ciała w Ewelinie, która mi się podoba...

Rozumiem, że cały „klan” Martinowski jest na mnie rozwścieżony. Daisy Martin brała ślub w zeszłym tygodniu w kościele anglikańskim. Wydawca „Czasu” poprosił mnie, żebym napisała sprawozdanie z tego ślubu. Poszłam naturalnie, chociaż nienawidzę sprawozdań ze ślubów. Tyle rzeczy chciałabym napisać, których wypowiedzieć nie wolno. Ale ślub Daisy był ładny, ona sama też. Posłałam miłe i szczerze sprawozdanie, w którym podkreślałam urodę panny młodej i jej wspaniałą bukiet ze storczyków i róż, pierwszy bukiet ze storczyków, jaki oglądało Shrewsbury. Pisałam tak wyraźnie i kaligraficznie, że czytało się mój rękopis, jakby był drukowany, tak że niema tłumaczenia dla tego wstrętnego zecera, który zamiast „storczyki” umieścił: „sardynki”. Naturalnie, każdy człowiek rozumny wiedziałby, że jest to tylko omyłka zecerska. Ale Martinowie uroili sobie, że ja umyślnie napisałam „sardynki” dla głupiego żartu, tem bardziej, że kiedyś wspomniałam, jak dalece nudzą mnie te jednostajne, konwencjonalne sprawozdania ze ślubów.

Powiedziałam to istotnie, ale nie urozmaicałabym przecież mego sprawozdania wzmianką o pannie młodej, niosącej bukiet sardynek! Niemniej Martinowie pewni są, że była to rozmyślna złośliwość, a Stella Martin nie zaprosiła mnie na seans robót ręcznych do siebie. Ciotka Ruth mówi, że to nic dziwnego, a ciotka Elżbieta zarzuca mi niedbalstwo. *Mnie!* Boże! Daj mi cierpliwość!

5 paźdz. 19...

Pani Wiliamowa Bradshaw przyjechała do mnie w odwiedziny dzisiaj wieczorem. Na szczęście, ciotka Ruth wyszła. Mówię: na szczęście, bo bynajmniej nie pragnę, aby ciotka Ruth wyszperała jaką rolę odegrałam w odnalezieniu małego Allana. Może to jest „przebiegłe”, jakby niechybnie powiedziała ciotka Ruth, ale prawdą jest, że czy jestem, czy nie jestem przebiegła, nie mogłabym słuchać jej syczenia w związku z tą historją.

Pani Bradshaw przyjechała, aby mi podziękować. Byłam zakłopotana, bo właściwie cóż ja miałam wspólnego z tem wszystkim? Nie chcę o tem myśleć, ani mówić. Pani Bradshaw mówi, że mały Allan miewa się dobrze, chociaż był okropnie wycieńczony, gdy go znaleźli: nie mógł siedzieć o własnej sile. Ona jest bardzo blada i poważna.

— Byłby umarł w tym domu, gdyby nie pani, miss Starr, ja też byłabym umarła. Nie mogłabym żyć nadal, nie wiedząc, co... och, nigdy nie zapomnę grozy tych paru dni. Musiałam przybyć i dać wyraz mojej wdzięczności. Kiedy wróciłam owego dnia zrana do domu, panie już wyruszyły w dalszą

drogę. Miałam wyrzuty sumienia z powodu mojej niegościnności...

Straciła panowanie nad sobą i rozplakała się... ja także... Zbeczałyśmy się razem, aż nam sił zabrakło. Cieszę się ogromnie, że Allan się znalazł, jestem Bogu wdzięczna za to, ale pragnę zapomnieć, w jaki sposób to się stało.

7 paźdz., 19... Srebrny Nów.

Dzisiaj wieczorem przechadzałam się po cmentarzu. Mógłby ktoś powiedzieć, że nie jest to wymarzone miejsce przechadzki. Ale ja zawsze lubię wędrować tam, gdzie śpią snem wiecznym ci, którzy, odchodząc, wiedzieli o życiu i śmierci o tyle więcej, niż ja dzisiaj, wszyscy dokoła mnie. A szczególnie nadaje się do takiej wędrowki nastrój jesienny i wieczorny. Czytam imiona wyryte na płytach kamiennych, czytam, w jakim wieku umarła dana osoba i zastanawiam się, ile nadziei i obaw, ile miłości i nienawiści leży, pogrzebanych pod daną płytą. Piękna była ta moja przechadzka i bynajmniej nie smutna. A dokoła ciągnęły się czerwone pola i rozległe, przymarzniałe zbocza, pokryte gdzie niedzie lasami. Było tu dużo, dużo rzeczy i zjawisk, które ukochałam i które kocham coraz mocniej. Ilekroć przyjeżdżam do Srebrnego Nowiu (raz na dwa tygodnie), doznaję wrażenia, że to wszystko, co mnie tu otacza, jest mi jeszcze bliższe, jeszcze droższe, niż dotychczas. Kocham *rzeczy*, niemniej, niż *ludzi*. Zdaje mi się, że ciotka Elżbieta odczuwa podobnie. I dlatego nie chce żadnych zmian w Srebrnym Nowiu. Zaczynam lepiej ją rozumieć. Widzę teraz, że ona mnie bardzo lubi. Z początku byłam tylko obowiązkiem, ale stałam się czemś więcej.

Pozostałam na cmentarzu aż do zmierzchu. Wówczas przyszedł po mnie Tadzio i poszliśmy na przełaj przez pole, prosto przed siebie, aż do ścieżki Jutrzejszej. Teraz jest to już ścieżka Dzisiejsza, bo drzewa są już wysokie, wyższe od nas, ale my ją nadal nazywamy po dawnemu, poczęści z przyzwyczajenia, a poczęści dlatego, że rozmawiamy dużo o *naszem* jutrze, przechadzając się tamtędy, o naszych nadziejach na przyszłość. Tadzio jest, bądź co bądź, jedyną osobą, z którą rozmawiam o naszem jutrze i o moich ambicjach. Poza tem — z nikim. Perry drwi z moich aspiracyj literackich. Kiedy mówię o pisaniu książek, woła: „Na co to się zda komukolwiek?” No, a skoro ktoś nie wie, jaki jest cel pisania, trudno mu to wytłumaczyć. Nawet z Deanem nie mogę o tem mówić od czasu, kiedy mi powiedział, tak gorzko: „Nie cierpię, gdy mówisz o twem jutrze, bo to nie może być *moje* jutro”. Zdaje mi się, że Dean z niechęcią myśli o tym momencie, kiedy będę dorosła, że chciałby mnie widzieć dzieckiem jaknajdłużej. Jest to bodaj Priestowska zazdrość, on nie chce się dzielić niczem, tem mniej przyjaźnią, z innymi ludźmi. Jestem teraz pozostawiona samej sobie. Wydaje mi się ostatnio, że Dean przestał się interesować mojami ambicjami literackimi. A nawet niekiedy ośmiesza je zlekka. Naprzykład, pan Carpenter był zachwycony moją „Kobietą, która dała klapsa królowi” i powiedział, że jest to opowieść bez zarzutu. Dean zaś po przeczytaniu uśmiechnął się i rzekł: „Bardzo dobre ćwiczenie szkolne, ale...” i znów się uśmiechnął. Nie podobał mi się ten uśmiech. Był zanadto „Priestowski”, jakby powiedziała ciotka Elżbieta. Przygłębił mnie ten uśmiech.

— Pisziesz zabawnie i żywo, moje dziecko, zdania budujesz zręcznie i poprawnie, ale wyrządziłbym ci krzywdę, pozostawiając cię w mniemaniu, że to wszystko pozwala rokować jakiegokolwiek nadzieje na przyszłość.

Jeżeli to prawda, a może być prawdą, gdyż Dean jest mądry i bardzo dużo umie, w takim razie nie zdołam nigdy dokonać niczego, co jest godne sławy, niczego pięknego i pożytecznego. Nie będę usiłowała stworzyć wielkiego dzieła, a nie mam zamiaru być „niezłą nowelistką”.

A z Tadzkiem rzeczy mają się inaczej.

Dzisiaj był on rozpromieniony, a ja podzieliłam jego radość, dowiedziawszy się, co zaszło. Tadzio wystawił swoje obrazy w Charlottetown we wrześniu; pan Lewis z Montrealu ofiarował za nie po 50 dolarów od sztuki. To wystarczy na pokrycie kosztów jego pobytu w Shrewsbury tej zimy i będzie znaczną ulgą dla pani Kent. Mimo to, nie była rada, gdy o tem usłyszała.

— Tak, teraz zdaje ci się, że jesteś uniezależniony ode mnie — rzekła i rozplakała się.

Tadzio był urażony, ponieważ podobna myśl ani mu przez głowę nie przeszła. Biedna pani Kent! Ona jest chyba strasznie nieszczęśliwa. Istnieje jakaś dziwna zapora pomiędzy nią a światem zewnętrznym. Oddawna już nie byłam u niej. Raz tylko w lecie poszłam tam z ciotką Laurą, która dowiedziała się, że pani Kent niedomaga. Pani Kent wstała z łóżka i rozmawiała z ciotką Laurą, ale do mnie nie przemówiła ani słówka, tylko patrzyła na mnie z dziwnym, niepokojącym błyskiem w oczach. A kiedy zaczęliśmy się żegnać, odezwała się wreszcie:

— Jesteś bardzo wysoka. Niebawem będziesz kobietą i ukradniesz innej kobiecie jej syna.

Ciotka Laura stwierdziła na powrotnej drodze, że pani Kent zawsze była dziwna, ale że staje się coraz dziwniejsza.

— Ludzie mówią, że ona jest nienormalna.

— Mnie się zdaje — rzekłam — że ona ma chorą duszę.

— Emilko, kochanie, to jest okropne, tego nie należy mówić.

— Nie widzę dlaczego. Ciało i umysł mogą być chore, prawda? Dlaczegożby nie mogła chorować dusza? Czasami czuję niezawodnie, że pani Kent doznała ongi wstrząsu, który zranił jej duszę i że ta rana nie zablizniła się nigdy, wiecznie krwawi.

Ciotka Laura nic nie odpowiedziała.

Takbym chciała, żeby pani Kent przestała mnie nienawidzić. Boli mnie to uczucie ze strony matki Tadzia. Nie wiem dlaczego. Dean nie jest mi mniej bliski niż Tadzio, a obojętne mi jest, czy cała rodzina Priestów lubi mnie, czy nienawidzi.

19 paźdz. 19...

Ilza i jeszcze siedm kandydatek zostały wybrane do Związku Młodzieży Szkolnej. Ja otrzymałam czarną gałkę. Zawiadomiono nas o tem w poniedziałek.

Wiem, że jest to sprawka Eweliny Blake. Nikt inny nie byłby głosował przeciw mnie. Ilza była w pasji. Podarła w drobne kawałki zawiadomienie o jej wyborze i odesłała te kawałki sekretarzowi, zgłaszając w paru słowach swą rezygnację.

Ewelina spotkała mnie dzisiaj w szatni i zapewniła, że ona głosowała za Ilzą i za mną.

— Czyż ktokolwiek twierdził, że było inaczej? — spytałam najbardziej po „Elżbietowsku”, jak umiałam.

— Tak, Ilza jest tego zdania — odrzekła Ewelina. — Bardzo niegrzeczna była dla mnie z tego powodu. Czy chcesz wiedzieć, kogo ja posądzam o tę czarną gałkę?

Spojrzałam jej prosto w oczy.

— Zbyteczne. *Wiem*, kto to zrobił i to mi wystarczy.

Odwrociłam się na pięcie i odeszłam.

W Związku panuje niezadowolenie. Ale podobno ktoś się wyraził, że to jest niezłe lekarstwo na pychę Murrayowską.

Ciotka Ruth usłyszała dzisiaj tę nowinę i zaczęła się dopytywać, *dlaczego* otrzymałam czarną gałkę.

5 listopada, 19... Srebrny Nów.

Ciotka Laura i ja spędzamy to popołudnie na nauce marynowania korniszonów. Ciotka Laura jest nauczycielką, a ja uczennicą, ma się rozumieć. Ciotka Elżbieta musiała przyznać, że nie odróżnia już roboty ciotki Laury od mojej!

Wieczór był bardzo miły. Byłam sama w ogrodzie. Towarzyszyły mi tylko moje koty. Stop wyglądał w półmroku jak mały tygrysyk. Nieznośnik jest smukły, srebrzysty, wytworny. Stop jest bardzo pewny siebie. Nie zadaje się z byle kim i nigdy nie mówi zbyt wiele. Powietrze było czyste, upajające. Przechadzałam się dokoła zegara słonecznego i czu-

łam się szczęśliwa. Wstąpiła we mnie pewność, że przyszłość należy do mnie. A przeszłość jest wszakże niepodzielnie moją własnością. Doznałam wrażenia, że żyję tu od niepamiętnych czasów i że jestem częścią wszelkiego kochania i wszelkiego istnienia w Srebrnym Nowiu. Zdawało mi się, że będę żyć wiecznie, wiecznie, wiecznie, pewna byłam nieśmiertelności, inaczej mówiąc. Nie znaczy to, że w nią wierzyłam... *czułam ją.*

Dean spotkał mnie. Znalazł się tuż przy mnie, zanim zauważyłam jego obecność.

— Uśmiechasz się — rzekł Dean. — Lubię patrzeć na kobietę, uśmiechającą się do swych myśli. Oznacza to niechybnie niewinność myśli. Czy przyjemnie spędziłaś dzień, urocza panienko?

— Bardzo przyjemnie. A największym darem tego dnia jest dzisiejszy wieczór. Taka jestem szczęśliwa, Deanie, taka szczęśliwa, sam fakt istnienia tak mnie uszczęśliwia. Czuję się, jakbym płynęła wśród morza gwiazd. Pragnę, aby taki nastrój trwał jaknajdłużej, skoro nie może trwać wiecznie. Taka jestem pewna siebie... pewna swej przyszłości. Nie lękam się *niczego*. Nie będę gościem honorowym na bankiecie życia, będę czynnym uczestnikiem festynu i przyczynię się do stworzenia go, do przygotowania uczy...

— Wyglądałaś jak wróżka, badająca wyroki losu, gdy cię ujrzałem przed chwilą. — rzekł Dean. — Cerę masz jak płatki narcyzowe. Mogłabyś przyłożyć do twarzy białą różę i wytrzymać to porównanie. Niewielu kobietom jest to dane. Nie jesteś bardzo ładna, Gwiazdko, wiesz? Ale twój widok nasuwa lu-

dziom myśl o pięknie, a to jest rzadki dar, nie będący udziałem wielu skończonych piękności.

Lubię komplementy Deana. Takie są odmienne od tych, które mówią inni młodzi ludzie. I lubię, gdy mnie ktoś nazywa kobietą.

— Stanę się próżna pod twoim wpływem — rzekłam.

— Nie, przed tem broni cię twój zmysł humoru — odrzekł Dean. — Kobieta, mająca zmysł humoru nigdy nie zachoruje na próżność.

— Czy to są sprzeczne cechy?

— Naturalnie. Kobieta, obdarzona zmysłem humoru, nie ma się dokąd schronić przed swą niemiłosierną trzeźwością. Nie może uważać siebie za niezrozumianą. Nie rozplywa się w rozrzewnieniu nad samą sobą. Nie, Emilko, nie należy zazdrościć kobiecie obdarzonej zmysłem humoru: ona nie ma złudzeń co do siebie.

Ten pogląd niezupełnie trafił mi do przekonania. Dean nie wyjeżdża tej zimy. Gdybym nie mogła z nim pogawędzić przynajmniej raz na dwa tygodnie, życie wydawałoby mi się mdłe i nieciekawe. W naszych rozmowach jest taki *koloryt*. Czasami bywa on taki wymownie milczący i cichy. Takim był dzisiaj przez długą chwilę. Potem opowiadał mi o odległych krajach, o ogromnych bazarach towarowych Wschodu. A potem znowu mówiliśmy o mnie, o moich studjach i o moich zamiarach. Lubię tych ludzi, którzy od czasu do czasu dają mi sposobność pomówienia o mnie samej.

— Dzisiaj, skończywszy marynowanie korniszonów, przeczytałam kilka poezyj pani Browning. W

tym roku objęte były jej dzieła wykładami literatury u nas w szkole. Ulubionym moim utworem jest „Onora”, mam dla niej znacznie więcej współczucia, niż sama pani Browning.

— Naturalnie — rzekł Dean — jesteś istotą nawskroś uczuciową. Poruszyłabyś niebo dla twej miłości, podobnie jak to uczyniła Onora.

— Nie chcę kochać... kochać jest to być niewolnicą — rzekłam.

W tej samej chwili, kiedy to powiedziałam, zawstydziłam się, bo wiedziałam, że mówię to tylko dla brzmienia słów, ażeby się wydać mądrą i głęboką. Nie wierzę, żeby miłość oznaczała niewolę, nie dla Murrayów w każdym razie. Ale Dean wziął mnie na serjo.

— Cóż, kiedy musimy być niewolnikami na tym świecie — rzekł. — Każdy z nas jest niewolnikiem *czegoś* lub *kogoś*. Nikt nie jest wolny. Może zresztą, o córo Gwiazd, jest miłość najłagodniejszym, najmniej srogim tyranem, mniej srogim, niż nienawiść, albo strach, albo konieczność, albo ambicja, albo duma. A jak ci się powodzi w miłosnych ustępach twych nowel?

— Zapominasz... nie wolno mi jeszcze teraz pisać nowel. Skoro termin minie, przypomnij sobie, że mi obiecałeś pomoc. Mówiłeś, że mnie nauczysz kształtować miłość artystycznie.

Mówiłam to wesoło, nawpół żartem. Ale Dean bardzo spoważniał w tej chwili.

— Czy jesteś już gotowa do nauki? — spytał, pochylając się ku mnie.

Zdawało mi się, że mnie pocałuje. Zarumieniłam się i... dziwna rzecz!... momentalnie pomyślałam

o Tadziu. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, porwałam Stopa, ukryłam twarz w jego ślicznem futerku. Wtem zjawiała się ciotka Elżbieta i zapytała, czy mam ciepły szal na sobie. Nie miałam go, więc weszłam do domu, a Dean pożegnał się i odszedł. Patrzyłam za nim z okna mego pokoju i strasznie mi go było żal. Gdy jestem przy nim, spędzam czas tak mile, że zapominam o jego troskach, o jego smutkach. A przecież w jego życiu jest niezawodnie dużo bólu i dużo stron całkiem mi nieznanymi. Ja wypełniam tylko maleńki kącik jego duszy. A poza tem panuje tam chyba okropna pustka.

11 listopada 19...

Nowy skandal, którego przyczyną jest Emilka ze Srebrnego Nowiu plus Ilza z Czarnowody! Miałam przed chwilą niemiłą rozmowę z ciotką Ruth i muszę to opisać, aby tym sposobem wyrzucić gorycz z serca. Taka burza w szklance wody o takie nic!

W zeszły wtorek spędziłam u Ilzy cały wieczór. Studjowałyśmy razem historję literatury angielskiej. Napracowałyśmy się uczciwie i około dziewiątej wyruszyłam do domu. Wieczór był śliczny, ciepły, cichy. Nowy pensjonat, w którym mieszka obecnie Ilza, jest położony w parku. Z okna Ilzy widać uroczy mały mostek.

— Przejdźmy się trochę, zanim wrócisz — proponowała Ilza.

Poszłyśmy. Oczywiście, nie powinnam była pójść na tę przechadzkę, powinnam była wrócić do domu i położyć się spać, jak przystało na szanującą się suchotnicę. Niemniej poszłam. Była to cudna chwila. Słysza-

łyśmy świst wichru, wiejącego w górze, nad okolicznymi pagórkami. Świerki i sosny szumiały uroczyście. Świerki i sosny są zawsze przyjaźnie usposobione dla nas, ale nie powierzają nam tylu tajemnic, co klony i topole. Świerki i sosny nie dzielą się z nikim swą tajemnicą, nie zdradzają swej wiedzy, długo a zazdrośnie strzeżonej. Tem samem są naturalnie bardziej interesujące, niż wszelkie inne drzewa.

Cały pagórek rozbrzmiewał słodkimi, cichymi dźwiękami. W powietrzu unosiły się rozkoszne zapachy. W nas wstąpił idealny spokój. Mówiliśmy sobie *wszystko* w tej minucie. Nazajutrz żałowałam tego, rzecz jasna, chociaż Ilza jest powiernicą bez zarzutu i nie zdradza nigdy cudzych sekretów, ale nie jest to tradycją Murrayowską obnażać swą duszę przed kimkolwiekby, nawet przed najdroższym przyjacielem. Ciemności i zapach żywiczny skłaniają nas do takich postępków... Bawiliśmy się świetnie, przecież Ilza jest taką wesołą towarzyszką! Nie można się nudzić w jej towarzystwie. Przechadzka była czarująca, ale pomyślałyśmy o powrocie i skierowałyśmy się w stronę domu ciotki Ruth, gdyż Ilza chciała mnie odprowadzić. Na zakręcie spotkałyśmy Tadzia i Perry'ego. Porozmawialiśmy, idąc kilka kroków w tym samym kierunku, poczem oni pożegnali się i poszli na zebranie polityczne, na które się wybierali. O 10-ej leżałam w łóżku i spałam.

Ale ktoś widział nas czworo, idących przez most. Nazajutrz wiadomo było, w szkole, żeśmy się spotkali, a na trzeci dzień całe miasto mówiło o tej „przechadzce we czworo”. Twierdzono, jakoby ktoś widział nas, Ilzę i mnie, wałęsające się po parku z obu chłop-

cami aż do północy. Ta pogłoska doszła do uszu ciotki Ruth, która zażądała ode mnie dziś właśnie wyjaśnień. Powiedziałam jej prawdę, ale naturalnie nie uwierzyła mi.

— Wiesz przecież, ciotko Ruth, że byłam w domu we wtorek o 9 minut 45.

— Wierzę, że co do godziny wkradła się przesada w opowiadanie moich znajomych — odrzekła ciotka Ruth. — Ale coś się stało najwidoczniej, bo z niczego nie mogła powstać taka pogłoska. Niema dymu bez ognia. Emilko, idziesz w ślady matki twojej.

— Zostawmy pamięć mojej matki w spokoju, ciotko Ruth, ona już nie żyje... Chodzi o to, ciotko Ruth, czy mi wierzysz, czy nie?

— Nie wierzę, aby to było takie przestępstwo, jak mówią — rzekła ciotka Ruth z pewnem wahaniem. — Ale dostałyście się na ludzkie języki. Musisz być zresztą na to przygotowana, skoro zadajesz się z Ilzą Burnley i z chłopakiem tego pokroju, co Perry Miller. Andrzej prosił, żebyś z nim poszła na przechadzkę w zeszły piątek, słyszałam, że mu odmówiłaś. To byłoby dla ciebie za przyzwoite towarzystwo, naturalnie.

— Tak jest — odrzekłam. — O to właśnie chodzi. Niema przyjemności tam, gdzie jest zbyt wielka przyzwoitość.

— Impertynencja nie jest dowcipem, panienko — rzekła ciotka Ruth surowo.

Nie miałam zamiaru być impertynentką, ale nudzi mnie to ciągle dreptanie mi po piętach Andrzeja. Andrzej zaczyna być moją wielką troską. Dean wie równie dobrze, jak ja sama, co tu jest w grze. Dokucz mi moim czerwonowłosym młodzieńcem...

Ciotka Ruth wyszła z pokoju, nie chciała słyszeć nic więcej.

Może nawet lubiłabym tego biednego Andrzeja, gdyby cała rodzina Murrayów nie narzucała mi go wszelkimi siłami. Oni chcą, żebym się zaręczyła, zanim dojdę do wieku, w którym panna może uciec z młodym człowiekiem ze szkoły, czy z domu i widzą moje ocalenie w Andrzeju Murrayu.

Jak słusznie mówi Dean, nikt nie jest wolny, albo przynajmniej nieczęsto, przez jeden moment w życiu. Te chwile wolności są to u mnie błyski „promyka”, albo kontakt z wiecznością podczas nocy, spędzanej na stogu siana, pod gołym niebem. Poza tem jesteśmy wszyscy niewolnikami czegoś, tradycji, konwenansów, ambicji, *stosunków*, krewnych. Zdaje mi się dzisiaj, że najcięższą niewolą jest zależność od własnej rodziny.

Srebrny Nów, 3 grudnia 19...

Siedzę tu, w moim własnym pokoiku, przy kominku, na którym płonie wesoło ogień z łaski ciotki Elżbiety. Taki ogień zawsze jest cudny, ale jest stokroć razy cudniejszy podczas zawieruchy zimowej za oknami. Opisałam taką noc w mojej księdze od Jimmy'ego. Tak się cieszę, że tu, w tym zacisznym pokoju, wszystko należy do mnie. Ani przez chwilę nie czuję się u siebie w pokoju w Shrewsbury, a skoro tylko tu przyjadę, wchodzę do tego pokoiku, jako do mojego królestwa. Tak lubię czytać tutaj, marzyć... siedzieć przy oknie i oddychać świeżem, orzeźwiającem powietrzem.

Czytałam dzisiaj jedną z książek ojca. Tak mi się zawsze wydaje, że jest on blisko mnie, mój drogi oj-

ciec, kiedy czytam jego książki. Mam wrażenie, że staje za mną i patrzy przez moje ramię na tekst, który czytam. A ile razy znajduję jego notatki na marginesie, doznaję wielkiej radości, jakgdyby przesyłał mi znak swego istnienia w zaświatach, jakgdyby to było napisane wyłącznie na moją intencję. Ta książka, którą czytam dzisiaj, cudna jest, cudna w pomysłach i wykonaniu, ciekawa, jako splot uczuć i namiętności. Czułam się, podczas czytania, korną, nic nieznaczącą istotą. Mówiłam sama do siebie: „Ty biedne, małe stworzenie, wyobrażałaś sobie, że ty umiesz pisać? W takim razie złudzenia twoje rozwiały się obecnie i poznałaś własną nicość.” Ale otrząsnę się z tego stanu duszy i zaczę znowu wierzyć, że coś umiem, że coś zdołam stworzyć. Będę tak długo pisywać szkice i wiersze, aż napiszę coś dobrego. Za półtora roku będę zwolniona z mego przyrzeczenia, danego ciotce Elżbiecie: będę mogła znowu pisywać nowele. Cierpliwości! Ciężko jest bardzo wytrwać w cnocie cierpliwości! „Cierpliwością a pracą...” hm, chciałoby się widzieć rychlej rezultaty swych cnót. Ale nie dzisiaj. Dzisiaj jestem zadowolona jak kot nad spodeczkiem śmietanki. Mruczałabym, gdybym umiała.

9 grudnia. 19...

Dzisiaj przypadał wieczór Andrzeja. Przybył pięknie ubrany, jakby był wykrochmalony i bał się poruścić, żeby coś nie pękło. Przychodzi mi na myśl, że nigdy jeszcze nie słyszałam szczerego, głośnego wybuchu śmiechu Andrzeja. Jest on rozsądny, dobry, ma stale czyste paznokcie i jego szef w banku bardzo jest z niego zadowolony. Och, nie zasługuję na takiego kuzyna!

5 stycznia 19...

Wakacje skończone. Spędziłam cudne dwa tygodnie w starym, gościnnym Srebrnym Nowiu. W wilgę Bożego Narodzenia otrzymałam pięć zawiadomień o przyjęciu moich utworów przez różne czasopisma. Trzy czasopisma nie płacą gotówką, tylko dają mi bezpłatną prenumeratę, a dwa dołączyły czeki, jeden na dwa dolary za wiersz, drugi na 10 dolarów za nowelę „Ząb czasu”. Jest to pierwszy wypadek przyjęcia do druku jednej z moich nowel. Ciotka Elżbieta popatrzyła na czeki i rzekła:

— Czy sądzisz, że bank istotnie wypłaci te pieniądze?

Nie uwierzyła w to, nawet gdy kuzyn Jimmy zainkasował oba czeki, będąc w Shrewsbury.

Pieniądze te przeznaczam, naturalnie, na kosztą mego pobytu w Shrewsbury. Ale zrobiłam sobie niewinną przyjemność, snując bez końca plany, co mogłabym sobie kupić za nie, gdybym miała zupełną swobodę i niezależność materialną.

Perry został wybrany do delegacji Wyższej Szkoły, która zmierzy się w dyskusji ze studentami Akademii Charlottetown w końcu miesiąca. Jest to wielki zaszczyt. Dyskusja ta odbywa się co rok i trzy lata z rzędu zwyciężyła akademja. Ilza pracuje nad dykcją Perry'ego i nad jego wyrażeniami. Bardzo to ładnie z jej strony, bo odnoszę stale wrażenie, że ona go doprawdy nie lubi, biednego Perry'ego. Chciałabym, żeby Shrewsbury zwyciężyło.

Dzisiaj przeczytałam nowelę. Kończy się smutno. Nie spoczęłam, dopóki nie wymyśliłam pomyslnego zakończenia. Moje nowele będą się zawsze kończyć po-

myślnie. Mniejsza o to, czy to jest „prawdą życiową”, czy nie. Najlepszą prawdą jest to, co być *powinno*, a nie to, co jest.

Kiedy mowa o książkach: przeczytałam przed paru dniami książkę ciotki Ruth: „Dzieci Klasztoru”. Bohaterka mdlała w każdym rozdziale i płakała, gdy tylko ktoś na nią spojrzeł. Ale dobrze znosiła prześladowania, których była przedmiotem i, mimo swą delikatną budowę i cerę różaną, wytrzymała przejścia, któreby powaliły najsilniejszą kobietę współczesną. Uwagę ciotki Ruth zwrócił mój ciągły śmiech podczas czytania tej książki. Ona mniemała, że jest to bardzo smutna powieść, jedyna zresztą w jej domu. Podarował jej tę książkę jeden z jej wielbicieli, gdy była młoda. Wydaje mi się niemożliwością, żeby ciotka Ruth miała kiedykolwiek wielbiciela. Wuj Dutton jest dla mnie postacią legendarną. Nawet jego portret, wiszący w salonie i spowity w krepę, nie przekonywa mnie o jego istnieniu w przeszłości.

21 stycznia 19...

W piątek wieczorem odbyła się dyskusja między Wyższą Szkołą a Akademią. Studenci z Charlottetown przybyli, przeświadczeni, że „przyjdą, zobaczą, zwyciężą”, a odjechali jak zbite psy ze zwieszonemi ogonami. Dyskusję przeważył na szalę naszej Szkoły Perry swem przemówieniem. Był niezwykły. Nawet ciotka Ruth przyznała po raz pierwszy, że jest „coś” w tym chłopcu. Po dyskusji przybiegł na górę do Ilzy i do mnie.

— Czy nie byłem świetny, Emilko? — spytał. — Wiedziałem, że we mnie jest to, ale nie wiedziałem, czy

zdołam to wydobyć i uzewnętrznic. Gdy zaczynałem, czułem, że język odmawia mi posłuszeństwa, ale potem zobaczyłem *ciebie*. Patrzyłaś na mnie, jakgdybyś chciała powiedzieć: — Możesz... musisz... — I poczułem się panem sytuacji. *Ty zwyciężyłaś, Emilko!*

To nie było taktowne posunięcie Perry'ego ze względu na obecność Ilzy, która pracowała nad nim godzinami całemi, męczyła się, zadawała sobie tyle trudu! Jej nie podziękował ani słowem, wszystko dla mnie, której jedyną zasługą było przyglądanie mu się z życzliwością podczas referatu.

— Perry, jesteś niewdzięcznym barbarzyńcą — rzekłam i zostawiłam go. Ilza była tak rozżalona, że wybuchnęła płaczem. Od tej pory nie rozmawia z nim, a ten grubjanin Perry nie rozumie dlaczego.

— O co jej chodzi? Podziękowałem jej za jej trud po ostatniej korepetycji — mówi.

Widocznie Millerowie mają uczucia równie ograniczone, jak ilość pokoleń.

21 lutego, 19...

Wczoraj byłyśmy zaproszone do pani Roggers, ciotka Ruth i ja, wraz z jej siostrą i jej szwagrem. Ciotka Ruth włożyła niedzielny kapelusz koronkowy i suknię z brązowego welwetu, którą spięła wielką owalną broszką-medaljonem, zawierającym włosy wuja Duttona. Ja włożyłam różową sukienkę i naszyjnik księżniczki Meny i poszłam na ten obiad, bardzo zgorączkowana, bo szwagier pani domu, pan Herbert, jest członkiem Ministerjum Kolonji i nieraz bywał na dworach królewskich. Jest on siwy, masywnie zbudowany i patrzy tak przenikliwie, że aż nieprzyjemnie. Bardzo

zajmująca głowa! Pani Roggers posadziła mnie obok siebie. Bałam się usta otworzyć, mogłam powiedzieć coś głupiego, bałam się, że „palnę”. Siedziałam więc cichutko, jak myszka i chciwie słuchałam. Pani Roggers powiedziała mi dzisiaj, że jej szwagier orzekł, gdyśmy odeszły:

— Ta mała Starrówna ze Srebrnego Nowiu jest najrozsądniejszą i najtaktowniejszą dziewczynką w tym wieku, jaką poznałem kiedykolwiek w życiu.

Taki wielki mąż stanu i nie uważa, że jestem potworem!

On był wspaniały: mądry, dowcipny, pełen humoru. Zdawało mi się, że piję jakieś wytrawne, upajające wino. Zapomniałam o obecności ciotki Ruth. Jakiem wielkim zdarzeniem jest spotkanie z takim człowiekiem, który przyczynia się do budowania gmachu mocarstwowego naszej ojczyzny!

Perry poszedł dziś na dworzec, aby spojrzeć chociaż na pana Herberta. Perry mówi, że będzie z czasem wielkim człowiekiem, jak pan Herbert. Ale... nie. Perry może (wierzę w to) zajść wysoko. Ale on będzie tylko zręcznym politykiem, a nie mężem stanu. Ilza o mało mnie nie zabiła, gdy jej to powiedziałam.

— Ja nienawidzę Perry'ego Millera — wybuchnęła — ale nienawidzę bardziej jeszcze snobizmu. A ty jesteś snobem, Emiljo Starr. Zdaje ci się, że ponieważ Perry nie pochodzi ze Srebrnego Nowiu, więc nie może zostać wielkim człowiekiem. Gdyby był jednym ze świętych Murrayów, możliwości jego byłyby nieograniczone według ciebie!

Uważałam, że Ilza niewłaściwie postępuje ze mną i podniosłam głowę do góry.

—Zgodzisz się ze mną — rzekłam, — że jest pewna różnica między Murrayami a ciotką Tamaszową.

17.

BRATNIE DUSZE.

Było po wpół do dziesiątej, Emilka stwierdziła z westchnieniem, że musi iść do łóżka. O wpół do dziesiątej wróciła od Alicji Kennedy, gdzie koleżanki szły razem przez całe popołudnie. Uzyskała pozwolenie od ciotki Ruth na odrabianie lekcji jeszcze przez godzinę. Ciotka Ruth przyjrzała jej się podejrzliwie, ale udzieliła pozwolenia, dodając liczne rady i wskazówki co do świec i zapałek. Emilka pilnie się uczyła przez 45 minut, a przez 15 pisała poemacik, który domagał się jeszcze wykończenia i poprawienia, ale Emilka, sumienna i uczciwa, zamknęła teczkę i postanowiła pójść spać, stosownie do przyrzeczenia, danego ciotce.

W tejże chwili przypomniała sobie, że pozostawiła swoją teczkę szkolną wraz z księgą Jimmy'ego w stołowym pokoju. To się nigdy nie zdarzyło dotychczas. To się zdarzyć nie mogło. Ciotka Ruth nie powinna nigdy przeczytać tej książki, gdzie jej charakterystyka była niekoniecznie dodatnia. A że ciotka wstała zrana wcześniej, niebezpieczeństwo było ogromne.

Emilka otworzyła drzwi bez szmeru i wyślizgnęła się ze swego pokoju. Schody trzeszczały tak, że umarły obudziłby się, ale ciotka Ruth nie obudziła się.

Emilka dotarła do jadalni, znalazła teczkę i miała wracać do swego pokoju, gdy wtem uwagę jej ściągnął list, leżący na stoliku pod oknem. Widocznie przyszedł po południu. Była to wąska, cienka koperta, zaadresowana do niej. W rogu widniała firma jednego z czasopism amerykańskich. Emilka postawiła świecę na stole, otworzyła kopertę i znalazła w niej podziękowanie za przyjęty przez redakcję utwór Emilji B. Starr, oraz czek na trzy dolary. Takie listy, a zwłaszcza czeki były jeszcze wciąż faktem wyjątkowym w życiu dziewczęcia, nic więc dziwnego, że wywierały na niej silne wrażenie. Zapomniała o ciotce Ruth, zapomniała, że zbliża się godzina jedenasta. Stała, jak wryta, czytając niezliczoną ilość razy ów list, och, jakież przemily list: „Pani prześliczny wierszyk”... „Chcielibyśmy poznać więcej utworów pani pióra”... doprawdy, chcieliby poznać ich więcej?

Emilka drgnęła. Czy ktoś puka do drzwi? Nie, do okna. Kto? Co? W tejże chwili zdała sobie sprawę, że Perry stoi na werandzie i patrzy na nią przez okno.

W mgnieniu oka była przy nim. Ożywiona swem powodzeniem literackim, rozradowana, otworzyła okno bez namysłu. Wiedziała, skąd Perry przychodzi i umierała z ciekawości. Tego wieczora był zaproszony na obiad do pana Hardy, do jego wykwintnego domu. Było to uważane za wielkie wyróżnienie, które spotykało bardzo nielicznych uczniów. Perry zawdzięczał zaproszenie swemu świetnemu przemówieniu w dyskusji międzyszkolnej. Dr. Hardy słyszał jego referat i doszedł do wniosku, że ten chłopiec ma przyszłość.

Perry był niezmiernie dumny z tego zaproszenia i radził się co do szczegółów Emilki i Tadzia. Ilzy nie

radził się w żadnej kwestji, bo ona jeszcze mu nie przebaczyła jego nietaktu po wieczorze dyskusyjnym. Emilka ucieszyła się, ale ostrzegała Perry'ego, żeby się miał na baczności. Bała się jego wybryków w stosunku do etykiety, ale Perry nie miał najmniejszych obaw. Wszystko będzie dobrze, oświadczył spokojnie. Teraz Perry wspiął się na parapet, a Emilka usiadła na sofie, zapowiadając sobie w duchu, że to tylko na minutę...

— Zobaczyłem światło w oknie, przechodząc — rzekł Perry — i pomyślałem, że zajrzę do ciebie. Chciałem ci opowiedzieć moje wrażenia „na gorąco”. Słuchaj, Emilko, miałaś słuszność, zupełną słuszność! Nie poszedłbym powtórnie na ten wieczór, nawet za sto dolarów.

— Co się stało — spytała Emilka, zaniepokojona. Czowała się odpowiedzialna za sposób postępowania Perry'ego. Przecież miał te manjery, których się nauczył w Srebrnym Nowiu.

Perry skrzywił się.

— Przykra historia.

— Niemniej chciałabym ją usłyszeć — rzekła Emilka chłodno.

Perry wzruszył ramionami.

— Powiem ci, jak to było, ale nie powtarzaj Tadziewi, ani Ilzie. Nie chcę, aby oni wyśmiewali się ze mnie. Poszedłem punktualnie do pana Hardy, pamiętałem, co mi powiedziałaś o czystości paznokci i chusteczce do nosa, o obuwiu i o marynarce. Wszystko było w porządku. Gdy wszedłem na schody, ogarnęło mnie uczucie lęku. Właściwie nie był to lęk, nie... cieszyłem się... byłem wzruszony... ale... trochę bałem

się jednak czegoś nieznanego... Pociągnąłem za dzwonek. Zaczął dzwonić jak szalony i nie przestawał. Słyszałem, jak w całym domu rozlegał się dźwięk tego dzwoneka i byłem w rozpacz: gotowi pomyśleć, że mam zwyczaj dzwonić, dopóki ktoś nie przyjdzie. Gdy służąca otworzyła drzwi, znowu byłem w kłopotcie: nie wiedziałem, czy mam jej dłoń uścisnąć, czy nie.

— Och, Perry!

— No, nie uczyniłem tego. Nigdy dotychczas nie bywałem w domu, gdzieby była służąca, cała na czarno, w białym czepku i w białych rękawiczkach.

Emilka odetchnęła z ulgą.

— Stała w otwartych drzwiach i czekała, żebym wszedł. Wszedłem. Nie wiedziałem, co się robi dalej. Byłbym z pewnością stał tak do jutra, ale pan Hardy wyszedł mi naprzeciw. *On podał mi rękę* i zaprowadził mnie do saloniku, ażeby mnie przedstawić żonie. Posadzka była śliska jak lód. Na progu salonu, poślizgnąłem się i nie zdołałem utrzymać równowagi: upadłem nogami naprzód, aż dotknąłem niemi pani Hardy, a raczej jej sukni. Ale leżałem na wznak, nie na żołądku, co mnie cieszyło, bo było mniej niegrzeczne.

Emilka nie mogła się śmiać.

— Och, *Perry!*

— Cóż chcesz, Emilko, to nie była moja wina. Żadna etykieta na świecie nie byłaby temu zapobiegła. Czułem się jak głupiec, ale wstałem ze śmiechem. Nikt inny się nie śmiał. Wszyscy zachowali się bardzo przyzwoicie. Pani Hardy była bardzo uprzejma, wyraziła nadzieję, że nic mi się nie stało, a dr. Hardy powiedział, że on sam poślizgnął się już niejedno-

krotnie w tem samym miejscu od czasu, kiedy stare, miłe dywany zastąpione zostały froterowanemi posadzkami. Ja bałem się już ruszać, żeby znów nie upaść, więc usiadłem na najbliższem krześle, na którem leżał Poker, pies pani Hardy. No, nie zabiłem go, nie patrz tak na mnie, a nawet z nas dwóch ja się wystraszyłem więcej, to fakt. Gdy siadałem na innem krześle, z czoła po... perspiracja mi się lała. Przybyło jeszcze kilka osób, któremi się zajęto, tak że miałem czas zebrać myśli. Miałem wrażenie, że posiadam, 10 par rąk i nóg. Buciki też miałem za duże: za szerokie. Gdy tak rozmyślałem, spostrzegłem, że trzymam ręce w kieszeniach i gwizdę.

Emilka już miała wykrzyknąć: „Och, Perry”, ale ugryzła się w język. Na cóż się zdadzą słowa i to spóźnione?

— Wiem, że to nie było dobrze, więc przestałem gwizdać i wyjąłem ręce z kieszeni. Zacząłem obgryzać paznokcie.

Wreszcie podłożyłem ręce pod siebie i siedziałem na nich. Nogi skrzyżowałem pod krzesłem i tak przesiadziałem aż do obiadu. Tak siedziałem, gdy otyła starsza pani weszła do salonu. Wszyscy inni mężczyźni wstali z miejsca. Ja nie wstałem, nie widziałem powodu. Krzesło było dosyć. Dopiero później mi zaświtało, że to jest widocznie jakaś reguła światowa i że powinienem był wstać również. Czy tak? ?

— Naturalnie — rzekła Emilka zmęczonym głosem. — Czy zapomniałeś, jak Ilza gniewała się o ten właśnie szczegół?

— Zapomniałem, Ilza stale się gniewała o coś. Ale życie jest najlepszym nauczycielem. Teraz już bę-

dę pamiętał. Było trzech czy czterech innych chłopców u pana Hardy, był nowy profesor francuskiego i paru bankierów i jeszcze kilka pań. Doszedłem do stołu bez wypadku i rzuciłem się na krzesło, stojące pomiędzy panną Hardy, a ową otyłą starszą panią. Spojrzałem na stół przede mną i tutaj dopiero zrozumiałem, Emilko, co to jest strach. Niczego bowiem podobnego nie widziałem. U was w Srebrnym Nowiu przestrzegano wielkiego stylu, gdyście mieli gości, ale ten przepych jaki tu ujrzałem, wydał mi się wręcz bajeczny. Ile szkła przepysznie rznętego, ile noży, widelców i łyżek najrozmaitszej wielkości! W moją serwetkę zawinięty był kawałek chleba, który wypadł i potoczył się z głośnym szmerem po podłodze. Czułem, że się czerwienię powyżej uszu. Ty nazywasz to „rumienieniem się”. Dotychczas nie rumieniłem się nigdy, o ile pamiętam. Nie wiedziałem, czy mam wstać i podnieść ten chleb, czy nie. Służąca przyniosła mi inny kawałek. Zupę jadłem niewłaściwą łyżką, ale przypomniałem sobie w porę, co twoja ciotka Laura mówi o sposobie jedzenia zupy i jadłem bardzo *cicho* przez parę chwil. Wtem zajęło mnie czyjeś opowiadanie i zacząłem *chlipać*.

— Czy przechyliłeś talerz, aby wyjść resztkę zupy? — spytała Emilka z rozpaczą.

— Nie. Miałem właśnie to uczynić, bo zupa była smaczna, gdy przypomniałem sobie nauki ciotki Laury. Ale żał mi było tej znakomitej zupy, a prztem byłem głodny. Stare pudło, siedzące przy mnie, przechyliło talerz i wyjadało resztki. Trudno! Jadłem bardzo przyzwoicie mięso i jarzynę, tylko raz jeden naładowałem furę mięsa i jarzyny na widelec, gdy

wtem spoczęły na mnie oczy pani Hardy. Przypomniałem sobie, że nie należy brać tyle naraz do ust i drgnąłem pod jej spojrzeniem, a zawartość widelca spadła mi na kolana, na serwetkę. Nie wiedziałem, czy etykieta każe mi to zebrać z kolan i położyć na talerzu, więc zostawiłem wszystko na serwetce. Pudding był dobry, ale jadłem go łyżką. Łyżką od zupy, a wszyscy dokoła jedli widelcem. Smakowało mi również dobrze, chociaż nie jadłem poprawnie według przepisów wielkoświatowych. W Srebrnym Nowiu zawsze jecie pudding widelcem!

— Dlaczego nie uważałeś, co robią inni i nie naśladowałeś ich?

— Zbyt byłem oszołomiony. Ale muszę ci powiedzieć, że kuchnia nie jest tam ani trochę lepsza, niż w Srebrnym Nowiu, a może nawet jest mniej dobra. Kuchnia twojej ciotki Elżbiety zaimponowałaby państwu Hardy, a przytem dają oni tak mało z każdej potrawy! Po obiedzie przeszliśmy do salonu i już było lepiej: zbiłem tylko jedną szybę w bibliotece, poza tem nic złego nie zrobiłem.

— Perry!

— Cóż! To było nieuniknione. Oparłem się o bibliotekę, rozmawiając z panem Hardy i widocznie za mocno się oparłem, bo wypchnąłem szybę. Zapomniałem języka w buzi po tem zdarzeniu. Ale gdy odzyskałem przytomność, mówiłem całkiem poprawnie i pamiętałem o twoich przestrogoch, aby nie używać gwary ludowej. Parę razy tylko użyłem jej, zanim zdażyłem cofnąć się i powiedzieć wyraz właściwy. Zdaje mi się też, że zanadto się przechwalałem. Czy ja się bardzo chwale, Emilko?

Do tej chwili nigdy nie nasunęło się Perry'emu to pytanie.

— Tak jest — odrzekła Emilka naiwnie. — A to jest bardzo źle widziane.

— Czułem się bardzo głupio, ile razy to mi się wymknęło. Iluż rzeczy muszę się nauczyć jeszcze, Emilko! Muszę kupić książkę o etykiecie światowej i nauczyć jej się napamięć. Takich wieczorów nie myślę przeżywać więcej. Pod koniec było lepiej: Jim Hardy zagrał ze mną partję szachów i przegrał sromotnie. W szachy gram według wszelkich prawideł, upewniam cię. A pani Hardy powiedziała, że mój referat był najlepszym, jaki kiedykolwiek wygłosił w jej obecności chłopiec w moim wieku. Jest ona bardzo wielką damą, chociaż jest mała, drobna i zna wybornie etykietę światową, Emilko! To też ja muszę ożenić się z tobą, Emilko, bo muszę mieć żonę rozumną i dobrze wychowaną.

— Nie mów niedorzeczności, Perry — rzekła Emilka wyniośle.

— To nie jest niedorzeczność — odrzekł Perry z uporem. — I czas już, żebyśmy coś postanowili. Nie powinnaś kręcić nosem na mnie, dlatego że pochodzisz z rodziny Murrayów. Zczasem godzien będę nawet Murrayówny. Chodź, podaj mi rękę i pomóż mi wydostać się z mojej nędzy.

Emilka podniosła się ze wzgardą. Jak każde dziewczę, marzyła niekiedy o miłości, ale w tych marzeniach nie było miejsca dla Perry'ego Millera.

— Nie jestem Murrayówną... idę na górę do mego pokoju. Dobranoc.

— Zaczekaj pół sekundy — zawołał Perry —

gdy na zegarze wybije jedenasta, ucałuję cię, jako moją przyszłą żonę.

Emilka ani przez chwilę nie sądziła, że Perry wykona to, co zapowiedział. Było to nieopatrzone z jej strony, bo Perry zawsze dotrzymywał słowa i przeprowadzał wszystko, co postanowił. Ale z drugiej strony — nigdy nie był dotychczas sentymentalny. Nie zważała więc na jego „obietnicę”, lecz zatrzymała się, aby mu zadać jeszcze jedno pytanie, dotyczące obiadu u państwa Hardy. Perry nie odpowiedział na jej pytanie: zegar zaczął bić jedenastą. Przeskoczył przez parapet i wszedł do pokoju. Emilka zbyt późno spostrzegła, że chłopiec uczyni to, czem zagroził. Zdażyła tylko schylić się i cmoknięcie Perry’ego (nie umiał niczego robić subtelnie!) padło na jej ucho, zamiast na policzek.

W chwili, kiedy Perry całował ucho Emilki, zdarzyły się dwie rzeczy jednocześnie: silniejszy podmuch wiatru zamknął z hałasem jedną połowę okna i zgasił świecę, stojącą na stole i w tejże minucie stanęła na progu ciotka Ruth z inną świecą w rękę, której ostre światło padło na tych dwoje, skamieniałych z przerażenia i wstydu.

W tem miejscu czuje sumienny biograf, że jego pióro nie jest na wysokości zadania.

Emilka i Perry stali nieruchomi na miejscu. Ciotka Ruth także. Ciotka Ruth była przygotowana, że zastanie Emilkę piszącą, gdyż już raz przed miesiącem zdybała na tem siostrzenicę, która w przystępie nocnego natchnienia, zeszła nadół do ogrzanej jadalni, aby tu wpisać kilkanaście z dań do księgi Jimmy’ego. Ale *to!* Muszę przyznać, że to wyglądało dziwnie.

Trudnoby nam przyszło ganić ciotkę Ruth za jej słuszne oburzenie.

Ciotka patrzyła na nieszczęsną parę.

— Co tu robisz? — zwróciła się do Perry'ego.

Siostrzeniec ciotki Tomaszowej popełnił błąd.

— Szukam kwadratury koła — odrzekł, patrząc na ciotkę Ruth zuchwale i niechętnie zarazem.

Bezczelność Perry'ego (tak ją nazwała w duchu ciotka Ruth i ja też uważam, że to było bezczelne) pogorszyła złą sprawę jeszcze bardziej. Ciotka Ruth zwróciła się do Emilki.

— Może ty mi zdołasz wytłumaczyć, jak się to stało, że jesteś tu o tej godzinie i całujesz w ciemnościach tego łobuza?

Emilka drgnęła na dźwięk tych wulgarnych słów, jakgdyby ciotka ją uderzyła. Zapomniała, jak dalece pozory usprawiedliwiały ciotkę Ruth. Dała się opanować duchowi przekory. Podniosła dumnie głowę.

— Nie odpowiadam na takie pytania, ciotko Ruth.

— Tak przypuszczałam.

Ciotka Ruth roześmiała się nieprzyjemnie, w śmiechu tym dźwięczała nuta triumfu. Tak, można było pomyśleć, że mimo całą jej irytację, coś radowało ciotkę Ruth. Cieszy nas, gdy stwierdzimy, żeśmy się nie mylili w sądzie o danym człowieku.

— Może zechcesz odpowiedzieć mi na inne pytanie. Jakim sposobem ten łobuz tu się dostał?

— Okno — rzucił Perry lakonicznie, widząc, że Emilka nie ma zamiaru odpowiedzieć.

— Nie pytam ciebie, mój panie. Wyjdź — rzekła ciotka Ruth rozkazująco, wskazując patetycznym gestem okno.

— Nie ruszę się ani krokiem z tego pokoju, zanim się nie dowiem, co pani ma zamiar zrobić z Emilką — odrzekł Perry z uporem w głosie.

— *Ja* — rzekła ciotka Ruth tonem wspaniałej wyniosłości — nie uczynię nic z Emilką.

— Mrs. Dutton, niech pani będzie dobrą kobietą — prosił Perry — to tylko moja wina, wyłącznie! Emilka nic złego nie zrobiła. Widzi pani, to było tak:

Ale Perry spóźnił się tym razem.

— Prosiłam moją siostrzenicę o wyjaśnienia, a ona mi ich odmówiła. Nie zgadzam się na słuchanie twoich.

— Ale... — obstawał Perry.

— Idź już, Perry — rzekła Emilka, która czuła nowe niebezpieczeństwo w powietrzu. Mówiła spokojnie, ale najbardziej Murrayowski ze wszystkich Murrayów nie byłby mógł spoglądać bardziej majestatycznie i rozkazująco. Perry nie śmiał stawić jej oporu. Wyskoczył przez okno i zniknął w ciemnościach. Ciotka Ruth podeszła ku oknu żywym krokiem i zamknęła je. Późem, nie patrząc w stronę Emilki, poszła na górę, powiewając połami czerwonego szlafroka.

Emilka nie zmrużyła oka tej nocy, zresztą nie zasłużyła na spoczynek, przyznając szczerze. Gdy gniew ją opuścił, ogarnął ją piekący wstyd. Zdała sobie sprawę, że postąpiła bardzo głupio, odmawiając wyjaśnień ciotce Ruth. Ciotka Ruth miała prawo zadawać jej pytania, skoro stanęła wobec tak niezwyklej sytuacji w swym własnym domu. Mogły pytania te być nieprzyjemne, niemniej ciotka Ruth miała prawo je stawiać, a nawet trudno było wymagać, żeby je zadawała w sposób przyjemny. Nie byłyby oczy-

wiecie uwierzyła w żadne wyjaśnienie. Ale Emilka nie byłaby się uwikłała w sytuację jeszcze bardziej skomplikowaną.

Emilka była przygotowana na to, że zostanie odsłana za karę do Srebrnego Nowiu. Ciotka Ruth nie zgodzi się na trzymanie w swoim domu tak źle wychowanej dziewczyny. Ciotka Elżbieta przyzna jej słuszność. Ciotka Laura będzie miała ciężkie zmartwienie. Czy lojalność kuzyna Jimmy'ego zniesie i tę próbę? Były to gorzkie horoskopy. Nic dziwnego, że Emilka nie spała tej nocy. Była tak nieszczęśliwa, że bolało ją każde uderzenie serca. Lecz powtarzam, że zasłużyła na to. Nie mam dla niej ani słowa współczucia, lub tłumaczenia.

18.

PRZYPADKOWA OCZYWISTOŚĆ.

W sobotę zrana zachowała ciotka Ruth przy pierwszym śniadaniu grobowe milczenie. Uśmiechała się tylko okrutnie, smarując masłem swe grzanki. Każdy mógłby się zorientować, że ciotka Ruth jest zadowolona, a z równą pewnością byłby stwierdził, że Emilka jest bardzo zmartwiona. Ciotka Ruth podała Emilce grzanki i marmeladę z wyszukaną, zabójczą grzecznością.

Po śniadaniu wstała ciotka Ruth i poszła do telefonu. Emilka przypuszczała, że będzie telefonować do dra Burnleya, aby ten przesłał wieści o Shrewsbury do Srebrnego Nowiu. Przypuszczała, że ciotka Ruth

każe jej spakować rzeczy. Ale ciotka wciąż zachowywała uroczyście milczenie. Po południu przyjechał kuzyn Jimmy. Ciotka Ruth wyszła do sieni i konferowała z nim przez dłuższą chwilę. Wróciwszy do pokoju, przerwała wreszcie ciszę.

— Ubierz się — rzekła — jedziemy do Srebrnego Nowiu.

Emilka usłuchała w milczeniu. Zajęła przednie miejsce, a ciotka Ruth i kuzyn Jimmy siedzieli obok siebie. Kuzyn Jimmy patrzył na Emilkę z ponad swego kołnierza futrzanego i mówił: „Hallo, kurczątko” ze zbyt wyraźnym odcieniem pociechy. Kuzyn Jimmy był najwidoczniej pewien, że zdarzyło się coś bardzo doniosłego, chociaż nie wiedział, co.

Nie była to miła przejażdżka. Przybycie do Srebrnego Nowiu również nie było wesołe. Ciotka Elżbieta wyglądała surowo, ciotka Laura miała wyłknięiony wyraz twarzy.

— Przywiozłam tutaj Emilkę — rzekła ciotka Ruth — ponieważ nie czuję się na siłach walczyć z nią sama. Ty, Lauro, i ty, Elżbieto, musicie osądzić jej postępowanie.

A zatem stawiają Emilkę przed trybunałem rodzinnym? Czy ten trybunał doprawdy wymierzy sprawiedliwość oskarżonej? Czy też będzie to wielka niesprawiedliwość, krzywda? Emilka postanowiła walczyć, skoro o walce mowa. Odrzuciła głowę wtył i zarumieniła się.

Siedzieli wszyscy zgromadzeni w saloniku, gdy Emilka zeszała ze swego pokoju, dokąd poszła, aby zdjąć płaszcz. Ciotka Elżbieta zajęła miejsce przy stole. Ciotka Laura wtuliła się w kąt kanapy, bliska płaczu.

Ciotka Ruth stała przy kominku, niczem prokurator. Kuzyn Jimmy, zamiast pójść do stodoły, jak to było jego obowiązkiem, stanął w pobliżu drzwi, ażeby, podobnie jak Perry, zobaczyć, co się dzieje z Emilką, co z nią „zrobią”. Ruth była zakłopotana. Byłaby wolała, żeby Elżbieta nie dopuszczała stale Jimmy’ego do wszelkich kwestyj rodzinnych. Przecież trudno przypuszczać, aby takie dorosłe dziecko, jak Jimmy, mogło mieć trzeźwy sąd o rzeczach.

Emilka nie usiadła. Stała przy oknie.

— No — odezwał się kuzyn Jimmy — zaczynajcie i niech się to skończy. Emilka jest niezawodnie głodna. Należy jej się kolacja.

— Gdybyś wiedział o niej to, co ja wiem, powiedziałbyś również, że należy jej się coś jeszcze oprócz kolacji — rzekła cierpko pani Dutton.

— Wiem o Emilce wszystko, co jest o niej do wiedzenia — odparł kuzyn Jimmy.

— Jimmy Murrayu, jesteś głupcem — rzekła ostro ciotka Ruth.

— Możliwe, jesteśmy bliskim kuzynostwem — odparł kuzyn Jimmy uprzejmie.

— Jimmy, cicho bądź — rzekła Elżbieta, majestatycznie. — Ruth, powiedz nam, co masz do powiedzenia.

Ciotka Ruth opowiedziała całą historję. Trzymała się ściśle faktów, ale jej sposób opowiadania czernił wszystko, chociaż nie przeinaczał. Przyczyniła się istotnie do przedstawienia Emilki w nader niekorzystnym świetle, a Emilka drżała, słuchając. W miarę tego opowiadania, twarz ciotki Elżbiety stawała się coraz

twardsza, ciotka Laura zaczęła płakać, a kuzyn Jimmy zaczął pogwizdywać.

— Całował ją w szyję — zakończyła ciotka Ruth. Ton jej mówił jasno, że źle jest całować się w miejsca przeznaczone do tego celu, ale że jest stokroć skandaliczejszą rzeczą, całować kogoś w szyję.

— Nie w szyję, tylko w ucho — szepnęła Emilka, krzywiąc się mimowoli.

— A teraz pytam ciebie — rzekła ciotka Ruth, wyciągając rękę ku ciotce Elżbiecie — czy możesz się spodziewać, że będę trzymać w moim domu taką dziewczynę?

— Nie, nie mogę, istotnie — rzekła Elżbieta powoli.

Ciotka Laura zaczęła głośno szlochać. Kuzyn Jimmy postąpił o kilka kroków naprzód.

Emilka odeszła od okna i spojrzała pokolei na wszystkich.

— Ja wyjaśnię, co się stało, ciotko Elżbieto.

— Zdaje mi się, że usłyszeliśmy dosyć o tej sprawie — rzekła Elżbieta lodowato. W duszy jej był wielki żal: taka już była dumna z Emilki, tak serdecznie ją polubiła na swój Murrayowski sposób, wstrzeмиęźliwy w objawy. A tutaj, taki cios! Ciotka Elżbieta tem bardziej była niemiłosierna: zanadto cierpiała.

— Nie, to nie wystarczy, ciotko Elżbieto — rzekła Emilka spokojnie. — Zbyt duża jestem, aby mnie tak traktować. Musisz wysłuchać drugiej strony, czyli mnie.

W twarzy jej było Murrayowskie spojrzenie. Elżbieta знаła je dobrze. Zawahała się.

— Miałaś możność tłumaczenia się zeszłej nocy — syknęła ciotka Ruth. — Odmówiłaś wyjaśnień.

— Bo byłam urażona i wiedziałam, że mi nie uwierzysz.

— Byłabym ci uwierzyła, gdybyś była powiedziała prawdę. Tylko na zawołanie nie przyszły ci do głowy różne wybiegi, któremi chcesz teraz poczęstować ciotki i kuzyna Jimmy'ego. Miałaś czas je przygotować.

— Czy kiedykolwiek zdybałaś Emilkę na kłamstwie? — spytał kuzyn Jimmy.

Pani Dutton otworzyła usta i miała już rzec: „tak”, ale zamknęła je znowu. A nuż Jimmy zażąda konkretnego przykładu? Pewna była, że Emilka przeważnie „zmyślała”, ale nie miała na to dowodów.

— Czy przyłapałaś ją na kłamstwie? — nalegał Jimmy.

— Nie poto przybyłam, aby słuchać twoich moralów. Ciotka Ruth wykręciła się plecami do Jimmy'ego. — Elżbieto, zawsze ci mówiłam, że ta dziewczyna jest przebiegła i podstępna, czy nie?

— Tak — przyznała biedna Elżbieta, wdzięczna, że przynajmniej na to jedno pytanie może odpowiedzieć twierdząco bez przykrości. — Mówiłaś to stale.

— Czyż nie miałam słuszności?

— Obawiam się, że tak.

Był to gorzki moment dla Elżbiety Murray.

— A zatem decyduj ty, co mamy zrobić — rzekła Ruth z triumfem.

— Jeszcze nie — przerwał Jimmy stanowczo. — Nie pozwoliłaś Emilce wytłumaczyć nam, co się sta-

ło. To nie byłby sprawiedliwy sąd. Teraz dajcie jej mówić przez 10 minut, nie przerywając jej waszemi uwagami.

— To będzie jedyne szlachetne rozwiązanie tej sprawy — rzekła nagle Elżbieta, w którą wstąpiła szalona nadzieja, że może Emilka zdoła się oczyścić z zarzutów.

— No, dobrze... — rzekła niechętnie pani Dutton i usiadła pod portretem Archibalda Murraya.

— Powiedz, Emilko, co zaszło — prosił Jimmy.

— Słowo daję! — zawołała ciotka Ruth. — Czy sądzisz, że ja ci nie powiedziałam, co zaszło, że ja nie mówię prawdy?

Kuzyn Jimmy podniósł dłoń do góry.

— Chodź, kurczątko. Na ciebie kolej.

Emilka opowiedziała wszystko od początku do końca. Troje słuchaczy uwierzyło jej i widziało logiczny związek wydarzeń. Nawet ciotka Ruth w głębi serca wiedziała, że Emilka mówi prawdę, ale nie chciała tego przyznać.

— Bardzo pomysłowa historja, istotnie — rzekła ironicznie.

Kuzyn Jimmy wstał i przeszedł przez pokój. Pochylił się nad panią Dutton.

— Ruth Murray — rzekł — czy pamiętasz, co mówiono przed 40 laty o tobie i o Fredzie Blair? Pamiętasz?

Ciotka Ruth odsunęła się wtył. Kuzyn Jimmy nacierał.

— Czy pamiętasz, że ciebie zdybano w sytuacji nie mniej „skandalicznej”, jak obecna, wcale zresz-

tą nie-skandaliczna w moich oczach. Czy pamiętasz to?

Ruth znowu się cofnęła. Kuzyn Jimmy znów postąpił za nią.

— Czy pamiętasz, jaka byłaś oburzona, bo ludzie nie chcieli ci wierzyć? Ale twój ojciec uwierzył ci, miał zaufanie do swojej krwi. Czy tak?

Ciotka Ruth była dosłownie przyparta do muru i już się cofać dalej nie mogła.

— Pamiętam dobrze — rzekła lakonicznie.

Była zaczerwieniona. Emilka przyglądała jej się z zainteresowaniem. Czyżby ciotka Ruth umiała się rumienić? Ruth Dutton przeżyła w przeszłości kilka ciężkich miesięcy. Gdy miała lat 18, również były przeciw niej różne pozory. A była niewinna, zupełnie niewinna, bynajmniej nie miała zamiaru uciekać z nikim tak, jak to uczyniła matka Emilki. Była ofiarą fatalnego zbiegu okoliczności. Ojciec jej uwierzył i cała rodzina przyjęła ją napowrót na swoje łono. Ruth Dutton zdrzała, na wspomnienie cierpień, które przebyła. Nie śmiała dłużej wątpić o Emilce, ale nie chciała skapitulować w miły sposób.

— Jimmy — rzekła ostro — czy zechcesz odejść ode mnie i usiąść? Przypuśćmy, że Emilka mówi prawdę. Jaka szkoda, że nie powiedziała tej prawdy od razu, że tak długo ją tała. Pewna jestem, że ten łobuz kocha się w niej.

— Nie, on tylko poprosił mnie o moją rękę — rzekła Emilka chłodno.

Trzy wykrzykniki. Przemówić zdołała tylko jedna ciotka Ruth.

— Czy masz zamiar mu ją oddać?

— Nie. Odmówiłam mu najmniej dwanaście razy.

— No, dobrze, że masz tyle rozsądku. Siostrzeniec Tomaszowej!

— Siostrzeniec Tomaszowej, albo nie, to nie ma nic do rzeczy. Za lat 10 będzie Perry Miller człowiekiem, którego prośba o rękę uszczęśliwi nawet Murrayównę, o ile chodzi o zaszczyt z punktu widzenia socjalnego. Ale przypadkowo nie odpowiada mi ten typ chłopca. Nie takiego pragnę męża.

Czy to może być Emilka, ta wysoka młoda kobieta, która zimno rozważa przyczyny odrzucenia oświadczyń o jej rękę i mówi o „typie” chłopca, który jej nie odpowiada? Elżbieta, Laura, a nawet Ruth patrzyły na nią, jakby jej nigdy przedtem nie widziały. W oczach ich był wyraz szacunku, nowy u nich wyraz w stosunku do Emilki. Wiedziały one o istnieniu Andrzeja, pamiętały o nim. Ale zanim Andrzej się oświadczy! Zanim Emilka dorośnie! A tu nagle, dowiadują się, że fakt oświadczyń już się zdarzył i to 12 razy! Nieświadomie przestały w tejże chwili uważać Emilkę za dziecko. Sąd rodzinny nad tą panienką był już czemś nieodpowiednim w tej chwili. Czuły to, chociaż nie uprzytomniły sobie, że tak myślały. Najlepszym tego dowodem była uwaga ciotki Ruth. Przemówiła do niej tak, jakby była mówiła do Laury, lub do Elżbiety.

— A wyobraź sobie, Emilko, gdyby tak ktoś był widział Perry'ego Millera, siedzącego na oknie o tej godzinie?

— Naturalnie, doskonale pojmuję twój punkt widzenia, ciotko Ruth. Chcę tylko, żebyś ty pojęła

mój również. Postąpiłam głupio, otwierając okno i rozmawiając z Perrym, uznając to obecnie. Ale nie myślałam poprostu, że będziemy tak siedzieli dłużej, niż minutę, a byłam ogromnie ciekawa, co zaszło u pana Hardy. No, i zapomniałam o czasie, a minuty mijały...

— Więc Perry Miller był na obiedzie u państwa Hardy? — spytała ciotka Elżbieta. Murrayowski świat przewracał się do góry nogami! Siostrzeniec ciotki Tomaszowej bywa przy ulicy Królewskiej w Shrewsbury! W tejsze chwili przypomniała sobie ze zgrozą ciotka Ruth, że Perry Miller widział ją owego wieczora w czerwonym flanelowym szlafroku. Dawniej nie byłoby to odgrywało roli, był tylko plebejuszem, ale teraz był gościem pana Hardy...

— Tak. Pan Hardy uważa, że spisał się on pierwszorzędnie w dyskusji i mówi, że on ma wielką przyszołość — rzekła Emilka.

— Dobrze — syknęła ciotka Ruth — ale zaznaczam niemniej, że pragnę, abyś przestała wędrować nocą po moim domu w celu pisania powieści. Gdybyś była w łóżku, jak przystało na dobrze wychowaną panienkę, wszystko to nie byłoby się nigdy zdarzyło.

— Nie pisałam powieści — zawołała Emilka. — Nigdy nie napisałam ani jednego słowa wysnutego z fantazji od czasu, gdy przyrzekłam ciotce Elżbiecie, że będę pisać tylko prawdę, albo *nic*. Mówiłam wszakże, że zesłam nadół tylko po moją księgę od kuzyna Jimmy'ego.

— Dlaczegoż nie mogła tam przeleżeć do rana? — nalegała ciotka Ruth.

— Zostawmy te próżne dociekania — odezwał się kuzyn Jimmy. — Jestem głodny. Zajmijcie się kolacją, kobiety.

Elżbieta i Laura opuściły salonik tak posłusznie, jakgdyby rozkaz pochodził od samego Archibalda Murraya. Po chwili Ruth poszła za nimi. Cały ten obrót rzeczy był dla niej niespodziewany, ale była zrezygowana. Przynajmniej uniknęło się skandalu rodzinnego.

— Sprawa załatwiona — rzekł kuzyn Jimmy do Emilki, gdy drzwi się zamknęły za wszystkimi ciotkami.

Emilka westchnęła. Stary, uroczysty salon wydał jej się nagle piękny i przytulny.

— Tak, dzięki tobie — rzekła, rzucając się ku niemu i ściskając go serdecznie. — A teraz nawymyślaj mi, kuzynie Jimmy, nawymyślaj mi *porządnie*.

— Nie, nie. Ale ostrożniej byłoby nie otwierać okna w nocy, prawda, kurczątko?

— Naturalnie. Lecz ostrożność jest najnudniejszą z wszystkich cnót, kuzynie Jimmy. Człowiek wstydzi się jej niekiedy, chce stawić czoło niebezpieczeństwu naprzekór wszelkiej ostrożności i... i...

— I ponosi konsekwencje — dokończył kuzyn Jimmy.

— Otóż to właśnie — roześmiała się Emilka. — Nie lubię iść przez życie z głową wtuloną w ramiona, rozglądając się dokoła, czy mnie ktoś nie obserwuje. Postępuję uczciwie i nie myślę o ludzkich językach. Nie było w tem nic złego, żeśmy rozmawiali z Perrym przez okno. A że chciał mnie pocałować, to też nic złego. To było z jego strony przekomarzanie się ze

mną. Och, nienawidzę konwenansów. Jak słusznie mówisz, ponoszę konsekwencje tej nienawiści.

— Ale niezawsze możemy podźwignąć ich ciężar, kurczątko, w tem rzecz cała. Gdybyś wyszła zczasem zamąż, maleńka, i miała córkę, którą zastałabyś w nocy na takiej rozmowie z młodzieńcem, jak twoja z Perrym, gdybyś ty była na miejscu ciotki Ruth, czy byłabyś zadowolona? Czy podobałoby ci się to? Powiedz szczerze?

Emilka zamyśliła się.

— Nie, nie byłabym zadowolona — rzekła — ale dlatego, że nie wiedziałabym, o co chodzi.

Kuzyn Jimmy zachichotał.

— Otóż to właśnie, kurczątko. Inni ludzie nie *wiedzą*, nie mogą wiedzieć. Dlatego musimy się liczyć z pozorami. Ja jestem tylko głupim Jimmy Murrayem; ale wiem, jak bardzo musimy liczyć się z językami ludzkimi i z naszym postępowaniem. Kurczątko, na kolację będą przysmażane kartofelki.

Z kuchni dochodził w tejże chwili zapach jadła, domowy, dobrze znany zapach smażenia i gotowania, nie mający nic wspólnego z kompromitującymi sytuacjami i sądami familijnymi. Emilka powtórnie uściśnęła kuzyna Jimmy.

— Wolę obiad, złożony z ziół i trawy, w towarzystwie kuzyna Jimmy, niż najlepsze przysmażane kartofelki w towarzystwie ciotki Ruth — rzekła.

GŁOSY.

3 kwietnia 19....

„Czasami wierzę nieomal we wpływ złych gwiazd na nasze życie albo też w tak zwane dnie feralne. W przeciwnym razie, jakże mogą się zdarzać ludziom dobrej woli takie zdarzenia iście szatańskie? Ciotka Ruth nie zdążyła jeszcze ochłonąć z oburzenia po mojej przygodzie z Perrym, a już znowu uwikłana jestem w śmieszłą historję.

Muszę być uczciwa. Nie jest to, co zaszło, winą mojej parasolki, która upadła na ziemię, ani lustra, które zbiłam w Srebrnym Nowiu ubiegłej soboty, nie, to tylko moja własna wina.

Od Nowego Roku zwolniło się stanowisko pastora przy kościele Św. Jana w Shrewsbury. Przyjeżdżali kandydaci i słuchaliśmy ich kazań. Pan Towers z „Czasu” poprosił mnie o sprawozdania z tych kazań. Miałam je pisywać co druga niedziela, czyli wtedy, kiedy nie jeżdżę do Czarnowody. Pierwsze kazanie było dobre, z przyjemnością o niem napisałam. Drugie było żadne, napisałam o niem bez trudu kilka słów obojętnych. Ale trzecie było wręcz śmieszne. Powiedziałam to ciotce Ruth, wracając z kościoła do domu, a ciotka Ruth odrzekła:

— Czy sądzisz, że ty jesteś kompetentnym krytykiem kazania kościelnego?

— Tak, z pewnością!

To kazanie było niezmiernie łahe. A przytem pan Wickham przeczył samemu sobie kilkanaście razy zrzędu. Pomieszał metafory, przypisywał Św. Pawłowi, to co jest własnością Szekspira, popełnił niemal wszystkie grzechy literackie, między innymi ten, że był zabójczo nudny. Niemniej musiałam napisać sprawozdanie i z tego kazania, więc wywiązałam się z mego obowiązku. Dla własnej satysfakcji napisałam analizę kazania. Było to rozkoszne zajęcie. Wykazałam wszystkie nielogiczności, słabą argumentację, niepewność sądu. Pisząc to, cieszyłam się, och, była to bardzo cięta i zjadliwa satyra, przyznaję, iście szatański artykuł.

Oczywiście napisałam to dla siebie, a potem dopiero zredagowałam sprawozdanie obiektywne, niezbyt dodatnie, ale też i niezbyt ujemne. Po tamtej analizie, która sprawiła mi taką przyjemność, przyszło mi to już łatwiej, gdyż wyładowałam z siebie cały gniew, cały *jad*, poruszony tem niemądrem kazaniem.

No, i przez pomyłkę wręczyłam „Czasowi” ową złośliwą krytykę!

Pan Towers oddał ją zecerowi, nie czytając, co napisałam. Ma zaufanie do mojej pracy, a raczej miał je, bo teraz już nigdy go nie odzyskam. Nazajutrz wyszedł z druku numer „Czasu”, zawierający mój artykuł.

Gdy się obudziłam, dowiedziałam się, że jestem ogólnie potępiona.

Pan Towers nie jest oburzony. Jest tylko zakłopotany i trochę ubawiony. Jest on Presbiterjaninem, więc nikt nie pomyśli, że chciał obrazić własną religję,

a pan Wickham nie jest tutejszym pastorem i nikogo tu nie obchodzi. Niemniej cały ciężar oburzenia spada na biedną Emilję B. Większość myśli, że zrobiłam to „ażeby się pokazać”. Ciotka Ruth jest rozwścieczona. Ciotka Elżbieta jest głęboko dotknięta, ciotka Laura jest zmartwiona, a kuzyn Jimmy zaniepokojony. Nie wolno krytykować pastora i jego kazania, istny skandal! Według Murrayowskiej tradycji kazania religijne wogóle, a kazania presbiterjańskie w szczególności, są rzeczą świętą. Moja zarozumiałość i próżność staną się przyczyną mej zagłady, oznajmiła mi zimno ciotka Elżbieta. Jediną osobą najwyraźniej zadowoloną jest pan Carpenter. (Dean jest jeszcze w New-Yorku. On teżby się cieszył, wiem). Pan Carpenter opowiada każdemu, że to moje sprawozdanie jest najlepszym artykułem tego rodzaju, jaki czytał kiedykolwiek. Ale na panu Carpenterze ciąży posądzenie, że jest heretykiem, tak że jego opinia nie rehabilituje mnie, przeciwnie.

Bardzo przykrą mi jest ta sprawa. Zawsze przychodzi mi odpokutować ciężiej moje pomyłki, niż moje grzechy. A jednak, jakiś cyniczny chochlik, gdzieś, het! na dnie duszy mojej, śmieje się urągliwie i jest uradowany. W tem słośliwym sprawozdaniu każde słowo jest prawdą. I nietylko prawdą: każde jest właściwie zastosowane. Ja nie pomieszałam metafor...

I to minie...

20 kwietnia 19...

Dzisiaj poszłam do Krainy Wyżyn, śpiewając. Czuć już wiosnę w powietrzu, więc jestem cała radością, o niczem innem nie myślę.

Zrana było pochmurno i dżdżysto, ale po południu rozbłysło słońce.

Usłyszałam nagle w powietrzu tysiące głosów, rozbrzmiewających radośnie, triumfująco. Było to zwycięstwo wiosny, które aniołowie zwiastowali światu, zmęczonemu długą, ponurą zimą. Weszłam więc na szczyt wzgórza, ażeby być bliżej nieba i lepiej słyszeć głosy anielskie. Zagłuszył je niebawem śpiew Królowej Wichrów. Nów księżycowy, jeden z trzynastu, jakie oglądamy w ciągu roku, zawisł nad moim ulubionym świerkiem. Stałam tam, zapatrzona, wsłuchana w tajemnicze dźwięki budzącej się do życia przyrody kwietniowej i czułam, że świat należy do mnie.

Miałam zaledwie 75 centów w kieszeni i te stanowiły cały mój majątek w danej chwili, ale przecież raj nie kupuje się za pieniądze.

Usiadłam wreszcie na ziemi i usiłowałam oddać ten nastrój wierszem. Zdaje mi się, że brzmi to całkiem dobrze, ale że duszy tego momentu nie zdołałam wyrazić tak, jakbym chciała. To takie trudne!

Było już zupełnie ciemno, gdy schodziłam z Krainy Wyżyn, byłabym najchętniej pobiegła pędem do domu, gdybym była śmiała. Ogarniał mnie lęk, tak ponurym wydał mi się nagle świat otaczający. Drzewa, moi starzy przyjaciele, stały się nagle obce i wrogie. Nie było już słyhać cudnych, radosnych dźwięków, które jeszcze za dnia wywabiły mnie z domu na wzgórze. Zdawało mi się, że otoczyło mnie grono niewidzialnych upiorów, że słyszę szelest ich kroków, powiew ich szat... Drżałam. Gdy się znalazłam w obrębie domu ciotki Ruth, doznałam wrażenia, że uciek-

łam przed wielkiem niebezpieczeństwem, że wydos-
tałam się z krainy pogan i satyrów. Nie sędzę, aby lasy
były całkiem chrześcijańskie o zmroku. Zawsze w nich
coś żyje, co nie śmie się pokazywać słońcu, co knuje
spiski z czarną nocą.

— Nie powinnaś wychodzić, skoro tak kaszlesz —
rzekła ciotka Ruth.

Ale mnie nie skrzywdził chłód, ani wilgoć. A
skrzywdzona, zboleła, byłam istotnie. Przyczyną był ten
niesłyszalny poszept jakiejś złej mocy. Bałam się te-
go, a zarazem kochałam ten zew tajemniczy. Piękno,
które mi się objawiło na szczycie wzgórza, stało się
nagle całkiem znikome, zbladło wobec tego odczu-
wania. Usiadłam w moim pokoju i napisałam drugi
utwór poetycki. Gdy był gotów, wiedziałam, że odczaro-
wałam coś w sobie i Emilka - w - Zwierciadle przesta-
ła mi być obcą.

.....

Ciotka Ruth przyniosła mi przed chwilą szklan-
kę gorącego mleka z pieprzem, jako środek leczniczy
na kaszel. Muszę wypić mleko z pieprzem. Raj i
piekło wydają mi się oba w tym momencie głupiem
urojeniem!

25 maja 19...

Dean wrócił z New-Yorku w zeszły piątek. Dzi-
siał wieczorem przechadzaliśmy się w Srebrnym No-
wiu, rozmawiając. Miałam na sobie jasną suknię.
Dean rzekł:

— Kiedy zobaczyłem cię zdaleka, schodząc ze
wzgórza, myślałem odrazu, że jest to drzewko, jak to

oto — tu wskazał na krzak białego kwiecica, rosnący w gajku Wysokiego Jana.

Było to takie cudne być porównaną do prześlicznego drzewka! Ucieszyłam się i zaczęłam się podobać samej sobie. Wieczór był ciepły, miły, tak było dobrze mieć kochanego Deana znów przy sobie.

— W twojem towarzystwie jest coś — mówił Dean — co sprawia, że gwiazdy wydają się bardziej gwiaździste, a piwonje czerwieńsze.

Czy to nie jest ładnie powiedziane? Jak się to dzieje, że on ma o mnie takie pojęcie, a ciotka Ruth takie odmienne?

Nióśł coś pod pachą, jakiś niewielki kwadrat. Wręczył mi go na pożegnanie.

— Przyniosłem ci to, żeby zrównoważyć umierającego lorda Byrona.

Była to reprodukcja „Portretu Giovanny Degli Albizzi, żony Wawrzyńca Tornabuoni Ghirlanjo”, damy z czternastego wieku. Zawiozłam ten obrazek do Shrewsbury i zawiesiłam w moim pokoju. Jest to piękna postać młodej, smukłej kobiety o złotych lokach i ślicznym, subtelnym profilu, o śnieżnej szyi, o wyrazie nieuchwytej żalości w oczach... Giovanna umarła młodo.

Suknia jej, rękawy, aksamit, wszystko to jest wykonane znakomicie. Giovanna miała widocznie pierwszorzędną krawcową, a chociaż wygląda jak święta, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że zdawała sobie z tego sprawę z niejakim zadowoleniem. Ciągłe pragnę, żeby zechciała zwrócić się do mnie twarzą i pokazać mi całe swe oblicze.

Ciotka Ruth uważa, że ona wygląda dziwnie;

ciotka najwyraźniej wątpi, czy wypada, żeby ta młoda kobieta znajdowała się w tym samym pokoju, co surowa, zdobna w klejnoty dynastyczne, królowa Aleksandra.

I ja mam wątpliwości co do tego...

10 czerwca 19...

Uczę się teraz stale w Krainie Wyżyn wśród tych cudnych, wysokich, strzelistych drzew. Jestem kapłanką lasów, spoglądam na drzewa nie tylko z umiłowaniem — z uwielbieniem.

Drzewa, podobnie jak niektórzy ludzie, zyskują na bliższej znajomości. Żeby je najgoręcej miłować z początku, pewnym być można, że się je pokocha znacznie więcej w miarę jak lata mijają, jak poznajemy ich cechy i właściwości, jak przeżywamy razem z nimi zmianę pór roku. O tych kochanych drzewach Krainy Wyżyn wiem tysiące rzeczy, których nie wiedziałam, gdy tu przybyłam przed dwoma laty.

Drzewa mają indywidualność w niemniejszym stopniu niż ludzie. Niema dwóch jednakowych świerków. Zawsze jest jakaś gałązka, jakieś pęknięcie kory, jakieś wygięcie, które wyróżnia dane drzewo z pośród jego towarzyszy. Niektóre drzewa lubią rosnąć gromadnie, są towarzyskie, gałęzie mają splecione w uścisku, podobnie jak Ilza i ja — ramiona; podobnie jak my szepczą sobie w nieskończoność tajemnice. A inne są dumne, trzymają się oddzielnie, podobnie jak Murrayowie; są też zdecydowani samotnicy, którzy nie zadają się z nikim, oprócz wichru i nieba. Ale te drzewa są przeważnie najbardziej godne poznania. Człowiek dumniejszy jest z zażyłości z niemi, kiedy nare-

szcie zdobędzie ich łaskę, niż ze względów, jakimi od razu go darzą przystępniejsze drzewa. Dzisiaj spostrzegłam nagle wielką gwiazdę, zawieszoną nad świerkiem przed mojem oknem. Doznałam dziwnego uczucia na widok tych dwóch majestatów, spotykających się w przestworzach. Ta gwiazda i ten obraz przyświecać mi będą stale i opromienią bodaj monotonię szkolną, zmywanie statków, a nawet sprzątanie sobotnie u ciotki Ruth.

25 czerwca 19...

Dzisiaj zdawaliśmy egzamin z historji, z epoki Tudorów. Bardzo mnie to zajmuje, ale bardziej to, czego niema w tych zdarzeniach, niż to, co w nich jest. Historycy nie mówią nam tego, co naprawdę chcielibyśmy wiedzieć. O czym myślała Jane Seymour, gdy się obudziła w ciemnościach? Czy o zamordowanej Annie, czy o bladej, opuszczonej Katarzynie? Czy też o swym nowym naszyjniku? Czy przyszło jej kiedykolwiek do głowy, że zbyt drogo okupiła koronę, czy też była zadowolona z interesu, jaki zrobiła? A czy była szczęśliwa po przyjściu na świat swego synka, czy też widziała oczami duszy szeregi upiorów, cisnące się ku niej z pogroźką na ustach? Czy lady Jane Grey była istotnie uprzejma dla wszystkich swych znajomych, czy też miewała chwile gniewu i uniesienia? Co też myślała o Szekspirze jego własna żona? Czy istniał mężczyzna, któryby kochał się kiedykolwiek w królowej Elżbiecie? Stale zadaję sobie takie pytania podczas studjów, kiedy przerzucam kartki podręcznika, odmalowującego nam królów i królowe, jako konwencjonalne marjonetki.

7 lipca. 19...

Dwa lata studjów w Wyższej Szkole minęły. Rezultat moich egzaminów wypadł nawet po myśli ciotki Ruth, która raczyła mi oznajmić, że zawsze wierzyła w moje zdolności, tylko nie wiedziała czy potrafię pracować. Jestem pierwszą w mojej klasie. Cieszy mnie to. Ale zaczynam rozumieć, co Dean miał na myśli, mówiąc, że prawdziwe wykształcenie mierzy się sumą naszych przeżyć. Głównem zbogaceniem wiedzy były moje wędrówki do Krainy Wyżyn, noc, spędzona na stogu siana, Giovanna, stara kobieta, która dała klapsa królowi, moje usiłowania pisania tylko prawdy i tym podobne rzeczy. Nawet utarczki z Eweliną i jej nienawiść nauczyły mnie czegoś. Skoro już o niej mowa: nie zdała egzaminu i musi pozostać na następnym roku w lasie senjorów. Żal mi jej szczerze.

To brzmi, jakgdybym była ząca, przebaczącą naturą. Bądźmy zupełnie uczciwi. Żałuję, że nie zdała egzaminu dlatego głównie, że w przeciwnym razie nie byłoby jej w szkole w roku przyszłym.

20 lipca 19...

Ilza i ja chodzimy teraz codzień do kąpieli. Ciotka Laura pilnuje, czy mamy z sobą kostjumy kąpielowe. Ciekawa jestem, czy doszły jej uszu słuchy o naszej kąpieli bez kostjumów.

Życie jest piękne, piękne, piękne. *Chociaż* dzisiaj otrzymałam trzy zwroty rękopisów. Ci sami wydawcy zatęsknią czasem do moich utworów, będą o nie prosili z pokorą! Na razie ciotka Laura uczy mnie, jak się robi pewne wyśmienite i bardzo skomplikowane ciasto czekoladowe według recepty, którą otrzy-

mała przed trzydziestu laty od jednej ze swych przyjaciółek, zamieszkałej w Virginji. Nikt w Czarnowodzie nie posiadał tego sekretu. Ciotka Laura wzięła ode mnie solenne przyrzeczenie, że nikomu go nie wyjawię.

Właściwą nazwą tego ciasta jest „Djabli Przymak”, ale ciotka Elżbieta nie życzy sobie, aby je tak nazywać.

2 sierpnia 19...

Odwiędziłam dzisiaj pana Carpentera. Leżał, zreumatyzowany. Widać po nim, że się starzeje. Miał duże nieprzyjemności w roku zeszłym. Uczniowie założyli protest zbiorowy przeciw zatrzymaniu go w szkole, ale nie uwzględniono tego wybryku. Większość rodziców w Czarnowodzie orjentuje się, że pan Carpenter jest wyjątkowym nauczycielem.

— Nie można uczyć drugich i być łagodnym — mruzczał, gdy mu powiedziano, że wpływają skargi na jego szorstkość.

Może reumatyzm tak wpłynął ujemnie na usposobienie pana Carpentera. Moje poezje, które mu zaniósłam, też nie znalazły łaski w jego oczach. Gdy przeczytał jedną z nich, napisaną na cześć nocy kwietniowej na wzgórzu, odrzucił ją niedbałym ruchem ręki i reki:

— Milutka banalność.

A ja sądziłam, że ten wiersz oddaje, w pewnej chociaż mierze, czarowny nastrój owego wieczora. Jakże się omyliłam!

Potem wręczyłam mu wiersz, napisany po powro-

cie do domu tejże nocy. Przeczytał go dwukrotnie, poczem podarł go w drobne kawałki.

— Dlaczego? — spytałam, niezadowolona. — Cóż złego było w tym wierszu?

— Pozornie nic — odrzekł. — Mógłby być odczytany w szkółce niedzielnej. Ale od wewnątrz biorąc, był to wyraz skrajnego pogaństwa. Z punktu widzenia literackiego jest to warte tysiąc razy więcej, niż twoje ładniutki wierszyki bez głębszego wyrazu. Ale właśnie w tem tkwi niebezpieczeństwo. Emilko, w tym wierszu dźwięczy nuta demoniczna. Gdybym o tem wątpił, toby wystarczyło, żeby mnie przekonać, jak dalece poeci są pod wpływem różnych złych i dobrych duchów. Czy nie czułaś się *opętana*, pisząc te słowa?

— Tak, — odrzekłam, przypominając sobie ową chwilę. Cieszyłam się już, że pan Carpenter podarł te wiersze. Jaby się na to nigdy nie była zdobyła. Zniszczyłam już szereg moich utworów, które wydały mi się liche, ale ten był dobry, jako wiersz, jako rymy i ekspresja. Niemniej pan Carpenter miał słuszność, czuję to.

Skrzyczał mnie, gdy mu powiedziałam, że czytam poezje pani Heman. Ciotka Laura posiada mały tomik, oprawny na niebiesko, ze złoceniami, z dedykacją jakiegoś wielbiciela. Za czasów młodości ciotki Laury młody człowiek dawał swej umiłowanej w dniu jej urodzin prezent: tomik poezyj. To, co powiedział pan Carpenter o pani Heman i o jej poezjach, nie nadaje się do przytoczenia w dzienniku młodej pani. Ja zaś lubię niektóre jej utwory. Nie jest to wielka poezja, zapewne, ale jest w tem czasem pe-

wien urok i wiersze płyną melodyjnie, łatwo je zapamiętać.

Pan Carpenter wyśmiał mnie i kazał mi pójść do domu i czytać książki dla małych dzieci. Ale gdy odchodziłam, powiedział mi pierwszy komplement osobisty, jaki słyszałam od niego kiedykolwiek.

— Lubię tę twoją niebieską sukienkę. Umiesz ją nosić. To dobrze. Nie znoszę widoku źle ubranej kobiety. Boli mnie to i przypuszczam, że Boga obraża taki widok. W gruncie rzeczy skoro umiesz się ubrać, mniejsza o to, czy lubisz, czy nie, wiersze pani Herman.

Spotkałam, wracając, starego Kelly, który zatrzymał się, wręczył mi dwa cukierki i polecił pozdrowić „narzeczonego”.

15 sierpnia 19...

O ile poetyczniejsze są nazwy, nadawane kwiatom przez lud, niż nazwy naukowe, łacińskie. Kocham kwiatki i kocham ich nazwy. Szkoda, że lato zbliża się już ku końcowi.

1 września 19...

Dzisiaj wydarzyły się dwie rzeczy: pierwszą był list babki ciotecznej, Nancy, do ciotki Elżbiety. Ciotka Nancy nie okazywała nigdy, że pamięta o moim istnieniu od czasu mojej bytności w Księżym Stawie. Od tego czasu upłynęły cztery lata. Ona żyje jeszcze, ma lat 94 i jest zupełnie zdrowa. W liście jej są pewne sarkastyczne uwagi o mnie i o ciotce Elżbiecie. Ale łagodzi je fakt, że postanowiła zapłacić za mój ostatni rok w Shrewsbury. Pokryje wszyst-

kie moje wydatki, z utrzymaniem u ciotki Ruth włącznie.

Cieszę się bardzo. Mimo ironję ciotki Nancy, nie czuję do niej urazy, ani niechęci. Ona nigdy mnie nie prześladowała, ani nie traktowała zgóry. Nigdy nic nie zrobiła dla mnie z poczucia „obowiązku”. „Niech djabli wezmą obowiązek”, pisze w swym liście. „Czynię to dlatego, że chcę zrobić na złość niektórym Priestom, a także dlatego, że Wallace zbyt się przechwala swemi dobrodziejstwami dla Emilki”. A dalej pisze: „Powiedz Emilce, żeby wracała do Shrewsbury i dobrze się uczyła, ale żeby ukrywała swą wiedzę, a pokazywała swe pęciny”. Ciotka Elżbieta była okropnie zgorszona i nie chciała mi pokazać listu ze względu na ten ustęp. Ale kuzyn Jimmy opowiedział mi wszystko.

Drugim wydarzeniem było oznajmienie mi przez ciotkę Elżbietę, że zwalnia mnie z przyrzeczenia niepisania utworów wysnutych z fantazji. Mogę wybierać tematy, jestem wolna.

— Nie będę nigdy pochwalać pisania nowel i powieści — rzekła poważnie. — Ale skoro ciotka Nancy pokrywa twe wydatki, ja uważam za swój obowiązek zwolnienie cię z tego przyrzeczenia. Mam nadzieję, że nie zaniedbasz naskutek tego twych studjów.

Och, nie, droga ciotko Elżbieto! Nie zaniedbam nauki. Ale czuję się, jak więzień, wypuszczony na wolność. Palce mi drżą, rwą się do pióra, w mózgu majaczą mi niezliczone tematy. Widzę szereg postaci zmyślonych, w które chcę wlać życie. Ach, żeby tylko

nie było takiej różnicy między tem, co *widzimy*, a tem, co przelewamy na papier!

— Już wtedy, gdy otrzymałaś ów czek za nowelę zeszłej zimy, wahała się Elżbieta, czy cię nie zwolnić z przyrzeczenia — rzekł kuzyn Jimmy. — Ale nie mogła się przemóc, dopiero list ciotki Nancy posłużył jej za pretekst. Pieniądz ma na Murrayów wpływ magiczny, Emilko. Czy potrzebne ci będą jeszcze znaczki yankeskie?

Pani Kent powiedziała Tadziewi, że może wracać na jeszcze jeden rok do Shrewsbury. Co będzie potem, Tadzio nie wie. Na razie *wszyscy wracamy razem do szkoły*; taka jestem szczęśliwa, że... muszę to zdanie podkreślić.

10 września 19...

Wybrano mnie na prezesa klasy seniorów na ten rok. Związek Młodzieży przysłał mi zawiadomienie, że zostałam zaszczycona członkostwem prześwietnego związku.

Wyobrażam sobie Ewelinę Blake.

Prezesurę przyjął, ale Związkowi odpisałam z chłodną grzecznością, że zrzekam się zaszczytu przynależności do nich.

Po otrzymaniu w roku zeszłym czarnej gałki? Przenigdy!

7 paźdz. 19...

Dzisiaj nastąpiło wielkie poruszenie w klasie po przemówieniu dra Hardy, który oznajmił nam, że przyjeżdża wuj Katarzyny Darcy, profesor McGill, któremu przyszło do głowy oznaczyć nagrodę za najlepszy

utwór poetycki, napisany przez ucznia lub uczennicę Wyższej Szkoły w Shrewsbury. Utwór winien się składać z dwudziestu do sześćdziesięciu wierszy i winien być złożony do 1 listopada. Zaczęłam gorączkowo przeszukiwać moje księgi od Jimmy'ego i postanowiłam przesłać „Dzikie Winogrona”. Jest to mój drugi co do wartości poemat. Najlepszy jest „Piosenka o sześciu pensach”, ale zawiera tylko 15 wierszy, a przedłużyć go nie można: zepsułabym go. Może będę mogła trochę poprawić „Dzikie winogrona”. Są tam dwa, czy trzy wyrażenia, co do których zawsze miałam zastrzeżenia. Nie odpowiadają dokładnie mojej myśli, a nie mogę znaleźć innych. Szkoda, że nie można ukuc kilku nowych słów, jak to miałam zwyczaj czynić w listach do ojca. Stwarzałam wyrazy w miarę potrzeby. Ale ojciec zrozumiałby je, gdyby kiedykolwiek czytał te listy. Obawiam się, że sędziowie nie zrozumieliby i zakwestjonowaliby te wyrazy.

„Dzikie Winogrona” powinny otrzymać nagrodę. Nie jest to próżność, ani zarozumiałość z mej strony. Jest to *świadomość*. Gdyby tu szło o nagrodę z matematyki, otrzymałaby ją Katarzyna Darcy. Za piękność powinny ją otrzymać Hazel Ellis. Za wymowę — Perry, za dykcję — Ilza, za rysunki — Tadzio. Za poezje zaś — tylko E. B. Starr!

Studjujemy Tennysona i Keatsa w tym roku. Lubię Tennysona, ale coś mnie w nim gniewa. Jest piękny — nie *przepiękny*, jak Keats — jest doskonałym artystą. Ale nie pozwala nam zapomnieć ani na chwilę o tym artyście, wciąż sobie go uświadamiamy. Nie daje się nigdy porwać uczuciu, ani zapałowi, niby potokowi górskiemu. Nie, jego natchnienie płynie spo-

kojnie wśród uregulowanych brzegów i starannie pielęgnowanych ogrodów. A choćbyśmy najbardziej lubili ogrody, niemożliwą jest rzeczą ciągle na nie patrzeć, lubimy od czasu do czasu wyruszyć na wycieczkę w dziką okolicę. Przynajmniej Emilja Byrd Starr lubi takie wycieczki, ku utraپieniu swych krewnych .

Keats jest przepełniony pięknnością. Gdy czytam jego poezje, brak mi tchu, czuję chwilami rzadkie powietrze górskie, wicher oddech hamujący, lub spokój, surowy spokój szczytów.

Czytając niektóre jego wiersze, doznaję uczucia rozpaczy. Po cóż się wysilamy, aby stworzyć to, co już zostało stworzone przed nami?

Ale czasem czytam takie słowa, które przynoszą mi pocieszenie, na przykład jego poemacik o nieśmiertelności, zwiastowanej nam przez „głosy”. To prawda. Musimy słuchać naszych „głosów” wewnętrznych, iść za ich nakazem, wbrew zniechęceniu, jakie nas ogarnia czasami, wbrew wątpliwościom i sceptycyzmowi. Głosy te doprowadzą nas do *spełnienia*, jakiemby ono nie było.

Dzisiaj otrzymałam cztery zwroty rękopisów. Niedobry dzień, dzień klęski. Głosy słabo dochodzą moich uszu wśród takiego zgiełku przeciwności. Ale usłyszę je niebawem. Przed laty napisałam „ślub”, iż będę się wspinać na szczyty, aż osiągnę szczyt alpejski i wryję moje imię na kamieniu.

Trzeba się nadal wspinać!

30 paźdz. 19....

Przeczytałam wczoraj moje „Kroniki o Starym Ogrodzie”. Mogę je chyba poprawić i udoskonalić te-

raz, kiedy ciotka Elżbieta zniosła ograniczenia w zakresie mojej pracy literackiej. Prosiłam pana Carpentera, żeby je przeczytał, ale on rzekł:

— Dziewczyno, nie mogę się zapuszczać w gąszcz tych stronic maczkiem zapisanych. Czy mi nie dopisują. Co to jest? Książka? Dziecko, za 10 lat będziesz pisać książki.

— Muszę się wprawiać — odrzekłam, oburzona.

— Wprawiać się, wprawiać się... Ale nie próbuj na mnie tych wprawek... Ja jestem zbyt stary... doprawdy jestem już za stary, dzieciątko. Przeczytam chętnie nowelkę, króciutką nowelkę, od czasu do czasu... ale pozwól biednemu staremu nie czytać twych książek.

Mogłabym zapytać Deana o zdanie. Ale Dean śmieje się z moich ambicyj bardzo życzliwie i przyjaźnie, ale się śmieje, wyśmiewa się! A Tadzio uważa za śliczne wszystko, co ja piszę, tak że nie mam w nim krytyka. Ciekawa jestem, czy którykolwiek wydawca przyjąłby „Kroniki”. Pewna jestem, że widywałam książki tego rodzaju, niewiele lepsze od tej.

11 listopada 19...

Dzisiaj spędziłam wieczór na „obcinaniu” powieści dla pana Towersa. Jego zastępca kupił prawo przedruku jakiejś nudnej powieści angielskiej, która zaczęła wychodzić w „Czasie”, podczas nieobecności pana Towersa. Pan Towers, powróciwszy, pojął odrazu, że to zajmie odcinki wszystkich numerów zimowych, tak strasznie jest rozwlekłe i powierzył mi dalszy ciąg z prośbą o skrócenie. Skróciłam niemiłosiernie, wyrzucając wszystkie rozmowy miłosne i opisy, a zwłaszcza trzy czwarte miłości „obciłam” z ca-

łą bezwzględnością. Powieść stała się krótsza o jedną czwartą conajmniej. Niech się nieba ulitują nad duszą tego powieściopisarza, który powinien był od razu napisać tę powieść w obecnym zredukowanym rozmiarze.

Minęło lato, minęła jesień. Zdawało mi się, że minęły szybciej, niż lat poprzednich. Co wieczór miewamy czerwone, krwawe zachody słońca z odblaskami fioletowemi, a na najbardziej kolorowym obłoku widnieje gwiazda, niby ta dusza zbawiona, która spogląda współczującymi oczami na naszą dolinę łez i udreki, na ten czyściec dusz grzesznych, wspinających się mozolnie ku szczytom podczas ziemskiej pielgrzymki.

Czy odważyłabym się pokazać poprzednie zdanie panu Carpenterowi? Nie. Jest w niem coś bardzo zdroźnego.

Wiem, co. Jest to silenie się na „ładne pisanie”. A jednak tak właśnie odczuwałam, stojąc na wzgórzu w Krainie Wyżyn i patrząc na dolinkę.

2 grudnia 19...

Rezultaty konkursu na utwór poetycki zostały ogłoszone dzisiaj. Nagrodzoną jest Ewelina Blake za wiersz pod tytułem: „Legenda”.

Komentarze zbyteczne.

Ciotka Ruth już zresztą powiedziała wszystko, czego powiedzieć nie należało.

15 grudnia 19...

Nagrodzony utwór Eweliny został zamieszczony w „Czasie” w tym tygodniu obok jej fotografii i szkicu biograficznego.

„Legenda” jest dobrym poematem. Jest to styl baladowy, rytm i rym jest poprawny, czego nie można powiedzieć o innych wierszach Eweliny.

Ewelina Blake twierdzi o moich poezjach, ilekroć są drukowane w jakimś piśmie, że je przepisałam z jakiegoś innego czasopisma lub z książki. Nie życzę sobie bynajmniej naśladować ją w czemkolwiek, ale pewna jestem, że ona nie jest autorką tego wiersza. Nie są to wcale jej wyrażenia. Mogłaby z równym powodzeniem naśladować litery dra Hardy i ogłosić je za swój charakter pisma.

„Legenda” jest wprawdzie, jak już powiedziałam, dobrym utworem, ale nie tak dobrym, jak „Dziki Winogrona”.

Nie powiem tego nikomu, ale mogę to powiedzieć niniejszemu dziennikowi. *Bo jest to prawda.*

20 grudnia 19...

Pokazałam panu Carpenterowi „Legendę” i „Dziki Winogrona”. Po przeczytaniu obu utworów, rzekł:

— Kim byli sędziowie?

Wymieniłam nazwiska.

— Pokłoń się ode mnie i powiedz, że są osłami.

Doznałam pociechy. Nie powiem sędziom, ani nikomu, że są osłami. Ale krzepi mnie świadomość, że tak jest istotnie.

Dziwna rzecz: ciotka Elżbieta kazała sobie przeczytać „Dziki Winogrona” i usłyszawszy je, rzekła:

— Nie jestem sędzią w kwestjach poezji, rzecz jasna, ale zdaje mi się, że twój utwór jest *wyższego pokroju*.

4 stycznia. 19...

Spędziłam ferje świąteczne u wuja Olivera. Nie byłam zadowolona. Zbyt było hałaśliwie. Przed kilku laty byłoby mi się to podobało, teraz nie. Dotychczas nie zapraszali mnie nigdy! Musiałam jeść, gdy nie byłam głodna, rozmawiać, gdy miałam ochotę milczeć. Nie byłam sama ani przez chwilę. A Andrzej staje się taki natrętny! Ciotka Addie była okropnie czuła i macierzyńska. Czułam się jak kot, który leży na kolanach sobie antypatycznych i musi znosić niepożądane pieszczoły. Sypiać musiałam z Janką, która jest w moim wieku i zdaniem której nie jestem warta Andrzeja. Ale usiłowała być uprzejma i zrobić ze mną „coś lepszego.” Janka jest miłą, rozsądną dziewczyną i rozstałyśmy się, jako druhinie. Ten wyraz jest ukuty przeze mnie. Janka i ja jesteśmy więcej, niż znajome, a mniej, niż przyjaciółki, w mojem odczuciu tego pięknego słowa. Zatem — druhinie. Nie mówimy tym samym językiem.

Gdy wróciłam do ukochanego Srebrnego Nowiu, poszłam do mego pokoju i zamknęłam drzwi za sobą. Rozkoszowałam się samotnością.

Wczoraj rozpoczęła się szkoła nanowo. Dzisiaj uśmieiałam się w księgarni:

— Wyobraź sobie, moja droga — mówiła pani Rodney do pani Elder, przeglądając książki — ta powieść w „Czasie” tak dziwnie prędko się skończyła. Czytałam ją tygodniami i zdawało się, że nigdy się nic tam nie stanie, nie zdarzy, aż nagle ta przyśpieszona, zajmująca akcja i... koniec! Nie rozumiem tego.

Mogłabym służyć jej wyjaśnieniami. Ale nie uczyniłam tego. !

W DOMU STAREGO JANA.

Istną sensację wywołało w Czarnowodzie i w Shrewsbury przyjęcie i ogłoszenie drukiem przez jedno z największych czasopism New-Yorku noweli pod tytułem: „Kobieta, która dała klapsa królowi”, napisanej przez Emilję Byrd Starr. Szeptano z ust do ust, że Emilka otrzymała za tę nowelę czterdzieści dolarów. Po raz pierwszy rodzina zaczęła brać na serjo jej manję pisania. Ciotka Ruth raz na zawsze przestała utyskiwać „na niepotrzebną stratę czasu”. Wieść ta przyszła do Shrewsbury w chwili, kiedy Emilka była już boleśnie zrezygnowana. Przez całą zimę bowiem nadchodziły same zwroty. Dwa tylko czasopisma zamieściły jej utwory, a te uważały najwidoczniej, że literatura powinna być ponad wszelkimi sprawami natury materialnej i nie chciały tu mieszać „marnej mamony”. Z początku były to dla Emilki istne ciosy, później zahartowała się, przestała ronić za każdym razem gorzkie łzy rozczarowania. Rzucała tylko okiem „po Murrayowsku” na zwracane rękopisy i mruczała: „zwycięzę!”. I nigdy, nawet w chwilach największej depresji, nie wątpiła w swoje przyszłe zwycięstwo. Coś na dnie duszy mówiło jej, że wybijie jej godzina. Więc chociaż bolała ją każda odmowa, niemniej siadała w parę godzin później i pisała... nowe opowiadanie prozą, lub wierszem.

A jednak głos wewnętrzny osłabł wobec tylu roz-

czarowań. Wydrukowanie „Kobiety” przyszło w samą porę, zamieniając nadzieję w pewność. Czek nie był bez znaczenia, ale poczytność czasopisma była ważniejsza dla Emilki. Czuła, że zrobiła poważny krok naprzód. Pan Carpenter, czytając ten utwór, zaśmiał się kilkakrotnie i orzekł, że jest to naprawdę „zupełnie dobre”.

— Najlepsza część tej historii stanowi własność pani McIntyre — rzekła Emilka ze skruchą. — Nie mogę tego nazwać moim utworem.

— Oprawa jest twoja i podmalowanie tła i różne drobne spostrzeżenia. I nie zanadto wygładziłaś styl, to dowodzi, że jesteś prawdziwym artystą. Czy nie miałaś pokusy oszlifowania bardziej jej opowiadania?

— Owszem. W niejednym miejscu zdawało mi się, że mogłabym poprawić styl.

— Ale oparłaś się tej pokusie i to jest twoją zasługą — rzekł pan Carpenter i pozostawił ją własnym myślom.

Emilka wydała 35 dolarów tak rozsądnie, że nawet ciotka Ruth nic jej zarzucić nie mogła. Za pozostałe pieniądze kupiła sobie serwis porcelanowy. Bardzo była dumna, że posiada własny serwis za pieniądze zarobione przez siebie. Emilka posiada do dziś dnia ten serwis, nieco wyblakły i wyszczerbiony, ale droższy jej sercu, niż wszystkie przedmioty, zakupione później.

Nastąpiła dla niej teraz tygodnie szczęścia. Murrayowie byli z niej dumni, pan Hardy winał jej, artysta dramatyczny, mający pewien rozgłos lokalny, odczytał jej utwór na koncercie w Charlettetown. A co

najdziwniejsze, jakiś nieznaną czytelnik z Meksyku napisał do niej list z wyrazami uznania, dziękując jej za przyjemność, doznana podczas czytania jej powieści. Emilka czytała ten list, dopóki nie nauczyła się go napamięć. Szła z nim spać i chowała go pod poduszkę. Żaden list miłosny nie był chyba nigdy traktowany czulej.

Wtem „sprawa domu starego Jana” spadła na nią, jak piorun z jasnego nieba i zaciemniła jej pogodny horyzont.

W Gęsim Stawie odbył się w piątek koncert. Ilza została zaproszona, jako deklamatorka. Dr. Burnley zabrał Ilzę, Emilkę, Perry'ego i Tadzia do Gęsiego Stawu. Pojechali jego powozem, śmiejąc się i żartując po drodze. Podczas koncertu wywołano doktora. Ktoś poważnie zachorował w Gęsim Stawie. Doktor wyszedł z sali, zapowiadając Tadziewi, żeby zawiózł całe towarzystwo do Czarnowody. Doktor nie liczył się z konwenansami. Tadzio i Perry byli porządnymi chłopcami, Emilka była z Murrayów, Ilza nie była głupia. Doktorowi nie przyszło nawet na myśl zastanawiać się nad kwestją: „czy to wypada”.

Po koncercie odjechali. Padał gęsty śnieg. Tadzio powoził dobrze. Emilka zastanawiała się, czy Tadzio zauważył, że miała włosy upięte po raz pierwszy „à la Psyche” pod czerwonym kapeluszem. I znów rozmyślała, że zawieja śnieżna jest rozkosznym zjawiskiem.

Ale gdy wyjechali z lasu, zaczęły się kłopoty. Wicher dał z przeraźliwą siłą. Droga prowadziła przez pola, wiła się, wąska, między świerkami. „Można tu ręce i nogi połamać przy tej pogodzie”, mruzczał

Perry. Ścieżka była zatarta, konie grzęzły w śniegu po kolana. Ujechali milę drogi, gdy Perry zagwizdał.

— Tadius, nie dojedziemy nigdy w życiu do Czarnowody, jadąc w tym kierunku.

— Dojedźmy dokądkolwiek bądź— huknął Tazio. — Tu nie możemy nocować. A domu żadnego nie widać, więc musimy chyba pójść pieszo, my dwaj i poszukać schronienia. Schowajcie się pod budą powozu, dziewczęta, a my chodźmy, Perry!

Tak też zrobili. Emilka nie była już zdania, że zawieja jest czemś rozkosznem. Perry i Tazio byli poważnie zaniepokojeni. Wiedzieli, że konie nie pójną dalej w tak wysokim śniegu, że drogi są zasypane, a zimno było okrutnie wśród tych błękitnawych wzgórz pomiędzy Czarnowodą a Gęsim Stawem.

Po chwili chłopcy wrócili. Zorjentowali się, że pieszo nie ujdą ani pół mili. Zaczęli ciągnąć konie za uzdy, ale i to ich męczyło, a biedne zwierzęta dyszały ciężko.

— Jedno tylko pozostaje — rzekł Perry. — Musimy wrócić do domu starego Jana. Nie możemy tak wędrować po nocy w tych warunkach i szukać na chybił trafił ludzkiej siedziby. Zmarzniemy na śmierć.

Zawrócili. Śnieg był coraz gęściejszy. Droga była zupełnie zasypana i gdyby dom starego Jana znajdował się choć troszkę dalej, nie byliby go znaleźli. Na szczęście, był blisko i wreszcie, dzięki zjednoczonym wysiłkom obu chłopców dotarli do tego lasku, w którym stał ów zbawienny domek.

Dom Starego Jana był już stary, gdy przed 40 laty Jan Shaw wprowadził się tu ze swą młodą żoną. Jan Shaw mieszkał tu przez 5 lat. Żona jego umarła.

Sprzedał folwark, ale dom był od tej pory niezamieszka-
ny. Drzwi nie były nawet zamknięte na klucz. Tyl-
ko przez kilka dni w ciągu zimy obozowali tu syno-
wie Malcolma, kiedy wyruszali na wycieczki sporto-
we. Złodziejów i bandytów nie było w Gęsim Stawie.
Nasi znajomi z łatwością znaleźli wejście i z west-
chnieniem ulgi przekroczyli próg domku. Nareszcie
byli bezpieczni.

— Nie zmarzniemy przynajmniej — rzekł Per-
ry. — Tadzio i ja spróbujemy umieścić konie w szo-
pie, a potem wrócimy i postaramy się urządzić wy-
godny nocleg. Mam przy sobie zapaliki.

Perry zapalił zapalnik i ujrzeni dwie świece do
połowy zużyte stojące w wysokich lichtarzach, piec
całkiem jeszcze możliwy, trzy krzesła, kanapę i stół.

— Będą się o nas strasznie niepokoiłi w domu —
rzekła Emilka, strząsając śnieg z płaszcza.

— Niepokój nie zabije ich w ciągu jednej nocy
— rzekł Perry filozoficznie. — Jutro wrócimy w
każdym razie.

— Cóż za przygoda! — roześmiała się Emilka.
— Starajmy się wydobyć z niej możliwie największą
sumę przyjemności.

Ilza milczała, co było bardzo dziwne ze strony
Ilzy. Emilka spojrzała na nią i zobaczyła, że przyja-
ciółka jest blada i skrzywiona. Przypomniała sobie, że
Ilza nic prawie nie mówiła od chwili wyjścia z kon-
certu.

— Czy niedobrze się czujesz, Ilzo? — spytała
z niepokojem.

— Czuję się bardzo źle — odrzekła Ilza z bla-
dym uśmiechem. — Czuję się strasznie... Jestem cho-

ra jak dziki bawół... — dodała z siłą raczej, niż z elegancją.

— Och, Ilzo...

— Nie patrz w sufit — ofuknęła ją Ilza. — Nie mam początków zapalenia płuc, ani ataku ślepej kiszki. Poprosto mdli mnie. Widocznie to ciasto, które zjadłam po koncercie, było za ciężkie. Och, och...

— Połóż się na kanapie — radziła Emilka. — Może ci będzie lepiej.

Ilza, cała drżąca, położyła się na kanapce. Niedyspozycja żołądkowa nie jest romantyczną przygodą bynajmniej, ale ofiara tej przypadłości nie dba o to w danej chwili, gdyż odchodzi ją wszelka żywotność.

Chłopcy znaleźli pakę z drzewem za piecem i rozpalili ogień. Perry wziął jedną ze świec i poszedł na zwiady w głąb domu. Nie znalazł w pokojach prawie żadnych mebli, gdzie niegdzie leżała słoma, zeschła trawa. Ale na górze w spiżarni zrobił odkrycie.

— Tu jest schab i fasola — oznajmił i puszką konserwów. A to co?

Perry wydobyl małą butelkę, niezakorkowaną i pokazał ją triumfalnie.

— Whisky, jak Boga kocham! Niewiele, ale to wystarczy. Oto jest twoje lekarstwo, Ilzo. Napijesz się tego trochę z gorącą wodą i natychmiast uspokoi się twój żołądek.

— Nienawidzę smaku whisky — jęknęła Ilza. — Ojciec nigdy nie używa wódki, nie wierzy w jej działanie.

— Ciotka Tomaszowa wierzy—odrzekł Perry, jak gdyby to było bezwzględnie miarodajne.—To jest niechybna kuracja. Spróbuj, a zobaczymy.

— Ale wody niema — rzekła Ilza.

— No, to pij samą wódkę. W butelce nie ma już więcej, jak dwie łyżki stołowe. Napij się. Jeżeli cię to nie wyleczy, to w żadnym razie cię nie zabije.

Biedna Ilza czuła się istotnie tak źle, że napiłaby się każdej trucizny, byle mieć szansę, że jej to pomoże. Zwlekła się z kanapy, usiadła na krześle przed piecem i zaczęła pić wódkę z butelki. Była to dobra, mocna wódka, Malcolm Shaw był znawcą. I było jej tam więcej, niż dwie łyżki stołowe, chociaż Perry upewniał, że nie. Ilza siedziała przez kilka minut na krześle, jakby oszołomiona, wreszcie wstała i położyła rękę na ramieniu Emilki.

— Czy gorzej się czujesz? — spytała Emilka, zaniepokojona.

— U... upiłam się — odrzekła Ilza. — Pomóż mi wrócić na kanapę, na miłość Boską. Nogi uginają się pode mną. Kto to opowiadał, że nigdy się nie upił, ale że mu wódka zawsze „wchodzi” w nogi? Ale mnie i do głowy uderzyło. Mam koła przed oczami.

Perry i Tazio przyskoczyli z pomocą. Ilza chwiejnym krokiem podeszła dzięki ich pomocy do kanapy i znów się schroniła w tej przystani.

— Cobyśmy mogli zrobić? — pytała Emilka błagalnym głosem.

— Już za wiele zrobiliście — rzekła Ilza z nienaturalną powagą. Zamknęła oczy i nie odpowiadała już ani słowa na wszelkie zapytania.

— Dajmy jej się przespać, pewien jestem, że na żołądek będzie jej lepiej po tem lekarstwie — radził Perry.

Emilka nie brała tego równie filozoficznie. Dopie-

ro gdy równy oddech Ilzy przekonał ją, że przyjaciółka nie jest ciężko chora, dopiero wtedy zaczęła Emilka rozkoszować się ich „przygodą”. Przyjemnie było siedzieć przy ogniu, wsłuchując się w odgłosy zawieruchy. Świece rzucały cienie na twarz śpiącej Ilzy, na twarze chłopców, rozmawiających półgłosem; była to noc wysoce nastrojowa.

W pewnym momencie, podnosząc nagle oczy, spostrzegła Emilka, że Tadzio patrzy na nią w dziwny sposób. Spojrzenia ich spotkały się na przeciąg sekundy, ale ta sekunda wystarczyła, aby wytrącić Emilkę z równowagi. Zastanawiała się sama, co się stało. Czuła falę nieopisaną błogości, przenikającej całe jej ciało, całą jej duszę. Drżała, bała się czegoś. Jediną jasną świadomością wśród wiru cisnących jej się do głowy myśli była pewność, że chciałaby tak siedzieć z Tadzkiem przy kominku co wieczór, spędzać z nim wszystkie wieczory do końca życia. Nie śmiała spojrzeć na niego powtórnie, ale uszczęśliwiona była, że on jest blisko. Zdawała sobie sprawę z jego chłopięcej siły, prawości, czuła jego promienne, ciemno-błękitne oczy, utkwione w jej twarzyczce. Wiedziała oddawna, że lubi Tadzia, ale *to* było czemś odrębnem, innem, niż zwykle lubienie. Nagle pojęła, dlaczego odrzucała stale zaloty wszystkich chłopców, pragnących jej nadskaکیwać.

Napięcie tego odczuwania było nieznośnie mocne. Musiała je przerwać. Zerwała się, otworzyła okno. Byłaby chciała wyjść na powietrze, ochłonać z tego niewyjaśnionego, przepotężnego wrażenia... Wicher zadał. Zamknęła okno.

— Czyżbym się kochała w Tadiusi? — pytała w duchu. — Nie, chyba nie. Chyba nie, nie!

Perry, całkiem nieświadomy tego, co zaszło, ziewnął i wyciągnął się na podłodze.

— Słuchaj, Tadiusi, pełno tu słomy, zupełnie przyzwoite posłanie dla nas. W tamtym pokoju jest łóżko, ale puste. Naniesiemy dużo słomy i urządzimy możliwe posłanie dla dziewcząt. Będzie się nam napewno coś śniło miłego, zwłaszcza Ilzie. Tam leżą skóry zwierzęce, nakryjemy się tem futerkiem, będzie znośnie.

— Ja już na jawie zacząłem śnić — odrzekł Tadiusi z niezwykłą wesołością w głosie. — Śnię o sławie, o przygodach, o morzu, o lesie... Mogę odprzedawać sny i marzenia, tyle ich posiadam w zapasie. Co mi dacie za jeden sen?

Emilka przyjrzała mu się i zapomniała o wszystkim: ogarnęła ją tęsknota za księgą Jimmy'ego. Momentalnie bowiem nasunęła jej się treść noweli i tytuł: „Sprzedawca snów”. Przez całą noc myślała już tylko o tem.

Chłopcy wyciągnęli się na słomie, a Emilka postanowiła pozostawić Ilzę na kanapie, gdzie leżała dość wygodnie i położyła się na łóżku w małym pokoju. Ale nie usnęła. Nie była senna. Zapomniała, że się zakochała w Tadiusi, zapomniała o całym świecie, przepełniona wyłącznie swym nowym pomysłem. Postacie skakały przed jej oczami, nabierały coraz to intensywniejszego życia, śmiały się i rozmawiały, były szczęśliwe i cierpiały, widziała je na tle burzy, szalejącej za oknami. Policzki jej płonęły, serce jej biło jak młotem, radość tryskała z niej wszystkiemi pora-

mi, radość twórcza, niezależna od wszelkich ziemskich czynników. Ilza upiła się wódką Malcolma Shaw'a, ale Emilka upojona była winem nieśmiertelnem.

21.

GEŚCIEJSZA, NIŻ WODA.

Emilka nie spała do samego rana. Zadyмка uspokoila się, krajobraz rozciągał się za oknem, jednostajnie biały, cichy, opromieniony pierwszym brzaskiem i ostatnimi odblaskami zachodzącego księżyca. Emilka zdrzemnęła się nareszcie, zadowolona, bo przestała myśleć o swej noweli. Teraz pozostawało jej tylko jedno zadanie: napisać to, co wysnuła ze swej fantazji. Nie spocznie, dopóki tego nie zobaczy czarno na białem. Nie opracuje tego jeszcze teraz, o nie! Dopiero za lat kilka. Musi poczekać, aż czas i doświadczenie uczynią z jej pióra narzędzie, zdolne do oddania tego pomysłu w sposób godny czystego źródła, z którego poczęta została sama myśl noweli.

Obudziła ją Ilza, siedząca przy jej łóżku, trochę bledsza, niż zwykle, ale roześmiana i figlarna.

— No, już odespałam moją rozpustę, Emilko. Żołądek jest w porządku. Wódka istotnie pomogła, chociaż sędzę, że lekarstwo jest gorsze, niż niedomaganie w danym wypadku: zapewne dziwisz się, dlaczego nie rozmawiałam z tobą tej nocy.

— Sądziłam, że byłaś zbyt pijana, aby móc mówić — odrzekła Emilka naiwnie.

Ilza zachichotała.

— Zanadto byłam pijana, ażeby nie mówić. Kiedy się położyłam na kanapie, odczuwałam potrzebę mówienia. Odczuwałam potrzebę powiedzenia głupstw, opowiedzenia wszystkiego, co mi kiedykolwiek przez głowę przeszło. Ale miałam jeszcze świadomość, że nie powinnam wyplatać tych wszystkich rzeczy, czułam też, że skoro zacznę gadać, nic mnie już nie zatrzyma. Bałam się, że się skompromituję i to w obecności Perry'ego. Jak widzisz, umiem już panować nad sobą.

— Czego nie rozumiem, — rzekła Emilka — to takiego skutku tak małej ilości wódki.

— No, przecież matka moja była z domu Mitchell. A wiadomo, że Mitchellowie nie mogą wypić łyżeczki wódki bez fatalnych skutków. To jest rodzinny defekt. A teraz, kochana moja, wstań. Chłopcy rozpalili ogień i Perry powiada, że zjemy wyborne pierwsze śniadanie. Jestem głodna, jak wilk.

Emilka wstała i poszła do spiżarni, aby wyszperać, czy nie znajdzie jeszcze więcej prowiantów. Zrobiła tu całkiem inne odkrycie: w kącie leżały stare książki, prawdopodobnie z czasów Jana i Almiry Shaw'ów. Emilka zaczęła je przerzucać ciekawie, wtem z jednej książki wyslizgnęła się poźółkła kartka i wypadła na podłogę. Emilka podniosła ją i... serce jej zabiło gwałtownie. „Legenda”! Poemat, za który Ewelina Blake otrzymała nagrodę! Tu leżał, wydrukowany w książce z przed lat kilkadziesiątu. Ewelina skróciła go tylko o dwa wiersze, o te właśnie, które były najlepsze.

— Charakterystyczne dla Eweliny — pomyślała

Emilka lekceważąco. — Ona nie ma żadnego smaku literackiego.

Emilka postawiła książkę na półce, ale luźną kartkę wsunęła do kieszeni i jadła śniadanie, myśląc o czym innym. Przez ten czas zjawili się na szosie ludzie, odwalający zasy śnieżne. Perry i Tadzio znaleźli w szopie łopatę i wkrótce utorowali przejście z domku na szosę. Nareszcie dostali się do domu, jadąc powoli, ale bez przeszkód. W Srebrnym Nowiu panowało przerażenie z powodu ich nieobecności. Ciotka Elżbieta z przygnębieniem usłyszała o nocy, spędzonej w domu starego Jana.

— Mogliście się poprzeciębiać na śmierć — rzekła.

— Nie mieliśmy wyboru — odparła Emilka. — Na dworze groziło nam pewne zamrażnięcie.

Na tem skończyła się rozmowa o tej przygodzie. Z chwila, kiedy wszystko odbyło się pomyślnie, o czym tu mówić? Tak brano rzeczy w Srebrnym Nowiu. To była Murrayowska tradycja.

W Shrewsbury był inny zwyczaj. Ale to się ujawniło dopiero w kilka dni później. Ilza opowiedziała w szkole o ich przygodzie i opisała swój nastrój po wypiciu wódki z humorem i dowcipem wśród głośnych wybuchów śmiechu koleżanek.

Emilka, która po raz pierwszy zatelefonowała tego wieczoru do Eweliny Blake, że chce się z nią widzieć, zastała ją bardziej zadowoloną, niż zwykle.

— Moja droga, czy nie możesz przeszkodzić Ilzie w opowiadaniu tej historii?

— Jakiej?

— No, o jej „wstawieniu się” w zeszły piątek,

owej nocy, którą spędziliście obie z dwoma chłopcami w pustym domu w Gęsim Stawie — rzekła Ewelina zjadliwie.

Emilka zarumieniła się nagle. Było coś w tonie Eweliny, co czyniło z tego niewinnego faktu poważne wykroczenie. Czy świadomie była Ewelina niegrzeczna?

— Nie widzę, dlaczego Ilza nie miałaby opowiadać tej historji — rzekła Emilka zimno. — To jest zabawne i zajmujące.

— Ale wiesz, co ludzie powiedzą — rzekła Ewelina słodko. — Jest to raczej niepomyślne zdarzenie. Nie mogliście naturalnie nic na to poradzić... ale Ilza pogarsza sprawę. Taka jest niedyskretna... czy nie masz na nią wpływu, Emilko?

— Nie po to przyszłam, aby nad tem debatować — przerwała Emilka szorstko. — Chcę ci pokazać coś, co znalazłam w domu starego Jana.

Podawała jej kartkę papieru, nie wypuszczając jej z ręki. Ewelina spojrzała i stała się purpurowa. Odruchowo sięgnęła po kartkę, ale Emilka co rychlej schowała ją za siebie. Oczy ich spotkały się. W tej chwili zrozumiała Emilka, że wojna między niemi będzie nieubłagana.

Czekała, aż Ewelina przemówi. Po chwili odezwała się panna Blake.

— I cóż zamierzasz uczynić?

— Nic jeszcze nie postanowiłam.

— Zapewne masz zamiar pokazać to panu Hardy i skompromitować mnie wobec całej szkoły?

— Zaslługujesz na to, czy nie uważasz?

— Musiałam zdobyć tę nagrodę, bo ojciec przy-

rzekł mi wycieczkę do Vancouver w przyszłym roku, w lecie, jeżeli zdobędę nagrodę — wyjąkała Ewelina. — Tak pragnęłam pojechać. O, nie zdradź mnie, Emilko. Ojciec byłby oburzony. Oddam ci moją nagrodę, zrobię wszystko, co zechcesz.

Ewelina zaczęła płakać, Emilce przykry był ten widok.

— Nie chcę twojej nagrody — rzekła wyniośle. — Ale coś innego musisz zrobić. Musisz wyznać ciotce Ruth, że to ty narysowałaś mi wąsy w dniu egzaminu z angielskiego, a nie Ilza.

Ewelina otarła łzy.

— To był tylko żart — zakała.

— Ale kłamstwo już nie było żartem.

— Taka jesteś bezwzględna — zaszlochała Ewelina. — To był tylko żart. Myślałam, że spojrzysz w lustro, obudziwszy się. I nie wiedziałam, że twoja ciotka weźmie to tak bardzo do serca. Naturalnie, że jej powiem... jeżeli... jeżeli...

— Napisz to wyznanie i podpisz je w mojej obecności — rzekła Emilka surowo.

Ewelina napisała żądany dokument i podpisała w obecności Emilki.

— Dasz mi to — rzekła, wskazując na pożątką kartkę.

— O nie, to zatrzymam.

— A któż mi zaręczy, że nie zrobisz z tego użytku?

— Słowo córki Starra — odrzekła Emilka wyniośle.

Wyszła od Eweliny z uśmiechem na ustach. Zwy-

ciężyla wreszcie w tym przewlekłym pojedynku. Oczyścił Ilżę w oczach ciotki Ruth.

Ciotka Ruth miała wielką ochotę dowiedzieć się, jakim sposobem, skąd i dlaczego... Ale wobec milczenia Emilki pogodziła się z losem, tem bardziej że Allan Burnley okazywał jej wielką urazę od czasu zamknięcia drzwi jej domu przed Ilżą.

— Dobrze. Powiedziałam ci przecież, że Ilza będzie mogła znów tu przychodzić, skoro mi dowiedziesz jej niewinności w tej sprawie. Dowiodłaś; ja też dotrzymuję słowa, jestem kobietą sprawiedliwą — zakończyła ciotka Ruth, która była chyba najmniej sprawiedliwą ze wszystkich kobiet, żyjących obecnie na świecie.

Ale rewanż Eweliny nie dał na siebie czekać. Całe Shrewsbury wrzało niebawem z oburzenia na Emilkę i Ilżę, które spędziły noc z dwoma chłopcami na pijaństwie pod pretekstem burzy śnieżnej. Na imieninach Janiny Thompson traktowano Emilkę tak, że ze łzami upokorzenia w oczach wróciła do domu. Ilza była w pasji.

— Gdybym przynajmniej była się upiła porządnie — mówiła — ale za mało wypiłam, aby być szczęśliwą, dosyć, aby być ogłupiałą. Są chwile, Emilko, że chciałabym być kotem, o ile te starsze panie z Shrewsbury byłyby myszami. Ale nie zważajmy na nie. Nie obchodzą mnie one. Niebawem przebrzmi i ta plotka. Zresztą będziemy walczyć.

— Nie możemy walczyć z insynuacjami — rzekła Emilka z goryczą.

Ilza nie przejmowała się tą sprawą, ale Emilka była zrozpaczona. Cierpiała w niej duma Murrayow-

ska. W jakimś brukowym piśmie zamieszczono opis tej nocy bez wymieniania nazwisk. Emilka umierała ze wstydu. Aluzje były takie podłe, takie niskie i wulgarne! Tak zbeszczeszczono urok tej cudnej, poetycznej nocy w domku starego Jana! Emilka sądziła, że to będzie po wsze czasy jedno z jej najpiękniejszych wspomnień. A tu oto taki cios!

Tadzio i Perry byli oburzeni do żywego i grozili, że kogoś zamordują. Ale kogo? Emilka powiedziała im słusznie, że cokolwiek uczynią, pogorszą sprawę. Ów artykułik poruszył opinię miasta Shrewsbury. Emilka nie została zaproszona do Florence Black, na wieczorek taneczny, będący największym wydarzeniem towarzyskim w ciągu zimy. Większość pań nie odpowiadała na jej ukłon, gdy ją spotykały na ulicach. Inne okazywały jej lodowatą grzeczność, która zmuszała do trzymania się zdaleka. Młodzi ludzie zaczęli ją traktować wyniośle i poufale zarazem. Jeden z nich, nieznamy, zagadnął ją przed pocztą któregoś dnia, wieczorem. Emilka odwróciła się i zmierzyła go oczami. Nie przestała być wnuczką Archibalda Murraya. Młodzieniec był w ciągu minuty dalej od poczty, niżby się znalazł normalnie w przeciągu kwadransa. Nie zapomniał nigdy, jak umieją patrzeć oczy Emilji Byrd Starr, gdy jest rozgniewana.

Ale nawet Murrayowskie spojrzenie nie mogło powściągnąć rozpętanych języków. Wszyscy wierzyli w ohydne plotki, rozpuszczane o ich niewinnej gromadce. Doniesiono jej, że panna Percy, właścicielka księgarni, oświadczyła: „Nigdy nie lubiłam uśmiechu tej Emilji Starr.” Emilka czuła, że podobnie jak

biedny król Henryk, nie uśmiechnie się już nigdy więcej. Ludzie przypominali, że Nancy Priest była też dziką dziewczyną przed 70 laty, a czyż pani Dutton nie wywołała skandalu, zanim wyszła za mąż? Niedawno pada jabłko, itd. itd., rozumiecie? A matka jej uciekła z domu, czyż nie? A matka Ilzy? Zapewne, znalazła śmierć przypadkową w studni starego Lee, ale kto wie, co by była zrobiła, gdyby nie była umarła? A potem owa kąpiel bez kostjumów kąpielowych? Zresztą porządne dziewczęta nie miewają takich peccin jak Emilka. Poprostu, nie miewają, to się nie zdarza.

Nawet skromny, niepotrzebny Andrzej przestał się zjawiać w piątki na herbacie wieczornej. Emilka uważała go za nudnego głupca i drżała przed owymi piątkami, ale jego własnowolna rezygnacja zabolęła ją i dotknęła, zwłaszcza, że powody były aż nadto przejrzyste. Emilka ręce łamała, myśląc o tem.

Doszło do niej, że pan Hardy uważa, jakoby ona, Emilja Starr, powinna po tym „skandalu” podać się do dymisji z prezydjum klasy Seniorów. Emilka odrzuciła głowę wtył. Podać się do dymisji? Przyznać się do niepopelnionych win? Za nic!

— Nie przejmuj się, Emilko — pocieszała ją Ilza. — Co cię obchodzi, że kilka starych ruin krzywi nos na ciebie? Niechaj bogowie piekieł mają je w swej opiece. Za miesiąc będą obgadywać kogoś innego i rzecz będzie załatwiona.

— Nigdy tego nie zapomnę — rzekła Emilka namiętnie. — Do śmierci pamiętać będę upokorzenia, doznane w tych dniach. Ilzo, pani Tolliver napisała,

aby zrezygnować z mego stolika w bazarze dobroczynnym św. Jana.

— Emiljo Starr, niemożliwe!

— Możliwe i prawdziwe. Naturalnie podaje pretekst: przyjeżdża jej kuzynka z New-Yorku, więc musi jej dać stolik, już nie rozporządza żadnym. A przytem teraz nazywam się: „Droga panno Starr”, patrz!, gdy dotychczas pisywało się do mnie: „Moja najdroższa Emilko!” Wszyscy będą wiedzieli, dlaczego nie biorę udziału w bazarze. A nieomal na kolanach błagałam ciotkę Ruth, aby mi pozwoliła wziąć w nim udział. Ciotka Ruth nie miała ochoty, żebym tam poszła.

— A co mówi na to ciotka Ruth?

— To właśnie najgorsze, Ilzo, że teraz ciotka dowiedzie się o wszystkim. Nigdy o tej historii nie słyszała, ale teraz wyjdzie na jaw cała sprawa. Ja nie wytrzymam jej głupich uwag i jej łajania, Ilzo! Jestem już zbyt przemęczona i zrozpaczona.

— Cóż za ciasne, zjadliwe mózdzki żyją w tem miasteczku — rzekła Ilza. Ona się nie przejmowała. Ale Emilce nie przynosiło ulgi wynajdywanie odpowiednich przymiotników i stosowanie ich do wrogów. Była pogrążona w przygnębieniu, nie pisywała już ani nowel, ani poezyj, ani dziennika. Promyk przestał ją nawiedzać, zapewne nigdy już nie rozbłyśnie. Życie stało się szare, niewdzięczne, smutne. Piękna nie było już na świecie, zniknęło, nawet noce księżycowe w Srebrnym Nowiu nie miały mocy wskrzeszenia go. W Srebrnym Nowiu nie wiedziano o zmartwieniu Emilki. Ale i to ją dręczyło. Niebawem muszą się dowiedzieć! Będą dotknięci, że jedna z Murrayów, na-

wet niewinnie, jest przedmiotem obmowy ludzkiej. A kto wie, jak oni osądzą przygodę Ilzy z wódką Malcolma? Emilka odjeżdżała do Shrewsbury nieomal z uczuciem ulgi.

W każdym spojrzeniu, każdym słowie, zwróconem do niej w szkole, dopatrywała się ironji, lub pogardy. Tylko Ewelina Blake pozowała na jej przyjaciółkę i jej obrońcę. A to było też przykrością niemałą. Emilka nie wiedziała, ile w tej pozie było złośliwości, a ile strachu, ale wiedziała, że nie ma to nic wspólnego ze szczerością, a obłudą brzydziła się zawsze. Ewelina zapewniała wszystkich, że nie wierzy w wieści, szerzone o „tej biednej Emilce”.

Ciotka Ruth skazana była przez kilka tygodni na samotność wskutek silnego ischjaszu. Taka była cierpiąca, że przyjaciółki, odwiedzając ją z rzadka, nie śmiały jej donosić krzywdzących wieści, krążących o jej siostrzenicy. Ischjasz ustąpił i pozwolił jej zająć się czem innem. Przypomniała sobie, że Emilka mało jadła w ciągu ostatnich tygodni i że jest bardzo blada i ma zaczerwienione obwódki oczu. Czyżby źle sypiała? Z tą chwilą postanowiła ciotka Ruth zbadać sytuację. Utajone zmartwienia w jej domu były rzeczą niedopuszczalną.

— Emilko, chciałabym wiedzieć, co ci jest — spytała w sobotę po południu, gdy Emilka, blada i roz-targniona, odchodziła od stołu, nie zjadłszy nic prawie.

Dziewczynka zarumieniła się lekko. Nadeszła godzina, której się obawiała. Trzeba będzie powiedzieć wszystko ciotce Ruth. Emilka czuła, że nie będzie miała odwagi... Wiedziała zgóry, że wywoła zgorsze-

nie z powodu epizodu w domku starego Jana, jakgdyby można było temu zapobiec; na myśl o narzekaniach, jakie ułszy za chwilę, czuła Emilka mdłości. Nie mogła mówić.

Emilka zacisnęła zęby. Trzeba przejść i przez to piekło.

— Nic złego, ciotko Ruth. Zrobiłam tylko coś co fałszywie zrozumiano.

Ciotka Ruth skrzywiła się, ale wysłuchiwała opowiadania Emilki, nie przerywając jej ani jednym słowem. Emilka streszczała się, jak mogła najbardziej, czując się, jak podsądny na ławie oskarżonych, wobec ciotki Ruth, prokuratora, sędziego i władzy wykonawczej w jednej osobie. Gdy skończyła, siedziała, milcząca, czekając na charakterystyczne komentarze ciotki Ruth.

— A o cóż im właściwie chodzi? — spytała ciotka Ruth.

Emilka nie umiała odpowiedzieć na to nieprzewidziane pytanie.

— Sądzę... że... mówią... okropne rzeczy... — wyjąkała. — Wiesz, ciotko Ruth, tutaj nikt sobie nie zdaje sprawy, co to jest burza śnieżna. A przytem każdy zabarwia po swojemu tę historję, każdy coś dodaje... wreszcie rozchodzi się plotka, żeśmy się wszyscy upili.

— Co mnie irytuje — rzekła ciotka Ruth — to obgadywanie cię przez całe Shrewsbury. Dlaczego, na miłość Boską, nie zachowałyście tego przy sobie?

— Toby było *przebiegłe* — odrzuciła Emilka, w której zbudził się dawny demon.

— Przebiegłe! Toby było rozsądne — syknęła ciot-

ka Ruth. — Ale naturalnie, Ilza nie umiała trzymać języka za zębami. Zawsze ci mówię, Emilko, że głupi przyjaciel jest stokroć niebezpieczniejszy, niż wróg. Ale dlaczego się tak przejmujesz? Masz czyste sumienie. Niebawem plotka będzie zapomniana, ta, podobnie jak wiele innych.

— Pan Hardy oznajmił, jak słyszę, że powinnam podać się do dymisji z prezydjum klasy senjorów.

— Jim Hardy! Jego ojciec był najemnikiem u mego dziadka przed laty — rzekła ciotka Ruth tonem nieopisanej pogardy. — Czy Jim Hardy mniema, że moja siostrzenica może się nieodpowiednio zachować?

Emilka była zdumiona. Czy to sen? Czy ta nieprawdopodobna kobieta jest ciotką Ruth? Niemożliwe. Emilka stała przed jedną ze sprzeczności natury ludzkiej. Dowiedziała się w tym momencie, że możemy z kimś walczyć, kogoś ganić, nawet nienawidzić — ale bezkarnie nie będziemy z nim w długoletnim kontakcie, wytworzy się związek między nami a tamtym, zwalczanym. A przytem krew jest zawsze gęściejsza niż woda. Gdy obcy atakują naszych krewnych, budzi się związek między nami a tamtym, zwalczanym. Gdy obcy atakują naszych krewnych, budzi się głos krwi. Ciotka Ruth posiadała przynajmniej jedną zaletę Murrayską, solidarność rodzinną.

— Nie troszcz się o Jima Hardy — rzekła ciotka Ruth. — Z nim ja sobie poradzę. Nauczę ludzi, żeby nie ostrzyli sobie języków na Murrayach.

— A pani Tolliver prosi, żebym odstąpiła jej kuzynce mój stolik w bazarze dobroczynnym — rzekła Emilka.

— Wiedziałam, że Polly Tolliver jest głupią parwenjuską — odparła ciotka Ruth — dla mnie to nic nowego. Od dnia, w którym Ernest Tolliver ożenił się ze swoją stenografistką, ziemia przestała obracać się dokoła słońca! Przez 10 lat była ta dziewczyna bosonogiem stworzeniem, biegając nieśmiało po bocznych ulicach Charlottetown. Nawet koty kręciły na nią ognem z pogardą. A teraz przybiera miny królowej. Nauczę ją niebawem moresu. Przed kilku tygodniami była szczęśliwa, że będzie miała przy swoim stoliku wnuczkę Murrayów. Był to dla niej nowy szczebel drabiny socjalnej. Polly Tolliver! Rzeczywiście! Co się dzieje na tym Bożym świecie!?

Ciotka Ruth odeszła, pozostawiając Emilkę, oszłomioną, wytraconą z równowagi. Niebawem ciotka wróciła w nowym okryciu futrzanem, w najlepszej jedwabnej sukni i w najlepszym kapeluszu. Poszła prosto do willi państwa Tolliverów. Spędziła tam pół godziny. Ciotka Ruth była otyłą, kręłą kobieciną i wyglądała w swem nowem okryciu i paradnej sukni bardzo niemodnie i staroświecko. Pani Tolliver w paryskiej sukience, pięknie zaondulowanej fryzurze, z face-à-main w rękę, była uosobieniem mody i elegancji. Ale szala zwycięstwa przechyliła się na stronę ciotki Ruth. Nikt nie wie, jaka wymiana zdań nastąpiła między dwiema paniami. Ale po wyjściu pani Dutton, rzuciła się pani Tolliver na łóżko, roniąc łzy goryczy i upokorzenia i mnąc niemiłosiernie swą paryską suknię, targając swe kunsztownie uczesane włosy. Ciotka Ruth zaś niosła w swej mufce bilecik, w którym proszona była „droga Emilka” o konieczne wzięcie udziału w bazarze, gdyż kuzynka z New-Yorku skrewiła i nie przyjeżdża. Dr.

Hardy był drugim etapem wędrówki ciotki Ruth i tu znów odniosła pani Dutton pełne zwycięstwo.

Służąca pana Hardy słyszała, jak ciotka Ruth powiedziała do przełożonego Wyższej Szkoły:

— Wiedziałam zawsze, że jesteś głupcem, Jimie Hardy, ale na miłość Boską, przestań nim być na kilka minut!

Nie, to niemożliwe. Służąca zmyśla.

— Nie będziesz już miała nieprzyjemności, Emilko — rzekła ciotka Ruth, wracając do domu. — Polly i Jim usłyszeli, co im się należało. Gdy cię wszyscy zobaczą w bazarze dobroczynnym, zrozumieją, skąd wiatr powiał i dadzą ci spokój. Przy sposobności nawymyślłam jeszcze kilku osobom. Do ładnych rezultatów dochodźmy! Przyzwoite dziewczęta i porządni chłopcy nie mogą uniknąć śmierci na mrozie bez narażenia się na obmowę! Nie myśl o tem więcej, Emilko. Pamiętaj, że za tobą stoi twoja rodzina.

Emilka podeszła do lustra, gdy ciotka Ruth zesła na dół i uśmiechnęła się do Emilki-w-Zwierciadle serdecznie, porozumiewawczo.

— Ciekawa jestem, gdzie zapodziałam moją księgę Jimmy'ego, w której jest sylwetka ciotki Ruth. Muszę dodać kilka nowych rysów, koniecznie!

„KOCHAJ MNIE, KOCHAJ MEGO PSA”.

Gdy mieszkańcy Shrewsbury spostrzegli, że pani Dutton jest sprzymierzeńcem swojej siostrzenicy, plotki ucichły w niezwykle krótkim czasie. Pani Dutton łożyła więcej na parafję, niż którykolwiek z jej członków. Do tradycyji Murrayowskich należało popieranie kościoła. Pani Dutton pożyczala pieniądze połowie przemysłowców i finansistów miasta, Ernest Tolliver tylko dzięki niej utrzymał się na powierzchni w krytycznym momencie. To też należało się z nią liczyć i dbać o jej dobry humor.

Emilka sprzedawała w bazarze pani Tolliver zakieci i buciki dla dzieci. Starsi panowie kupowali te przedmioty, ujęci jej uśmiechem, obecnie już słynnym w Shrewsbury i w Czarnowodzie. Wszyscy byli dla niej mili. Emilka czuła się znów szczęśliwa, chociaż osad pozostał na dnie duszy... Mieszkańcy Shrewsbury mówili po wielu latach, że Emilja Starr nigdy im nie przebaczyła ich obmowy i dodawali, że Murrayowie nie przebacząją wogóle, wiadomo. Emilka tyle wycierpiała, że znenawidziła swe cierpienie i jego przyczyny. Gdy pani Tolliver zaprosiła ją w tydzień później na herbatę, Emilka odmówiła grzecznie, lecz stanowczo. W tonie jej było coś, co przypominało pani Tolliver, że jest ona, mimo wszystko biedną Polly Riordan i nie może wdychać do przyjmowania u siebie Murrayówny.

Andrzej natomiast doznał nader uprzejmego przyjęcia, gdy w następny piątek zjawił się w domu ciotki Ruth. Był trochę nieśmiały, bo nie wiedział, jak się Emilka odnosić będzie do niego. Emilka zaś była wyjątkowo łaskawa. Może miała po temu powody. Znowu zwracam uwagę, że jestem biografem Emilki, a nie jej obrońcą, ani wielbicielką. Jeżeli postępowała z Andrzejem w sposób, którego nie pochwalam, cóż mogę uczynić? Tylko biadać nad tem! Muszę zaznaczyć, że Emilka posunęła się stanowczo za daleko, mówiąc Andrzejowi w odpowiedzi na jego komplementy, że jest on „nadzwyczajnym” młodzieńcem. Nie tłumaczy jej nawet ton sarkastyczny. Powiedziała to ze słodkim uśmiechem, poczem spuściła oczy, a serce Andrzeja zabiło gwałtownie, Ach, Emilko, Emilko!

Tej wiosny dobrze się powodziło Emilce. Zamieszczano liczne jej utwory, otrzymała dużo czeków, zaczynała być prawdziwą literatką. Rodzina coraz poważniej brała jej manję pisania. Czeki były argumentem nie do odparcia.

— Emilka zarobiła piórem 50 dolarów od Nowego Roku — rzekła ciotka Ruth do pani Drury. — Zaczynam przypuszczać, że to dziecko z łatwością wywalczy sobie samodzielne stanowisko.

Z łatwością! Emilka usłyszała to przypadkiem i westchnęła ze smutnym uśmiechem. Co oni wszyscy wiedzą o rozczarowaniach i zwątpieniach człowieka, wspinającego się na szczyty? Co wie ciotka Ruth o rozpaczach i beznadziejności nieprzespanych nocy, podczas których poeta *widzi*, a nie może osiągnąć... Co ona wie o rozczarowaniach wobec rękopisu, który

zupełnie nie odpowiada własnym wymaganiom autora, jego pierwotnej wizji poetyckiej? A te brutalne zwroty! Te godziny przygnębienia i ponownego zrywania się do lotu!

Ciotka Ruth nie wiedziała o tem wszystkim, ale oburzała się teraz, gdy zwracano Emilce rękopisy.

— To jest bezczelność — syczała. — Nie waż się posyłać temu wydawcy ani słowa więcej. Pamiętaj, że jesteś wnuczką Murrayów.

— Obawiam się, że on o tem nie wie — rzekła Emilka z powagą.

— To dlaczego mu tego nie powiesz? — spytała ciotka Ruth.

Sensacją miasteczka był w maju przyjazd Zaneyty Royal, która wróciła z New-Yorku, przywożąc wspaniałe suknie, świetny rozgłos i ulubionego pieska. Zaneyta była urodzona i wychowana w Shrewsbury, ale nie była w rodzinnem mieście od czasu, gdy wyjechała do New-Yorku, czyli od lat 20. Była zdolna i ambitna i powiodło jej się: była wydawcą wielkiego czasopisma dla kobiet. Emilka wstrzymała oddech, słysząc o przyjeździe panny Royal. Och, żeby mogła się z nią zobaczyć, zadać jej szereg pytań! Gdy pan Towers polecił jej pójść do panny Royal i poprosić ją o „interview” dla „Czasu”, Emilka zadrżała ze zgrozy i rozkoszy. Miała pretekst. Ale czy potrafi, czy zdobędzie się na potrzebną odwagę? Czy panna Royal nie pomyśli, iż jest to z jej strony niesłychana zarozumiałość? Jakże będzie mogła zadawać pannie Royal pytania, dotyczące jej kariery i jej zdania o Stanach Zjednoczonych? Nigdy nie zdobędzie się na tę śmiałość.

— Obie modlimy się przed tym samym ołtarzem, ale ona jest wielką kapłanką, a ja pokorną sługą — myślała Emilka.

Zredagowała więc list pełen uwielbienia, przepisując go kilkanaście razy. W liście tym prosiła pannę Royal o upoważnienie jej do wywiadu. Wysławszy ten list, żyła w ciągłym niepokoju, straciła sen i apetyt. Przyszło jej na myśl, że nie należało podpisać: „z poważaniem”, lecz „z szacunkiem”. Panna Royal z pewnością pomyśli, że ona jest zarozumiała.

Ale panna Royal odpisała niezwykle uprzejmie i serdecznie. Emilka przechowuje to pismo do dnia dzisiejszego.

Ashburn, poniedziałek.

„Droga panno Starr,

naturalnie, że może pani przyjść do mnie i pogawędzić ze mną, a ja pani powiem wszystko, co panią może interesować. Jimmy Towers był pierwszym moim wielbicielem przed wielu, wielu laty, ale głównie mi chodzi o poinformowanie pani, nie jego. Przybyłam bowiem do Shrewsbury dlatego przede wszystkim, że chciałam poznać osobiście autorkę „Kobiety, która dała klapsa Królowi”. Przeczytałam tę nowelkę zeszłej zimy i byłam nią zachwycona. Niech pani przyjdzie i opowie mi o sobie i o swoich aspiracjach. Bo przecież — pani ma aspiracje i jest ambitna, nieprawdaz? A mnie się zdaje, że pani może zrealizować swoje ambicje i pragnęłabym pani dopomóc w miarę możliwości. Pani posiada coś, czego ja nie miałam nigdy: zdolność twórczą. Ja natomiast mam

trochę doświadczenia i służę niem pani, o ile ono się będzie mogło przydać w danym wypadku. Może uda mi się oszczędzić pani pewnych rozczarowań i fałszywych posunięć. Oczekuję panią w piątek po południu po wykładach. Spędzimy przemiłą godzinę na pogawędce.

Szczerze życzliwa

Żaneta Royal.”

Emilka podskoczyła kilkakrotnie, czytając ten liścik. Uklęka przy oknie i patrzyła roziskrzonymi oczami na wysmukłe świerki Krainy Wyżyn, na kwietne stoki wzgórz. Czy to możliwe, żeby ona stała się zczasem wybitną osobistością, taką, jak panna Royal? Sądząc z tego listu, tak. W cztery dni później poszła z bijącym sercem na poufną rozmowę z „wielką kapłanką”.

Pani Aniela Royal, która odwiedziła ciotkę Ruth na dwa dni przed ową wizytą, nie uważała panny Żanety za wielką kapłankę, bynajmniej. Ale wiadomo, że nikt nie jest prorokiem wśród swoich, a pani Royal wychowała Żanetę i była świadkiem jej rozwoju od najwcześniejszego dzieciństwa.

— Zarabia bardzo dużo — zwierzyła się ciotce Ruth. Ale jest starą panną i czasami nudzi, poprostu zavraca głowę.

Emilka, studjująca łacinę w otwartym oknie swego pokoju, drgnęła, oburzona. Co za trywialne określenie, co za obraza majestatu!

— Jest jeszcze bardzo przystojna — rzekła ciotka Ruth. — Zresztą Żaneta zawsze była ładną i miłą dziewczyną.

— Jest bardzo miła, zapewne. Ale zawsze się obawiałam, że ona jest zbyt mądra, żeby móc wyjść zamaż i miałam słusność. I zawsze zajęta, zapracowana. Nigdy nie stawia się punktualnie na żaden posiłek. Jest śmiesznie przywiązana do swego pieska, Czu-Czin, jak go nazywa. On jest osią domu. Robi, co mu się podoba i nikt nie ma prawa zwrócić mu uwagi. Mój biedny kot jest nieszczęśliwy. A kiedy zrzuciłam psiaka z pluszowej kanapy, Żaneta tak była oburzona, że przez cały dzień nie rozmawiała ze mną. A kiedy jest obrażona, zawsze jest taka wyniosła i gniewa się na wszystkich, nietylko na tych, którzy jej bezpośrednio zawinili. Tego rysu właśnie nie lubię w Żanetce. Emilka interesuje się ogromnie. Zawsze lubiła się otaczać ładnymi, świeżymi dziewczętami; mówi, że to ją odmładza w jej samopoczuciu. Według niej prace Emilki wykazują szczerzy talent. Gdyby się nią zaopiekowała, toby była wielka wygrana dla Emilki! Tylko, słuchaj, Emilko, bądź, na miłość Boską, uprzejma dla Czu-Czin. Gdybyś go obraziła, Żaneta nie uczyniłaby nic dla ciebie, nawet, gdyby przypuszczała, że jesteś samym Szekspirem.

Emilka obudziła się w piątek ze świadomością, że nadszedł przełomowy dzień jej życia. Miała okropny sen tej nocy: śniło jej się, że siedzi nawprost panny Royal i na wszystkie pytania odpowiada: „Czu-Czin”, niezdolna wymówić ani jednego wyrazu poza tem.

Zrana padał deszcz. Po południu wypogodziło się. Emilka pobiegła ze szkoły do domu, błada ze wzruszenia, przejęta doniosłością przeżywanego momentu. Ważną kwestją było, jak się ubrać na tę wizytę. Włożył stanowczo nową niebieską suknię jedwabną;

jest ona dłuższa i uwydatnia jej figurę. Może odsłonięte czoło nada jej wygląd bardziej intelektualny? Ale nie, pani Royal powiedziała, że Zanita lubi ładne dziewczęta, więc trzeba być ładną, za wszelką cenę! Bujne czarne włosy zostały więc upięte nad czołem, a na nie włożyła Emilka nowy kapelusz wiosenny, który ośmieliła się kupić za ostatnio przysłany czek, wbrew woli ciotki Elżbiety, niezależnie od pinji ciotki Ruth, według której głupiec i pieniądze spotykają się zawsze na krótką tylko chwilę. Ale Emilka cieszyła się teraz, że kupiła ten kapelusz. Było jej w nim bardzo ładnie. Każdy szczegół jej ubrania był staranny i estetyczny. Wyglądała „jak z pudełka”, według starego wyrażenia, które bardzo lubię. Ciotka Ruth patrzyła na nią, gdy schodziła ze schodów i spostrzegła, że Emilka jest już młodą kobietą.

— Ma ruchy prawdziwej Murrayówny — myślała ciotka Ruth.

Emilka zaś odziedziczyła elegancję po Starrach. Murrayowie byli postawni i pełni godności, ale sztywni.

Czu-Czin nie podobał się Emilce. Doszła do wniosku, przyglądając mu się, (siedział przed domem pani Royal), że jest on ładny, ale brudny. Miała nadzieję, że zdobędzie jego względy, ale że *zbliżenie* nie nastąpi.

On najwyraźniej okazywał jej życzliwość, gdyż kręcił ogonem i przypatrywał jej się ciekawie. Stał przy niej w postawie pełnej wyczekiwania, gdy zadzwoniła, a gdy drzwi się otworzyły, skoczył radośnie ku damie, stojącej na progu i o mało co jej nie przewrócił.

Panna Royal sama otworzyła drzwi. Nie była

piękna, jak zdążyła zauważyć Emilka jednym bystrym rzutem oka, ale cechowała ją wrodzona dystynkcja, nie dająca się zastąpić niczem nabytem. Ubrana była w piękną suknię z fioletowego aksamitu, na nosie miała binokle.

Czu-Czin polizał ją gwałtownie po policzku, poczem wpadł do buduaru pani Royal. Piękną fioletową suknię poplamiał od góry do dołu. Emilka pomyślała, że opinja pani Royal o tym psie jest słuszna i że gdyby on należał do niej, byłby lepiej wychowany. Ale panna Royal nie karciała go ani jednym słowem. Emilka była onieśmielona, gdyż panna Royal przywitała się z nią bardzo uprzejmie, ale zimno.

— Może pani wejdzie do saloniku i usiądzie? — rzekła.

Posadziła Emilkę na wygodnym fotelu, a sama zajęła wysokie, sztywne krzeselko. Emilka, wrażliwa i czujna, zauważyła wybór tego krzesła, które czyniło pannę Royal wysoką, majestatyczną, nieprzystępną. Dlaczegoż nie rzuciła się na fotel, lub na kanapę? Może chciała podkreślić oficjalny charakter tej wizyty? Czu-Czin wskoczył na kanapę i niemiłosiernie brudził plusz i koronki, wymachując wilgotnym ogonem. Widocznem było, że coś podrażniło tego dnia pannę Royal i że Emilka trafiła na złą chwilę.

— Śliczna pogoda... — wyjąkała. Wiedziała, że jest to najgłupsze zagajenie rozmowy, jakie istnieje, ale musiała przemówić, skoro panna Royal milczała. To milczenie ciążyło jej tak okropnie.

— Śliczna, istotnie — przytaknęła panna Royal, nie patrząc na Emilkę. Wpatrzona była w Czu-Czina. Emilka znieawidziła Czu-Czina. To sprawiło jej pew-

ną ulgę, ponieważ nie śmiała jeszcze nienawidzić panny Royal. Ale chciałaby być o tysiące mil od tego domu. Ach, żeby przynajmniej nie była zabrała z sobą tej paczki z rękopisami! Nietrudno było poznać, co to jest. Nigdy nie zdobędzie się na odwagę pokazania tego pannie Royal. Czy to możliwe, żeby ta obrażona królowa była autorką owego czarująco miłego listu? Nie do uwierzenia! Czuła się onieśmielona, niepozorna, mała i... młoda! Och, tak okropnie młoda!

Minuty mijały, które wydawały się Emilce wiecznością. Nie mogła znaleźć tematu do rozmowy. W mózgu czuła próżnię, miała zdławioną krtań. Przyszło jej na myśl, że panna Royal traktuje ją tak zimno, ponieważ usłyszała o „przygodzie” w domu starego Jana!

Poprawiła się na fotelu i paczka zsunęła się z jej kolan. Emilka schyliła się po nią. W tejże chwili zeskoczył Czu-Czin błyskawicznie z kanapy i zerwał bukiet sztucznych fiołków z nowego kapelusza Emilki. Emilka puściła paczkę i chwyciła oburącz za kapelusz. Czu-Czin porwał w zęby rękopisy i wyskoczył przez okno, zostawiając na placu boju pęczek fiołków.

Ta szatańska bestja zabrała jej najnowsze i najlepsze utwory. Bóg wie, co z niemi zrobi to zwierzę. Prawdopodobnie nie zobaczy ich Emilka już nigdy. Ale przynajmniej przecięta została kwestja, czy je pokazać pannie Royal, czy nie.

Emilka postanowiła nie zważać już na pannę Royal i nie oszczędzać jej dla zachowania łaski, której przecież nie zaskarbiła. Kobieta, która pozwala psu na takie wybryki nie wychowuje tej bestji! Przeciwnie, wygląda, że jest ubawiona temi psimi „figlami”. Emil-

ka pewna była, że dostrzegła uśmieszek na aroganc-
kiej twarzy panny Royal, kiedy jej fijołki zostały po-
rwane przez psiaka.

Emilce przypomniała się rada, jakiej udzielał
ojciec Wysokiego Jana swej żonie:

— Gdy ludzie ci dokuczają, Brygito, wysuń dolną
wargę naprzód, wysuń wargę.

Emilka wysunęła dolną wargę.

— Bardzo figlarny pies — rzekła ironicznie.

— Bardzo — przytaknęła panna Royal, niewzru-
szona.

— Czy nie sądzi pani, że przydałaby mu się tro-
chę surowsza dyscyplina?

— Nie sądzę, chyba nie — odrzekła panna Royal,
zamyślona.

Czu-Czin wrócił w tejże chwili, obszedł cały po-
kój, węsząc po kątach i wskoczył na kanapę, gdzie
usadowił się wygodnie.

Emilka wyjęła notes i ołówek z torebki.

— Pan Towers przysyła mnie w celu odbycia
wywiadu z panią — rzekła.

— Rozumiem — rzuciła obojętnie panna Royal,
nie odrywając oczu od swego ubóstwianego psa.

Emilka: — Czy mogę pani zadać kilka pytań?

Panna Royal z przesadną uprzejmością: — Bardzo
będę rada.

(Czu-Czin, zaczerpnąwszy tchu, zeskakuje z ka-
napy i wybiega przez uchylone drzwi do jadalni).

*Emilka, zaglądając do notesu i stawiając pierwsze
pytanie, tam wpisane:* — Jaki będzie, zdaniem pani,
rezultat wyborów w Stanach Zjednoczonych?

Panna Royal: — Nigdy o tem nie myślę.

(Emilka z zaciśniętymi ustami pisze: „Ona nigdy nie myśli o tem.” Czu-Czin zjawia się znowu, niosąc w zębach kurczę pieczone i wyskakuje przez okno do ogrodu).

Panna Royal: — Moja kolacja!

Emilka, nawiązując do pierwszego pytania: — Czy prawdopodobnem jest, że Kongres Stanów odniesie się przychylnie do niedawnych propozycyj rządu Kanadyjskiego?

Panna Royal: — Aha! Więc rząd kanadyjski uczynił Stanom jakieś propozycje? Nigdy o tem nie słyszałam.

(Emilka pisze: „Nigdy o nich nie słyszała”. *Panna Royal* poprawia swoje binokle).

Emilka myśli: „Z tym nosem wyglądać będziesz jak czarownica, skoro się zestarzejesz”. *Mówi*: — Czy zdaniem pani przeżyła się już powieść historyczna, jako rodzaj literacki?

Panna Royal, zmęczonym głosem: — Stale zostawiam w domu moje zdanie, gdy wyjeżdżam na wakacje.

(Emilka pisze: „Zostawia w domu swoje zdanie, gdy wyjeżdża na wakacje.” Emilka pragnie zakończyć ten wywiad jaknajrychlej. Opisałaby go po swojemu, ale wie, że pan Towers nie przyjąłby tego artykułu. Pociesza ją myśl o niezapisanej, nowiutkiej księdze Jimmy’ego, którą ma w domu i do której wpisze tajne sprawozdanie z tej wizyty. Czu-Czin wchodzi. Emilka zastanawia się, jakim sposobem zdążył już uporać się z całym kurczęciem. Czu-Czin czuje widocznie potrzebę zjedzenia deseru, bo zrywa z kanapy koronkową serwetkę pani Royal, wsuwa się z nią pod fortepian i żuje ją sumiennie).

Panna Royal, gorąco: — Drogi pies!

Emilka, w przystępie natchnienia: — Czy pani lubi szpice?

Panna Royal: — Są to najmiłsze stworzenia pod słońcem.

Emilka, do siebie: — A zatem jeden pogląd przywiozła z sobą na wakacje. — *Do panny Royal:* — Ja nie jestem ich zwolenniczką.

Panna Royal z lodowatym uśmiechem: — Jest rzeczą oczywistą, że mamy różne upodobania co do psów.

Emilka, do siebie: — Szkoda, że niema tu Ilzy, żeby mogła jej nawymyślać.

(Duży, szary kot zjawia się na progu. Czu-Czin wybiega z pod fortepianu i rozpoczyna pogoń za kotem. Po drodze przewraca piękną doniczkę z begonją pani Royal. Doniczka rozsypuje się w drobne kawałki.)

Panna Royal, niesympatycznie: — Biedna ciotka Aniela! Serce jej krwawić będzie.

Emilka: — Ale to niema znaczenia, nieprawdaż?

Panna Royal, łagodnie: — O nie, bynajmniej.

Emilka, zaglądając do notesu: — Czy według pani zaszły duże zmiany w Shrewsbury?

Panna Royal: — Ludzie zmienili się bardzo. Młode pokolenie nie wywarło na mnie dodatniego wrażenia.

(Emilka pisze te słowa. Czu-Czin zjawia się znowu, straciwszy widocznie z oczu kota i kończy swą ucztę pod fortepianem.)

*

Emilka zamknęła notes i wstała. Nawet dla pana Towersa nie przedłuży tego wywiadu. Minę miała anielską, ale myślała rzeczy straszne.

— Dziękuję pani, to wszystko — rzekła z wyniosłością równą zimnemu tonowi panny Royal. — Żałuję, że zabrałam pani tyle czasu. Dowidzenia.

Ukloniła się lekko i poszła w kierunku drzwi. Panna Royal poszła za nią.

— Czy nie zechciałaby pani zabrać z sobą swego psa, panno Starr? — spytała ze słodyczą.

Emilka zatrzymała się na progu.

— Co pani mówi?

— Mówię, że powinna pani zabrać swego psa.

— Mego psa?

— Tak. Jeszcze nie dokończył tej biednej serwetki, to prawda, ale może ją pani też zabrać. W tym stanie nie przyda się już ona ciotce Anieli w żadnym razie.

— Ale... to nie mój pies... — wyjąkała Emilka.

— Nie pani pies? Więc czyjże? — spytała panna Royal.

— Sądziłam, że to jest... pani szpic — odrzekła Emilka.

23.

OTWARTE WROTA.

Panna Royal patrzyła na Emilkę przez chwilę. Wreszcie chwyciła ją za rękę, wciągnęła niemal siłą do saloniku, posadziła na fotelu, sama rzuciła się na kanapę i wybuchnęła niepohamowanym, głośnym śmiechem. Emilka uśmiechała się blado. Była oszołomiona tylu wrażeniami, tak szybko po sobie następu-

jącami, ale już jej świtał projekt szkicu, jaki napisze wieczorem. Biały pies, dokończywszy podwieczorku, czyli poszarpawszy na drobne kawałki nieszczęsną serwetę koronkową, rozpoczął znowu wyścig za kotem.

Wreszcie panna Royal wyprostowała się i otarła oczy z łez.

— To jest nieocenione, niebywałe! Emiljo Byrd Starr, to przezabawne! Zapamiętam to do 80-tego roku życia. Która z nas to opíše, ty, czy ja? Ale do kogóż należy ta bestja?

— Nie mam pojęcia — rzekła Emilka ponuro. — Nigdy w życiu nie widziałam jej dotychczas.

— No, to zamknijmy drzwi, żeby nie mogła tu wrócić. A teraz, droga moja, siadaj obok mnie. Pogadamy naprawdę szczerze i serdecznie. Byłam nieznośna, gdy usiłowałaś mnie indagować. Dlaczego nie rzuciłaś mi czegoś w głowę, biedne, zmaltretowane stworzenie?

— Na ochocie mi nie zbywało. Ale rozumiem, że chciała pani pozbyć się jak najrychlej mojej obecności ze względu na manjery mojej domniemanej własności.

Panna Royal wybuchnęła śmiechem powtórnie.

— Nie wiem tylko, czy ci przebaczę, że wzięłaś tę bestję za mego ukochanego, ślicznego szpica. Zaprowadzę cię do mego pokoju i musisz go przeprosić. Śpi u mnie na łóżku. Zamknęłam go, ażeby ciotka Aniela mogła być spokojna o swego ukochanego kota. Czu-Czin nigdy nie goni, ani nie drapie kotów, tylko bawi się z niemi aż do zmęczenia. Bo, widzisz, gdy kot zaczyna pędzić przed siebie, pies nie może nie pobiec za nim. To już taka psia natura. Jak mówi Kipling, nie byłby psem, gdyby tego nie robił. Gdyby

choć ten biały intruz był poprzestał na gonitwie z kotem!

— Jaka szkoda, że zniszczył begonję pani Royal — rzekła Emilka z żalem.

— Tak, wielka szkoda. Ciotka Aniela ma ją od wielu lat. Ale kupię jej inną. Gdy cię zobaczyłam, wchodzącą z tym psem, kręcącym przy tobie ogonem, doszłam do wniosku, że to twój pies. Włożyłam moją najlepszą suknię, ażeby pięknie wyglądać, bo chciałam zyskać twe względy, Emilko kochana; a gdy ta bestja popłamiła mi ją, a ty nie wyrzekłaś ani słowa, nie tłumaczyłaś się, nie przeproszałaś mnie, odczułam zimną wściekłość, która ogarnia mnie dość często. Jest to jedna z moich wad. Ale byłabym ochłoneła rychło, gdyby nie były się zdarzyły nowe katastrofy. A tu nieszczęście za nieszczęściem! Przysięgam sobie, że o ile nie doprowadzisz tego psa do porządku, ja nie okażę ci niczem mego oburzenia. A ty byłaś zapewne oburzona, że pozwoliłam *memu* psu zniszczyć ci kapelusz i zjeść twe rękopisy?

— Tak.

— Zrozpaczona jestem z powodu twych rękopisów. Może je odnajdziemy, nie mógł ich przecież połknąć, ale zapewne je poszarpał.

— Mniejsza o to. Mam w domu kopję.

— A twoje pytania! Emilko, byłaś doprawdy rozkoszna. Czy rzeczywiście zanotowałaś moje odpowiedzi?

— Dosłownie. Miałam oddać je do druku w tej formie. Pan Towers wręczył mi listę pytań, ale oczywiście nie miałam zamiaru tak ich „wystrzelić” znie-

nacka i bez ogródek. Chciałam je wpleść umiejętnie w rozmowę. Ale oto pani Royal.

Pani Royal weszła z uśmiechem. Na widok begonji przestała się uśmiechać. Ale panna Royal rzekła natychmiast:

— Cioteczko kochana, nie płacz i nie mdlej, przynajmniej nie czyn tego, dopóki mi nie powiesz, kto w naszej okolicy ma białego, kudłatego psa, pozbawionego wszelkich manier towarzyskich?

— Lily Bates — odrzekła pani Royal tonem rozpacz. — Czy znowu wypuściła tę bestję na wolność? Zapowiedziałam jej, że jeżeli jeszcze raz przydybie psa na jakiejś psocie w moim domu, lub ogrodzie, to go otruję bez litości. Od tej pory nie wypuszczają go z ich domu. A teraz oto... och, moja biedna begonja!

— Otóż ten pies przyszedł tu razem z Emilką. Sądziłam, że to jej pies. Gościnność nakazywała mi być uprzejmą dla jej psa, czyż nie? Ucałował mnie na przywitanie, zniszczył najlepszą moją suknię, zerwał Emilce z kapelusza fiołki, gonił po całym mieszkaniu twego kota, przewrócił twego kota, przewrócił twą begonję, zbił twój wazon, uciekł z mojem pieczonem kurczęciem... tak, jęcz, ciotko Aniello, porwał kurczę!... ja zaś nie mówiłam ani słowa, byłam grzeczna i zrezygnowana. Zachowanie moje było chyba na wysokości Srebrnego Nowiu, nieprawdaż, Emilko?

— Byłaś poprostu zbyt rozwścieczona, aby mówić — rzekła pani Royal.

— Widzisz, Emilko, za dobrze mnie zna ciotka Aniello! Przyznaję, że nie byłam uosobieniem uprzejmości. Ale, droga cioteczko, kupię ci nowy wazon i nową begonję. Pomyśl, ile będzie uciechy z pielegno-

wania nowego kwiatka. Zawsze więcej jest warte przewidywanie tego, co będzie, niż odczuwanie tego, co już jest.

— Okiełznam niebawem Lily Bates — rzekła pani Royal, wychodząc z pokoju do ogrodu.

— A teraz, kochanie, pogadajmy — rzekła panna Royal, przysuwając się bliżej.

Spędziły godzinę na miłej rozmowie. Emilka czuła się doskonale. Wreszcie panna Royal wystąpiła z propozycją, która zatamowała jej oddech.

— Emilko, możebyś pojechała ze mną w lipcu do New-Yorku. Wakuje tam posada w redakcji, niewielka posada sama w sobie, ale na życie zarobisz, a przytem będziesz w wielkim środowisku, będziesz mogła pisać i zdobędziesz stosunki, a to wiele znaczy. Gdy dowiedziałam się, kto jest autorką twojej noweli, przyjechałam tu, aby cię poznać i zabrać cię stąd. To zbrodnia tu się marnować! Wiem, że Srebrny Nów jest śliczną miejscowością, uroczym zakątkiem, pełnym poezji i romantyzmu. Tam spędziłaś dzieciństwo. Ale musisz mieć odpowiednie otoczenie, szanse wyrobienia i wybicia się! Musisz się zetknąć z szerokim światem, a to jest możliwe tylko na terenie wielkomijskim. Pojedź ze mną. Jeżeli pojedziesz, przyrzekam ci, że za 10 lat nazwisko Emilji Byrd Starr znane będzie w całej Ameryce.

Emilka siedziała, jak zahipnotyzowana. O tem marzyć nigdy nie śmiała. Nagle otwierały się przed nią wrota, za którymi widniał promienny świat jej snów. A jednak... jednak... jakie uczucie, nieśmiałe, niejasne, drzemało na dnie jej duszy, które sprzeciwiało się temu urzeczywistnieniu? Czy dotknęła ją

pewność, zawarta w słowach panny Royal, że nie wsławi się nigdy, o ile z nią nie pojedzie? Czy starzy, zmarli Murrayowie poruszyli się w grobach i szeptali z oburzeniem, że żaden z nich nie byłby przyjął obcej pomocy w zdobywaniu sobie stanowiska w świecie? Czy panna Royal była nieświadomie zbyt protekcyjnalna? Faktem jest, że coś powstrzymało Emilkę od rzucaenia się w ramiona panny Royal.

— To byłoby cudne — rzekła jakby przez sen.
— Chętniebym pojechała, ale ciotka Elżbieta nie zgodzi się na to. Powie, że jestem zbyt młoda.

— Ile masz lat?

— 17.

— Ja miałam 18, gdy wyjechałam. Nie znałam w New-Yorku żywej duszy, miałam przy sobie dosyć pieniędzy, aby móc wyżyć przez trzy miesiące. Byłam nieporadną, niedoświadczoną istotką, a jednak zwyciężyłam. Ty zaś mieszkałabyś u mnie. Doglądałabym cię nie gorzej od samej ciotki Elżbiety. Powiedz jej, że będę cię strzegła jak oka w głowie. Mam śliczne, zaciszne mieszkanie, gdzie żyłybyśmy szczęśliwe, jak dwie królowe. I polubiłabyś Czu-Czina, Emilko.

— Wolałabym kota — rzekła Emilko stanowczo.

— Kota! O! Nie możemy mieć kota w mieszkaniu. Nie nauczyłby się porządku. Musisz poświęcić koty, złożyć je na ołtarzu twej sztuki. Dobrzeby ci było u mnie. Mam dobry charakter, kochanie, nigdy nie tracę panowania nad sobą, a jeżeli się rozgniewam w duszy, to niebawem gniew ten opada. Jestem przyjemnym kompanem, łatwym w pożyciu.

— Tego jestem pewna — rzekła Emilka z uśmiechem.

— Nigdy dotychczas nie miałam ochoty na współlokatorkę — rzekła panna Royal. — Ale ty jesteś promienna, Emilko. Zastanów się nad moją propozycją.

— Muszę poprosić ciotkę Elżbietę, żeby ona się nad tem zastanowiła — rzekła Emilka ze smutkiem. — Jeżeli ona się zgodzi, pojedę.

— Zgodzi się! — zawołała radośnie panna Royal. — Ja do niej pojedę i pomówię z nią. Wiesz, w przyszły piątek pojedziemy do Srebrnego Nowiu razem. Musisz wypłynąć na szersze wody.

— Dziękuję z całego serca, droga panno Royal, spróbuję. Ale teraz muszę odejść. Rozważę to wszystko, w tej chwili bowiem jestem wręcz oszołomiona. Pani nie wie, czem to jest dla mnie.

— Chyba wiem — rzekła panna Royal żartobliwie. — I ja niegdyś trapiłam się i płakałam po nocach, bo byłam biedną dziewczyną, skazaną na zaciężnione życie w Shrewsbury.

— Ale pani sama zdobyła wszystko — odparła Emilka nieśmiało.

— Tak, ale w tym celu musiałam wyjechać. Tutaj nie byłabym osiągnęła niczego. Z początku było strasznie trudno i ciężko. Jedź ze mną, kochana dziewczyno, a ja dopomogę ci do uniknięcia moich rozczarowań i osiągnięcia twego celu.

— Dziękuję, dziękuję — wyszeptwała Emilka, wzruszona do łez. Nie otrzymała dotychczas w życiu zbyt licznych dowodów sympatji, lub zrozumienia. Była rozrzewniona. Odeszła z poczuciem czegoś cu-

downego, co weszło niespodziewanie w jej życie. Musi z tego skorzystać, o ile tylko ciotka Elżbieta pozwoli.

— Nie mogę pojechać wbrew jej woli — postanowiła Emilka.

— Ale mniejsza o to — rozmyślała. — Nie zdaje mi się, żebym kiedykolwiek polubiła szpice. A przytem będę go oglądać dość często, skoro zamieszkać z nim razem u panny Royal.

24.

DOLINA POEZJI.

Czy Emilka pojedzie do New-Yorku z panną Royal? Na to pytanie musiała teraz dać odpowiedź. A raczej nie ona sama, tylko ciotka Elżbieta. Od tej odpowiedzi zależało wszystko. Emilka nie miała wielkiej nadziei, żeby ciotka Elżbieta zgodziła się na jej wyjazd. Duma Murrayowska i przesady społeczne będą w danym wypadku zaporą nie do przebycia.

Emilka nic nie powiedziała ciotce Ruth o propozycji panny Royal. Ciotka Elżbieta powinna być o tem poinformowana, jako pierwsza osoba, której się należały zwierzenia Emilki w ważnych sprawach życiowych. W piątek pojechała z panną Royal do Srebrnego Nowiu i przedstawiły projekt wyjazdu ciotce Elżbiecie.

Ta wysłuchała w milczeniu. Milczenie to było wyrazem nagany, Emilka wyczuwała to z całą pewnością.

— Kobiety z rodziny Murrayów nie zarabiały nigdy na życie — rzekła chłodno.

— To nie jest właściwie „zarabianie na życie”, droga panno Murray — odrzekła panna Royal z tą cierpliwą kurtuazją, z jaką odpowiadamy starszej damie, reprezentującej punkt widzenia „tamtego” pokolenia. — Zresztą tysiące kobiet pracuje dzisiaj zawodowo.

— Uważam, że dobrze robią, o ile nie wychodzą zamaż — odrzekła ciotka Elżbieta.

Panna Royal zarumieniła się. Wiedziała, że w Shrewsbury i w Czarnowodzie uważają ją za starą pannę, a zatem za nieudane istnienie, bez względu na jej dochody i jej stanowisko w New-Yorku. Ale oparowała się i przypuściła szturm z innej strony.

— Emilka ma niezwykle talent literacki — rzekła. — Sądzę, że ona może zdziałać coś naprawdę pożytecznego, jeżeli będzie miała sposobność po temu. Powinniśmy jej dać tę sposobność, droga panno Murray. Pani wie, że tutaj niema dla niej pola działania.

— Emilka zarobiła w tym roku 90 dolarów swem piórem — odrzekła ciotka Elżbieta.

— Boże, daj mi cierpliwość! — pomyślała panna Royal.

Głośno rzekła:

— Tak, a za parę lat zarobi paręset, siedząc tutaj. Jadąc ze mną, będzie zarabiać za 10 lat kilka tysięcy rocznie.

Emilka była zdziwiona, że ciotka Elżbieta zgadzała się myśleć nad tem. Była raczej przygotowana na bezwzględną odmowę.

— Ciotka pozwoli, zobaczysz — szeptała panna Royal. — Znam Murrayów! Oni są wrażliwi na cyfry!

— Obawiam się, że nie pozwoli — szepnęła Emilka z żalem.

Po odjeździe panny Royal, spojrzała ciotka Elżbieta na Emilkę.

— Czy chciałabyś pojechać, Emilko?

— Tak... zdaje mi się... o ile pozwolisz...

Emilka była bardzo blada. Nie miała nadziei, najmniejszej.

Ciotka Elżbieta rozważała to przez tydzień czasu. Odbyła naradę z Ruth, Oliverem i z Wallace'em. Ruth rzekła z powątpiewaniem:

— Powinniśmy jej pozwolić na ten wyjazd. Będzie miała wielkie możliwości. Nie jedzie sama, na co nigdybym się nie zgodziła. Żaneta będzie jej pilnować.

— Za młoda jest, za młoda — mówił Oliver.

— Powinna jechać; Żaneta Royal umiała się wybić — orzekł wuj Wallace.

Ciotka Elżbieta napisała nawet do ciotki Nancy. „Niech Emilka decyduje sama”, odpisała ciotka Nancy.

Ciotka Elżbieta uznała tę radę za najmądrzejszą i wezwała Emilkę do saloniku.

— Jeżeli chcesz jechać z panną Royal, możesz to uczynić — rzekła. — Nie wolno mi zamykać przed tobą możliwości, jakie się tu otwierają. Brak nam będzie ciebie, wołałybyśmy zatrzymać cię tutaj jeszcze przez parę lat. Nie znam New-Yorku. Jest to podobno okropne miasto. Ale otrzymałaś staranne wychowanie. Lauro, dlaczego płaczesz?

Emilka czuła, że też się rozplacze. Nie była wca-

le uszczęśliwiona. Teraz, kiedy nie było przeszkód, nie miała już ochoty na wyjazd do New-Yorku.

Nie poszła od razu do swego pokoju i nie napisała do panny Royal radosnego listu. Poszła do ogrodu i rozmyślała przez całe popołudnie sobotnie i przez niedzielę. W Shrewsbury była przez cały następny tydzień taka cicha i zamyślona, że ciotka Ruth spoglądała na nią ukradkiem. Ale nie dopytywała się o nic. Może Emilka myśli o Andrzeju? A możliwe, że zapadło postanowienie ogólnu-Murrayowskie: nie wpływać na decyzję Emilki?

Emilka nie rozumiała, dlaczego nie napisała od razu do panny Royal. Przecież pojedzie z nią, rzecz jasna. Czy mogłaby nie pojechać? To była taka niesłychana sposobność poznania szerokiego świata, dorwania się do pracy na większą skalę. Dlaczegoż więc poszła w tydzień później do pana Carpentera na naradę? Pan Carpenter niewiele jej mógł pomóc. Leżał chory na reumatyzm.

— Nie czytaj mi żadnych nowych utworów — rzekł.

— Nie, nie mam nic przy sobie — rzekła Emilka z bladym uśmiechem. — Przychodzę po inną radę. Opowiedziała mu wszystko.

— Skoro chcesz się zamerykanizować, to jedź — rzekł szorstko pan Carpenter. — Pragnąłem, żebyś pozostała prawdziwym dzieckiem Kanady. W New Yorku nie można mieszkać bezkarnie. Tam każdy nabiera cech yankeskich. Pisać zaś można wszędzie, a tam nie znajdziesz czystych źródeł natchnienia, przeciwnie...

— Nie jestem Karoloną Brönte — rzekła Emil-

ka. — Muszę żyć w pewnym środowisku, ażeby się wybić. Tu nic nie zrobię.

— W takim razie, jedź. Moje zdanie jest odmienne, ale to niema znaczenia.

Emilka wracała do domu, przygnębiona. Pragnęłaby naradzić się z Deanem. Ale Dean był w Kalifornji i nie pisał już od paru tygodni. A z Tadzkiem trudno było roztrząsać tę kwestję. Od czasu owej nocy w domu starego Jana przebywali ze sobą niby tak samo, ale był w ich stosunkach odcień przymusu. Emilka nie chciała się przyznać przed samą sobą, że bała się zasięgnąć rady Tadzia. A jeżeli on jej powie, żeby jechała? To byłby dla niej cios, bo toby dowodziło, że mu jest obojętne, czy ona odjeżdża, czy zostaje. Ale Emilka nie uświadamiała sobie na razie tych rzeczy.

— Naturalnie, że pojedę — mówiła sama do siebie głośno. Może wymówione słowo przypieczętuje tę decyzję? — Cobym robiła na przyszły rok, gdybym nie pojechała? Ciotka Elżbieta nie pozwoli mi nigdzie ruszyć się samej. Ilza odjedzie, Perry i Tadzio też jadą. Tadzio mówi, że musi jechać w świat i zdobyć pieniądze na wyższe studia malarskie. I ja muszę jechać...

Tak odpowiedziała jakiemuś nieznanemu opponentowi. Gdy wróciła do domu o zmierzchu, obeszła wszystkie pokoje, jakgdyby zwiedzała je po raz pierwszy. Ile wdzięku, ile finezji i godności było tu w każdym szczególe! A jej pokoik kochany! A ogród Jimmy'ego! Czy mieszkanie panny Royal będzie choć w części tak miłe?

— Naturalnie, że pojedę — powtórzyła głośno.

Wyszła do ogrodu. Posłyszała gwizd przejeżdżającego pociągu. Zatrzymała się przy zegarze słonecznym. Wsłuchiwała się w cichy szelest Królowej Wicherów, swej dawnej przyjaciółki. Czy odnajdzie ją Królowa Wicherów wśród gwaru i szumu wielkomiejskiego?

— Ach, czuję, że w New Yorku nie nawiedzi mnie promyk! — westchnęła.

Jaki piękny jest ten ogród, który kuzyn Jimmy tak ukochał! Jaki piękny jest folwark Srebrnego Nowiu! A któż opisze romantyczny urok Trzech Księżniczek! Jakże ona opuści ten stary domek, który ją przytulił i ukochał (nie mówcie mi, że domy nie kochają!), te groby zmarłych przodków nad jeziorem Czarnowodzkim, te rozległe pola i duchów pełne lasy, w których prześniła sny swego dzieciństwa? Naraz pojęła, że nie może się z niemi rozstać, że nigdy nie miała naprawdę zamiaru ich opuścić. Dlatego chodziła, zrozpaczona, do obcych ludzi, wypytyjąc o ich zdanie. Dlatego pragnęła tak gorąco powrotu Deana, bo on z pewnością odradzałby jej wyjazd.

— Należę do Srebrnego Nowiu, tu jestem wśród swoich — rzekła.

Ta decyzja była nieodwołalna, nie potrzebowała teraz niczyjej pomocy. Była zadowolona, uspokojona wewnętrznie, gdy weszła do kuchni starego domu, gdzie zastała przy magicznem świetle świec Elżbietę, Laurę i Jimmy'ego, zgromadzonych dokoła stołu.

— Nie pojedę do New-Yorku, ciotko Elżbieto — rzekła. — Pozostanę z wami w Srebrnym Nowiu.

Ciotka Laura wydała okrzyk radości. Kuzyn Jimmy krzyknął: „Hurra!”. Ciotka Elżbieta zgubiła oczko w północzose, którą robiła na drutach.

— Wiedziałam, że wnuczka Murrayów tak postanowi — rzekła po chwili.

Emilka pojechała w poniedziałek do Ashburn.

— Ciotka Elżbieta pozwoliła mi decydować samodzielnie o moim losie — oznajmiła. — Dziękuję pani z głębi serca, panno Royal, ale nie mogę jechać...

— Emilko! Dziecko drogie! Dlaczego? Co mówisz?

— Nie mogę rozstać się ze Srebrnym Nowiem. Zanadto go kocham. Zbyt jestem przywiązana...

— Sądziłam, że pragniesz pojechać ze mną, Emilko — rzekła z wyrzutem panna Royal.

— I tak też i było. Częstka mojej osoby pragnęła pojechać. Nie myśl, że jestem głupia i niewdzięczna, droga przyjaciółko!

— Nie myślę tego, Emilko, bynajmniej — rzekła panna Royal, bezradna. — Ale trochę głupia jesteś, dziewczeczko moja. Przechodzisz mimo karjery i szczęścia. Nie wiesz, ile trudności cię czeka.

— Stworzę tutaj własną atmosferę i będę pracować — rzekła Emilka. — I tutaj jest pole do obserwacji. I tu ludzie żyją, pracują, grzeszą, cieszą się i martwią.

— Ale do niczego nie dojdiesz tutaj, dziecko. Nie będziesz miała nigdy eleganckiego mieszkania, pięknych toalet, własnej służby...

— Nie — przerwała Emilka poważnie — te rzeczy nie należą do tradycji Murrayowskiej.

— I różnych odpowiedników duchowych także

nie, a to jest najważniejsze. Widzę już zgóry całe twoje życie, Emilko, zacieśnione, szare, zmarnowane.

— Ja widzę je pod kątem gwiazd — rzekła Emilka dumnie. A jeżeli tu niczego nie osiągnę, to w New Yorku też nie osiągnęłabym niczego. Wyszłoby w mojej duszy jakieś źródło, gdybym opuściła to, co ukochałam...

— Mojem zdaniem — rzekła panna Royal ze smutkiem — popełniasz wielki błąd, Emilko. Przyznasz czasem, że mam słuszość. Napisz do mnie wóczas, a ja zawsze otworzę ci drzwi mego domu. Tutaj nie wrócę, do tej okolicy, gdzie młodzi traktują mnie, jak matronę, a starzy mówią mi na każdym kroku, że jestem podobna do mojej matki... Matka była przezacna, ale brzydka, rozumiesz? Pożegnajmy się i nie miejmy żalu do siebie nawzajem.

— Panno Royal — rzekła Emilka serdecznie — czy nie czuje pani, jak bardzo oceniłam pani dobroć? Nikt nie okazał mi bodaj tyle serca, co pani.

Panna Royal podniosła ukradkiem chusteczkę do oczu.

— Dziękuję ci za te wyrazy, dziewczyno — rzekła niemal uroczyście.

Uśmiechnęła się, położyła dłoń na ramieniu Emilki i pocałowała ją w policzek.

— Życzę ci wszystkiego dobrego po wsze czasy — rzekła. — Sądzę, że byłoby mi dobrze, gdyby jakiegokolwiek miejsce na świecie było dla mnie tem, czem dla ciebie jest Srebrny Nów.

O trzeciej w nocy przypomniała sobie rozbudzoną, uszczęśliwioną Emilka, że nie zobaczyła Czu-Czina.

MIŁOŚĆ KWIETNIOWA.

10 czerwca 19...

„Wczoraj wieczorem Andrzej Oliver Murray poprosił Emilję Byrd Starr o jej rękę.

Wyżej wymieniona Emilja Byrd Starr odmówiła.

Cieszy mnie, że już mam to za sobą. Od niejakiego czasu wiedziałam, że to mi grozi. Andrzej przychodził co wieczór i zawsze próbował mówić „poważnie”, a ja mu się wymykałam i żartowałam, zmieniałam wciąż temat...

Wczoraj poszłam do Krainy Wyżyn na jeden z ostatnich wieczorów, jakie tam spędzam. Gdy jestem tam, na górze, gotowa jestem wierzyć we wszystko, w stare mity, w legendy, w chochliki, fauny, rusalki. Czuję się, jakby dusza moja już opuściła ciało i bujała, *wolna*, w przestworzach.

Nadszedł Andrzej, wyświeżony, wykrochmalony, uroczysty.

Wiedziałam, że Andrzej chce się rozmówić ze mną. Dlatego poszedł za mną w Krainę Wyżyn. Wolałam odbyć tę rozmowę tutaj, bez świadków. Po raz pierwszy byliśmy tego samego zdania, chociaż i tym razem z różnych przyczyn. Nawiasem mówiąc, ciotka Ruth jest pewna, że nie pojechałam do New-Yorku, bo nie chcę się rozstać z Andrzejem!

Ale nie miałam zamiaru spędzać z Andrzejem nocy przy świetle księżyca. On nie decydował się mówić, lecz zaproponował mi, żebyśmy „posiedzieli tak razem”. Odrzekłam stanowczo, że nie spóźnię się na kolację i zesłam ze wzgórza, on za mną.

Po kolacji, nudnej, jak zwykle, usiedliśmy w saloniku. Ciotka Ruth poszła do kuchni. Nagle Andrzej wyjąkał:

— Emilko, pobierzmy się, skor... skoro tylko będę mógł się ożenić...

Chciał coś dodać, to było widoczne, ale nie wiedział, co, więc milczał.

— Dlaczego mielibyśmy się pobrać? — spytałam.

Andrzej był zdumiony. Widocznie tradycja Murrayowska nakazuje inaczej się zachować wobec oświadczyn.

— Dlaczego? Jakto... dlaczego? — wyjąkał.

— Tak, dlaczego?

— Bo pragnę tego.

— Ja nie.

Andrzej znów był zaskoczony.

— Ale... dlaczego? — spytał tonem ciotki Ruth.

— Bo cię nie kocham.

Andrzej zarumienił się. Uważał, że jestem nieskromna.

— Sądzę, że każda panna zgodziłaby się... — wyjąkał naiwnie.

— Może, tylko nie ja — odrzekłam tonem, nie dopuszczającym najmniejszych wątpliwości.

Tak był zdziwiony, że nie okazał nawet rozczarowania. Murray nie może nalegać. Wyszedł, myślałam,

że trzasnął drzwiami, ale okazało się, że to tylko wiatr. Wolalabym, żeby to był on. Jest trochę upokorząjącą rzeczą odrzucić oświadczyzny mężczyzny i dowiedzieć się, że jest on tylko zdziwiony.

Nazajutrz zrana zadała mi ciotka Ruth pytanie, co się stało. Widocznie domyśliła się czegoś.

— Co masz do zarzucenia Andrzejowi? — spytała.

— Nic, tylko nie podoba mi się. Ma wszystkie zalety, ale brak mu soli.

— Mam nadzieję, że nie wpadniesz w sidła do-robkiewiczowskie — rzekła ciotka Ruth, mając na myśli Perry'ego. Mogłam ją uspokoić co do tego. W zeszłym tygodniu przyszedł Perry oznajmić mi, że jedzie do Charlottetown na studia prawnicze. Przyjął go do swej kancelarji pan Abel, wielki adwokat. Powin-szowałam mu serdecznie i doprawdy cieszyłam się z nim razem.

— Będę mógł się utrzymać z pensji — rzekł Perry — a jakoś sobie poradzę, gdy trzeba będzie kupić ubranie. Ciotka Tomaszowa nie chce już łożyć na mnie. Wiesz, dlaczego.

— Żałuję, Perry — odrzekłam, śmiejąc się trochę.

— Czy nie chcesz, Emilko? — spytał. — Jabym chętnie postanowił, że się pobierzemy zczasem.

— Ja już postanowiłam, że nie.

Nie mogę brać na serjo Perry'ego, podobnie jak Andrzej. Doznaję wrażenia, że im się zdaje tylko, że są zakochani.

— Nie znajdziesz mądrzejszego mężczyzny ode-mnie — ostrzegął mnie Perry. — Wysoko zajdę.

— Pewna tego jestem, a ja będę serdecznie rada, bo jestem twoją starą przyjaciółką.

— Przyjaciółką — rzekł Perry z odcieniem zniecierpliwienia. — Ja chciałem, żebyś była moją żoną. Ale wiem, że nie należy nalegać, według Murrayowskiej tradycji. Powiedz mi jedno: czy wyjdiesz za Andrzeja Murraya?

— Nie, nigdy.

— Dobrze. A zatem, gdybyś zmieniła zdanie co do mnie, daj mi znać. Pobierzemy się, o ile ja będę trwał w mem uczuciu.

Opisałam to zdarzenie wiernie, nie dodając i nie opuszczając ani słowa. A w mojej księdze Jimmy'ego opisałam to tak, jak *powinno* było się odbyć.

Mam wrażenie, że Perry był bardziej zmartwiony moją odmową, niż Andrzej i jest mi przykro. Tak bardzo lubię Perry'ego, jako kolegę i przyjaciela! Tak mi ciężko na duszy, bo go zmartwiłam! Ale wiem, że on rychło odzyska równowagę duchową.

Tak więc ja jedna zostanę w Czarnowodzie. Będę pracować, będę się wspinać na szczyt alpejski. Chwilami żałuję, że nie pojechałam z panną Royal.

Ale wierzę w siebie. *Mój świat* jest z tej strony kurtyny, wewnętrznej.

Srebrny Nów, 21 czerwca 19...

Gdy tylko przyjechałam do domu, od razu poczułam, że atmosfera jest pełna niewypowiedzianej nagi-ny i zrozumiałam, że ciotka Elżbieta wie o oświadczeniach Andrzeja. Jest zagniewana. Ciotka Laura jest zmartwiona. Ale nikt nic nie mówi. Kuzyn Jimmy opowiedział mi w ogrodzie, że Andrzej stracił apetyt i

zmizerniał od dnia mojej odmowy. Ciotka Addie jest oburzona i pyta, czy mam zamiar wyjść za księcia, skoro jej syn mi nie odpowiada.

Kuzyn Jimmy uważa, że postąpiłam słusznie. Ale on uważałby, że postąpiłam słusznie, gdybym zamordowała Andrzeja i zakopała go w Krainie Wyżyn. Bardzo jest dobrze mieć jednego takiego przyjaciela, jakkolwiek zbyt wielu takich mogłoby człowiekowi zaszkodzić...

22 czerwca. 19 ...

Nie wiem, co jest gorsze: czy usłyszeć oświadczenia człowieka, którego się nie kocha, czy też nie usłyszeć ich od takiego, którego się kocha. Jedno i drugie jest nieprzyjemne.

Doszłam do wniosku, że wyobraziłam sobie tylko niektóre rzeczy podczas owej nocy spędzonej w domu starego Jana. Ciotka Ruth ma widocznie słuszność, mówiąc, że moja wyobraźnia domaga się wędzidła.

Dzisiaj usłyszałam nagle gwizdek Tadzia. Domyśliłam się, że ma on jakąś wielką nowinę. I tak było istotnie. Trzymał w ręku list: zdał egzamin z takim powodzeniem, że dostał jedyne miejsce stypendjalne w szkole rysunków w Montrealu: 500 dolarów na dwa lata.

— Pysznie, Tadzio — rzekłam, drżąc z radości. — Och, jak ja się cieszę! Ale twoja matka? Co ona powie?

— Pozwala mi jechać, ale będzie bardzo samotna i nieszczęśliwa — odrzekł Tadzio. — Chciałem, żeby pojechała ze mną, ale nie, ona nie chce opuścić swego

domu. Tybyś była dla niej taką pocieszycielką, Emilko! Jaka szkoda, że ona cię nie lubi!

Nie przyszło na myśl Tadziovi, że i ja również potrzebowałabym może trochę pociechy. Milczeliśmy. Poszliśmy na ścieżkę Jutrzejszą, tak piękną już dzisiaj, że chyba żadne jutro nie wzmoże jej uroku. Przez kilka minut czułam się bardzo szczęśliwa. Ale milczenie zbyt długo trwało i w parę minut później było mi bardzo smutno.

— Będę bardzo pracował. Może uda mi się zczasem dostać do Paryża. Pojadę zagranicę, zobaczę oryginały wielkich mistrzów... to, do czego tęskniłem przez całe życie. A kiedy wrócę...

Tadzio urwał i zwrócił się do mnie twarzą. Sądziłam, że powie mi coś takiego, jak Perry i Andrzej. Nie wiem, cobym odpowiedziała.

— Co wtedy nastąpi?... — spytałam.

— Uczynię nazwisko Kentów sławnem na całą Kanadę! — rzekł Tadzio.

Otworzyłam oczy szeroko.

Wypowiedziałam kilka uprzejmych komunałów i rozstaliśmy się.

Mogłabym kochać szalenie Tadzia Kenta, gdybym sobie na to pozwoliła, gdyby on sam tego pragnął. Ale widocznem jest, że on nie dba o mnie. Zapomniał o wymianie naszych spojrzeń w domu starego Jana, zapomniał, co mi powiedział przed trzema laty przed kościołem. Spotka teraz w życiu tysiące uroczych dziewcząt i ani pomyśli o mnie.

Niech i tak będzie, trudno!

Skoro Tadzio mnie nie chce, ja jego nie chcę rów-

nież. Taka jest tradycja Murrayowska. Ale ja jestem tylko w połowie Murrayówną. Trzeba się liczyć z ową połową Starrowską. Na szczęście, mam aspiracje, mam przed sobą karierę i sztukę, o której pan Carpenter mówi, że jest zazdrosną boginią. Ona nie uznaje podziału.

Są we mnie trzy sprzeczne uczucia:

Jestem opanowana i stosuję się do tradycji, jestem dumna.

Na dnie mojej duszy jest coś, coby strasznie bolało, gdyby tego nie tłumila.

A nad tem wszystkim góruje zadowolenie z mojej wolności, swobody, cieszy mnie, że jej jeszcze nie postradałam.

26 czerwca 19 ...

Ilza jest oburzona, że nasz przyjaciel Perry nie traci nadziei zostania zczasem moim mężem.

— To nie jest zarozumiałość, to jest łaskawość — rzekłam, śmiejąc się. — Perry należy do rodu książąt Carabas.

— On zajdzie wysoko niezawodnie, ale zawsze będzie miał przywary swego pochodzenia — rzekła Ilza.

— Dlaczego byłaś nieraz taka surowa dla niego? — spytałam.

— Bo jest drażniącym osłem — mruknęła Ilza.

— Zrobił duże postępy w ciągu tych trzech lat.

— Nie bądź taka mądra i protekcyjnalna, Emilko, błagam cię! — wybuchnęła Ilza.

.. Ilza jest czasami dobrym równoważnikiem Jimmy'ego. Zasłużyłam na tę „burę”.

27 czerwca. 19 ...

Śniło mi się tej nocy, że ujrzałam Zaginiony Brylant. Błyszczał u stóp moich. Schyliłam się i podniosłam go. Przez chwilę leżał na mojej dłoni, ale nie mogłam go ująć. Zabłysnął w powietrzu, zataczając łuk świetlny i stał się gwiazdą zachodnią, moją gwiazdą, którą postanowiłam gonić i dosięgnąć jej poziomu. Wtem stanął przy mnie Dean i on też gonił tę gwiazdę. Nie mogliśmy się rozstać. Nagle zjawił się Tadzio i wyciągnął do mnie rękę. Miał to spojrzenie, które widziałam u niego dwukrotnie. Patrzyliśmy tak na siebie, wtem rozległ się okropny krzyk Deana. Odwróciłam się. Przez ten czas gwiazda zgasła. Obudziłam się. Dźdźysty świt. Niema Tadzia, niema jego czułego spojrzenia.

Co może oznaczać taki sen, coś znaczy.... Nie powinnam o tem myśleć. Zabobony są niezgodne z tradycją Murrayowską.

28 czerwca 19 ...

Oto moja ostatnia noc w Shrewsbury. Jutro przyjeżdża po mnie kuzyn Jimmy i wracam do Srebrnego Nowiu.

Te trzy lata wydają mi się takie długie, gdy przebiegam je myślą. A jednocześnie doznaję wrażenia, że to było wczoraj: początek studjów, różne przeżycia, utarczki z ciotką Ruth... przykrości.... uciechy...

Zrobiłam postępy. Mniej podkreślam, mniej nadużywam kursywy. Jestem bardziej opanowana, nauczyłam się wielu gorzkich prawd życiowych, nauczyłam się przyjmować z uśmiechem zwroty rękopisów. To było najtrudniejsze i najpotrzebniejsze zarazem.

Z perspektywy wydają mi się wszystkie zdarzenia takie inne, niż były, gdy je przeżywałam. Naprzykład: niechęć Eweliny i nawet owe okropne wąsy nie są już w mojem dzisiejszem odczuciu tragicznem przejściem, jakim były wówczas. Natomiast moje pierwsze sukcesy literackie stają przede mną wszystkie jako szereg radości, których nie zapomnę do końca życia i zawsze z równą intensywnością odczuwać je będę. A to spojrzenie Tadzia w domu starego Jana, och, to wspominać będę z biciem serca nawet, gdy już będę na łonie Wieczności.

Przyrzeczenie, dane ciotce Elżbiecie, nie było istotnie bez pożytku dla mego rozwoju, jak to słusznie przewidział pan Carpenter.

Dzisiaj mieliśmy egzaminy końcowe. Dean, który bawi w Montrealu, na powrotnej drodze przysłał mi kwiaty: 17 róż, tyle, ile mam lat. Wręczono mi je po zdaniu ostatniego egzaminu. To była prześliczna myśl ze strony Deana. Kochany Dean!

Perry wygłosił mowę w imieniu całej klasy. Otrzymał medal za wymowę. Ubiegał się o ten medal Wiliam Morris, ale zwyciężył Perry.

Napisałam dzisiaj ostatnią moją kronikę towarzyską dla pana Towersa. Nie lubię tej pracy, ale te centy, które u niego zarabiałam, były mi potrzebne. A przytem trzeba się wspinać powoli po szczeblach drabiny hierarchicznej, nawet w redakcji małego pisma: „Czasu”, wychodzącego w Shrewsbury.

Pakowałam rzeczy. Ciotka Ruth przyszła do mego pokoju i patrzyła na mnie. Ale nic nie mówiła.

Wreszcie rzekła:

— Będzie mi strasznie smutno bez ciebie, Emilko.

Nie marzyłam nigdy, że ona to powie, lub pomyśli. Było mi dziwnie na duszy. Od czasu gdy ciotka Ruth zachowała się tak przyzwoicie w sprawie skandalu o dom starego Jana, uczucia moje dla niej uległy zmianie. Ale nie mogłam powiedzieć, że będzie mi smutno bez niej.

A coś odpowiedzieć musiałam.

— Będę ci zawsze bardzo wdzięczna, ciotko Ruth, za to, co uczyniłaś dla mnie w ciągu tych trzech lat.

— Spełniłam mój obowiązek — odrzekła ciotka Ruth skromnie.

.

Spostrzegam, że mi okropnie żal opuszczać ten mały pokoik, którego ani przez chwilę nie lubiłam i który mnie nie polubił. Ale nie mogę wykrzesać z siebie ani iskierki uczucia dla królowej Aleksandry, ani dla wazonu z kwiatami. Giovanna odjeżdża ze mną, naturalnie. Ona należy do mego pokoju w Srebrnym Nowiu, jest jego częścią składową poniekąd. Tutaj wyglądała zawsze, jak wygnanka. Martwi mnie świadomość, że już nigdy nie usłyszę wiatru w Krainie Wyżyn. Ale będę miała mój kochany wiatr wieczorny w gaiku Wysokiego Jana. Dzisiaj wieczorem poszłam się pożegnać z jeziorkiem w parku, gdzie przechadzałyśmy się czasem z Ilzą. Słońce zachodziło, rzucając na wodę pasy różnobarwne. Schyliłam się poprzez krzak, pełen białego kwiecia i spojrzałam w wodę. Zobaczyłam w niej swe odbicie, a krzak kwietny wydawał się jakby girlandą dokoła mej głowy.

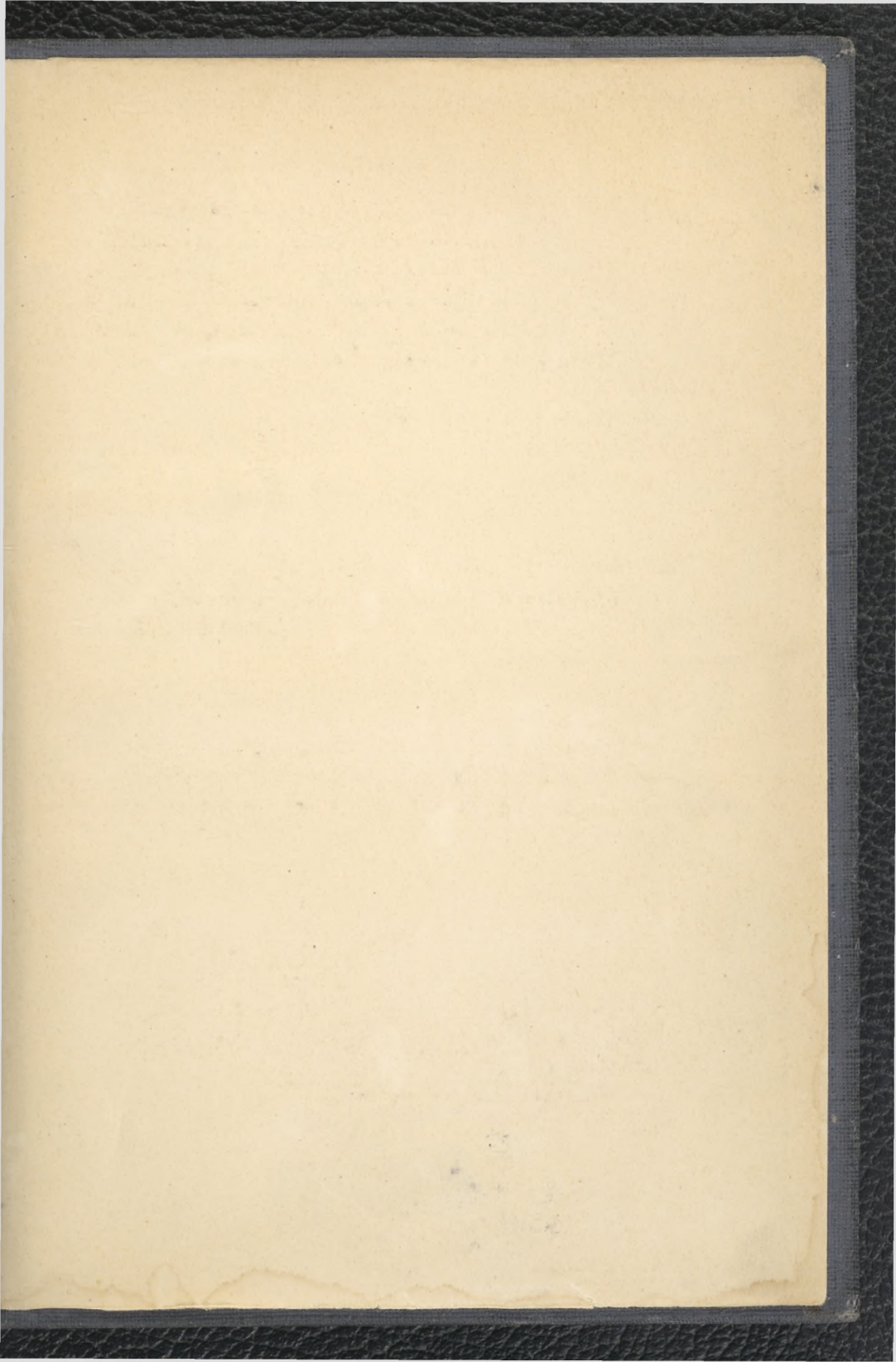
Wzięłam to za dobry omen.

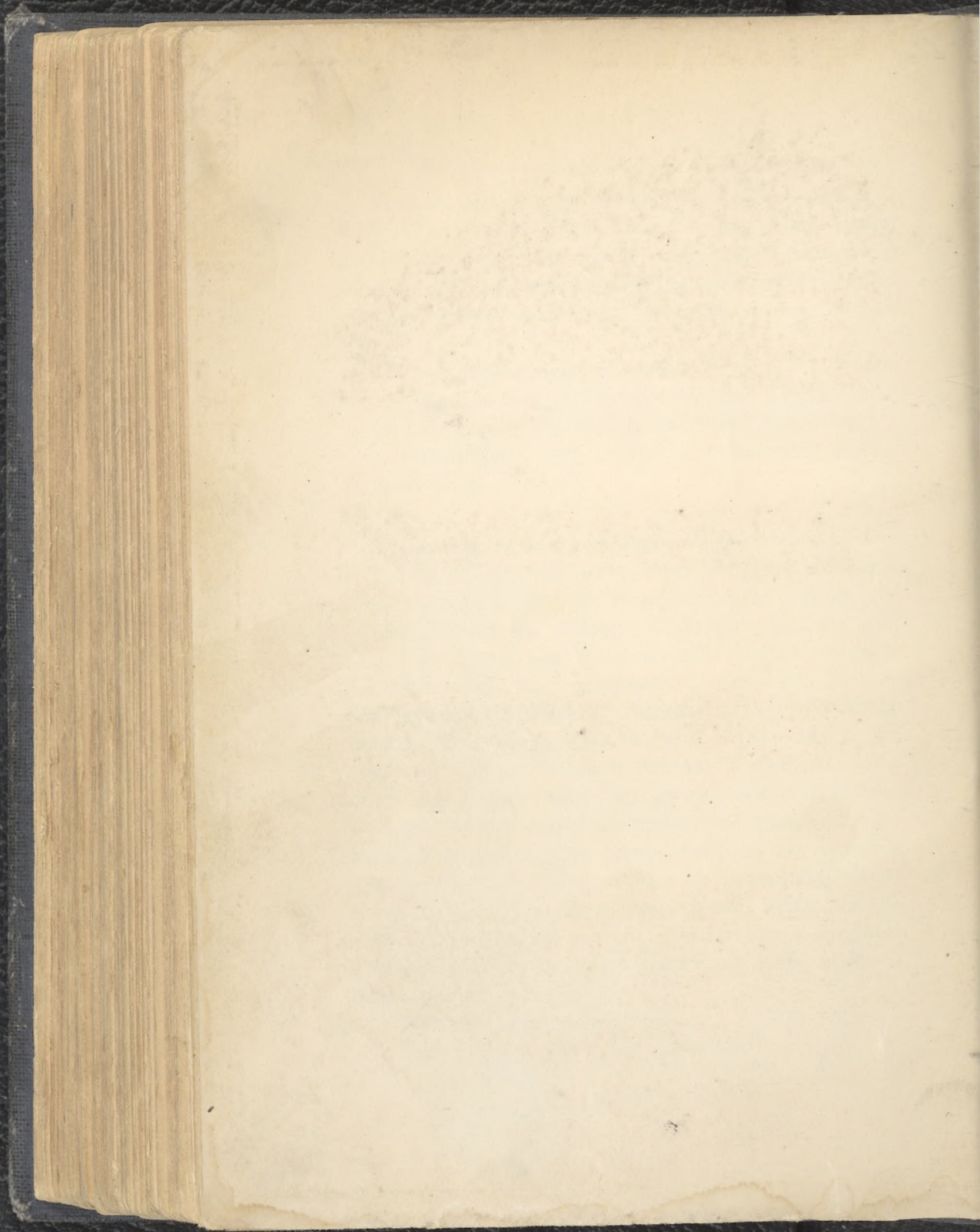
Może Tadzio jest tylko nieśmiały!



KONIEC.

1316/36





Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001021811874



610146